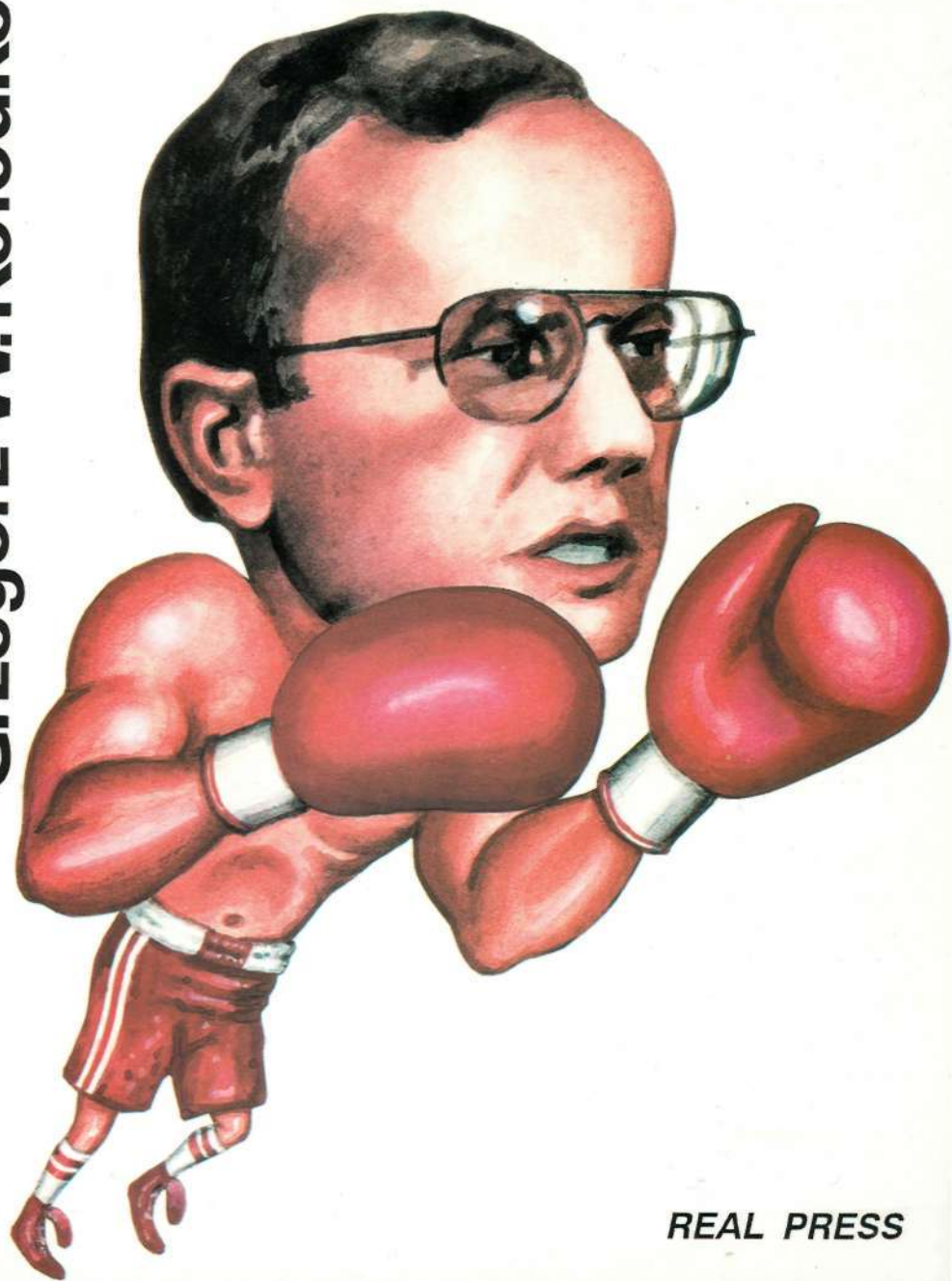


rok w **POLITYCE**

Grzegorz W. Kołodko



REAL PRESS

Grzegorz W. Kołodko

rok w **POLITYCE**

Grzegorz W. Kołodko

rok w **POLITYCE**

Ilustracje Witold Misyrowicz

REAL PRESS
Warszawa • Kraków
1995

Wydawca: *REAL PRESS - Holding Realbud, Kraków*
Wydanie oryginalne
© Grzegorz W. Kołodko
© ilustracje Witold Mysłowicz

ISBN 83-86688-06-8

Redaktor: *Teresa Grabczyńska*
Rysunki: *Witold Mysłowicz*
Skład i druk: P.P. EVAN, Warszawa

Od autora

Rok w polityce to albo bardzo mało, albo bardzo dużo - w zależności od tego, co się dzieje i co się robi. A dzieje się wiele i zrobiliśmy też nie mało. Prawie wszyscy, którzy interesują się polityką - a jeżdżąc sporo po świecie, odnosiłem zawsze wrażenie, że Polacy są daleko bardziej rozpolitykowani niż wiele innych narodów - mają często własne oceny tego, co się wokół nich dzieje. Chociaż dzisiaj powinienem już powiedzieć, że raczej wokół tego, co się im wydaje, że się naokoło dzieje. A to nie to samo. Rozumiem to coraz lepiej, ponieważ jeszcze nie dawno sam też uważałem, że łatwo jest postrzegać to, co zachodzi w naszej polityce, a zwłaszcza w polityce gospodarczej. Ale obecnie -po ponad roku przebywania w samym centrum polityki nie tylko finansowej i gospodarczej - wiem, że na zewnątrz widać co najwyżej wierzchołek góry lodowej i to też tylko z jednej strony świata.

*Widać zatem najczęściej niewiele, a warto spróbować przeniknąć bardziej w głąb i zrozumieć, o co tak naprawdę chodzi w niekończących się dyskusjach, żywo toczonych sporach i kontrowersyjnych decyzjach. Chciałbym, aby była w tym pomocna właśnie ta książka - **Rok w polityce**. Jej treść rodziły pytania zadawane przez samo życie. Była ona pisana na gorąco - m.in. w formie cotygodniowych esejów do „Polityki”- nie tylko odzwierciedlając najbardziej interesujące opinie publiczną zjawiska i procesy gospodarcze i polityczne, ale także aktywnie je tworząc. Z tych kart odczytać można podstawowe dylematy, które towarzyszyły mojej pracy w rządzie, jak i argumenty wytaczane wokół licznych sporów, w które wnikłem się jako wicepremier koordynujący politykę gospodarczą, przewodniczący Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów i minister finansów.*

*W tym czasie została opracowana i wdrożona do realizacji **Strategia dla Polski**. Początkowo sugerowano, że jest to pro-*

6 Od autora

gram łatwych rozwiązań i obietnic, ale wkrótce potem okazało się, że zawarte w nim propozycje należy potraktować z całą powagą, ponieważ niosą one z sobą nie tylko szybkie tempo wzrostu gospodarczego i postęp w sferze stabilizacji makroekonomicznej, ale również konieczność poniesienia niezbędnych kosztów dostosowań strukturalnych i zmian instytucjonalnych. I aczkolwiek koszty te w swoim absolutnym wymiarze są coraz mniejsze, rośnie bowiem konsumpcja i zatrudnienie, to i tak na tym tle pojawiają się wciąż liczne napięcia, także o charakterze politycznym.

Nie wszystkie z nich uzyskały jednakowy rozgłos publiczny, a niektóre całkowicie udało się pozostawić poza zasięgiem kamer i mikrofonów. Ale to nie oznacza, że problemów tych nie było bądź nadal nie ma. One istnieją i wielu z nich nie uda się ukryć, choć wielu polityków chciałoby, aby stan niewiedzy czy opacznych interpretacji trwał nadal. W tej książce staram się postawić wiele trudnych i często prowokujących także innych polityków kwestii. Jeszcze częściej przed takimi trudnymi dylematami w licznych wywiadach sam jestem stawiany przez innych. Taki już los kogoś, kto spędził rok w polityce.

Warszawa, 17 maja 1995



Ten najgorszy minister finansów...

*Z autorem książki rozmawia
Daniel Passent*

Panie premierze, spędził pan rok w polityce i w „Polityce”. Czy obie pana nie uwierają?

Tak, ale to nie para butów, które można zmienić w pierwszym lepszym sklepie.

Ale ten pierwszy rok jednak pan przeszedł?

I teraz już wiem, że się do polityki nie nadaję.

To dlaczego pan się zgodził?

Aby zrobić, co mogę. No i trochę już zrobiłem. Polityka to jednak ryzykowne zajęcie dla ludzi uczciwych.

Jak na takiego inteligentnego człowieka, trochę późno się pan zorientował.

Ale nie za późno, choć naiwnej wiary w to, że w polityce wszystkim chodzi o sprawne rozwiązywanie problemów w interesie publicznym, wyzbywam się w szybkim tempie. Wciąż jednak nie potrafiłbym być dostatecznie cyniczny, aby innych oszukiwać czy też przechytryć. Nie kojarzyły mi się z polityką takie określenia - i, co więcej, stojące za nimi działania - jak kwit, przekręt, ograć, sprzedać im, transakcje wiązane... W polityce coraz częściej słyszę, iż „trzeba ich ograć”. Np. mówię, że dwa razy dwa jest cztery, a ktoś inny utrzymuje, że pięć. I wtedy mam ich ograć. Zamiast przekonać siłą argumentów. I to mi się nie podoba. A sprawy są zdecydowanie bardziej skomplikowane, niż dwa razy dwa, bo mamy prowadzić politykę ekonomiczną, finansową...

Ale dlaczego zakładać, że to pan mówi, iż dwa a dwa jest cztery. Może to inni mówią, a pan mówi, że jest pięć? Gdyby to pan miał rację, nie musiałby ich „ogrywać”.

Racje, którymi się kieruję i do których chciałbym przekonać innych, biorą się przecież z głębokich studiów i dużych doświadczeń, nie tylko zdobytych w Polsce. Ale przede wszystkim stoją za nimi silne, przekonujące argumenty, choć często ich głoszenie nie jest popularne. Nie chcę robić z siebie gwiazdy telewizyjnej. Chcę mówić o poważnych kwestiach, o reformie systemu ubezpieczeń, o polityce finansowej, o trudnościach integracji europejskiej, strukturalnym bezrobociu, rynku kapitałowym czy polityce regionalnej. A są tacy, co grają.

Chcą pana ograć?

Nie mam wątpliwości, że niejeden chciałby. Ale mam nadzieję, że nikomu się nie uda. A stoję dzielnie...

...tak jak w przypadku polityki monetarnej czy socjalnej?

Chociażby. Kiedy chodzi np. o stopę procentową, to wprowadza się do dyskusji temat zastępczy: niezależność banku centralnego. Jestem ostatnim, który by kwestionował tę niezależność, ale to nie znaczy, że każda jego decyzja jest słuszna i nie podlega dyskusji.

Czy pan nie będzie walczył o niezależność banku centralnego dopóty, dopóki on się z panem zgadza?

Nie. Bank centralny musi być niezależny i odporny na zakusy każdego rządu, także poprzedniego i następnego. Nie ma problemu niezależności, jest problem niekompetencji decyzji, jakie niekiedy podejmuje kierownictwo tego banku. Wtedy powstaje problem, czy minister finansów ma prawo zabrać głos. Media od razu robią sensację, że jest konflikt.

A nie ma?

Czytałem, że prezes NBP głosi, że jestem najgorszym ministrem finansów, z jakim przyszło jej współpracować, a konflikt wynika z moich „problemów charakterologicznych”.

A nie ma ich pan?

Nie, nie mam, natomiast inni mogą mieć problemy z charakterem moich działań. Mam twardego charakter i działam konsekwentnie. Jeśli to utrudnia komuś funkcjonowanie i zakłóca błogi spokój, to nadal będę tak czynił. Jako wicepremier, który kieruje gospodarką i minister finansów nie mogę tolerować ewidentnych



błędów, które skazują nas na dużo wyższą inflację i nadmierne społeczne koszty reform.

Czy nie jest tak, iż te spory, które pan toczy, to są jak gdyby dwie strony jednego medalu. Trudno np. obniżyć inflację i jednocześnie zmniejszać bezrobocie...

Kiedy przedstawiałem „Strategię dla Polski” krytycy mówili, że nie można zakładać jednoczesnego spadku inflacji i bezrobocia, tymczasem spada jedno i drugie. To jest możliwe tylko trzeba to robić umiejętnie. Fakt, że nie potrafili tego robić nasi poprzednicy, to ich problem. My potrafimy.

...trudno dbać o emerytów i mieć zrównoważony budżet. Obie strony mają swoje racje. To są spory merytoryczne.

Nie z prezesem banku. Rozmawiamy 1 maja 1995 roku. NBP zapowiedział, że w maju obniży stopy procentowe i to w stopniu większym niż podniósł je w lutym. Nie zrobi tego. Obniży je później z komentarzem, że to na skutek spadku inflacji, do której podwyższenia sam wcześniej się przyczynił, prowadząc politykę monetarną, która w istocie była wymierzona w politykę gospodarczą naszego rządu. Teraz trzeba pomóc bankowi centralnemu wyjść z tego z twarzą. Dlatego też w połowie maja wprowadzamy nowy mechanizm kształtowania kursu walutowego, godząc się na późniejszy niż ekonomicznie uzasadniony termin obniżenia stóp procentowych. Taki mam charakter.

A czy bankowi centralnemu nie zależy na zbijaniu inflacji?

Powinno zależeć. Tym bardziej dziwi to, że jego polityka monetarna - pewnie nie bez powodu prowadzona z takim zaangażowaniem w czasie, gdy rządem kieruje koalicja SLD-PSL - nie sprzyja skutecznemu zbijaniu inflacji.

No dobrze. A minister Miller też nie ma racji?

Spór z ministrem pracy i polityki socjalnej odzwierciedla jeden z większych problemów, którego rozwiązanie zaproponowałem w „Strategii dla Polski”, a mianowicie reformę systemu ubezpieczeń społecznych w powiązaniu z przebudową finansów publicznych.

Sądzę, że tego rodzaju komentarze przysparzają panu przeciwników i zyskują panu opinię człowieka trudnego, zadowolone-

go z siebie. Pan się bardzo identyfikuje z tym co robi, bierze to wszystko szalenie osobiście, do siebie.

Możliwe, ale też szarpią mnie osobiście po nazwisku. Biorę gazetę do ręki, a tam ktoś - darujmy sobie nazwisko - pisze, że „nie będzie nas Kołodko pouczał” na temat giełdy. On i tysiące ludzi, którzy bez przygotowania grają na giełdzie, powinien być wdzięczny, kiedy wicepremier, minister finansów, profesor zwyczajny, wypowiada się na ten temat. Nie trzeba się zgadzać, ale co zaszkodzi posłuchać.

Pan traktuje prasę zbyt poważnie, ona na to nie zasługuje. Co innego spór z ministrem pracy.

W tym sporze różnica polega na tym, że jedni myślą, iż pieniądze biorą się z budżetu, a inni muszą myśleć o tym skąd się biorą pieniądze w budżecie. Jedni myślą socjalnie, a inni-ekonomicznie.

Sądzi pan, że minister Miller nie jest w stanie tego zrozumieć?

Tego typu politycy starają się być przede wszystkim przyjaciółmi elektoratu i potencjalnym wpływom na ilość głosów wyborców usiłują podporządkować decyzje podejmowane w zakresie polityki socjalnej, abstrahując niekiedy całkowicie od ich uwarunkowań finansowych. Dzisiaj już wiem, że różnice naszych poglądów oraz interpretacja interesów ekonomicznych i politycznych różnych grup społecznych są fundamentalne. Jednakże eliminacja tych różnic nie sprowadza się do odejścia jednego z nas. To cały układ rządzący musi podjąć trudną decyzję - czy woli pójść drogą „łatwą, lekką i przyjemną” prowadzącą wprost do piekła nawrotu wysokiej inflacji i recesji, czy też poprzez czyściec do trwałego wzrostu i stabilizacji. Ta pierwsza linia programowa - tak, jak ja ją rozumiem - jest coraz bardziej populistyczna, a jej skutki byłyby antywzrostowe i proinflacyjne. Pragmatyczna linia „Strategii dla Polski” zaś jest prowzrostowa i antyinflacyjna. Tego się nie da pogodzić.

Ale pretensje o budżet do pana ma wielu?...

Pewnie ma Pan na myśli także tych, którzy nas obrażają i opulwają, że wszystkiemu winien budżet. A przecież budżet nie jest żadnym złem. Budżet to brzmi dumnie. Jak na mnie krzyczy poseł SLD na zamkniętym posiedzeniu: „No dobrze, a jak będą większe

12 *Ten najgorszy minister finansów...*

wpływy, to zmniejszy pan wydatki, żeby ratować ten swój budżet", to on nic nie rozumie albo rozumie źle. Troska o budżet, o to, żeby nie był zbyt wysoki w stosunku do dochodu narodowego, jest słuszna. Ale dziś troskę o budżet traktuje się często jako coś złego, jako inwektywę. Koledzy w rządzie często mi zarzucają, że "tylko myślę o budżecie". Tymczasem ja też rozumiem, że trzeba finansować politykę socjalną, wspierać budownictwo mieszkaniowe itd, ale taka reforma ubezpieczeń, jaką pod pozorem konsultacji usiłuje przeprowadzić minister Miller...

A co jest złego w konsultacjach?

Nie w konsultacjach, tylko właśnie w niedopracowanym projekcie. W konsultacjach każdy przecież powie, że chce mieć wyższą emeryturę i płacić niższe podatki. Każdy woli być młody, piękny i bogaty. W konsultacjach trzeba postawić twarde pytanie: Czy chcemy płacić wyższe podatki i więcej dopłacać do ubezpieczeń społecznych, czy chcemy ubezpieczyć się sami i płacić niższe podatki? Jedni politycy chcą być dobrymi wujkami, a drugim zostawiają krew, pot i łzy. To, że minister finansów musi być niepopularny, to jasne, ale nie może być tak, żeby niektórzy członkowie rządu budowali swoją popularność na koszt podatnika. Kiedyś zapytałem pewnego z naszych ministrów, czy sądzi, że pieniądze biorą się z główek kapusty? Nawet się nie obraził, tylko zaczął się zastanawiać...

Pańskim zadaniem, jako szefa gospodarki, jest jednak nie tylko pilnować budżetu, ale i popychać reformy. Tymczasem opozycja mówi, że obecny rząd dryfuje po kursie wyznaczonym przez poprzedników, ale wolniej. Np. rośnie część dochodu narodowego, która „przechodzi przez budżet”, rząd ma słabość do sektora państwowego, a prywatyzacja jest spowolniona. To jest rząd, któremu zarzuca się, że idzie pod wiatr historii.

Kto zarzuca? Prasa? Opozycja? Wbija się ludziom do głowy, że Monte Cassino, BGŻ, żelatyna... Otóż oświadczam panu, że w sprawie Monte Cassino od strony organizacyjnej tamten rząd nie popełnił ani jednego błędu, ani jednego, a ja jeszcze dołożyłem miliard złotych na dodatkowy samolot dla weteranów, ale o tym się

nie wspomina, tylko powiela się te same bezpodstawne oskarżenia, bez dania racji. To jest propaganda, a nie informacja.

„Wroga propaganda”? Pan się zresztą głośno broni, pana nazywają ministrem gospodarki i propagandy. Czy hamowanie reform to też propaganda?

To jest absolutna nieprawda. Nie zmniejszamy tempa reform, lecz ich koszty dla zdecydowanej większości społeczeństwa, a dzieje się to także poprzez ograniczanie korzyści dla zdecydowanej mniejszości społeczeństwa. I to powoduje konflikty.

Więc jednak socjalizm?

Żaden socjalizm, tylko jeżeli większość społeczeństwa odrzuci reformy, bo ich nie wytrzyma, to kto nam pozwoli budować gospodarkę wolnorynkową, z kim ją zbudujemy? A mniejszość krzyczy, gdyż to ona ma dostęp do mediów, to jej głos jest najbardziej donośny. Wystarczy przeanalizować, jakie grupy interesu korzystają najwięcej na prywatyzacji (bo w długim okresie skorzystają wszyscy), żeby się przekonać, że chodzi o interes grupowy.

Więc jednak kontynuacja z modyfikacją?

Nasz program nie jest programem kontynuacji, kontynuujemy tylko to, co było słuszne. Odchodzimy od tego, co w polityce ubiegłych rządów było niesłuszne i to wyjaśnia, dlaczego w ostatnich miesiącach było tyle sukcesów gospodarczych.

Chce pan je wszystkie przypisać sobie?

W żadnym wypadku, ale inaczej podchodzimy np. do restrukturyzacji, oddłużania, zarządzania sektorem państwowym. A że zarzuca nam się, iż hamujemy tempo reform? Od tego jest opozycja, żeby czynić zarzuty. Jeżeli ktoś stoi na drodze reform, to prezydent Lech Wałęsa. W czasie ubiegłorocznego spotkania zadałem prezydentowi pytanie, czy stanie na czele reform czy na drodze reform - i oto jaką dostaliśmy odpowiedź.

Jest pan zadowolony z tempa i kierunków reform?

Zdecydowanie nie. Ale nie wybiegam przed orkiestrę i nie zwoluję w tej sprawie konferencji prasowej, gdyż nie jestem w opozycji, ale w koalicji. Bronię linii rządu, ale jednocześnie sygnalizuję, co powinno iść inaczej, wolniej lub szybciej.

Myśli pan, że gdyby nadal rządziła Unia Wolności i jej koalicja, to sprawy wyglądałyby tak samo?

Nie, np. prywatyzacja byłaby bardziej zaawansowana, ale pauperyzacja społeczeństwa również. Większe byłoby także zróżnicowanie materialne społeczeństwa. Zarówno w wyborach 93 roku, jak i w wyborach samorządowych z czerwca 94 społeczeństwo potwierdziło, iż woli naszą drogę. W kolejnych wyborach również zdecyduje społeczeństwo. Gdybym był dyktatorem, to pewne sprawy - np. restrukturyzacja i konsolidacja sektora paliwowego, BGŻ, albo zakres opłat wyrównawczych - prowadziłbym inaczej, ale decyduje Sejm wybrany przez naród, a nie żaden minister, nawet najpotężniejszy. To nie rząd stawia warunki Sejmowi, lecz odwrotnie - Sejm po to wybiera rząd, żeby realizował jego wolę. Nie wystarczy mieć rację, trzeba jeszcze mieć 51%, a w Polsce nawet 67%, i to dwa razy - po prezydenckim wiecu oraz niekiedy po decyzji Trybunału Konstytucyjnego. Dlatego, że głowa państwa traktuje budżet w sposób instrumentalny. To się innym głowom państwa w głowie nie mieści. Naród kiedyś to zrozumie.

Ale w międzyczasie może oddać władzę innym. Gdyby tak się stało, komu zechciałby pan przekazać kierowanie gospodarką i był o nią spokojny?

Rzecz nie w tej czy innej osobie. Wiele tutaj zależy od okoliczności politycznych, od układu, który potrafi zniszczyć najwybitniejszych profesjonalistów. Dlatego na tym stanowisku charakter jest taki ważny, może nawet ważniejszy niż profesjonalizm.

Jak byłem wynajmowany do tej roboty, to sądziłem, że będziemy grać w szachy, a okazuje się, że to jest wolna amerykanka. Czuję się, jak kierowca samochodu Porsche, który utknął w korku. Nie może rozwinąć tej szybkości, jaką ta maszyna stwarza. I to nie jest wina samochodu, ani kierowcy - taka jest rzeczywistość. Jeden mówi, że to jest autostrada, drugi, że tu jest ruch dwukierunkowy, a trzeci powozi furmanką. I on nie ma strategii dla Polski, ale ma strategię dla siebie, dla swojej żony i ta furmanka czemuś służy. To trzeba brać pod uwagę.

Zapytałem, komu by pan przekazał ster gospodarki, ale nie widzę, żeby pan miał ochotę cokolwiek wypuścić z rąk. Pan wydaje się człowiekiem wielkiej energii i ambicji, w dodatku

przekonanym o słuszności swojej linii, raczej zdecydowanym i zadowolonym z siebie. Pan nie hamletyzuje, nie jest targany wątpliwościami, pan walczy i jest pewny swego. Niektóre z tych cech każą mi przypuszczać, że jest pan chłopskim synem.

Mój ojciec, który zmarł 1987 roku, był inżynierem budownictwa lądowego w Gdańsku. Mama ma wykształcenie podstawowe, prowadziła dom i nas wychowywała. Mama jest bardzo wierząca, ja natomiast - po ojcu - jestem agnostykiem.

Wywodzę się z małego miasteczka, Tczew, 32 km od Gdańska. W Gdańsku nadal pracuje mój brat, i sam tam pracowałem jako robotnik, zanim dostałem się na studia. Tam jeździło się do Teatru Wybrzeże i na Czerwone Gitary - tam po raz pierwszy słyszałem Seweryna Krajewskiego, którego ostatnio słuchałem na balu Mistrzów Sportu. Gdyby 30 lat temu ktoś mi powiedział, że będę - jako wicepremier - słuchał Krajewskiego w hotelu Victoria na placu, który będzie nosił imię Piłsudskiego, to bym się puknął w czoło.

Dlaczego pracował pan jako robotnik?

Ponieważ w 1967 roku, przy pierwszym podejściu, nie dostałem się na studia w SGPiS. Nie mogłem tego pojąć, chodziłem do bardzo dobrej szkoły, dobrze się przygotowałem, a mimo to nie dostałem się. I przez rok pracowałem jako robotnik budowlany. Po roku zdawałem ponownie i zostałem studentem SGPiS.

Pan się nie łatwo poddaje.

Nie mogłem się poddać - gdybym nie został przyjęty drugi raz, czekało mnie wojsko, a to nie jest moje hobby.

Z tą energią, ambicją i pracowitością, mógł pan zostać generałem...

Może i tak, ale wtedy musiałbym pracować w resorcie „prezydenckim"... A ta pracowitość to po rodzicach. Ojciec bez przerwy pracował. Wstawał o świcie, ponieważ dojeżdżał do pracy w Gdańsku, wracał i siadał do roboty, liczył, pisał, liczył... Miał maszynkę do liczenia, z korbką i ciągle nią kręcił. Kolację zjadał przy dzienniku telewizyjnym i jeszcze siadał do pracy, a potem kładł się spać, żeby nazajutrz wstać o 5 rano. Kiedy ja wstawałem - ojca już nie było. A matka i siostra krzątały się cały dzień. Po nich to przejąłem.

J 6 *Ten najgorszy minister finansów...*

U mnie talerze i gary są pomyte, zanim *jeszcze* są brudne. Kiedy jeszcze gospodarowałem sam, to po przrzuceniu jajeczniczy z patelni na talerz myłem patelnię, zanim zjadłem jajecznicę.

To już jest na granicy normy...

To jest odchylenie od normy.

Ale w dobrą stronę. Pan ma naturę prymusa?

Byłem dobrym uczniem, ale nie prymusem, gdyż z reguły miałem obniżony stopień ze sprawowania. Przedszkola to nawet nie ukończyłem z powodów dyscyplinarnych. W szkole kontestowałem, dokuczałem dziewczynom, nosiłem za długie włosy, wygłaszałem niestosowne komentarze na temat arcydzieł literatury narodowej. Ciągłe stwarzałem problemy.

To wiele wyjaśnia. Dziękuję na rozmowę.

Odpowiedzi i pytania

11 czerwca 1994 r. „Polityka” rozpoczęła druk komentarzy wice-premiera i ministra finansów prof. Grzegorza W. Kołodko. W naszej praktyce politycznej jest wydarzeniem bez precedensu, aby urzędujący szef gospodarki deklарował gotowość podjęcia otwartego dialogu z opinią publiczną poprzez systematyczną publikację własnych komentarzy, refleksji, ocen. Jest to bez wątpienia ważny krok w stronę „uspołecznienia” procesu przebudowy gospodarki, co zresztą - przypomnę - zapowiadały partie rządzącej dziś koalicji. Mam nadzieję, że jest to także zapowiedź nowego stylu uprawiania polityki gospodarczej. Prof. Kołodko zwykł mawiać, że „każda odpowiedź ekonomisty jest pytaniem dla polityka” - stąd tytuł rubryki „Odpowiedzi i pytania”, właśnie w tej kolejności. Występując dziś w obu rolach - ekonomisty i polityka - nowy minister finansów chce publicznie formułować odpowiedzi i stawiać publicznie pytania, które ułatwią świadome i w miarę bezpieczne przekształcanie gospodarki kraju...

Jerzy Baczyński

Gorzej już było

Warszawa, 6 czerwca 1994 r.

Polska, otwierając się na świat, kroczy swoją drogą do demokracji, do społecznej gospodarki rynkowej i do swobodnej przedsiębiorczości równoprawnych sektorów. Dla wzmocnienia tego procesu obecnie potrzebna jest strategiczna koncepcja długofalowego rozwoju gospodarczego. Koncepcji takiej brakowało od lat, a doraźnie zorientowana polityka gospodarcza - zwłaszcza finansowa - rozwiązując tylko niektóre problemy tworzyła zarazem następne. Dzisiaj piętrzą się one tak bardzo, że konieczne jest nowe, kompleksowe podejście. W innym bowiem przypadku dotychczasowe osiągnięcia transformacji zostaną poważnie zagrożone.

Można byłoby udawać, że nadal możliwe jest zwiększanie bezrobocia czy wewnętrznego długu publicznego, że można lekką ręką brać wszystkie zagraniczne kredyty czy też trwać w obecnym systemie ubezpieczeń społecznych. Można byłoby zakładać, że wzrost gospodarczy utrzyma się bez zwiększenia skłonności do oszczędzania, że rozdawnictwo to droga do proefektywnościowej prywatyzacji, że nie ma zbyt wielu biednych, natomiast wszyscy bogaci szukają tylko ministra finansów, by wcisnąć mu należne państwu podatki. Tak nie było i nie jest. Dlatego właśnie **potrzebna jest aktywna polityka gospodarcza i społeczna państwa, tworząca ramy dla twórczej pracy, która czeka nas wszystkich.** Kierunki tej polityki wyznacza *Strategia dla Polski*, która w tym tygodniu trafia do Sejmu.

Wkraczamy w nową fazę transformacji. Jej główne cechy to obniżenie społecznych kosztów reform, zdynamizowanie gospodarki i stabilizacja systemowa. Strategia gospodarcza potrzebna jest także po to, aby tendencjom wzrostowym nadać charakter trwały i zrównoważony. W tym celu konieczne jest wydłużenie perspektywy, w której prowadzi się politykę gospodarczą. Przebudowa stosunków pracy, reforma systemu zabezpieczeń społecznych,

mobilizowanie krajowych oszczędności, równouprawnienie wszystkich sektorów własnościowych, podniesienie poziomu międzynarodowej konkurencyjności, poprawa bezpieczeństwa obrotu gospodarczego - to kluczowe elementy takiej strategii. Silnie ekspozycja ona tworzenie i rozwój instytucji wspierających nowoczesną i funkcjonalną gospodarkę rynkową. Na razie **doszliśmy bowiem do paradoksalnej sytuacji, w której opinia publiczna darzy większym zaufaniem „Solidarność 80” i „Samoobronę” niż ... banki prywatne.**

Ludzie czują się zagubieni. Dzieje się tak, ponieważ rzeczywistość kształtuje się odmiennie niż rozbudzona przed pięcioma laty wizja. Społeczeństwo nadal nie ma klarownego obrazu swojej przyszłości i nie zna ścieżki dojścia do niej. Wypowiedzi o braku tzw. trzeciej drogi (faktycznie jest ich co najmniej kilkanaście) sugerują wyłącznie ostrą alternatywę: **albo powrót do odrzuconej przeszłości, albo też prosta kontynuacja prowadząca pozornie do kapitalizmu wszelkiej obfitości za cenę pokory i podporządkowania się mądrości rządzących zarówno polityką, jak i pieniędzmi.** Tym bardziej społeczeństwu potrzebna jest wiarygodna strategia rozwoju w dłuższym horyzoncie czasu. Rozwiązując problemy pokoleniowe nie można opierać się na programach krótkookresowych. Brak podejścia strategicznego w przeszłości to jedna z przyczyn obecnych trudności.

Ale ludzie - nazywani od niedawna najczęściej „elektoratem”, co samo z siebie powinno budzić ich protest - potrafią oceniać. Dokładnie pięć lat temu dali temu wyraz w wyborach, które wraz z wynikami „okrągłego stołu” zapoczątkowały nowy etap w historii. Wydaje się, że potrafiliśmy wyciągnąć z tego właściwe wnioski; i to nie tylko w Polsce. Pamiętajmy jednak o tym, że dokonano oceny polityki rządów już kilka razy po tamtym przełomie, przy okazji kolejnych wyborów. Takie postrzeganie polskiego procesu przemian odczytać chyba będzie można także z nadchodzących wyborów do władz lokalnych. Co to oznacza, zwłaszcza w kontekście polityki gospodarczej i społecznej?

Otóż w pierwszej kolejności dowodzi to braku akceptacji dla sposobu przekształcania gospodarki, dla nadmiernych kosztów tego procesu oraz ich rozłożenia. Nie można wmawiać sobie i innym, że niezadowolenie społeczne bierze się z błędu percepcji ludzi,

k którzy nie potrafią dostrzec, że już jest lepiej. Nawet gdyby tak było, to liczy się tutaj stan świadomości społecznej i nie wolno tego lekceważyć. W tej świadomości dopiero teraz - z wyraźnym opóźnieniem czasowym - przebija się przekonanie o pogorszeniu się sytuacji. Innymi słowy, chociaż ostatnio rosną już dochody realne i poziom konsumpcji, jednak ludzie porównują swój standard życia na dłuższej osi czasu. Z pewnym opóźnieniem reagują tak na jego pogarszanie się, jak i na poprawę.

Po drugie, procesowi transformacji towarzyszy olbrzymia redystrybucja dochodów i zasobów; dla większości jest to bieda, dla mniejszości bogactwo. Ale narzekają raczej wszyscy, w tym także najwięksi materialni beneficjenci zachodzących przemian. **Ostatnio tylko 7 % społeczeństwa przyznaje, że ich sytuacja poprawiła się w ciągu ostatniego roku, a ponad połowa twierdzi, że jest gorzej niż było.** Fakty materialne i społeczne - odwrotnie niż nieszczęścia - nie chodzą zawsze w parze.

Po trzecie wreszcie, **stan niezadowolenia rodzi się na tle rozczarowań płynących z porównywania rzeczywistości z nadmiernie rozbudzonymi oczekiwaniami.** Dziś okazuje się, że nawet znaczący wzrost gospodarczy - blisko 10 % w latach 1993-1994 - i dobre perspektywy na przyszłość nie są w stanie nie tylko zneutralizować blisko 20-procentowego ubytku dochodu narodowego w latach 1989-1991, ale przede wszystkim zatrzeć przykrego wrażenia, jakie w świadomości pozostawiły fałszywe deklaracje o perspektywie wzrostu po półrocznej tylko recesji czy też kilkakrotnie czynione bez pokrycia obietnice o zejściu inflacji poniżej 1 % miesięcznie. Autorzy tych nierozważnych deklaracji udają, że ich nie było, ale ludzie tego nie puścili w niepamięć. Nie można bowiem zapomnieć, że poziom cen między wrześniem 1989 a wrześniem 1993 roku wzrósł blisko 40 razy (sic!), a zwłaszcza, że na tym tle dokonała się olbrzymia redystrybucja, której mechanizmy i kierunki wciąż nie są zaakceptowane, a dla wielu nawet nie są zrozumiałe. Dopiero teraz mogliśmy podjąć decyzję o denominacji polskiego złotego od początku przyszłego roku. Jest to wyraz przekonania, że nie zejdziemy ze ścieżki obniżania inflacji.

Dziś w gronie niezależnych obserwatorów i ekspertów nie budzi już większych wątpliwości pogląd, że w dotychczasowej fazie transformacji można było osiągnąć więcej mniejszym kosztem. Argu-

ment, że w niektórych krajach regionu jest gorzej niż w Polsce, nie zmienia tej oceny i wynikających z niej wniosków. Jeśli gdzieś jest gorzej, to dlatego że warunki są i były inne, ale przede wszystkim dlatego, iż tam popełniono jeszcze więcej błędów, choć doprawdy mała z tego dla nas pociecha. Szczerze mówiąc, nie do końca rozumiemy, dlaczego przed tak oczywistą konkluzją bronią się zawzięcie ci, którym należą się słowa uznania za dotychczasowe osiągnięcia i słowa krytyki za popełnione błędy. Jedno musi iść w parze z drugim; także w przyszłości. **Wystawianie się pod pręgierz konstruktywnej krytyki to nieodzowny warunek dający szansę, że przynajmniej część potencjalnych błędów zostanie wyeliminowana.** Chciałbym, aby moja obecność na gościnnych łamach „Polityki” temu właśnie służyła.

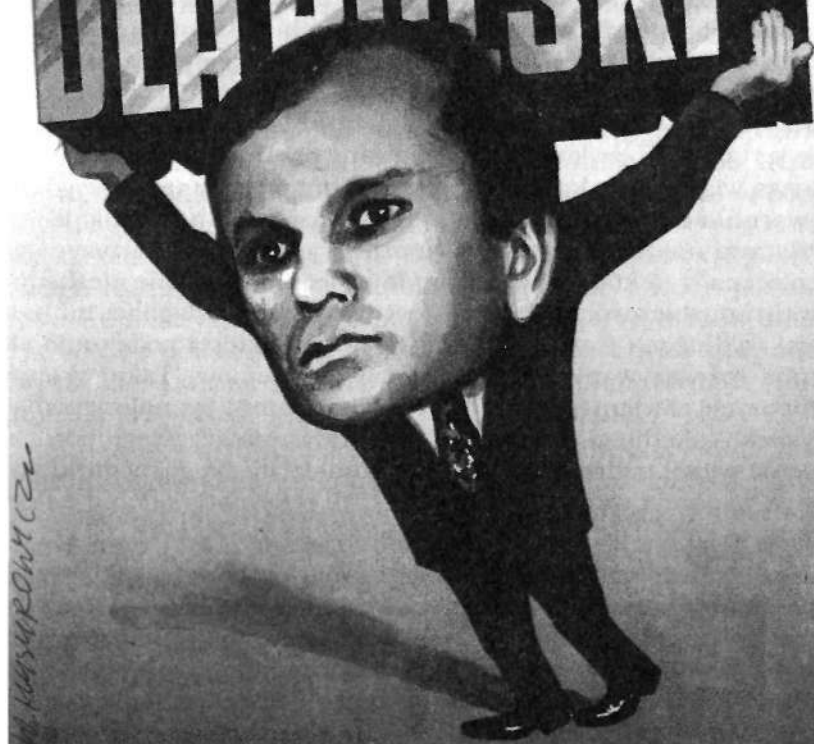
Potrzeba zgody

Warszawa, 12 czerwca 1994 r.

Przygotowany przez rząd koalicji SLD-PSL program polityki gospodarczej i społecznej *Strategia dla Polski* stał się własnością społeczną. Został przedstawiony na forum publicznym i jest żywo dyskutowany. Pierwsze reakcje wydają się przychylne: zwracają głównie uwagę na profesjonalność programu, jego koncyliacyjność i pragmatyzm. Podkreślane są także takie cechy, jak kompleksowość ujęć i długofalowość zamierzanych działań oraz docenianie społecznego kontekstu procesu transformacji. Wrażenie takie można było wynieść z licznych spotkań, podczas których miałem okazję poddać krytycznej ocenie założenia *Strategii dla Polski*. Najciekawsze i najważniejsze jest jednak to, że - niezależnie od licznych uwag, które trzeba z całą rozwagą uwzględnić w dalszych pracach - program przyjmowany jest z olbrzymim zainteresowaniem i nadzieją w **różnych środowiskach.**

Generalne kierunki polityki gospodarczej zyskują akceptację tak czołówki polskich przedsiębiorców i menedżerów, jak i szerokiej reprezentacji polskich ekonomistów. Pozytywne przyjęcie dało

STRATEGIA DLA POLSKI



się dostrzec zarówno ze strony związkowców podczas kongresu OPZZ, jak i ze strony młodzieży szkolnej w moim liceum. Z uznaniem o pojawieniu się strategicznej koncepcji rozwoju wypowiadali się przedstawiciele Międzynarodowego Funduszu Walutowego, pracujący nad kolejnym porozumieniem z Polską, a także ministrowie gospodarki i finansów Unii Europejskiej na niedawnym posiedzeniu w Luksemburgu, podczas którego przedstawiłem zarys naszej długookresowej polityki. Dostrzegano przy tej okazji dużą dozę spójności tej polityki z główną linią zachodnioeuropejskiego programu „Wzrost - zatrudnienie - konkurencyjność” Ktoś mógłby powiedzieć, że w obu programach - a z czasem stanie się on jeden - chodzi w końcu o to samo.

Co to oznacza? Otóż wydaje mi się, że *Strategia dla Polski* ma szansę dobrze trafić w oczekiwania różnych podmiotów gospodarczych. Założenie takie przyświecało autorom, ponieważ **możliwe są takie kierunki wieloletniej polityki gospodarczej, które sprzyjają łagodzeniu sprzeczności interesów ekonomicznych.** Nie jest prawdą, że korzyści uzyskiwane przez jedne grupy zawsze muszą wiązać się z kosztami ponoszonymi przez inne. Szczególnie w warunkach szybkiego wzrostu gospodarczego - a to właśnie jest podstawą naszego programu - możliwa jest szersza partycypacja społeczna w efektach rosnącej wydajności pracy. Pewne niezbędne kwantum zbieżności interesów jest tym łatwiej osiągnąć, im bardziej wydłużona jest perspektywa czasu, w której podejmuje się próbę rozwiązywania trapiących nas problemów. Taką właśnie propozycję zawiera *Strategia dla Polski*. Dlatego też należy podjąć wysiłek - skądinąd niełatwy - zorganizowania szerszego porozumienia wokół nadrzędnych spraw. Transformacja gospodarki wymaga wsparcia wszystkich światłych sił reformatorskich. I z taką ofertą wychodzi do społeczeństwa *Strategia dla Polski*.

Przedstawiając w Sejmie program, nie próbowałem go streszczać. Tutaj też nie ma takiej potrzeby, dokument ten bowiem szeroko omówiła prasa, a w całości będzie on publikowany w przyszłym tygodniu na łamach „Życia Gospodarczego” Aby jednak główne wątki mego sejmowego wystąpienia nie umknęły zbyt szybko uwagi - o co nietrudno, zważywszy na stworzone przez opozycyjnych posłów okoliczności - chciałbym niektóre z nich tutaj przypomnieć.

Po pierwsze, wchodząc w obecną fazę transformacji, pamiętać trzeba, że **działania poprzednich rządów stworzyły wiele faktów i uruchomiły liczne procesy tak pozytywne, jak i negatywne**. Zarówno jednych, jak i drugich nie należy nie doceniać. Aby te pierwsze mogły być potwierdzone, podtrzymane i wzmocnione, to tym drugim trzeba skutecznie przeciwdziałać.

Po drugie, w demokratycznym społeczeństwie opozycja musi zakładać, że **może przejąć władzę i odpowiedzialność**, tak jak rząd musi przyjmować, że może ją utracić, jeśli będzie popełniał błędy w swojej polityce. Jest przecież oczywiste, że spieramy się i nadal będziemy dyskutować, wiele jest bowiem nie tylko różnic poglądów, ale także odmiennych interesów. Ale odpowiedzialna opozycja nie może obecnie blokować i usiłować dyskredytować tych działań rządu, które sama, być może, z czasem podejmie czy będzie kontynuować. Obecny rząd zмага się z konsekwencjami decyzji Trybunału Konstytucyjnego, które z prawnego punktu widzenia słusznie zakwestionowały pewne rozstrzygnięcia poprzedniego Sejmu, podjęte na wniosek poprzednich rządów. Rzecz w tym, aby następne rządy nie były przez nas stawiane w podobnych sytuacjach. Ministerstwo Finansów kontynuuje prace nad podatkiem od nieruchomości, które podjęto za kadencji poprzedniego rządu, jednakże ewentualne wdrożenie takiego podatku spowodują decyzje Sejmu następnej kadencji. Przykładów takich jest więcej: pokazują one pewną **ciągłość procesów gospodarczych**, którą trzeba uszanować, a nie czynić z problemów rodzących się przy takich okazjach przedmiotu sporów.

Po trzecie, warto się zastanowić, w jakich kluczowych dla strategii rozwojowej sprawach trzeba się porozumieć, które kwestie - choć wciąż sporne - powinny zostać uzgodnione w imię racji nadrzędnych i wspólnego dobra. Chodzi tutaj zwłaszcza o te problemy, które muszą być podjęte teraz, choć ich rozwiązywanie zajmie lat wiele - niekiedy nawet kilkanaście i więcej. *Strategia* wskazuje na kilka takich tematów i dlatego jest ona *dla Polski*, a nie dla tej czy innej grupy społecznej. Być może właśnie dlatego program ten zyskuje coraz szerszą akceptację w różnych kręgach społecznych.

Takich newralgicznych problemów, o implikacjach strategicznych, jest wiele. Wymienię tutaj tylko sześć z nich. Sądzę, że są

one najważniejsze, ponieważ to wokół nich rozegra się batalia. Nie między koalicją a opozycją, ale o pozycję Polski. Problemy te dotyczą inwestowania w kapitał ludzki, reformy systemu ubezpieczeń społecznych, redukcji długu publicznego, przebudowy wsi, poprawy międzynarodowej konkurencyjności gospodarki oraz włączania się w proces integracji europejskiej. **Rozwiązywanie tych spraw wymaga elementarnej zgody**, gdyż są one same z siebie dostatecznie trudne.

Konkretne propozycje rozwiązań zawiera *Strategia dla Polski*. Jest ona obecnie przedmiotem **szerokiej debaty społecznej**, nie tylko w gronie profesjonalistów. Jest to dobra okazja, aby zebrać uwagi, które z pewnością wzbogacą debatę sejmową nad tym programem. Wierzę, że jest to także troską posłów, którzy zrezygnowali z wysłuchania mojego sejmowego wystąpienia. Program ten jest wciąż otwarty także na ich krytykę i alternatywne propozycje.

Jaka opozycja?

Warszawa, 18 czerwca 1994 r.

Publiczna debata nad *Strategią dla Polski* nabrała wigoru. Ale temperatura i zakres tej dyskusji to chyba także przewrotny efekt opuszczenia Sejmu przez partie opozycyjne podczas mego wystąpienia przed dwoma tygodniami. Akt ten - jak można domniemywać - miał wciągnąć program polityki gospodarczej koalicyjnego rządu w „czarną dziurę”, powstałą na prawo od środka sali sejmowej, ale tak się nie stało. Wręcz odwrotnie - **dawno nie było tak olbrzymiego zainteresowania tym, co i jak rząd zamierza realizować na płaszczyźnie ekonomicznej i społecznej**. Raz jeszcze okazuje się, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Żywa dyskusja i spory wokół kluczowych kierunków i sposobów dalszej transformacji polskiej gospodarki są bowiem konieczne.

Przy okazji tak szerokiej i ważkiej dyskusji zgłaszane są - co w pełni zrozumiałe - rozmaite opinie. Trzeba przysłuchiwać się im z wielką uwagą, bo wiele elementów *Strategii dla Polski* należy

HAMULEC



W. Mysurawicz

uzupełnić i wzbogacić, inne skonkretyzować, a jeszcze inne - być może zmienić. Ale jest chyba jeszcze więcej uwag innego typu; są one często podyktowane nieznajomością dokumentu bądź stosowaniem zgoła niemerytorycznych kryteriów.

I tak, dużo uwag znosi się nawzajem. Z jednej strony słychać, że program nie uwzględnia wystarczająco społecznych aspektów transformacji, z drugiej zaś zarzuca mu się nadmierną dozę wrażliwości społecznej. Zdaniem jednych krytyków polityka finansowa zapowiada się jako zbyt twarda, inni podejrzewają autorów o ciągoty do przesadnego jej luzowania. Są tacy, dla których zbyt wiele jest udogodnień dla sektora prywatnego, ale i tacy, którzy obawiają się niedoceniań jego znaczenia. Według jednej opcji to źle, że program nie wspomina o znaczeniu konkretnych branż dla rozwoju gospodarczego, ale odmienny punkt widzenia właśnie tutaj dopatruje się jednego z istotnych walorów. Wniosek stąd taki, że oczekiwania wobec programu są często sprzeczne, ponieważ sprzeczne są także interesy ekonomiczne. Sądzę, że takie właśnie rozkładanie się krytyki - z przeciwstawnych stron - dowodzi, że *Strategia dla Polski* **dobrze trafia w nadrzędny cel, jakim jest interes ogólnospołeczny.**

Dalej, uderza fakt zgodnej - i to jednoznacznie pozytywnej, niekiedy aż podejrzanie - opinii zorganizowanych grup interesu, zwłaszcza coraz liczniejszych związków i organizacji przedsiębiorców, pracodawców, biznesmenów, inwestorów. Przychylnie o tym programie wypowiedział się także Międzynarodowy Fundusz Walutowy, niektóre instytuty naukowe i niezależna reprezentacja środowiska polskich ekonomistów. Dlaczego? Otóż sądzę, że przyczyną tych pozytywnych ocen pośród wspomnianych grup interesu oraz niezależnych profesjonalistów jest **zdolność do zobiektywizowanych, odpolitycznionych ocen.** Cele ich działalności mogą być lepiej realizowane przy klarownej koncepcji długookresowego rozwoju i stabilności systemowej. Zgłaszane są postulaty jeszcze większego wydłużenia perspektywy. I ze strony tych właśnie grup otrzymuję zarazem najwięcej dobrych rad i konkretnych pomysłów, wspierających główną linię działań.

Wreszcie niejednoznaczne są opinie środowisk politycznych wobec *Strategii dla Polski*. W zakresie, w jakim jest to funkcją odmiennych systemów wartości - a więc także i preferencji, które

powinny przyświecać polityce gospodarczej - jest to w pełni zrozumiałe. W stopniu, w jakim chodzi o sprzeczne interesy ekonomiczne różnych grup społecznych, o które to interesy poszczególne partie dbają - jest to także w pełni jasne. W odniesieniu do merytorycznych różnic poglądów - też nie ma się czemu dziwić. Ale dziwić musi **zakłopotanie wyzwaniem intelektualnym i politycznym, przed którym *Strategia dla Polski* postawiła pewnych polityków.** W tym kontekście pragnę podkreślić trzy dylematy.

Dylemat pierwszy. Nasz program polityki gospodarczej jest nowy i w wielu elementach odmienny od tego, co realizowano w bliższej i dalszej przeszłości. Z pewnością nie stanowi on prostej kontynuacji polityki z ostatnich lat. I dobrze. Ale przecież w wielu aspektach programu - choćby odnoszących się do przeciwdziałania bezrobociu, integracji europejskiej czy projektu Narodowych Funduszy Inwestycyjnych - fakt kontynuowania pewnych kierunków polityki poprzednich ekip jest oczywisty. Dobrze to czy źle? Tu nie chodzi o "kradzież pomysłów", gdyż tak doprawdy to nie w Polsce wymyślono, że jednym z ważniejszych priorytetów polityki gospodarczej musi być przeciwdziałanie inflacji. Dobrze to czy źle, że z całą determinacją chcemy politykę w tym zakresie kontynuować? Przecież rzecz nie tyle w kontynuacji bądź innowacyjności, ile w racjach, które polityce przyświecają.

Dylemat drugi. Czy - i kiedy - zostanie wreszcie przewyciężony sposób myślenia „im gorzej - tym lepiej”? Gdy słucha się niektórych polityków opozycyjnych, powstaje czasami wrażenie, że są oni wręcz usatysfakcjonowani, gdy rządowi nie udaje się osiągnąć tego, co powinien. I choć realizowane są słuszne posunięcia, niezbędne dla racjonalnego funkcjonowania gospodarki, to niektórzy opozycyjni politycy - aczkolwiek sami podjęliby podobne działania - nie potrafią ukryć swojego zadowolenia nawet wtedy, kiedy martwić powinniśmy się wszyscy.

Dylemat trzeci. Czy możemy obecnie liczyć - w tak trudnej fazie transformacji - na konstruktywną opozycję? Warto sobie - a przede wszystkim społeczeństwu - wyjaśnić, jak rozumie się taki charakter działalności opozycyjnej? Przecież nie może ograniczać się ona tylko do negacji tego, z czym ktoś się nie zgadza. Do tego każdy - zwłaszcza polityk - ma prawo. Nie może za konstruktywną być uznana także opozycja polegająca na wchodzeniu na komin

lub na wychodzeniu z sali. Myślę, że konstruktywna opozycja to także współdziałanie w realizacji tych przedsięwzięć ekonomicznych, co do których się zgadzamy, które zbieżne są tak z polityczną linią koalicji, jak i opozycji. Bez względu na to, kto co wymyślił.

Sojusz z diabłem

Warszawa, 26 czerwca 1994 r.

Wieloletni program polityki gospodarczej i społecznej *Strategia dla Polski* stał się własnością społeczną i dokumentem państwowym, został on bowiem przyjęty przez demokratycznie wybrany Sejm, a jeszcze wcześniej zaaprobowany przez prezydenta. Całą uwagę trzeba wobec tego skupić obecnie na realizacji ambitnych i trudnych przedsięwzięć, wynikających z obranej linii działań. Ich skuteczność wymaga wszakże pełnej determinacji reformatorskich sił, w rękach których znajduje się przyszłość polskiej gospodarki.

Tak się składa, że siły reformatorskie skupione są zarówno w kręgach partii koalicyjnych, jak i opozycyjnych. Widzę w tym fakcie szansę na urzeczywistnienie obranej linii programowej, ale także pewne dla niej zagrożenie. Do tej swoistej rozterki skłaniają mnie m.in. wypowiedzi trzech prominentnych ministrów w rządzie premiera Tadeusza Mazowieckiego, którzy nadal są bardzo aktywni - choć w różnych formach - w życiu publicznym. Aleksander Paszyński („Rzeczpospolita” z 20 czerwca) podjął ryzyko stwierdzenia, że jest to najlepiej skonstruowany program podczas minionych 50 lat (przebił zatem zdecydowanie ocenę prezydenta Lecha Wałęsy, który pogląd taki odniósł tylko do minionego pięciolecia). Ale najważniejsze stwierdzenie A. Paszyńskiego to ulokowanie "diabła" nie w szczegółach, lecz w... rządzie, który jest przecież autorem programu. Chodzi o to, że dość szeroko akceptuje się konieczność odchodzenia od „Polski resortowej”, ale ze świadomością, iż jest to zadanie piekielnie trudne. Stąd ten diabeł. Tylko zgodne współdziałanie koalicji i opozycji może go wypędzić. Egzorcyzmy tutaj nie wystarczą, temu celowi właśnie służy przygotowywana reforma

centrum gospodarczego. Temu *także* sprzyjać ma przeprowadzone na początku tego tygodnia przegrupowanie sił w niektórych ministerstwach gospodarczych.

Inny był minister - Waldemar Kuczyński - na łamach ostatniego numeru „Wprost” chyba niechęć stawia w dziwnym nieco świetle fakt głosowania przez Unię Wolności przeciw *Strategii dla Polski*, skoro stwierdza, że program ten jest bardzo dobry. I to nie tylko dlatego, że jest sprawny profesjonalnie i realistyczny, ale głównie dlatego, iż -jego zdaniem - stanowi zasadniczo kontynuację wcześniejszych działań. Nie jest to prawda - nasz program zawiera zarówno elementy kontynuacji słusznych kierunków, jak i zdecydowanie odchodzi od błędów polityki gospodarczej realizowanej przez poprzednie ekipy. Co więcej, błędów tych z czasem ubywało, od wielu z nich bowiem udało się już odejść wcześniej, zwłaszcza w latach 1992-1993. Z drugiej strony, *Strategia* wnosi wiele nowego i nie uda się retroaktywnie przypisać autorstwa tych innowacji autorom innych, niekiedy wręcz przeciwstawnych koncepcji. Szczególnie jaskrawo widać to przy okazji jakościowo odmiennego podejścia do problemu równouprawnienia sektorów i dbałości o interes Skarbu Państwa podczas prywatyzacji, czy też różnic w zakresie polityki finansowej. Ale wdzięczny jestem za akcentowanie - choćby nadmierne - wątków kontynuacji, gdyż ułatwić to powinno realizację słusznych kierunków polityki gospodarczej.

Wreszcie trzeci ze wspomnianych byłych ministrów - Tadeusz Syryjczyk - występując podczas debaty sejmowej, podniósł bardzo istotny problem. Uznał, że program jest w zasadzie dobry, aczkolwiek co do konkretów różnic poglądów nie brakuje. Istnieje jednak poważna obawa, iż rzeczywista linia działań rządu zmierzać będzie w innym niż deklarowany kierunku. Tym bardziej że na takie faktyczne rozbieżności wobec minionego okresu zwracano uwagę. I na tym tle - co sam chcę mocno podkreślić - stawiać trzeba pytanie: czy jest wola polityczna realizacji programu? Ale mówiąc o woli politycznej, trzeba to odnieść nie tylko do koalicji, lecz również do opozycji. Co więcej, wspólnej woli politycznej towarzyszyć musi także dobra wola. A tej nie zawsze starcza.

Co z tego wszystkiego wynika? Otóż sądzę, że narzucenie przez prawie wszystkie kluby parlamentarne dyscypliny partyjnej w gło-

waniu nad *Strategią dla Polski* to zastanawiające posunięcie. Wynik głosowania bowiem daleko odbiega od rzeczywistych opinii posłów. Wielu z głosujących przeciw - w tym także najbardziej prominentnych - usprawiedliwia się potem, w prywatnych rozmowach, chwalać program i deklarując pomoc w jego urzeczywistnieniu. Za to drugie jestem wdzięczny, choć wolałbym usłyszeć te deklaracje wyrażane publicznie. Co do koalicji zaś, to przecież też nie zdziwiłbym się, gdyby któryś z posłów, niezadowolony z wizji naszej polityki rolnej czy też posunięć planowanych wobec reformy systemu zabezpieczeń społecznych, głosował przeciw. Jednakże najważniejsze jest to, że teraz rząd ma nie tylko dobry program, ale także narzucony przez Sejm obowiązek jego realizacji. Opozycja zaś ma prawo słuszne kierunki działań wesprzeć. Dodam tylko, że jeden z zagranicznych, niezależnych, sprzyjających bardzo Polsce i świetnie znających szeroki świat obserwatorów debaty wokół *Strategii* i przebiegu głosowania nad jej przyjęciem, stwierdził, że ... osiągnięto consensus. Byłby to dobry prognostyk na przyszłość.

Teraz jest już czas realizacji państwowego programu. Tym bardziej musi być on znany jak najszerszym kręgom społeczeństwa, bo nie do końca rozumie ono wypowiedzi swoich wybrańców i ich deklaracje. Dobrze więc, że prawdopodobnie w piątek "Rzeczpospolita" wydrukuje dokument w całości, najlepiej bowiem samemu sobie wyrobić zdanie, co nas czeka i jakimi sposobami można to osiągnąć. Chciałbym, aby politycy w zmierzaniu do kreślonych celów gospodarczych pomagali, do przeszkadzania bowiem jest wiele innych, lepszych niż polityka ekonomiczna płaszczyzn. Gospodarka zaś powinna być w jak największym stopniu chroniona przed rozgrywaniem sprzecznych interesów politycznych. I o to zabiegam. Cieszy zatem, że znajduję sojuszników - tak w kraju, jak i za granicą, co jest ważne, zważywszy na zewnętrzną orientację naszej gospodarki i jej sukcesywne integrowanie się ze strukturami europejskimi.

Zintensyfikowaniu tych procesów służyły moje rozmowy z ministrami finansów i gospodarki Unii Zachodnioeuropejskiej, a także moja wizyta w ubiegłym tygodniu w Waszyngtonie, poprzedzająca przyszłotygodniową wizytę prezydenta Clintona w Warszawie. Dobrze układa się współpraca rządu z MFW i Bankiem Światowym, w przyszłym roku -jak sądzę - Polska stanie się członkiem OECD,

z czasem także wejdzie do Unii Europejskiej. Współpraca międzynarodowa musi bowiem *także* być organizowana w naszym interesie w ujęciu perspektywicznym. Z tego przede wszystkim punktu widzenia - jak również ze względu na zgodność co do konieczności i możliwości obniżenia społecznych kosztów reform - bierze się mocne poparcie zagranicy dla *Strategii*. Jej realizacja bowiem stabilizuje Polskę i wzmacnia jej pozycję w świecie, w czym zainteresowani są nasi partnerzy.

Co najważniejsze, kierunki polityki gospodarczej rządu jednoznacznie popierają rodzime kręgi przedsiębiorców, inwestorów i ludzi interesu. A to przecież w przedsiębiorczości bije źródło dochodu narodowego. Wnioski co do tego wsparcia wynikają z licznych spotkań i dyskusji, podczas których nie kryje się tak zadowolenia z faktu powstania nowego, dynamicznego programu gospodarczego, jak i gotowości w jego urzeczywistnieniu. W rezultacie udało się nawet przyspieszyć procesy integracyjne tego środowiska; w minioną sobotę powstała Rada Przedsiębiorczości, skupiająca główne kręgi polskich przedsiębiorców. Dobra współpraca, wspólne projekty, szybkie decyzje rządu wychodzące naprzeciw postulatom tych sfer, urealniają nasz wspólny program.

My w szerokim świecie

Warszawa, 3 lipca 1994 r.

Choć Polska z pewnością nie tkwi w centrum zainteresowań światowej opinii publicznej, to dynamika naszych przemian gospodarczych i politycznych wciąż przykuwa dużą uwagę. Bierze się to zarówno z życzliwości wobec nas, jak i z dbałości o własne interesy, uzależnione od dobrej współpracy z Polską. Obserwacja i troska podyktowana jest także słusznym przekonaniem, że w przebiegu niektórych procesów w naszym kraju dostrzec można elementy scenariuszy dla innych państw posocjalistycznych. Tak więc studia porównawcze prowadzą nie tylko akademicy ekonomiści, ale wielu polityków i ich doradców. Kiedyś ten nurt odczuwałem nie-

ustannie na międzynarodowych konferencjach, teraz jest on często obecny podczas rozmów, które prowadzimy z zagranicznymi partnerami.

Wzmożone zainteresowanie Polską wynika z **pozytywnego zaskoczenia konsekwencjami ostatnich wyborów parlamentarnych**, w których wygrały partie lewicowe i ludowe. Polska nie jest tutaj wyjątkiem, a co najwyżej raz jeszcze najbardziej spektakularnym przypadkiem w tym regionie świata. Podobnie demokratyczne wybory wypadły na Litwie czy ostatnio na Węgrzech. Przyszłość zapewne udowodni, że sytuacji takich będzie więcej. Skoro swoje zwycięstwo partie te odnoszą na bazie ostrej krytyki polityki, realizowanej w poprzednim okresie, istniało niebezpieczeństwo - według zachodnich stereotypów - obrania przez utworzone przez te partie rządy drogi niereformatorskiej.

Oczekiwania takie były wzmacniane dodatkowo przez rodzime kręgi opozycyjne, w tym także związanych z nimi ekonomistów. Warto pamiętać, że były premier przepowiadał wczesną jesienią 300-procentową inflację na wiosnę, były wicepremier - minister finansów - pisał w „Wall Street Journal” o „kroczącej destrukcji”, a odchodzący z EBOiR przedstawiciel Polski kompromitował się wizjami rządu katastrofy narodowej.

Tego typu wypowiedzi mogły także wpływać na wspomniane zachodnie stereotypy w postrzeganiu posocjalistycznych zmian. Jeśli nie kontynuacja, to ruch wstecz? Otóż nie - przestrzeń jest wielowymiarowa. I teraz okazuje się, że nowy polski rząd nawet lepiej niż jego poprzednicy daje sobie radę z ogromem wyzwań wyrastających z procesu transformacji politycznej i ekonomicznej. To budzi zainteresowanie i uznanie. To m.in. zaowocowało redukcją zadłużenia wobec banków komercyjnych skupionych w Klubie Londyńskim.

Przed miesiącem w trakcie spotkania z ministrami finansów i gospodarki Unii Europejskiej w Luksemburgu, zwracano uwagę na zbieżność kierunków polityki gospodarczej zarysowanej w *Strategii dla Polski* z priorytetami zachodnioeuropejskiego programu „Wzrost - zatrudnienie - konkurencyjność”. Wiceprzewodniczący Unii Christophersen poinformował, że w odniesieniu do Polski (a także Węgier) część środków pomocowych PHARE, wynosząca na lata 1995-1999 7 mld ECU, zostanie **przekształcona w przed-**

wstępny fundusz członkowski. W trakcie wizyty misji MFW w Warszawie i późniejszej rozmowy z jej dyrektorem wykonawczym - M. Camdessusem - nasi partnerzy szczególnie akcentowali wydłużanie perspektywy w polityce gospodarczej. Podczas mojego pobytu w Waszyngtonie amerykańscy rozmówcy zwracali przede wszystkim uwagę na długookresowe formy dwustronnej współpracy, nie tylko w sferze handlu oraz inwestycji bezpośrednich, ale także w zakresie budownictwa mieszkaniowego i reformy systemu zabezpieczeń społecznych.

Wkrótce po moich waszyngtońskich konsultacjach w międzynarodowych organizacjach finansowych i rozmowach z przedstawicielami administracji amerykańskiej gościliśmy w Warszawie wicegubernatora Banku Światowego, W. Thalwitza. Przedmiotem dyskusji były m.in. kierunki przekształceń strukturalnych, w tym w energetyce, oraz zmiany w systemie zabezpieczeń społecznych. Chcemy, aby Bank Światowy bardziej włączył się w realizację naszych projektów w komunikacji i ochronie środowiska. Kłopoty zaś wiążą się z niewykorzystaniem pewnych wcześniejszych linii kredytowych, m.in. na budownictwo mieszkaniowe i oświatę. Dziś już nie czas brać wszystkie podsuwane kredyty, muszą one bowiem odpowiadać „strategii zaciągania pożyczek” pod kątem długookresowej polityki gospodarczej.

Miałem także sposobność omówić pewne aspekty polsko-niemieckiej współpracy gospodarczej podczas wizyty premiera Brandenburgii - Stolpego. Ważny, nowy kierunek współpracy, to przedsięwzięcia trójstronne. Na jesień planowana jest impreza promocyjna przy udziale naszych państw oraz Białorusi; impreza ta z czasem może przekształcić się w stałe przedsięwzięcie. Ostatnio zaś podczas wymiany poglądów z premierem E. Balladurem ponownie zapewniano rząd Polski o chęci pomocy dla naszych reformatorskich działań. Francja nie uważa już Polski za kraj wysokiego ryzyka inwestycyjnego. W międzyczasie otworzyłem przejście graniczne -już 154 w Polsce - w miejscowości Konieczna na granicy ze Słowacją. Ułatwi to nie tylko współpracę dwustronną, ale przyczyni się do aktywizacji gospodarczej tego typowo rolniczego, uroczego zakątka Europy.

W tym tygodniu wizytuje Warszawę Bill Clinton - prezydent USA. Jest to okazja - niezależnie od jej kontekstu politycznego -

do zintensyfikowania polsko-amerykańskiej współpracy gospodarczej. Prezydentowi towarzyszy także grupa przedsiębiorców, zainteresowanych ekspansją w Polsce. Kraj nasz bowiem jest postrzegany nie tylko jako coraz bardziej solidny i stabilny partner handlowy, ale także jako miejsce obarczonych coraz mniejszym ryzykiem inwestycji bezpośrednich ze źródeł prywatnych, dających szanse ekspansji we wschodniej części naszego kontynentu.

Wizyta prezydenta USA to także sposobność ponownego zwrócenia uwagi na **polską drogę do rynku i demokracji**. I choć jest ona kontynuowana z całą determinacją, to pojawiło się na tej drodze, wraz z nowym rządem, wiele nowych pomysłów, które tak bardzo interesują szeroki świat. Jeden z moich wybitnych rozmówców, świadom polskich problemów ekonomicznych i propozycji ich rozwiązywania, zawartych w *Strategii dla Polski*, powiedział, że podczas jego spotkania z przywódcami jednej z partii opozycyjnych starano się ze wszelkich miar przekonać go, że ten program to właściwie ... ich program. No cóż, skoro nie udało się wmówić zagranicy, że nie mamy w ogóle programu bądź też, iż jest to program „kroczącej destrukcji”, a dzisiaj politycy i eksperci z wielu krajów odnoszą się do programu rządu W. Pawlaka z uznaniem, to trzeba ten program w jak największym stopniu przedstawić jako kontynuację swoich działań. Tylko dlaczego wówczas usiłuje się być wobec tego programu w opozycji? To jest niekiedy trudne do zrozumienia dla zagranicznych gości. Ale jeśli nawet pod programem koalicji nie *może* oficjalnie podpisać się opozycja, to z pewnością może ona wnieść swój twórczy wkład w jego urzeczywistnianie. Tak się składa, że otwartość Polski i aktywna współpraca międzynarodowa może to ułatwić. Wówczas wszyscy odnajdziemy się w szerokim świecie.

Dwa bieguny

Warszawa, 11 lipca 1994 r.

Bieda i bogactwo dają się uśrednić tylko w statystyce. W polityce natomiast trzeba uwzględniać uwarunkowania oraz konsekwencje tak ubóstwa, jak i zasobności. Śledząc niektóre gazety, a zwłaszcza najbardziej opiniotwórcze tygodniki, można dojść do wniosku, że więcej jest zamożnych niż biednych, albo też ci ostatni przesadzają i żądają zdecydowanie więcej, niż im się należy. Niekiedy usiłuje się zarysować dziwny obraz Polski, na którym więcej jest podretuszowanych limuzyn, mknących między butikami centralnych ulic, niż biedaków smętnie chodzących przed witrynami sklepów. Innym razem - choć rzadziej, chyba dlatego, że ci, co piszą, z reguły żyją lepiej niż ci, co ich czytają - obraz ma przerysowane kontury bez mała powszechnej biedy, spowodowanej wyzyskiem przeróżnej natury. Ostatnio podczas spotkania z wojewodami usłyszałem, że w Opolskiem na około milion mieszkańców czwarta ich część żyje w ubóstwie. Pomijając kwestię samej definicji biedy i bogactwa, coraz większe różnice w zasobności poszczególnych grup społecznych są faktem.

Pomiędzy położeniem tych grup występują związki dwójakiego rodzaju. Jednym ze źródeł powstania znacznych obszarów biedy jest kumulowanie się bogactwa na drugim biegunie. Jest to o ryle prawdziwe, o ile bogactwo to rodziło się w czasie drastycznego spadku poziomu produkcji, a więc głównie w wyniku redystrybucji malejącego dochodu narodowego. Ten aspekt z reguły całkowicie jest pomijany w liberalnych kręgach ekonomistów i polityków. Jest to metodologicznie wygodne, choć intelektualnie nieuczciwe. Z drugiej strony, akumulowanie bogactwa, a dokładniej kapitału w rękach bardziej przedsiębiorczej, ale z istoty rzeczy małej grupy ludności, w dłuższym horyzoncie czasu stwarza szansę na wyciągnięcie z biedy tych, którzy w nią popadli. Ten z kolei aspekt z reguły

jest wyolbrzymiany przez nurt liberalny, a lekceważony przez populistyczne orientacje na polskiej scenie politycznej.

Sądę, że tylko prawidłowe zdefiniowanie tego problemu, uwzględniające we właściwych proporcjach oba wspomniane aspekty dużego zróżnicowania sytuacji materialnej, daje szansę polityce gospodarczej na uniknięcie konfliktów, jakie towarzyszą transformacji gospodarczej. KPN zarzuca rządowi kontynuację tzw. latynizacji polskiej gospodarki. Jest to o tyle ciekawe, że przed takim niebezpieczeństwem sam przestrzegałem przed pięcioma laty, dając nawet jednej z moich książek prowokacyjną okładkę z mapą Ameryki Łacińskiej, w którą wciśnięta jest mapa Polski. Ale dzisiaj ten zarzut wymaga komentarza. Po pierwsze, trzeba znać i szanować innych. Wiele państw Południowej Ameryki ma osiągnięcia, których pozazdrościć może im Polska, jak i wiele innych krajów Europy Wschodniej. Po drugie, na tamtym kontynencie sytuacja materialna ludności różni się w poszczególnych krajach. Warto mieć świadomość, że nawet w sąsiadujących ze sobą państwach, proporcje dochodów pomiędzy najbogatszymi a najbiedniejszymi układają się bardzo różnie. Na przykład - relacje przeciętnego dochodu skrajnych decyli (tj. 10 % ludności o najwyższych i 10 % o najniższych dochodach) wynosi w Argentynie około 12:1, natomiast w Brazylii aż 27:1.

Jak będzie w Polsce, a jak w innych krajach naszego regionu? Czy - krocząc drogą posocjalistycznej transformacji - zmierzamy do proporcji podobnych jak w Brazylii, czy też zróżnicowanie będzie mniejsze niż w Argentynie, gdzie i tak wybuchają ostatnio protesty społeczne, wciąż jeszcze zagrażające procesowi dostosowań strukturalnych? To są pytania, które trzeba nie tylko jasno postawić, ale także udzielić na nie klarownej odpowiedzi w sferze realizowanej polityki. Oczywiście jest, że polityka naszego rządu zmierza w kierunku zmniejszenia skali rozwarstwienia społeczeństwa, ale tylko w takich granicach, w jakich nie hamuje to zdolności sektora prywatnego do akumulacji kapitału, finansującego wzrost gospodarczy.

Zarzuty o tzw. latynizację można odczytywać również jako próbę krytyki polityki organizacji międzynarodowych wobec naszych przemian. Warto jednak przypomnieć, że to właśnie ostatnio Bank Światowy zorganizował seminarium na temat ubóstwa w Polsce,

zwracając m.in. uwagę na związki między tym ubóstwem a przekształceniami instytucjonalnymi i strukturalnymi, towarzyszącymi tworzeniu gospodarki rynkowej. Ale rzecz nie w seminarium - Bank Światowy wspiera niektóre z naszych działań przeciwdziałających biedzie. Chcielibyśmy, aby wsparcie to było jeszcze większe, skoro do tej biedy już doszło. Inna sprawa, że jej skala mogłaby być mniejsza, gdyby mniejsza była skala błędów gospodarczych, których nie uniknęła nie tylko nasza polityka, ale także polityka tych organizacji, zwłaszcza w początkowej fazie transformacji.

Godne podkreślenia jest i to, że prezydent USA Bill Clinton podczas swojej ubiegłotygodniowej wizyty w Polsce, także podkreślał konieczność zadbania o większą sprawiedliwość społeczną. Dokładniej, mówił o potrzebie zmniejszenia kosztów społecznych i wciągnięcia szerszej rzeszy społeczeństwa w kręgi beneficjentów reform. Aby to usłyszeć, trzeba było jednak czekać na wizytę właśnie tego prezydenta amerykańskiego, a także dojść do sytuacji, w której taka opinia musi być uznana za słuszną. Nie ulega bowiem wątpliwości, że obecnie istnieją możliwości obniżenia kosztów przemian poprzez coraz szerszy udział kolejnych grup ludności w efektach przyrostu dochodu narodowego. Jeśli zatem czyta i słyszy się często, że nadal musi pogłębiać się bieda, to raczej „dowodzą” tego ci, którzy usadowieni są na drugim końcu spektrum i zabiegają po prostu o swoje korzyści ekonomiczne. Nie są oni świadomi, że powiększanie sfery ubóstwa w istocie stanowi zagrożenie tak dla możliwości ich ekspansji, jak i dla stabilności całego układu gospodarczego i politycznego.

Ale niebezpieczeństwa występują także na drugim krańcu. W trakcie spotkania nowego kierownictwa Ministerstwa Finansów z sejmową Komisją Budżetu, Polityki Gospodarczej i Finansów, jeden z posłów zapytał - powołując się na opinie swoich wyborców - jak to jest, że rząd mamy lewicowo-centrowy, a politykę, zwłaszcza podatkową, prawicową? Innymi słowy, powinniśmy jeszcze bardziej podnieść wysokie podatki, a obniżyć niskie. Tylko że wówczas zbiedniejemy wszyscy, skutki ekonomiczne bowiem takiego zabiegu byłyby dla budżetu państwa żałosne, a polityczne, tylko pozorne. Warto pamiętać, że przytłaczająca większość z nas płaci najniższe stawki podatkowe i każdy punkt procentowy mnoży

się tutaj przez miliony, najwyższe zaś płaci wąska grupa, i choćby zabrać im prawie wszystko, to i tak ubogim od tego nie przybędzie, a w dłuższej perspektywie osłabiłoby to skłonność do oszczędzania, a tym samym możliwości inwestycyjne.

Z pewnością jednak **trzeba ograniczać obszar biedy, ale nie przez zwiększanie fiskalizmu, lecz w wyniku przyspieszania i utrwalania tendencji rozwojowych.** Kształtowanie bardziej bezpiecznego społecznie układu dokonywać się musi na ścieżce zrównoważonego wzrostu gospodarczego. Wymaga to sukcesywnego i odpowiedzialnego zmniejszania skali redystrybucji przez budżet. Nad jego założeniami na przyszły rok rząd już pracuje.

Skok na kasę

Warszawa, 17 lipca 1994 r.

Ambicją rządu jest przygotowanie przyszłorocznego budżetu na czas, dlatego już w czerwcu zapoczątkowałem prace nad tym podstawowym instrumentem polityki gospodarczej.

Tak w państwie, jak i w każdym domu, są dwa co najmniej sposoby pracy nad budżetem. Pierwszy: wpierw matka pyta kto, ile i czego potrzebuje, po czym rodzina zgłasza swoje życzenia i rozpoczyna się żmudny przetarg, w wyniku którego nikt nie dostaje tyle, ile chciał i wszyscy do wszystkich mają pretensje. Krótko mówiąc - osiągnięty zostaje negatywny kompromis, w wyniku którego uczestnicy przetargu są mniej więcej w jednakowej mierze niezadowoleni. I drugi sposób: wpierw matka każe ojcu - niekiedy także sama z dziećmi do tego się przykładając - zwiększyć dochody. Potem zapewnia środki na pokrycie wszystkich nieuniknionych płatności, jak czynsz, należności za elektryczność, spłaty zaciągniętych kredytów, składki ubezpieczeniowe itp. Przy okazji gasi światło w pokojach, bo inni o to nie dbają, aby następnym razem rachunek do zapłacenia był mniejszy. I dopiero teraz, gdy wie już, ile naprawdę ma do podziału, proponuje racjonalne wyko-



W. MISHKOWICZ

rzystanie środków tak, aby w jak najlepszym stopniu zaspokajać potrzeby rodziny.

Podobnie jest w państwie. Dlatego czasami wolałbym robić budżet przy pomocy rozsądnych gospodyń domowych niż zachłanych ministrów, myślących nie tyle kategoriami państwa, ile partykularnych interesów grupowych czy wręcz resortowych. Ale takich - mam nadzieję - nie ma w naszym rządzie... Problem wszakże jest szerszy, gdyż tak w szeregach koalicji, jak i opozycji rozlega się już wołanie o pieniądze z kasy państwowej. Zdaniem wielu polityków, prawie wszystko ma się w wyniku braku środków wkrótce zawalić. A nie jest to prawdą, choć faktycznie z punktu widzenia potrzeb - środków zawsze brakuje. Rzecz w tym, aby polityka rządu zapewniała ich sukcesywny wzrost. Czy tak się dzieje?

Na 1995 rok rząd wstępnie zakłada wzrost realnych dochodów budżetu aż o około 6,5 %, z czego podatkowych o 3,7 % i niepodatkowych aż o 20 %. Przyrost ten jest głównie skutkiem poprawy rentowności produkcji, poszerzenia bazy podatkowej wskutek absorpcji tzw. szarej strefy, prawie dwukrotnego wzrostu przychodów z prywatyzacji oraz zwiększenia dochodów z akcyz. Dostrzec tu łatwo można nowe elementy w polityce budżetowej. Preliminując wstępnie budżet, nie robiliśmy żadnych „zakładek”, dlatego też podkreślić pragnę, że obecnie nie widzę dalszych możliwości zwiększenia dochodów budżetu państwa bez szkody dla poziomu aktywności gospodarczej, a tym samym dla dochodów w dalszej przyszłości. **Rząd nie zamierza zwiększać obciążeń podatkowych, gdyż i tak są one bardzo wysokie.**

Najczarniejszą stroną naszego budżetu są tzw. sztywne płatności, tj. ta część wydatków, która musi być poniesiona i nie podlega przetargom. Pochłonie ona w 1995 r. aż 72 grosze z każdego nowego złotego! Na te nieuniknione płatności składają się przede wszystkim wynagrodzenia w sferze budżetowej, dotacje do systemu ubezpieczeń społecznych, zwiększające się realnie aż o 11 % i koszty obsługi długu publicznego, będącego skutkiem pożyczania w przeszłości (w tym także w roku bieżącym). Rosną one realnie skokowo o kolejne 21 %.

Wynikają stąd cztery wnioski. Pierwszy -jeśli nie spadną stopy procentowe - a spadną one tylko wówczas, gdy uda się nam

utrzymać spadkową tendencję inflacji - system finansowy może nie udźwignąć ciężaru długu publicznego. Drugi - każda próba wyrwania kolejnych przywilejów branżowych to w istocie nóż w plecy całego społeczeństwa. Trzeci - najwyższa pora podjąć kompleksową reformę systemu zabezpieczenia społecznego i jego finansowania. I czwarty - samobójcza byłaby polityka zwiększania deficytu budżetowego. Dzisiejszy deficyt bowiem *to* dług publiczny jutro i jeszcze większy deficyt pojutrze.

Niestety, **na deficyt budżetowy nadal jesteśmy skazani. Jest on jednakże kategorią ekonomiczną, a nie polityczną, chociaż taką się stać może wskutek nieodpowiedzialności niektórych polityków i braku niezbędnego profesjonalizmu podczas dyskusji budżetowych.** Co zatem wyznacza górną granicę deficytu? Rząd zmierza do obniżenia inflacji w końcu 1995 roku do 16-17 %. Z analiz wynika, że ten bardzo trudny cel, zważywszy także na inne, głównie kosztowe źródła inflacji, można będzie osiągnąć, jeśli deficyt przyszłoroczny nie przekroczy 3,5 % dochodu narodowego. Zakładamy, że PKB wzrośnie o blisko 5 %, co oznacza maksymalny deficyt w wysokości poniżej 88 bilionów starych złotych (w nowych będzie to niespełna 8,8 mld).

O takiej też kwocie mowa jest w liście intencyjnym do MFW, który podpisałem w ostatni piątek. Realizacja zaproponowanego przez polski rząd programu umożliwi nam skorzystanie z zasilenia w wysokości 900 mln dolarów do końca 1995 roku. Środki te przeznaczone będą na wsparcie bilansu płatniczego oraz na pokrycie części kosztów redukcji długu wobec banków zachodnich, skupionych w Klubie Londyńskim. W dłuższej perspektywie służy to właśnie zmniejszaniu skali owych koszmarnych sztywnych płatności.

Jeśli teraz od zmaksymalizowanych dochodów odejmiemy sztywne płatności, to pozostaje - oczywiście - „za mało” Stąd też do tego „za mało” dodajemy dopuszczalny deficyt budżetowy, ale nadal jest „za mało” Niestety, więcej nie będzie. I to trzeba zrozumieć już teraz. **Szkoda doprawdy czasu na jałową walkę, od której środków nie przybywa.** Natomiast sposób i proporcje podziału tak wyliczonej rezydualnej kwoty są przedmiotem dalszych prac rządu i parlamentu, a także publicznej debaty. Powinna ona zmierzać do określenia preferencji społecznych, nie może bowiem

wszystko być najważniejsze. To parlament i rząd ma powiedzieć ministrowi finansów, co jest preferowane w obecnej fazie transformacji polskiej gospodarki - a nie odwrotnie. To społeczeństwo poprzez swoich przedstawicieli ma orzec, co w sferze zaspokajania potrzeb społecznych jest pilniejsze. Głoszenie, że wszystko jest najważniejsze i na wszystko muszą być pieniądze, może prowadzić tylko do biurokratycznego egalitaryzmu.

Destrukcyjna działalność w trakcie prac nad budżetem polegać będzie nie tylko na próbach rozszarpywania grosza publicznego na zawsze „słuszne cele” Będzie ona także prowadzona z dwóch przeciwstawnych krańców, o których pisałem przed tygodniem. Rzecznicy „bogaty” domagać się będą drastycznych cięć po stronie wydatków na sferę zabezpieczenia społecznego, tym bardziej że faktycznie kładą się one olbrzymim ciężarem na naszych finansach publicznych. Adwokaci „biednych” będą żądać pod hasłem sprawiedliwości społecznej jeszcze większego fiskalizmu. Inni wmawiać będą, że kraj nie udźwignie już 3,5-procentowego deficytu, albo też, że możliwe jest bardziej ekspansywne finansowanie deficytu. **Nie będzie łatwo podzielić ograniczone środki, ale nie możemy pozwolić, aby komukolwiek powiodła się kolejna próba skoku na naszą wspólną kasę.**

Ciekawy przypadek*

Warszawa, 25 lipca 1994 r.

Emocjonalny stosunek do przedmiotu kuracji nie jest zbyt pożądanym. Utrudnia to niekiedy determinację w stosowaniu właściwej terapii. Lekarz, który wraz z pacjentem z połamany nogami przeżywa jego bóle, podlega zbyt wielu stresom i dlatego może okazać się mało skuteczny. Brak wzruszeń i nieustępliwość w stosowaniu najmniej upragnionych przez pacjentów środków są konieczne. Najgorzej dzieje się chyba wtedy, gdy to pacjent zaczyna

* „Polityka” opublikowała ten felieton pod własnym tytułem „Nasz wkład”.

lekarzowi dyktować terapię, oczywiście najmniej bolesną. Dlatego też czasami lepsza, bo skuteczniejsza w ostatecznym rachunku jest pewna doza cynizmu, a przynajmniej obojętności wobec dolegliwości towarzyszących kuracji. Mam wrażenie, że niekiedy podobnie jest w odniesieniu do gospodarki. Wielu polityków i ekspertów w ogóle nie jest wrażliwych na dolegliwości społeczne, towarzyszące terapiom ekonomicznym. Dotyczy to w szczególności zagranicznych organizacji i wielu doradców, co jest zresztą zrozumiałe. Pamiętam, jak pięć lat temu żartowałem z jednym z harwardzkich profesorów, że jeszcze kilka przypadków takich jak Polska - czyli jeszcze kilku pacjentów ze skomplikowanymi złamaniami kończyn - a jego studenci będą mogli napisać interesujące prace doktorskie. Niektórzy już je napisali, transformacja systemowa w Polsce to bowiem bardzo ciekawy przypadek.

Refleksje tego rodzaju nasuwały się ponownie podczas ubiegłotygodniowej konferencji w Waszyngtonie, która skupiła wielu ministrów finansów, prezydentów banków centralnych, ekspertów uznanych na całym świecie, a także czołowych przedstawicieli Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego - organizacji wyłonionych przed pięćdziesięciu laty w Bretton Woods. Odegrały one bezsprzecznie znaczącą rolę w formowaniu powojennej rzeczywistości ekonomicznej. Początkowo skupiały tylko 44 kraje - w tym także Polskę do 1952 roku - obecnie zaś należy do nich aż 178 państw. Próba zorganizowania na nowo międzynarodowego systemu monetarnego po 1944 roku była udana i zagwarantowała części świata warunki do rozwoju na dłuższy okres. Z czasem jednak Bank Światowy, jak i przede wszystkim MFW, stawały w obliczu nowych zadań. Wpierw konieczność utrzymania w obiegu olbrzymich kwot, t.zw. petrodolarów w latach 70., potem przeciwdziałanie kryzysowi zadłużeniowemu lat 80. i wreszcie asystowanie transformacji systemowej państw posocjalistycznych w latach 90. - to główne akcenty, które życie przyniosło ugrupowaniom, powołanym pierwotnie do rozwiązywania mniej skomplikowanych problemów.

Obecnie, tym razem na okres po zimnej wojnie, Komisja Bretton Woods - stowarzyszenie poszukujące nowych horyzontów i perspektywy działań dla największych instytucji finansowych świata - **przyznaje w swoim okolicznościowym raporcie, że**

posocjalistyczna transformacja to nie tylko wielkie przedsięwzięcie, ale także i ogromna szansa dla Banku Światowego oraz MFW. Oczywiście, organizacje te poradziłyby sobie i bez naszych kłopotów, ale nie ulega wątpliwości, że z ich punktu widzenia transformacja gospodarcza w naszej części świata przyszła w samą porę.

Sądzę, że tak **Bank Światowy, jak i MFW odnajdą się w nowej sytuacji.** Największym wyzwaniem jest obecnie wciągnięcie w orbitę gospodarki światowej półtora miliarda ludzi, żyjących w Chinach, byłym Związku Radzieckim i w Europie Wschodniej. Nie mogę jednak pozbyć się do końca wrażenia - a wyniosłem je także ze swego dwukrotnego pobytu w MFW w charakterze eksperta - że zbyt wiele wciąż jest podejścia typowego dla cynicznego lekarza, który widzi kolejny, ciekawy przypadek. Albo inaczej - proces dostrzegania, że świat jest bardziej złożony, niż się to wcześniej wydawało, trwa zbyt wolno. To nie tylko kraje posocjalistyczne muszą dostosować się do reguł gospodarki rynkowej, ale także polityki dostosowawcze uzgadniane z tymi krajami muszą uwzględniać w dużym stopniu ich specyfikę. I choć pozytywne skutki procesu uczenia się łatwo można było dostrzec, to na konferencji w Waszyngtonie Polak mówił o Polsce, Rosjanin o Rosji, a Chińczyk o Chinach, natomiast o świecie i aspektach międzynarodowych mówili starzy lekarze, innym nadal pozostawiając głównie rolę pacjentów.

Ale i to się zmienia. **Coraz więcej uwagi zwraca się na aspekty ochrony środowiska w działalności Banku Światowego, który przez wiele lat był krytykowany za lekceważenie tego wątku procesów rozwojowych.** W przypadku Międzynarodowego Funduszu Walutowego natomiast dostrzec można poważniejsze traktowanie społecznych aspektów programów dostosowawczych. Już coraz mniej jest schematycznego podejścia, w myśl którego dolegliwości społeczne terapii ekonomicznych to tylko nieuniknione efekty uboczne.

Moje rozmowy w "Waszyngtonie ponownie potwierdzają olbrzymie zainteresowanie świata polską transformacją. I chociaż przypadek Rosji jest bezsprzecznie bardziej fascynujący, to jednak Polska wciąż przyciąga olbrzymią uwagę i sympatię. Obecnie bierze się to także z tego, że organizacje Bretton Woods

widzą w naszej polityce gospodarczej pewną szansę na odnalezienie brakującego ogniwa. Jest nim właśnie wskazanie sposobów obniżenia społecznych kosztów reform, nie można bowiem nadal udawać, że są one małe, jak również twierdzić, iż są one nie do uniknięcia. Z pewnością można je zmniejszyć i świadomość tego faktu jest coraz szersza. W jego zrozumieniu mamy swój udział. Polska nie jest tylko pacjentem, ale posiada już zdolność wnoszenia własnego wkładu do myślenia w organizacjach międzynarodowych o procesach transformacji posocjalistycznej i polityki dostosowań strukturalnych. Szkoda tylko, że w początkowym okresie koszty tych zmian były nadmierne.

Ale obecnie ze zdobytych doświadczeń mogą także korzystać inne społeczeństwa i gospodarki. Zaproponowałem w MFW, aby przy pomocy Szwajcarii, która wchodzi w skład tej samej konstytuandy, wspomóc profesjonalnym doradztwem inne kraje z tej grupy, a mianowicie Azerbejdżan, Kirgistan, Turkmenistan i Uzbekistan. Mam nadzieję, że nasze umiejętności i wnioski ekspertów MFW z terapii ekonomicznych stosowanych w Europie Środkowej mogą być w tych krajach, stawiających pierwsze kroki w kształtowaniu instytucji niezbędnych gospodarce rynkowej, bardzo przydatne. Musi temu jednak towarzyszyć zrozumienie ich specyfiki.

Dzisiaj z satysfakcją uczestniczyć można w spotkaniu, na którym nie tylko z uznaniem mówi się o dokonaniach Polski, ale także wykazuje się chęć skorzystania z naszych umiejętności i propozycji do zastosowania wobec innych. Ten Międzynarodowy Fundusz Walutowy to coraz bardziej ciekawy przypadek...

Szaleństwo czy głupota

Warszawa, 31 lipca 1994 r.

Po nieudanych próbach krytyki programu gospodarczego koalicji za to, że ponoć nierealistycznie obiecuje szybki rozwój gospodarczy bez ponoszenia kosztów społecznych, nadszedł czas, kiedy

takie utyskiwanie nie jest już skuteczne. Dlatego teraz, gdy jesteśmy już w fazie realizacji konkretnych projektów wynikających z programu, krytyka - często zgłaszana przez te same osoby czy instytucje - przychodzi z przeciwstawnych stron. Sugeruje się, że oto wbrew założeniom o obniżce społecznych kosztów reform rząd zamierza podejmować działania, które pewne grupy społeczne mogą uznać za dotkliwe.

W tym też kontekście postrzegać trzeba reformę systemu zabezpieczenia społecznego. Jeden z jej wątków to zmiana zasad indeksacji rent i emerytur. Przystąpienie do prac nad rozwiązaniem tego problemu skłoniło jedną z warszawskich gazet do wydrukowania tekstu pt. *Minister Finansów: szaleniec czy głupiec?* U podłoża tak elegancko sformułowanego tytułu i idących za nim wywodów leży - oczywiście - troska o dobro emerytów i rencistów. Troszczą się o nich bowiem wszyscy, tylko nie rząd... Problem jest jednak bardzo złożony i dlatego trzeba wokół sposobów jego rozwikłania prowadzić rzeczową dyskusję, a nie jątrzyć. Postawić trzeba tutaj cztery pytania.

Pierwsze - dlaczego potrzebna jest reforma systemu zabezpieczenia społecznego? Otóż jest ona konieczna, ponieważ obowiązujące wciąż jeszcze rozwiązania wywodzą się z systemu, w ramach którego państwo decydowało bez mała o wszystkim i wobec wszystkich brało zobowiązania. Także wobec emerytów i rencistów. Z czasem jednak system taki okazał się nieefektywny - także społecznie - chociaż gwarantował on minimalne bezpieczeństwo socjalne. Obecnie - bez przygotowywanej reformy - takie gwarancje będą niemożliwe. Jeśli zmienia się radykalnie system gospodarczy, to konsekwentnie zmienić się musi rola państwa w gospodarce, w tym w odniesieniu do zabezpieczenia społecznego. Obok państwa występować muszą inne podmioty: ubezpieczający siebie obywatel, pracodawca, związek zawodowy, bank, fundusz emerytalny. Stosunki między tymi podmiotami regulować muszą prawa i zobowiązania finansowe, a nie biurokracja i naciski polityczne.

Drugie - dlaczego reforma systemu zabezpieczenia społecznego jest nieuchronna? Dlatego, że brak zasadniczych zmian spowoduje zawalenie się systemu pod własnym ciężarem. Dochody ze składek pokrywają w coraz mniejszym stopniu wydatki na

świadczenia, a dopłaty z budżetu państwa lawinowo narastają. Toczenie się takiej kuli śnieżnej niewiele już może przedłużyć nędzny żywot obecnego systemu. Dzieje się to kosztem narastania długu publicznego i blokowania prorozwojowych funkcji budżetu państwa. Pozornie przechodzenie na wcześniejsze emerytury i stosowanie łagodniejszych kryteriów przyznawania świadczeń ogranicza skalę bezrobocia. Faktycznie prowadzi to do jego zwiększania się wśród młodego pokolenia, gdyż ograniczone środki budżetowe - miast iść na wspieranie działań, związanych z tworzeniem nowoczesnych, dodatkowych miejsc pracy - przeznaczane są na dotacje do systemu świadczeń. Sprzeczność zatem występuje pomiędzy pokoleniami i musi być rozwiązana w taki sposób, aby zabezpieczone były nie tylko realne dochody emerytów i rencistów, ale również przyszłe losy kraju.

Trzecie - dlaczego reforma systemu zabezpieczenia społecznego jest trudna? Zmiany te są tak trudne, ponieważ dotyczą nas wszystkich, a nie tylko emerytów i rencistów. Ludzie o odmiennej perspektywie życiowej mają różny stosunek do przygotowywanych zmian. Jest to naturalne, zważywszy na międzypokoleniowy, złożony system rozliczeń finansowych, w jaki jesteśmy tutaj uwikłani. Znaleźcie wspólnego mianownika jest bardzo skomplikowane. O ile emeryci i renciści mają pełną świadomość, że są dzisiejszymi świadczeniobiorcami, o tyle aktualni pracownicy nie mają do końca świadomości, że są nie tylko dzisiejszymi świadczeniodawcami, ale także przyszłymi świadczeniobiorcami. Dopiero znaczne wydłużenie perspektywy czasu pozwala dostrzec wspólnotę interesów emerytów i pracujących. Jeśli aktualnie zatrudnieni nie poprą zdecydowanie reform w tym zakresie, nie będą mieli z czego czerpać w przyszłości, kiedy sami zaprzestaną już aktywności zawodowej. Innymi słowy, ich sytuacja byłaby wówczas jeszcze trudniejsza, niż obecnych emerytów i rencistów.

Nie można biernie czekać i liczyć, że renty i emerytury to kwestia wyłącznej odpowiedzialności państwa. Reformy te są tym trudniejsze, że dokonują się w okresie burzliwej transformacji i znacznej wciąż niepewności. Stąd też tak wielką rolę przywiązują do dialogu i porozumienia społecznego. Skala tego przedsięwzięcia i odmienności interesów różnych grup powoduje szczególne wyczulenie Polityków. Rządzący boją się podejmować konieczne działania

i odkładają reformy na przyszłość. Opozycja szuka sobie elektoratu i możliwości osłabienia rządu, występując jako rzecznik doraźnych interesów emerytów, a w istocie występując przeciwko długofalowym interesom społeczeństwa i gospodarki, co łatwo dostrzec, gdy tylko wydłuży się odpowiednio horyzont czasu. Polityczne uwikłania reformy zabezpieczeń społecznych czynią to przedsięwzięcie jeszcze trudniejszym.

Czwarte - jak chcemy przeprowadzić reformę systemu zabezpieczenia społecznego? Otóż będzie ona przeprowadzona przy poszanowaniu praw nabytych, stopniowo, przy otwartości na porozumienie z opozycją polityczną (jeśli kiedyś znowu będzie rządzić, to lepiej niech rozwiązywanie tego problemu zawczasu zostanie twórczo podjęte) i podmiotowości grup społecznych. Oznacza to, że to one będą miały zasadniczy wpływ na zarządzanie funduszami emerytalnymi. Środki z budżetu winny być przeznaczone na tworzenie nowych funduszy emerytalnych. Zmiana zasad indeksacji gwarantować ma co najmniej ochronę realnego poziomu świadczeń. Bez tej zmiany, która otwiera tylko przedpole do dalszych systemowych reform, renty i emerytury będą musiały realnie obniżyć się za jakiś czas, ponieważ ewentualne załamanie się systemu finansowego pociągnęłyby za sobą spadek płac realnych. Nacisk na dalsze podnoszenie podatków poprzedziłyby tylko taki krach. Zmiana zasad indeksacji zatem poprawi sytuację materialną tej grupy społecznej w średnim okresie, w długim zaś daje szansę na odpowiednie dostosowania wzwyż - jeśli tylko uda się przyspieszyć wzrost gospodarczy i spowolnić inflację.

Tak więc szaleństwem byłoby utrzymywanie obecnego systemu zabezpieczenia społecznego, a wielką nieodpowiedzialnością kolejne odroczenie reformy - podobnie jak czyniły to poprzednie rządy - i próba zepchnięcia jej na następców. Głupotą byłaby próba blokowania tych reform przez opozycję, choć naiwnością jest wiara, że wszystkie siły polityczne włączą się do zgodnego działania w tym zakresie. Mam jednakże świadomość, że będziemy bezwzględnie - także ze złą wolą - atakowani, również przez tych, którzy sprawując władzę, nie zrobili nic, aby uniknąć nadchodzących trudności. Ostrzegam ich przed tym. Szaleństwem i głupotą bowiem jest próba wykorzystywania wysiłków na rzecz reformy systemu zabezpieczenia społecznego jako poletka do rozgrywania doraźnych

interesów politycznych, gdyż tutaj naprawdę chodzi o naszą wspólną sprawę.

Interesy i zasady

Warszawa, 8 sierpnia 1994 r.

Kroczenie do gospodarki rynkowej nieustannie okazuje się daleko trudniejsze, niż oczekiwano i zapowiadano to przed pięcioma laty. Dla wielu ekonomistów od początku było jasne, że nie wystarczy tylko liberalizacja, stabilizacja i prywatyzacja. Jest to dostatecznie wiele, aby w sposób nieodwołalny odejść od gospodarki centralnie planowanej. Ale jest to zdecydowanie za mało, aby stworzyć dojrzałą gospodarkę rynkową. Rynek bowiem to coś więcej niż zliberalizowany handel i ceny oraz dominacja własności prywatnej.

Rynek to instytucje, ludzie oraz zasady, w oparciu o które funkcjonuje gospodarka. Podkreślam - nie tylko podmioty gospodarcze i administracja, ale także zasady postępowania, obowiązujące ludzi wchodzących w powiązania gospodarcze, finansowe, prawne i organizacyjne. **Muszą istnieć określone zasady systemowe, ponieważ bez takich zasad nie może istnieć system.** Jeśli nie zostaną one zinstytucjonalizowane we właściwym czasie, stanowiąc to może poważne zagrożenie dla całego układu.

Nie należy gubić tego aspektu transformacji z pola widzenia. A niektórzy gubią. W każdej bowiem gospodarce gra ekonomiczna i polityczna toczy się wokół interesów, a dokładniej wokół sprzeczności różnych interesów. W ogniu walki pewne zasady mogą być deptane, a jeśli przy tym myli się dobro ze złem, to kończy się wszelka moralność i każdy może robić, co mu się żywnie podoba. Ale wówczas nie jest to gospodarka rynkowa, przed którą rysowałaby się dobra przyszłość.

Sprawy komplikują się jeszcze bardziej w okresie transformacji systemowej, towarzyszy jej bowiem olbrzymia redystrybucja tak strumieni (dochodów), jak i zasobów (bogactwa albo biedy). Scie-

rają się tym bardziej różne interesy, ponieważ nie do końca są ukształtowane i znane wszystkie zasady postępowania. Często reguły te są po prostu lekceważone lub łamane. Na to godzić się nie możemy. Istnieje bowiem interes ogólnospołeczny i preferencje makroekonomiczne wyrażające długofalowy interes państwa. Na ich straży musi stać przede wszystkim rząd i jego ministrowie. Tak też jest w Polsce, co bynajmniej nie oznacza, że rząd obecny ma takie same preferencje w odniesieniu do swojej polityki gospodarczej i społecznej, jak poprzednie ekipy. Bynajmniej. Nasz rząd z pewnością więcej uwagi przywiązuje do zmniejszenia społecznych kosztów reform, przyspieszenia tempa wzrostu gospodarczego i tworzenia warunków dla długofalowego rozwoju.

Widząc *to*, niektóre kręgi opozycyjne i związane z nimi tytuły prasowe usiłują odwrócić uwagę i bez mała wszystko sprowadzić do walki o wpływy i pieniądze. Nie należy nigdy takiego niebezpieczeństwa lekceważyć, ponieważ szczególnie w czasie burzliwych przeobrażeń ustrojowych nasilają swe działania siły, którym właśnie chodzi o wpływy, po to, aby wykorzystywać je dla zdobywania pieniędzy. Temu trzeba się z wielką determinacją przeciwstawić, a jest to zadanie tak dla koalicji, jak i opozycji. Trzeba jednak mieć bardzo prymitywny umysł, czy też nikczemne intencje (albo jedno i drugie), by istotę sporu wokół zmiany prezesa jednej z największych firm polskich skomentować pod nagłówkiem „*Wojna gangów w Ciechu*”. Chodzi przy takiej okazji o to, aby wsączać jad nienawiści do społeczeństwa, że oto rzecz sprowadza się wyłącznie do partykularnych interesów rządzących partii. Tak nie jest i dlatego trzeba pojawiające się przy tego typu okazjach wątpliwości wyjaśnić publicznie i do końca. Tego trzeba oczekiwać od zaangażowanych w ten konflikt stron, a nie czynić stronami tych, którzy starają się usuwać przede wszystkim przyczyny tego typu konfliktów.

Jeśli zatem zająłem w tej sprawie pryncypialne stanowisko, to właśnie w obronie racji ogólnospołecznych oraz interesu makroekonomicznego, a także wspomnianych zasad. **Nie wystarczy bowiem mieć 51 % udziałów, trzeba jeszcze mieć rację.** Przynajmniej tak długo, jak długo pozostałe 49 % pozostaje także w rękach państwa i musi służyć interesom całej zbiorowości. Jak już sobie to wszystko kiedyś do końca sprywatyzujemy, to większo-

ściowy pakiet wystarczy, aby podejmować wiążące decyzje, choć i wtedy warto liczyć się ze zdaniem pozostałych udziałowców. Takie są zasady.

Dziwić przeto muszą podejrzenia, czy też wręcz insynuacje - jeśli cokolwiek jeszcze powinno dziwić - sugerujące, że zajmując wobec wspomnianego sporu pryncypialne stanowisko, miałem nieczyste intencje. Gdzieś czytam, że reprezentuję interesy jakiejś partii, gdzieindziej, iż toczy się walka o to, aby w gospodarce nic nie działo się bez mojego udziału jako wicepremiera i ministra finansów. Autorzy tych poglądów kierują się swoimi racjami oraz interesami politycznymi swoich sponsorów. Wolno im, choć żal, że tak zupełnie bezkarnie i z pogardą dla etyki zawodowej można wprowadzać opinię publiczną w błąd. Co to za rynek, gdzie kupując gazetę, płaci się za kłamstwa...

Moje natomiast intencje jako koalicyjnego wicepremiera, odpowiedzialnego za politykę gospodarczą i finanse państwa, są trojakiiego rodzaju. Po pierwsze, dbanie o zrównoważony rozwój gospodarczy oraz interesy ogólnospołeczne, ponieważ coś takiego istnieje w każdej gospodarce, nawet kapitalistycznej. Po drugie, chodzi mi o przestrzeganie zasad postępowania i reguł gry, bez których nie będzie godna obrony gospodarka rynkowa w Polsce. Po trzecie, zależy mi nie na tym, aby nic w gospodarce nie działo się beze mnie, ale wręcz odwrotnie - niech jak najwięcej dzieje się beze mnie. I bez ingerencji innych ministrów, szkód bowiem można narobić sporo. Dlatego też absolutnie konieczna jest reforma centrum gospodarczego. Zamieszanie wokół sposobu przeprowadzenia zmiany prezesa Ciechu dowodzi jeszcze bardziej, że nieodzowne jest pilne utworzenie Ministerstwa Skarbu i Ministerstwa Gospodarki oraz takie zorganizowanie pracy administracji państwowej - w tym zwłaszcza resortów gospodarczych - aby w coraz większym stopniu rządziło prawo i prawa gospodarcze, a nie urzędnicy. Nawet najwyższego szczebla. **Dlatego dobrze się stało, że przy nie najlepszej skądinąd okazji tak wiele osób i instytucji domaga się reformy centrum gospodarczego. Czas najwyższy konieczności tej wyjść naprzeciw.**

Prywatyzacja, komercjalizacja

Warszawa, 15 sierpnia 1994 r.

Dyskusje o prywatyzacji wciąż budzą nie tylko szerokie zainteresowanie, ale także duże emocje. I tak będzie nadal, w istocie bowiem często chodzi przy tej okazji o sprzeczne interesy ekonomiczne, a także polityczne. Jest to widoczne szczególnie w ostatnim okresie, kiedy tak wiele mówi się i pisze na przykład o prywatyzacji sektora tytoniowego, choć nie od tego zależy polska niepodległość. Głośno jest z zupełnie innego powodu, także wokół programu Narodowych Funduszy Inwestycyjnych. Niedługo zrodzą się spory dotyczące przekształceń w sektorze naftowym, czy też w sprawie prywatyzacji kolejnych banków. Skąd zatem ta wrzawa i czemu ma ona służyć? Otóż **skierowana ona jest na próbę przekonania opinii publicznej w kraju i na świecie, że rząd koalicji SLD-PSL hamuje procesy prywatyzacyjne lub też ma takie zamiary.** Ale tak nie jest.

Intencją rządu jest zadbanie o interes ogólnospołeczny podczas prywatyzacji, a nie jest *to łatwe, czego dowodzą doświadczenia poprzednich ekip.* Ze swej natury prywatyzacja jest trudna nie tylko od strony technicznej, ale także z powodu oczywistych uwikłań w sprzeczności interesów ekonomicznych. Obecnie do procesów prywatyzacyjnych wciągnięte zostały już wszystkie grupy społeczne i za paradoks historii pewnie można by uznać strajki niektórych załóg robotniczych na rzecz przyspieszenia decyzji prywatyzacyjnych. Takich decyzji podejmujemy wiele: **wbrew pomówieniom, w 1994 r. rząd sprywatyzował więcej niż przeciętnie w latach 1990-1993.** W ujęciu wartościowym zagwarantowało to większe realne wpływy do kasy państwowej, dając tym samym możliwość zwiększenia wydatków z budżetu, m.in. na sferę socjalną oraz na inwestycje. Jeśli zatem byli ministrowie finansów i przekształceń własnościowych, a obecnie moi adwersarze w gabinecie cieni Unii Wolności mówią, że sprywatyzowaliśmy

mniej w ujęciu ilościowym, to odpowiadam, że **nasz rząd prywatyzuje nie na sztuki, ale na korzyść całego społeczeństwa.**

O ile podczas minionych pięciu lat - mając jeden z największych programów prywatyzacyjnych na świecie - uzyskiwano średnio rocznie z tytułu prywatyzacji wpływy do budżetu nie przekraczające 0,4 % produktu krajowego brutto, to w tym roku jest to więcej niż 0,6 %, a na następny rok założenia do budżetu przewidują aż około 1,2 % PKB. To bardzo dużo i wolałbym, aby zwolennicy intensywnej prywatyzacji skupili uwagę na tym, jak nam pomóc w realizacji tak ambitnych zamiarów, a nie siali defetyzm jakoby prywatyzacja w Polsce zamierała. Rozumiem, że może przy tej okazji chodzić o odwracanie uwagi społeczeństwa od błędów popełnionych w czasie sprawowania władzy przez poprzednie ekipy. Ważniejsze jest jednak to, aby nam pomóc w ich uniknięciu, cóż to bowiem za zwolennicy prywatyzacji, którzy tak naprawdę wydają się oczekiwać, abyśmy prywatyzowali mniej i wolniej, zamierzając wykorzystywać to do zbijania swojego kapitału politycznego.

Drugi główny wątek krytyki pod adresem polityki przekształceń własnościowych dotyczy **powszechnej komercjalizacji** (czyli przekształcania przedsiębiorstw państwowych w spółki Skarbu Państwa), w wyniku której zniknie kategoria przedsiębiorstwa państwowego, choć nie własności państwowej. Otóż jednym z większych błędów poprzednich rządów - a zgadza się z taką oceną także wielu renomowanych ekspertów zagranicznych — było zaniechanie takiego przedsięwzięcia w poprzednich latach. Dyskryminacyjne niekiedy posunięcia wobec sektora państwowego i próby dorabiania do tego koncepcji tzw. twórczej destrukcji spowodowały spadek dochodu narodowego w latach 1990-1991 aż o 18 %, chociaż zakładano pierwotnie tylko przejściową, krótkotrwałą recesję na poziomie ok. 3 %. Tego przecież nie da się wytłumaczyć błędami prognozy w warunkach niepewności, ani tym, że w innych transformowanych gospodarkach popełniono jeszcze więcej błędów...

Okazało się, że w 1990 roku zyskowność przedsiębiorstw państwowych, które zdecydowanie dominowały, była dość wysoka, a to w wyniku specyficznych, jednorazowo występujących czynników (rn.in sprzedaż dewiz i zapasów po wysokich, zliberalizowanych cenach). W 1991 roku ich sytuacja uległa dramatycznemu pogor-

szeniu, ale nadal brakowało na to właściwej reakcji ze strony polityki rządu. Czekano. W 1992 roku przedsiębiorstwa uzmysłowiły sobie, że nie mogą liczyć na większe wsparcie ze strony państwa. Szybko rosnąca ich część podjęła wysiłki dostosowawcze. I właśnie **nadrzędnym celem komercjalizacji jest wspomoczenie procesu mikroekonomicznych dostosowań strukturalnych**. Jeśli ktoś chce sobie pomóc, to trzeba jemu pomóc, a nie czekać na samoistne rozwiązanie się problemu, które nigdy nie nadejdzie, ponosząc przy tym zupełnie zbytecznie tak dotkliwe koszty społeczne.

Masowa komercjalizacja zatem nie jest zamiast prywatyzacji, ale obok prywatyzacji. Z jednej strony bowiem kontynuujemy oraz wzmacniamy procesy prywatyzacyjne, zapoczątkowane przez poprzednie rządy (dbając zarazem bardziej o grosz publiczny), z drugiej natomiast strony zamierzamy zmienić ustrój przytłaczającej większości przedsiębiorstw pozostających w rękach państwa. Innymi słowy, komercjalizacja nie jest zamiast prywatyzacji, ale zamiast brakujących skutecznych działań wobec przedsiębiorstw państwowych. Jako spółki Skarbu Państwa będą one wystawione na konkurencję taką samą, jak firmy prywatne. Zastosowane zostaną w stosunku do nich twarde ograniczenia budżetowe, które będą wymuszać poprawę efektywności i dbałość o właściwe dzielenie wartości dodanej na cele rozwojowe i płacowe. Zbyteczne wówczas okazać się może stosowanie tak niechętnie przyjmowanego instrumentu kontroli tempa wzrostu wynagrodzeń, jakim jest popiwiek w jego kolejnych wersjach. **Występując zatem przeciwko powszechnej komercjalizacji, opozycja występuje za utrzymaniem popiwku**. I to trzeba od razu uczciwie powiedzieć. Masowa komercjalizacja i intensywna prywatyzacja muszą zatem iść w parze.

W dłuższej perspektywie komercjalizacja ma także służyć prywatyzacji, ale nie w takim sensie, jak dotychczas. Komercjalizacja sama z siebie nie jest przedsiönkiem do prywatyzacji, ale sposobem na poprawę efektywności gospodarowania wielu tysięcy przedsiębiorstw. Jest to także instrument służący równouprawnieniu różnych sektorów własnościowych. W długim zaś okresie nadrzędnym procesem pozostaje prywatyzacja, ale nie przy pozostawianiu wielu przedsiębiorstw i ich pracowników w stanie swoistej niewydolności

systemowej, będącej skutkiem wadliwej polityki przekształceń własnościowych w minionych latach.

Dodać pragnę, że powszechna komercjalizacja, zmieniająca ustrój gospodarczy na szczeblu mikroekonomicznym, jest ściśle związana ze zmianami instytucjonalnymi na szczeblu makroekonomicznym. Utworzenie Ministerstwa Skarbu, które będzie wobec skomercjalizowanych przedsiębiorstw spełniało funkcje właścicielskie, a także Ministerstwa Gospodarki, które sprawowało będzie funkcje regulacyjne, usprawni działanie całej gospodarki. Również i z tego powodu **głęboka przebudowa centrum gospodarczego jest nieunikniona**. Sprzyjać to będzie także rozsądnie prowadzonej prywatyzacji. Hamować jej bowiem nie należy, a racjonalizować trzeba.

Przed Bogiem i historią

Warszawa, 22 sierpnia 1994 r.

Od czasu do czasu ożywiają się dyskusje wokół polityki monetarnej, a zwłaszcza racji, jakie przyświecają rządowi i bankom centralnym w jej wykorzystywaniu do realizacji zamierzonych celów. Spory dotyczące stóp procentowych były szczególnie żywe w minionym roku, m.in. w Niemczech i w USA. Dla nas, co oczywiste, daleko większe znaczenie mają decyzje - lub ich brak we właściwym czasie - naszych władz monetarnych. Z innych względów są one także przedmiotem zainteresowania za granicą. Chodzi przede wszystkim o **wiarygodność kursu antyinflacyjnego w polityce makroekonomicznej**.

W tym kontekście spotkać się można ostatnio z rosnącą krytyką - także na forum Sejmu - polityki Narodowego Banku Polskiego, a nawet z postulatami ograniczenia jego suwerenności. Otóż, niezależnie od stopnia trafności zarzutów o podtrzymywaniu zbyt wysokiego poziomu stóp procentowych przez nadmiernie długi okres (co wymaga spokojnej, profesjonalnej dyskusji, a co skądinąd dzieli poglądami różne grupy ekonomistów), podkreślić pra-

gnę **konieczność niezależności banku centralnego**. Pogląd taki zgłaszałem wielokrotnie w przeszłości i powtarzam go przy tej okazji, gdyby bowiem nawet krytyka o nadmiernie restrykcyjnej polityce monetarnej NBP była uzasadniona, to całkowicie nieuzasadniony byłby postulat zmierzający do ograniczenia niezależności banku centralnego. Nie tędy droga do usuwania ewentualnych błędów czy potknięć w polityce monetarnej.

Natomiast przedmiotem rozważań i stosownych decyzji ustawowych powinna być kwestia umiejscowienia nadzoru bankowego. W obliczu rosnącej jego nieskuteczności, wyrażającej się m.in. w upadłości niektórych banków, oraz coraz szerszej krytyki ze strony samych banków komercyjnych, jak i ich klienteli - depozytariuszy oraz kredytobiorców - poważne wątpliwości budzi jego uplasowanie w strukturze NBP. Wiele argumentów przemawia za **potrzebą wyłączenia niezależnego nadzoru bankowego poza struktury NBP**. Nota bene, takie stanowisko prezentowała w swojej pracy habilitacyjnej na temat bankowość w gospodarce rynkowej wybitna specjalistka w zakresie prawa bankowego Hanna Gronkiewicz-Waltz - dziś prezes Narodowego Banku Polskiego - i trzeba się z nią w tej materii zgodzić. Pytanie tylko, kiedy i w jakim trybie dokonać tych zmian?

Dodać pragnę, że w polskich warunkach bardzo dobrze sprawdziło się ustanowienie niezależnej kontroli nad rynkiem papierów wartościowych poza Ministerstwem Finansów, a obecnie zaawansowane są prace nad wprowadzeniem niezależnego nadzoru ubezpieczeniowego. Niezależny nadzór bankowy dopełniłby system kontroli instytucji finansowych, gwarantując nie tylko suwerenność banku centralnego, ale także ułatwiając mu lepsze wywiązywanie się z jego podstawowych funkcji, w tym zwłaszcza banku banków i banku państwa.

Trudno jednakże o to, jeśli utrzymuje się na zbyt wysokim poziomie stopy procentowe, a coraz więcej faktów przemawia za słusnością takiej oceny. NBP zgadza się ze mną co do możliwości i potrzeby zmniejszenia skali kroczącej dewaluacji, co sugerowałem już cztery miesiące temu. Ostatni raz została ona zmniejszona z 1,8 do 1,6 % miesięcznie (przy okazji skokowej dewaluacji o 8 % rok temu). Występują wszakże tutaj różnice poglądów dotyczące dwu zagadnień. Pierwsze, to głębokość ewentualnej korekty współ-

czynnika miesięcznej dewaluacji, przy czym ta rozbieżność poglądów może być uznana za naturalną i dość łatwo ją usunąć. Drugie zagadnienie jest bardziej skomplikowane. Otóż rząd stoi na stanowisku, że tendencji do spadku ceny pieniądza zagranicznego (stopa dewaluacji) powinna towarzyszyć tendencja do spadku ceny pieniądza krajowego (stopa procentowa). O ile udało się do tego ostatniego posunięcia przekonać NBP w maju, o tyle obecnie jest to trudniejsze. Głównie dlatego, że po dwu stronach Świętokrzyskiej nieco odmiennie ocenia się trwałość i siłę tendencji do dalszego spadku stopy inflacji, a z tym właśnie skorelowane muszą być ruchy dostosowawcze w zakresie polityki monetarnej. Dlatego też tym bardziej należy utrzymać niezbędną dyscyplinę budżetową i przekonać argumentami niezależnego partnera w polityce finansowej, że z **czasem warto ponownie obniżyć stopy procentowe**.

Od strony merytorycznej spór wśród ekonomistów dotyczy nie tylko wiarygodności prognoz, dotyczących stóp inflacji, ale także sposobu ustalania nominalnych stóp procentowych banku centralnego. NBP chętniej - i niesłusznie - bierze pod uwagę stopę inflacji z przeszłości. Natomiast stopy procentowe należy odnosić do oczekiwanej stopy inflacji, na nią bowiem orientują się podejmując decyzje tak inwestorzy, w tym zwłaszcza kredytobiorcy, jak i oszczędzający.

Dodatkowy, bardzo poważny argument na rzecz obniżenia stóp procentowych banku centralnego (o szczególnym znaczeniu dla budżetu i wszystkich jego beneficjentów) wiąże się z **olbrzymimi kosztami obsługi długu wewnętrznego** (budżetowy koszt obsługi długu zagranicznego spada oczywiście przy okazji zmniejszenia skali kroczącej dewaluacji). Nadmiernie - wobec spadającej inflacji - wyśrubowane stopy procentowe znakomicie podnoszą poziom tzw. wydatków sztywnych w budżecie państwa. Tym samym, co rzadko jest uzmysławiane, automatycznie ulegają ograniczeniu środki na inne cele. Kierując zatem pretensje pod adresem polityki finansowej państwa, warto mieć świadomość, że w warunkach wysokiej inflacji i wciąż zbyt dużego deficytu budżetu, odpowiedzialność za jego poziom, a tym samym za możliwości wydatkowe państwa, nie spada wyłącznie na rządy. Spoczywa ona także na banku centralnym. A banki centralne - podobnie jak rządy - mogą się mylić, mieszając dobrą wiarę z nie najlepszą polityką.

Szczególnie ciekawa sytuacja - choć dla mnie jest ona przede wszystkim trudna - wyłania się wtedy, kiedy to punkt widzenia ministra finansów jest w zasadzie popierany przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy, dla którego polityka antyinflacyjna rządu okazuje się póki co bardziej wiarygodna, niż dla rodzimego banku centralnego, który statutowo musi na straży takiej właśnie polityki stać i ją wspomagać. Jak wiadomo, MFW kieruje się bardziej kryterium skuteczności walki z inflacją niż argumentem, że rząd zmuszony będzie - w obliczu nadmiernie restrykcyjnej polityki monetarnej banku centralnego i wynikającego stąd niedostatku środków - do na przykład głębszych zmian zasad indeksacji emerytur i rent. A do tego w ostatecznym rachunku prowadzą związki pomiędzy polityką monetarną a finansami publicznymi. Strzegąc zatem niezależności NBP, który sam decyduje o tym, kiedy i w jakiej mierze zmieniać stopy procentowe, trzeba także pamiętać, że **prezes banku centralnego nie odpowiada tylko przed Bogiem i historią. Odpowiedzialność tę ponosi się przede wszystkim wobec społeczeństwa i gospodarki narodowej.**

Trzy ścieżki

Warszawa, 29 sierpnia 1994 r.

Okres czterech miesięcy pozostających do końca roku jest szczególnie trudny z punktu widzenia realizacji programu gospodarczego rządu. Niezależnie bowiem od wielu rutynowych działań - i tak dostatecznie skomplikowanych i bynajmniej nie ułatwianych przez opozycję - podejmujemy dodatkowe przedsięwzięcia o zasadniczym znaczeniu dla powodzenia całego programu *Strategia dla Polski*. Jeden z publicystów - a życzę mu, aby wjak największym stopniu mylił się - pisze wręcz o "**strategii konfliktu**", który grozi koalicji w związku z przyspieszaniem działań. Otóż prawdą jest, że trudnych, konfliktogennych spraw nie brakuje, ale prawdą także jest, że nasz rząd jest w pełni zdeterminowany co do kontynuacji obra-

nych wspólnie kierunków polityki gospodarczej i zmian systemowych.

Do końca roku rząd zamierza wykonać lub nieodwracalnie zaawansować przedsięwzięcia w trzech dziedzinach krytycznych dla powodzenia całego programu. Jest to **pakiet legislacyjny, budżet państwa oraz reforma centrum gospodarczego**. Prace w odniesieniu do tych ścieżek trwają równolegle i są ze sobą ściśle związane. Niepowodzenie na jednej z nich stworzyłoby wiele komplikacji na innych polach i utrudniło niepomniernie realizację całego programu.

W Sejmie już obecnie znajduje się wiele projektów ustaw, których uchwalenie jest niezbędne dla sprawnego kontynuowania polskich reform. Ale to nie wystarcza. Nowe jakościowo elementy, które zapowiada rządowy program, wymagają dodatkowych legislacji oraz przyspieszenia wdrażania niektórych, wcześniej zapowiadanych - zwłaszcza w *Pakcie o przedsiębiorstwie* - rozwiązań prawnych. Główny kierunek prac wyznaczyły, z jednej strony, oczekiwania całego społeczeństwa, że państwo aktywniej wyjdzie naprzeciw ich głównym niepokojom i obawom przed wzrostem bezrobocia, zagrożeniem bezpieczeństwa indywidualnego, w tym bezpieczeństwa efektów pracy i przedsiębiorczości gospodarczej. Z drugiej strony, zmiany prawne wychodzą naprzeciw oczekiwaniom grup najbardziej aktywnych ekonomicznie, mających nadzieję, że doskonalony system gospodarczy i prowadzona w jego ramach polityka rządu, wpłynie na zwiększenie możliwości inwestowania, poprawi warunki rozwoju przedsiębiorczości i konkurencyjności polskiej gospodarki.

Temu właśnie służy zestaw 14 ustaw przygotowany przez rząd. Są one ujęte pakietowo z kilku powodów. Po pierwsze, podchodzimy do tego kompleksowo, stojąc na stanowisku, że zmiany muszą objąć jednocześnie dostatecznie szeroki zakres spraw, konstytuując linię programową koalicji SLD-PSL. Po drugie, nowe rozwiązania powinny wejść w życie w tym samym czasie, najlepiej z początkiem przyszłego roku. Po trzecie, skuteczność procesów uruchamianych pakietem legislacyjnym wzmocniona będzie zbiegającą się z jego wdrażaniem reformą centrum gospodarczego i budżetem na następny rok. Budżet ten stanowi element średniookresowej strategii finansowej.

Pakiet przygotowywany jest w sposób specjalny. Otóż w pierwszej kolejności międzyresortowe zespoły, powołane w celu realizacji dziesięciu programów węzłowych, opracowały założenia do ustaw. Po ich akceptacji te same zespoły opracowują już konkretne projekty ustaw, które - po odpowiednich uzgodnieniach międzyresortowych, a także po uwzględnieniu uwag związków zawodowych i zainteresowanych środowisk, w tym zwłaszcza organizacji przedsiębiorców - zostaną zatwierdzone przez rząd i skierowane do Sejmu. Zważywszy na ogrom pracy, jaki i tak czekałby naszych parlamentarzystów, nawet bez tego dodatkowego pakietu, o jego przygotowywaniu zostało poinformowane wcześniej prezydium Sejmu. Spotkałem się także z Komisją Ustawodawczą oraz grupą posłów, informując o kierunkach prac rządu na tym polu. Wierzę, że usprawni to proces demokratycznego dochodzenia do jak najlepszych rozwiązań, gdyż z pewnością parlamentarna debata nad pakietem legislacyjnym *Strategii dla Polski* jeszcze go wzbogaci.

Pakiet ten koncentruje się na czterech grupach zagadnień. Pierwsza dotyczy rozwiązań ustawowych służących kształtowaniu partnerskich stosunków pracy i negocjacyjnych systemów płacowych. Chodzi tutaj przede wszystkim o ograniczenie i wyeliminowanie konfliktogenności dotychczasowych mechanizmów, rządzących stosunkami w przedsiębiorstwach i w finansowanym z budżetu sektorze usług społecznych. Rozwiązania te mają zasadnicze znaczenie dla lepszego zaspokajania potrzeb, zachowania spokoju społecznego i usuwania przyczyn strajków w transformowanej gospodarce.

Druga grupa problemów zawartych w pakiecie koncentruje się na reformie systemu zabezpieczeń społecznych. Propozycje rozwiązań ukierunkowane są tutaj głównie na zagwarantowanie niezbędnego bezpieczeństwa socjalnego obywateli, możliwego do sfinansowania przez finanse publiczne. Zarazem tworzone jest systemowe przedpole do kompleksowej reformy w następnych etapach realizacji programu.

Trzecia grupa spraw rozstrzyganych w pakiecie wiąże się z ustrojem przedsiębiorstw i wyrównywaniem warunków ich działania w różnych sektorach *własnościowych*. *Uważam to za jedno z kluczowych przedsięwzięć, w sposób szczególnie wpływające na warunki gospodarowania na poziomie mikroekonomicznym. Chodzi tutaj*

konkretnie o masową komercjalizację przedsiębiorstw państwowych, która - wraz z towarzyszącą jej powszechną prywatyzacją - stanowi trzon programu przekształceń własnościowych w obecnej fazie transformacji. W tym obszarze legislacji leży także ustawa o utworzeniu Ministerstwa Skarbu i Prywatyzacji, co także początkuje kompleksową reformę centrum gospodarczego.

Wreszcie czwarta grupa problemów - a ich bardzo poważne potraktowanie znajdzie także wyraz w przyszłorocznym budżecie - dotyczy bezpieczeństwa obrotu gospodarczego, ochrony interesów producentów i konsumentów oraz absorpcji tzw. szarej strefy gospodarki. Wiele już Sejm i rząd uczyniły na tym polu, ale konieczne są tutaj dalsze zmiany prawa, a także jego bezwzględne egzekwowanie, co wymaga zdecydowanej woli politycznej i odpowiednich środków. Na tym obszarze podejmowane są także regulacje ustawowe, służące bezpieczeństwu obrotu pieniężnego, w tym gwarancjom depozytów bankowych ludności.

Tak więc pakiet legislacyjny *Strategii dla Polski* konkretyzuje wiele zapowiadanych wcześniej działań rządu. Wychodzi on na przeciw zarówno licznym postulatом związków zawodowych, jak i środowiska przedsiębiorców. Służy to praktycznej realizacji hasła o równouprawnieniu sektorów własnościowych i zmniejszeniu społecznych kosztów reform. Ale czy jest to pakiet łatwy do przeprowadzenia? Z pewnością nie. Tym bardziej konieczna jest determinacja i konsolidacja sił reformatorskich, aby - po usunięciu ewentualnych uchybień i wprowadzeniu niezbędnych uzupełnień - pakiet ten dotarł jeszcze we wrześniu do parlamentu. Rząd jest w stanie udowodnić także tym pakietem, że nie ma żadnej strategii konfliktu, ma natomiast dobry pomysł, jak w przyszłości niebezpieczeństwu konfliktów społecznych zapobiegać.

Kapitał ludzki

Warszawa, 4 września 1994 r.

Rozpoczął się nowy rok szkolny, rusza sezon kulturalny, wkrótce zacznie się kolejny rok akademicki. Każdego roku jest to okazja do zastanowienia się wspólnie, co trzeba uczynić, aby te sfery życia społecznego funkcjonowały jak najlepiej. Z pewnością wiele zależy tutaj od możliwości finansowych państwa, ale przede wszystkim od aktywności osób działających w tych sferach. Budżet państwa stanowi podstawowe źródło finansowania tych potrzeb. Stąd też bierze się olbrzymie ciśnienie na zwiększanie jego wydatków na wszystko. Od czasu do czasu organizowane są kampanie, usiłujące wyolbrzymiać trudności występujące w usługach społecznych. Ostatnio jesteśmy świadkami takiej akcji w odniesieniu do służby zdrowia. Wydaje się, że nie tyle chodzi tutaj o interes służby zdrowia (choć powinno chodzić nam przede wszystkim o interesy pacjenta), ale o wywoływanie fałszywego wrażenia, że rząd jakoby zaniedbuje swoją powinność na tym polu.

Ale tak nie jest. Podjęliśmy trudne działania zmierzające do rozwiązania problemu zadłużenia służby zdrowia. Powstało ono w wyniku polityki mechanicznego obcinania wydatków przez poprzednie rządy, przy jednoczesnym zaniechaniu koniecznych reform. W ten sposób pozornie tylko zmniejszono deficyt budżetu, w istocie przerzucając na barki szpitali, przychodni i aptek ciężar, którego nie są one w stanie udźwignąć. Służba zdrowia w rzeczywistości wymaga zwiększonych nakładów i - po okresie wyraźnego pogarszania się sytuacji w poprzednich latach - obecnie nakłady te już nie spadają, a nawet nieco rosną, choć z punktu widzenia potrzeb wciąż w niedostatecznym tempie.

Nie jest dobrze, jeśli tak trudne problemy, jak niedofinansowanie sfery usług społecznych, wykorzystywane są do partykularnych celów politycznych. Pod pozorem bowiem dbałości o chorych, uczniów czy artystów, w istocie toczy się walkę o własne interesy

polityczne, a w szczególności o własną popularność i poparcie tzw. elektoratu, traktowanego dość przedmiotowo.

Naganne są także próby przeciwstawiania się i skłócania ludzi stojących na straży grosza publicznego z pracownikami sfery budżetowej. Już za poprzednich rządów usiłowano konfliktować tych pierwszych, jako niewiele rozumiejących "księgowych", z tymi drugimi, pogardliwie określanymi jako zachłanna „sfora budżetowa”. Jeden z moich doradców publicznie dał odpór takiemu stawianiu sprawy na konferencji prasowej. Niestety, dość opiniotwórcza gazeta stołeczna, manipulując opinią publiczną pod pozorem opierania się na jej telefonicznej wersji, wprowadza w błąd swoich czytelników i prowokacyjnie przypisuje takie kompromitujące podejście tym, którzy nie tylko werbalnie się od niego odcinają, ale przede wszystkim podejmują szereg działań zmierzających do poprawy sytuacji. Jeśli budżet wspiera założenie pisma kulturalnego, to atakuje się rząd za to, że „dał” nie temu, co trzeba. W ślad za sygnałem nadawanym przez niektóre warszawskie gazety, wątek taki kontynuuje cała bez mała prasa terenowa. Chciałbym, aby obieg informacji wyglądał podobnie w przypadku choćby decyzji rządu o finansowym wsparciu odbudowy Teatru Narodowego czy dofinansowaniu obchodów 50. rocznicy Powstania Warszawskiego...

Warto też przypominać nieustannie, że znajdujemy się w kolejnej fazie bardzo trudnego procesu transformacji systemowej, kształtującej gospodarkę rynkową. Ma to swoje określone skutki także dla funkcjonowania i finansowania sfery budżetowej. Otóż trzeba znaleźć sposób na coraz lepsze zaspokajanie potrzeb z zakresu kultury, nauki, oświaty, ochrony zdrowia i środowiska, przy coraz większym udziale środków pozabudżetowych. Chodzi o to, aby pieniędzy na finansowanie tego rodzaju wydatków było coraz więcej, ale niekoniecznie - w dłuższym okresie - poprzez **wzrost obciążeń budżetu, czyli podatników**. Można świadczyć bezinteresownie na pomoc szkole, służbie zdrowia, nauce, czy kulturze - skoro komuś leży to tak bardzo na sercu - bez konieczności podnoszenia podatków.

W tym właśnie kierunku zmierzają rozwiązania, wdrażane w ramach *Strategii dla Polski*. Wiele z nich wprowadzamy przy okazji realizacji programu węzłowego *Inwestowanie w kapitał ludzki*. Uwzględniając postulaty zainteresowanych środowisk, w budżecie

na rok przyszły poszerzony zostanie zakres ulg podatkowych udzielanych ofiarodawcom, tak, aby zwiększyć zakres inwestowania w kapitał ludzki ze strony tych, których na to stać. Chodzi o to, aby darując komputer szkole, samochód szpitalowi, stypendium studentowi, czy zbiór książek wiejskiej bibliotece publicznej (politykom opozycji też wolno to robić), ofiarodawca mógł odliczyć sobie część przekazywanej wartości od podstawy wymiaru podatku dochodowego. Wprowadzamy także instytucję fundowanych stypendiów profesorskich, poprzez które kręgi nowych elit finansowych będą mogły faktycznie wesprzeć polską naukę, a nie tylko poprzez deklaracje. Szerokie możliwości podnoszenia własnych kwalifikacji stworzy wprowadzana od 1995 r. możliwość odliczania od podstawy opodatkowania wydatków na literaturę fachową, związaną z wykonywaną pracą i zawodem. Jest to szansa dla nauczycieli, lekarzy, inżynierów i techników, agronomów, dziennikarzy...

Oczywiście, posunięcia takie w krótkim okresie mają także swoje konsekwencje budżetowe. Z tytułu udzielania tego typu ulg, wpływy do budżetu będą mniejsze. Ale polityka naszego rządu nie jest zorientowana na krótką metę, lecz wydłuża perspektywę czasową. I dlatego - niezależnie od samoistnej wartości, jaką jest lepsze zaspokajanie wspomnianych potrzeb - tego typu wydatki traktować trzeba nie tylko jako konsumpcję na koszt budżetu, ale również jako finansowane przez podatników inwestycje **wkapitał ludzki**. Z czasem zaowocuje to nie tylko wyższym poziomem kulturowym całego społeczeństwa, ale także wzmocnieniem zdolności rozwojowych naszej gospodarki. Stąd też proponuję, aby nie wykorzystywać zapisanego w *Strategii dla Polski* postulatu inwestowania w kapitał ludzki jako kolejnej sposobności do wydzierania środków z budżetu, ale przede wszystkim jako okazję do racjonalizacji ich wykorzystywania - marnotrawstwa grosza publicznego bowiem nadal jest zdecydowanie zbyt wiele - oraz do poszukiwania pozabudżetowych źródeł zasilania i nowych rozwiązań instytucjonalnych. Rząd swoją polityką takim formom aktywności wychodzi naprzeciw.

Nie wszystko jednak od tej polityki zależy. Chcielibyśmy w jeszcze większym stopniu finansować niekwestionowane potrzeby sfery budżetowej, ale nie kosztem ograniczania potencjału rozwojowego polskiej gospodarki poprzez wzrost obciążeń podat-

kowych. Obecnie możliwości lepszego finansowania potrzeb sfery budżetowej ograniczone są polityką pieniężną NBP. Z jednej strony nie jest on skłonny partycypować w kredytowaniu deficytu budżetowego, zmniejszając jeszcze bardziej środki, jakie rząd będzie mógł przeznaczyć w przyszłym roku na oświatę, kulturę, ochronę zdrowia i inne zadania. Z drugiej strony, irracjonalnie wysokie stopy procentowe banku centralnego - na pozór służące zbijaniu inflacji, choć w istocie raczej hamujące tempo jej obniżania - **uniemożliwiają przesunięcie środków budżetowych - z wygórowanych przez NBP kosztów obsługi długu publicznego na zwiększone finansowanie sfery budżetowej. O tym też warto wiedzieć i pamiętać.**

Lot ćmy do ognia

Warszawa, 12 września 1994 r.

Jednym z priorytetów *Strategii dla Polski* jest obniżenie społecznych kosztów reform. Są one szczególnie dotkliwe dla najsłabszych ekonomicznie grup ludności, dlatego też budżet państwa nadal kierować musi do nich stosunkowo duże środki. Dotacje do systemu ubezpieczeń społecznych znacząco rosną w latach 1994—1995, co w oczywisty sposób ogranicza możliwości wspierania z budżetu procesów rozwojowych, ale pomaga w osłonie socjalnej uboższej ludności. Temu też służy okresowa waloryzacja rent i emerytur, które w Polsce pobiera wyjątkowo dużo osób. W roku 1995 łącznie z emeryturami rolniczymi świadczenia otrzymywać będzie już ponad 9 mln Polaków!

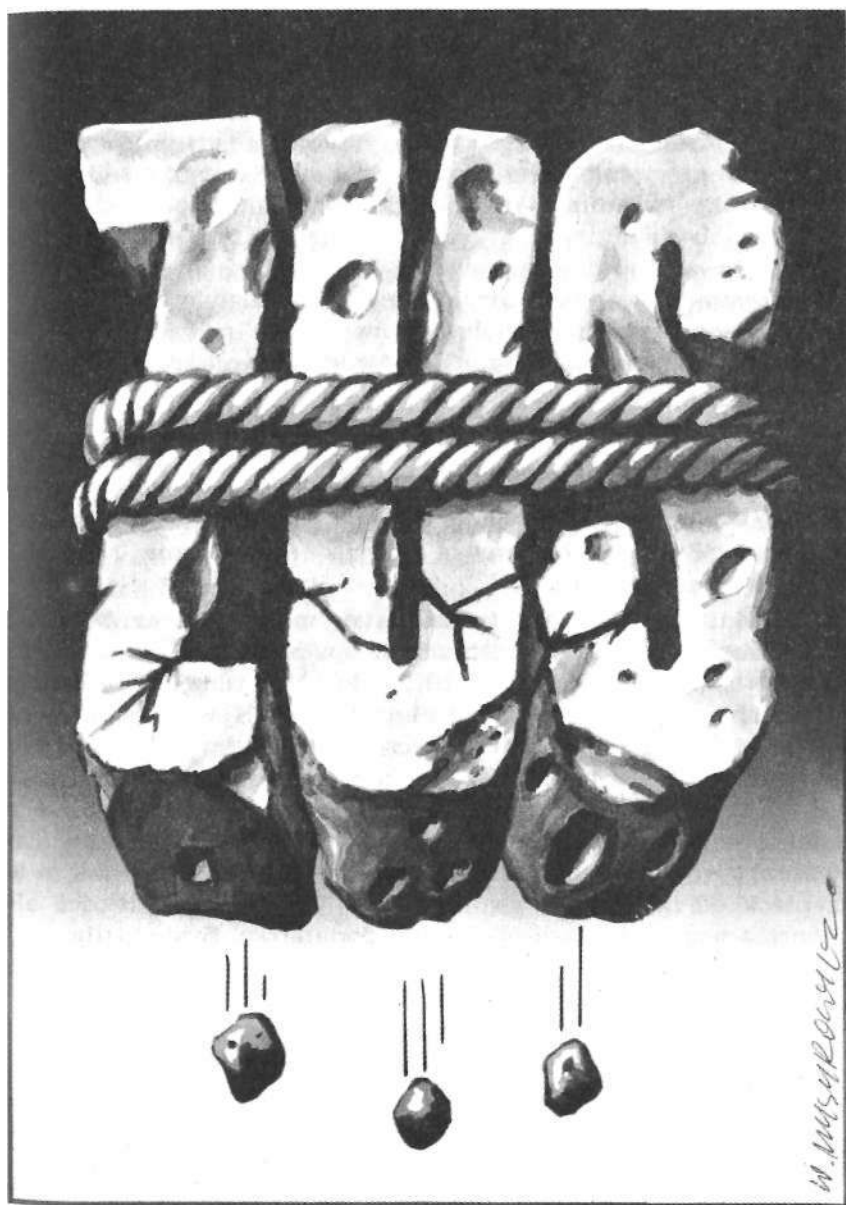
Obecnie obowiązujący system waloryzacji rent i emerytur wiąże zmiany ich nominalnego poziomu z ruchem płac. Rozwiązanie to wzięło się bynajmniej nie z chęci ochrony realnych świadczeń, ale z potrzeby dostosowania ich poziomu do spadających w przeszłości płac realnych. Była to konsekwencja załamania gospodarczego, towarzyszącego pierwszym latom transformacji. Natomiast w warunkach rosnących płac, rozwiązanie takie jest rzadko stosowane

w świecie. Na przykład w Czechach w ogóle nie ma automatycznej indeksacji świadczeń, zaś w przypadku wzrostu kosztów utrzymania o ponad 10 %, rząd zobowiązany jest przedstawić parlamentowi propozycje działań zaradczych. Uwzględniają one przede wszystkim sytuację budżetu i nie kompensują w pełni ubytku siły nabywczej świadczeń. Główna uwaga skoncentrowana jest na walce z inflacją, ponieważ to jest rzeczywisty wróg publiczny numer jeden.

Zamiary naszego rządu nie idą tak daleko jak w Czechach, choć przesłanek ekonomicznych, skłaniających ku podobnym rozwiązaniom, jest w naszym kraju więcej. Ale więcej jest także uwarunkowań politycznych, które muszą być wzięte pod uwagę. Dlatego też chcemy - prowadząc równocześnie szereg działań, reformujących system zabezpieczenia społecznego - **dostosować stopniowo zasady waloryzacji rent i emerytur nie do pobożnych życzeń, ale do obecnych i przyszłych realiów gospodarczych.** Mówimy bowiem tutaj nie o „dobrym sercu” tego czy innego polityka, ale o faktycznej trosce o ochronę siły nabywczej pieniędzy, znajdujących się w portfelach emerytów i rencistów. I to nie przez kilka następnych miesięcy, ale przez wiele kolejnych lat. A to zasadnicza różnica.

Argumentacja czysto ekonomiczna przemawia na rzecz utrzymania, a nie wzrostu realnej siły już przyznanych świadczeń. I tylko to może być uznane za obowiązek państwa w warunkach wzrostu gospodarczego. Ze względów społecznych natomiast rząd prowadzi politykę redystrybucji poprzez budżet coraz to większych środków, dofinansowujących niewydolny system ubezpieczeń społecznych. W tym roku (zakładając kolejną waloryzację o ok. 11 % w grudniu) przeciętna emerytura i renta pracownicza rośnie realnie o około 7 %. W roku przyszłym - jeśli zostanie utrzymany dotychczasowy system, choć należałoby zaniechać jego stosowania ze względów ekonomicznych - poziom ten wzrośnie o kolejne 7 %. W sumie realna wartość tych świadczeń w latach 1994-1995 zwiększy się o ponad 15 %. Obok innych przyczyn, pociągnie to za sobą wzrost nominalnych dopłat z budżetu do ubezpieczeń społecznych o ponad jedną trzecią.

Systemu takiego nie można podtrzymywać. Iluzoryczna próba jego obrony kosztowałaby budżet państwa (czytaj: podatnika) w 1996 r.



blisko 20 bln zł, a w roku 1997 aż 40 bln! Jest to niemożliwe do sfinansowania, a tym samym **decyzja o odejściu od dotychczasowych rozwiązań nie ma charakteru politycznego, ale ekonomiczny**. Natomiast decyzja o podtrzymywaniu tego procesu grozi załamaniem systemu finansowego państwa. Skąd miałyby się wziąć owe - w sumie - 60 bln zł? Z dodatkowych podatków? Nałożonych na ludność czy na przedsiębiorstwa, które szybko utraciłyby zdolności rozwojowe? A może z wymuszenia na NBP druku papierowych pieniędzy, które szybko zalałyby rynek i z nawiązką, poprzez inflację, odebrały "wywalczone" podwyżki? A może pożyczyć? W kraju czy za granicą? Ale kto pożyczka na wypłaty dla ludności, skoro trudno pożyczyć na inwestycje, a krajowe stopy procentowe ścigałyby się ze stopami inflacji? W każdym z tych hipotetycznych wariantów tracą głównie najsłabsze grupy ludności, w tym w pierwszej kolejności emeryci i renciści. Oni to bowiem stają się pierwszymi ofiarami inflacji, powodowanej uleganiem iluzjom polityków o co prawda pełnym dobroci sercu, ale za to z pustą kieszenią...

Ten lot śmy do ognia trzeba zatrzymać już teraz. Można - choć jako ekonomista i minister finansów powtórzyć muszę, że nie należy - indeksować jeszcze w 1995 roku renty i emerytury według ścieżki płacowej. W kategoriach ekonomicznych jest to błąd, a jego skala nie jest do końca znana; szczególnie niepewna bowiem jest projekcja wzrostu płac w przyszłym roku w obliczu odchodzenia od ich scentralizowanej kontroli. Ale rozumiem - choć trudno to zaakceptować - że względy społeczne i polityczne mogą wziąć raz jeszcze górę nad rachunkiem ekonomicznym. Trzeba jednak za to zapłacić od razu, nie w formie wyższej inflacji w przyszłości, ale poprzez wyższe bieżące obciążenia podatkowe. System ubezpieczeń społecznych jest niewydolny i musi sięgnąć do kieszeni podatnika. Budżet bowiem nie ma żadnych ukrytych rezerw, a przyrost jego dochodów na przyszły rok i tak jest zakreślony bardzo ambitnie. W gospodarce zawsze musi obowiązywać zasada **coś za coś**.

Za podniesienie o kolejne 7 % realnych emerytur zapłacimy wszyscy poprzez utrzymanie progów podstawowych w wysokości 21, 33 i 45 %. Dotychczas pracowałem nad budżetem przy założeniu, że stawki te ulegną redukcji do 20, 30 i 40 %. Teraz może

okazać się to niemożliwe, a chodziło o to przede wszystkim, aby zwiększyły się skłonność do oszczędzania (także na dofinansowywanie **przyszłych** rent i emerytur) i w rezultacie zdolności rozwojowe naszej gospodarki. One bowiem w długim okresie muszą mieć pierwszeństwo przed transferami do ludności, finansującymi głównie bieżące wydatki konsumpcyjne.

Tak więc przejście na waloryzację cenową służy ochronie siły nabywczej obecnych rent i emerytur - po ich wydatnym wdrożeniu realnym - a także interesom ekonomicznym całego społeczeństwa, w tym wszystkim z nas, którzy przejdą na emeryturę w przyszłości. Przedstawiając w Sejmie *Strategię dla Polski*, liczyłem na zdolność polityków do wydłużenia perspektywy czasu, gdyż tylko wówczas można skutecznie rozwiązać pewne problemy. Apelowalem także o to, aby trudna reforma systemu zabezpieczenia społecznego nie stała się polem walki politycznej. Ponawiam tę prośbę pod adresem koalicji i opozycji. I bez tego jest dostatecznie trudno. Nie można udawać, że później będzie łatwiej - bo będzie dużo trudniej - i odkładać decyzję o przyjęciu ustawy o zmianie zasad waloryzacji rent i emerytur na następny rok. Musi być ona uchwalona szybko, także w interesie emerytów i rencistów. W polityce nie można ulegać iluzjom, a ich sianie jest już niewybaczalnym błędem. Rozstrzygając te dylematy, raz jeszcze dowiemy się, kim są prawdziwi przyjaciele ludu...

Cztery plus jeden

Warszawa, 19 września 1994 r.

Polacy bardzo lubią rocznice. Odnoszę wrażenie, że wielu z nas zdecydowanie częściej zapatrzonych jest w przeszłość niż zamyślonych nad przyszłością. Wolałbym to odwrócić. Najlepiej, gdy lekcje z przeszłości służą przyszłości, a obchodzenie rocznic -jeśli w ogóle warto je celebrować - nie tylko wspominkom i często kłótniom, ale refleksjom, co z tego wynika na później.

Pięć lat temu Polska wkroczyła w okres przyspieszonej transformacji systemowej. Po czterech latach **sposób**, w jaki transformacja ta była realizowana, został odrzucony przez społeczeństwo w demokratycznych wyborach parlamentarnych. Dlaczego tak się stało i czy wyciągnięte zostały z tego właściwe wnioski? Czy rok, który upłynął od wyborów, został dobrze dla naszej gospodarki wykorzystany?

Sądzę, że po wszystkich doświadczeniach okresu transformacji nikt nie powinien kwestionować trafności wyboru dokonanego w 1989 roku i wybory z 1993 roku także tego nie zanegowały. Ale błędy polityki gospodarczej - zwłaszcza pierwszych lat transformacji - oraz wynikające stąd **nadmierne koszty społeczne nie mogły być zaakceptowane**. Olbrzymia redystrybucja tak majątku narodowego - głównie wskutek procesów prywatyzacyjnych - jak i drastycznie spadającego dochodu narodowego, doprowadziła do stanu rosnącego niezadowolenia nie tylko najuboższych warstw ludności.

Gdy dziś ponownie usiłuję odczytać werdykt sprzed roku, to widzę w nim dwie warstwy. Po pierwsze, był to zawód ze sposobu - a nie tylko z materialnych skutków - przekształcania polskiej gospodarki, gdzie polaryzacja polegająca na ubożeniu jednych i bogaceniu się drugich posunęła się zbyt szybko i zbyt daleko. Po drugie, był to wyraz wiary w wiele obietnic partii, które w ubiegłorocznych wyborach odniosły sukces. Innymi słowy, część **wyborców miała dość tego, co było, inni natomiast zaufali, że będzie lepiej pod innymi rządami**. Dotyczyło to także pewnych grup ludności, którym powodzi się materialnie bardzo dobrze, a ich niezadowolenie w poprzednim okresie brało się z innych niż ekonomiczne zjawisk i procesów.

Czy z tamtej lekcji zostały wyciągnięte właściwe wnioski? Wszyscy uczymy się szybko, ale w rok po wyborach widać, jak wiele obietnic składano na wyrost - tak po stronie obecnej koalicji, jak i opozycji. Na przykład hasło Kongresu Liberalno-Demokratycznego "Milion nowych miejsc pracy" - choć wyborcy nie dali im szansy udowodnienia, że było to tylko hasło - wydaje się brzmieć jak ponury żart po okresie współtworzenia polityki, która doprowadziła do prawie trzymilionowego bezrobocia. Dopiero w przyszłym roku uda się nam odwrócić tendencję do jego narastania. Ale także **po**

stronie partii koalicyjnych składano wiele obietnic na wyrost, jakby bez przekonania, że wkrótce przyjdzie te zapowiedzi urzeczywistniać. Niektóre deklaracje pozbawione były niekiedy dostatecznej dozy wyobraźni politycznej i odpowiedzialności ekonomicznej. Jeśli ktoś uwierzył sam w magię własnych słów, to teraz w obliczu twardych realiów finansowych musi paść tej magii ofiarą. Trzeba zrozumieć, że głoszone niekiedy przyrzeczenia były wyrazem myślenia życzeniowego i odejść od podtrzymywania iluzji, podejść zaś pragmatycznie do rozwiązywania wielu nurtujących nas problemów. **Kampania wyborcza skończyła się rok temu, a następną będzie w roku przyszłym.**

Po roku funkcjonowania obecna koalicja ma na swym koncie wiele sukcesów i z pewnością różnica pomiędzy tym, co obiecywano, a tym, co już zostało osiągnięte, jest niepomernie mniejsza niż między tym, co obiecywała pięć lat temu „Solidarność”, a tym, co nastąpiło potem. Szczególnie jaskrawe są te różnice, jeśli sięgnąć pamięcią do postulatów i obietnic składanych przy "okrągłym stole". Pamiętam to szczególnie dobrze, bo w jego pracach uczestniczyłem. Pomimo zdecydowanego sprzeciwu i żelaznych argumentów ekonomicznych, wywalczona - a raczej wymuszona - została wówczas powszechna indeksacja płac. Jej wprowadzenie - w obliczu obiektywnych uwarunkowań ekonomicznych - skazało gospodarkę na rychłe wejście w fazę galopującej inflacji ze wszystkimi tego oplakanyimi konsekwencjami.

Podobnie - choć nie aż tak groźnie i nie od razu - może być i tym razem, gdyby ze względu na obietnice bez pokrycia, abstrahując od uwarunkowań gospodarczych, udało się zablokować niezbędne dostosowania w zakresie waloryzacji rent i emerytur. Tak więc jeśli rocznice do czegoś mogą służyć, to niech posłużą też do myślenia w kategoriach analogii. Rzecz w tym, że **rząd powstały po wyborach sprzed pięciu lat, potrafił natychmiast wycofać się z obietnic bez pokrycia, poczynionych wcześniej;** szkoda, że wto miejsce złożył wiele innych, których nie mógł spełnić. Najlepiej takich obietnic nie składać. Ale jeśli już to się stało, to trzeba mieć cywilną odwagę, aby wybrnąć ze ślepego zaułka.

W przypadku rządu, którego od pięciu miesięcy jestem wicepremierem i ministrem finansów, odejście od zbyt optymistycznych i niemożliwych do spełnienia obietnic, czynionych w trakcie kam-

panii wyborczej przed rokiem, nie jest aż tak trudne, nie było ich bowiem wiele. Tym bardziej trzeba to uczynić. Najważniejsze jest to, że zdecydowana większość zakładanych działań jest sukcesywnie realizowana. Rośnie produkcja, spada inflacja, zahamowane jest tempo narastania bezrobocia, zwiększają się realne zarobki i emerytury, stopniowo poprawia się sytuacja w sferze budżetowej, zwiększają się nakłady inwestycyjne, poprawia się sytuacja w handlu zagranicznym, lepsza jest tak wewnętrzna, jak i zewnętrzna sytuacja finansowa państwa. Co jeszcze ważniejsze, podjęto wiele reform systemowych, które tworzą przesłanki stabilnego rozwoju gospodarczego i społecznego w następnych latach. Nie warto wystawiać tego na ryzyko poprzez wymuszanie działań, które iluzorycznie służyć mają lepszemu zaspokajaniu potrzeb, a w istocie zaszkodzić mogą potencjałowi rozwojowemu polskiej gospodarki. Warto, aby zrozumieli to do końca wszyscy prominentni politycy koalicji, pozostawiając działalność opozycyjną prawdziwej opozycji. I tak jest dostatecznie liczna...

Pamiętam, jak sam prognozowałem jesienią 1989 roku dalszy rozwój sytuacji; niestety, niewiele się pomyliłem (*Transformacja polskiej gospodarki. Sukces czy porażka?*, BGW 1992). Dziś, być może, warto wrócić do wizji prognoz sprzed lat pięciu i sprzed roku. Nie tylko po to, aby wiedzieć, kto i dlaczego się pomylił. Miał to przecież być pierwszy rok kroczącej destrukcji albo wręcz okres, w którym krajem kieruje „rząd katastrofy narodowej” Wypowiadanie takich fałszywych sądów nic nie kosztuje, choć oczekiwać można, że ich autorzy powinni dać już sobie spokój z próbami nadawania swoim życzeniom charakteru czegokolwiek wartych prognoz. Najważniejsze wszakże jest to, czy obecnie potrafimy profesjonalnie i odpowiedzialnie spojrzeć w przyszłość. Stać się może tak -jeśli nie zostaną zarówno przez koalicję, jak i opozycję wyciągnięte wszystkie niezbędne wnioski z sukcesów i niepowodzeń minionych lat czterech plus jeden - że za następnych lat jeden plus cztery miast zacząć wchodzić do Unii Europejskiej, wychodzić będziemy z kolejnego kryzysu gospodarczego. Zdecyduje o tym najbliższy rok. A potem jeszcze cztery...

Gra w biliony

Warszawa, 26 września 1994 r.

Podczas dyskusji na temat naszych finansów publicznych obserwuję swoisty „społeczny podział pracy” Daje się to zauważyć tak na łamach prasy, jak i podczas debat politycznych, w tym także w trakcie dyskusji prowadzonych w partiach koalicji i opozycji. Ten „podział pracy” polega na tym, że w pierw żąda się zwiększenia wydatków bez mała na wszystko w imię słusznych celów, niekwestionowanych potrzeb, wieloletniego zaniedbania, ogromnego opóźnienia, cywilizacyjnego zagrożenia, niebezpieczeństwa międzynarodowej kompromitacji itd. Następnie zgłasza się cały szereg uwag, które usiłują zanegować większość działań fiskusa, zmierzających do zwiększenia wpływów budżetowych. Wreszcie - po sformułowaniu na pierwszej stronie żądań zwiększenia wydatków i przedstawienia na stronie drugiej żądań uniemożliwiających zwiększenie dochodów - na stronie trzeciej przeprowadza się atak na deficyt, którego rozmiary są zbyt duże, co jest źródłem inflacji - i tak dalej...

Obecnie znajdujemy się w przeddzień szczytowej fali dyskusji na temat przyszłorocznego budżetu, stąd też warto podjąć kolejną próbę - jest bowiem jeszcze po drodze parę wiatraków - aby czekającą nas rozmowę zracjonalizować, choć moi liczni poprzednicy mówią, że i tak wszystko pójdzie swoim torem (albo raczej swoimi koleinami). W tym kontekście trzeba rozstrzygnąć co najmniej pięć dylematów.

Pierwszy z nich Czytelnicy muszą rozwikłać sami. Chodzi o to, czy jest jakaś zła siła polityczna, której zależy na tym, aby rząd nie był w stanie przedstawić na czas dobrego budżetu państwa — bo tu chodzi o budżet państwa, a nie rządu - lub też, by po przedstawieniu takiego budżetu nie został on na czas uchwalony?

Po drugie, czy uczyniono dostatecznie wiele, aby zmaksymalizować przyszłoroczne dochody budżetu, tworząc zarazem odpo-

wiednie gwarancje dla dalszego rozwoju gospodarczego i wzrostu tych dochodów w następnych latach? Otóż sądzę, że tak. W ubiegłym tygodniu przekazałem do Sejmu projekty siedmiu ustaw tzw. okołostrategicznych (czyli związanych ze *Strategią dla Polski*) oraz czterech tzw. okołobudżetowych. Wraz z wieloma innymi podjętymi przez nasz rząd działaniami proponowane tam rozwiązania służyć mają zwiększeniu skuteczności ściągania podatków, ich racjonalizacji i wchłonięciu tzw. szarej strefy. Działania te - m.in. ograniczające skalę nierejestrowanej działalności gospodarczej - są już przedmiotem krytyki „na innych stronach” jako posunięcia szkodzące drobnej przedsiębiorczości, czy też rozwojowi polskiego rynku kapitałowego. Tak oczywiście nie jest, rozwiązania te są bowiem zgodne z długofalowymi działaniami na rzecz wzrostu skłonności do oszczędzania i wzmacniania tendencji rozwojowych. W sumie - przede wszystkim w wyniku poprawy rentowności sektora przedsiębiorstw i większej skuteczności fiskusa - dochody budżetowe w roku przyszłym wzrosną o blisko 30 %. Oznacza to - zważywszy na sukcesywnie i wyraźnie spadającą inflację - ich realny wzrost o prawie 6 %.

Trzeci dylemat dotyczy górnych granic deficytu budżetowego, możliwego do sfinansowania poprzez dalsze zadłużanie państwa w kraju i za granicą. Niektórzy proszą mnie, abym publicznie nie stawiał więcej takiego pytania, bo ludzie nie mogą już tego słuchać. Nawet jeśli nie mogą, to przecież muszą. Odpowiedź bowiem na tę kwestię to w istocie odpowiedź na pytanie, czy rząd (poprzez decyzje parlamentarne) ma upoważnienie obywateli do zaciągania długu **w ich imieniu i na ich rachunek?** Przecież obecne deficyty to następstwo długów zaciąganych w przeszłości, w tym także w ciągu minionych pięciu lat. A pożyczenie w przyszłym roku to skazywanie samego siebie na konieczność jeszcze większych spłat w przeszłości. Jeśli jednak taka jest społeczna wola, to wówczas rząd z **upoważnienia obywateli** musi zaciągnąć kolejną porcję długu publicznego. *Ale może pożyczyć* tylko tyle, ile rynek *zaakceptuje*, zwłaszcza że zbyt daleko posunięta wstrzeźliwość NBP w kredytowaniu wydatków państwa eliminuje możliwość dalszego finansowania potrzeb społecznych z deficytu. Tak więc w sumie **w 1995 r. nie będzie można pożyczyć więcej, niż 88 bln złotych, tj. 3,3 % produktu krajowego brutto.**

Czwarty problem dotyczy podziału zmaksymalizowanych już dochodów budżetowych, zwiększonych jeszcze o możliwy do sfinansowania deficyt budżetowy. Z ogółu wydatków trzeba przede wszystkim wyodrębnić znaczącą część - w przyszłym roku aż ok. 72 % - pochłanianą przez tzw. wydatki sztywne. Składa się na nie nieustannie rosnąca dotacja budżetu do ubezpieczeń społecznych (w tym także z tytułu utrzymywania dotychczas obowiązującej zasady waloryzacji rent i emerytur) oraz koszty obsługi długu publicznego. Przypomnijmy, że właśnie postanowiliśmy zaciągnąć go na następne 88 bln złotych, co automatycznie zwiększa wydatki sztywne w roku 1996 i w latach następnych. I tak, jak *my* stawiamy sami siebie na przyszłość w jeszcze trudniejszej sytuacji, ponieważ teraz finansujemy mniej więcej co dziesiątego złotego wydatków państwowych z deficytu, tak obecnie stoimy w obliczu skutków podobnych rozstrzygnięć, dokonanych w przeszłości. **Z tego zakłętego koła można wyjść tylko na ścieżce wzrostu gospodarczego i stopniowego ograniczania deficytu budżetowego.** To jest jeden z głównych kanonów programowych *Strategu dla Polski*. Dlatego też tak duże znaczenie dla jej powodzenia mają proporcje i preferencje przyszłorocznego budżetu - i odwrotnie.

Wreszcie **piąty** dylemat tyczy kierunków rozdysponowania grosza publicznego. Na ten temat potrzebna jest rzeczowa debata społeczna. Jej przedmiotem powinien być rozdział dochodów powiększonych o dopuszczalny deficyt i pomniejszonych o wydatki sztywne. We wstępnym projekcie budżetu udało się, w tej fazie prac nad kształtowaniem makro proporcji finansowych, nie tylko odwrócić tendencję spadku nakładów na poszczególne odcinki sfery budżetowej, co miało miejsce na początku lat 90., ale także w niektórych przypadkach - na przykład w oświacie - nawet zwiększyć nakłady. Podział reszty środków - co stwarza możliwość wzrostu nakładów na wybrane cele - nie może się jednak dokonać poprzez wywieranie nacisków na ministra finansów lub cały rząd. Proponuję, aby pozostające do rozdziału środki były rozdysponowane w myśl zasady „coś za coś” lub „coś na coś”

Trzeba zrozumieć, że czasy, kiedy można było biernie oczekiwać na coraz to większe środki z budżetu, skończyły się bezpowrotnie. Zasada „coś za coś” oznacza, że - przykładowo - oświata musi konkurować z nauką czy kulturą o ograniczone **pieniądze podat-**

nika (przecież płacimy wszyscy za wysokie podatki, ale o tym wolno pisać na innej stronie...). W tej konkurencji wykazać trzeba, że wydatkowanie obecnie dodatkowych środków służy m.in. realizowaniu reform, które - po przejściowym zwiększonym finansowaniu z budżetu - spowodują, że ciśnienie z tej strony na grosz publiczny zelżeje w przyszłości.

Jeśli zaś chodzi o zasadę „coś na coś”, to musi występować wyraźny związek między przyczyną a skutkiem, między dodatkowymi nakładami a wyższym poziomem zaspokajania potrzeb czy świadczenia usług. Przykładowo, wzrost nakładów na policję musi poprawić stan bezpieczeństwa publicznego, a nie dobrobyt policjantów. Trzeba udowodnić, że zwiększone środki w przyszłorocznym budżecie na sprawiedliwość - bo taki priorytet, wychodzący naprzeciw postulatom społecznym, został uzgodniony już wcześniej - przyczynią się do sprawniejszego funkcjonowania sądownictwa, poprawy działania rejestrów gospodarczych, absorpcji szarej strefy i ogólnego podwyższenia bezpieczeństwa, w tym także w odniesieniu do obrotu gospodarczego. Wówczas widoczny będzie związek pomiędzy nakładem a efektem. W następnych latach inne sfery mogłyby skorzystać z tego typu preferencji. Wielkie bowiem i są potrzeby, ale niemałe są także możliwości racjonalizacji i poprawy (wy efektywności wykorzystywania środków z budżetu. Dotychczas i wszakże bardziej odczuwam ciśnienie żądań, niż konkurencyjnych programów. Ale tym razem to właśnie wokół tych programów rozegrać musi się batalia o budżet. I na tym musi polegać nowe podejście do starych kłopotów.

Prawie wszystkie pieniądze świata

Madryt, 2 października 1994 r.

Raz do roku - tym razem w Madrycie - zbiera się wielkie światowe zgromadzenie, które kojarzy się najczęściej z wielkimi pieniędzmi. Spotkanie Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego to okazja, z której korzystają także inne

międzynarodowe organizacje, wielkie banki oraz instytucje finansowe. Zjeżdża się w sumie ponad dziesięć tysięcy osób, wśród nich wszakże zdecydowanie więcej przyjeżdża raczej po pieniądze, aniżeli z pieniędzmi.

Niezależnie od sposobności załatwienia najrozmaitszych interesów wielostronnych i bilateralnych, jest to także dobra okazja do fachowej dyskusji nad stanem gospodarki światowej i jej podstawowymi problemami. Odbywający się w tym tygodniu szczyt koncentruje uwagę na trzech wielkich problemach. Pierwszy dotyczy polityki trwałej ekspansji gospodarczej w krajach uprzemysłowionych i rozwijających się. Najbardziej uprzemysłowiona część świata wchodzi w kolejną fazę wzrostu gospodarczego - a MFW przypisuje te pozytywne tendencje także swojej polityce - głównie wskutek ożywienia trzech najpotężniejszych gospodarek, tj. amerykańskiej, japońskiej i niemieckiej. Poważną rolę odgrywa tutaj także znakomicie rozwijająca się gospodarka wielu krajów Dalekiego Wschodu, imponująca dynamika gospodarki chińskiej i wzrost wielu krajów Ameryki Łacińskiej.

Drugi problem - nam najbliższy, choć koniecznie musi być on postrzegany w kontekście procesów globalnych - to procesy i polityka ekonomiczna w gospodarkach transformowanych. Wyraźnie wskazuje się tutaj na zróżnicowane efekty transformacji, obejmującej blisko 30 państw, przy czym szczególną troskę budzą nikłe postępy, odnotowywane w większości krajów wyłonionych z byłego ZSRR. Na tym tle **Polska zbiera wciąż jedną z najwyższych ocen.** Zważywszy rangę naszego państwa i jego potencjał, skupiamy wciąż wiele życzliwej uwagi, choć z pewnością mniej, niż kilka lat temu. Obecnie dwa najżywiej dyskutowane kraje to Rosja i Chiny, które zupełnie odmiennymi drogami zmierzają do gospodarki rynkowej i czynią to z zasadniczo odmiennymi skutkami. Wnioski stąd wynikające z trudem można interpretować na korzyść podejścia, jakie proponuje i stosuje wobec Rosji MFW, za co jest krytykowany. Jednakże skala dostosowań strukturalnych, przez które musi przejść Rosja, jest tak ogromna, że nawet tu - w Madrycie - nie ma dostatecznej ilości pieniędzy, aby ten bolesny proces w krótkim czasie skutecznie wspomóc.

Trzeci natomiast problem - także o fundamentalnym znaczeniu dla nas - wiąże się z wielkim wyzwaniem, wynikającym ze starze-

nia się licznych społeczeństw i - na tym tle - z rozwiązywaniem sprzeczności **pomiędzy nakładami na rozwój gospodarczy i na zabezpieczenie społeczne**. W tym celu Bank Światowy przygotował znakomity, publikowany w „Polityce” raport na temat polityk chroniących starsze pokolenia, ale zarazem promujących wzrost gospodarczy. Jest to skomplikowany problem, nastęrczający wiele trudności nawet w krajach najzamożniejszych. Bardzo trudne reformy podejmowane są w wielu krajach, z doświadczeń których warto skorzystać. Niektóre z tych państw skłonne są także nam pomóc - przy wsparciu Banku Światowego - w przebudowie systemu zabezpieczenia społecznego.

Dyskutując o tych problemach, mówi się jednak nieustannie o pieniądzech, dzięki którym łatwiej można zagadnienia rozwiązywać. Finansowanie z zagranicy niezbędne jest krajom rozwijającym się i gospodarkom transformowanym. Z jednej strony, nie posiadają one dostatecznych własnych zasobów, a z drugiej - nie zawsze mogą jeszcze liczyć na dopływ prywatnych inwestycji bezpośrednich czy też na dostęp do międzynarodowych rynków kapitałowych. Z takiej perspektywy pozycja Polski uległa ostatnio poprawie i daje się to w Madrycie odczuć. Nie tylko na tle tego, co oświadczają moi liczni rozmówcy, podkreślając przede wszystkim postęp ostatnich lat i skuteczność realizowanej polityki gospodarczej, ale głównie poprzez **wielkie zainteresowanie zagranicznych inwestorów i banków inwestycyjnych naszą gospodarką**. Z trudem udaje się zorganizować spotkania ze wszystkimi chętnymi, nawet spośród największych banków inwestycyjnych. Zainteresowanie bierze się stąd, że - zważywszy na szybki wzrost gospodarczy i porozumienie w sprawie redukcji zadłużenia, które niedawno podpisałem z Klubem Londyńskim — powszechnie oczekuje się powrotu Polski w najbliższym czasie na międzynarodowe rynki finansowe. I słusznie. **Trzeba konkurować o to, aby robić z nami interesy**.

Oczywiście, jest to tym łatwiejsze, im bardziej układa się nam współpraca z MFW. Jeszcze w lipcu podpisałem kolejny list intencyjny, umożliwiający skorzystanie z kolejnych kredytów. Ich dalsze udzielanie - także w celu wspomżenia części kosztów redukcji zadłużenia - uzależnione jest od spełnienia uzgodnionych z naszym rządem kryteriów wykonawczych. Jeśli chodzi o kryteria

ilościowe, wiążące się z określonymi proporcjami makrofinansowymi, to zostały one wykonane zarówno na koniec trzeciego kwartału, jak i zostaną zrealizowane na koniec roku. Ale dochodzą do tego także kryteria jakościowe, zaakceptowane przez polski rząd w celu podkreślenia naszej determinacji w kontynuowaniu niezbędnych reform strukturalnych. Dotyczy to zwłaszcza procesów prywatyzacyjnych i niezbędnych zmian w sferze ubezpieczeń społecznych. Jedne i drugie integralnie wiążą się ze wspomnianymi wcześniej problemami, a zwłaszcza z rozwiązywaniem sprzeczności między ochroną starszej części społeczeństwa i zapewnieniem środków na finansowanie rozwoju.

W takim kontekście w Madrycie podjęte zostały wysiłki na rzecz zwiększenia kwot, które będą stały do dyspozycji gospodarek transformowanych. Rywalizują one silnie pomiędzy sobą, niezależnie od konkurowania o te środki z grupą krajów rozwijających się. Popyt rośnie szybciej niż podaż, choć szczyt madrycki zdecydował o zwiększeniu kwot na pożyczki w systemie *stand-by* oraz na kredyty udzielane w systemie *Systematic Transformation Facility*. Aby jednak móc z nich skorzystać, trzeba spełnić trudne kryteria - podobnie jak klient zaciągający kredyt w banku.

Przedmiotem moich - jako polskiego gubernatora w Międzynarodowym Funduszu Walutowym - rozmów z dyrektorem wykonawczym, Michele Camdessus są przede wszystkim zagadnienia, związane z polityką makrofinansową, stymulowaniem wzrostu i wnioskami z polskiej transformacji dla innych krajów regionu. Szczególne zainteresowanie budzą tutaj szanse i zagrożenia *Strategii dla Polski*, ponieważ jest to program, który usiłuje łączyć to, co nie zawsze udawało się przy stosowaniu dość ortodoksyjnego podejścia MFW - w tym także w latach 1989-1992 w Polsce - a mianowicie wzrost gospodarczy z obniżaniem inflacji i zmniejszaniem kosztów społecznych (m.in. poprzez wzrost dochodów realnych i ograniczanie bezrobocia).

Z prezesem Banku Światowego - Lewisem Prestonem - rozmowa dotyczy głównie reform strukturalnych w sektorze finansowym i prywatyzacji, przebudowy sektora energetycznego oraz reformy systemu zabezpieczenia społecznego. W tej ostatniej sprawie zabiegam o pomoc Banku Światowego, na którą możemy liczyć, realizując konsekwentnie *Strategię dla Polski*. Dziwnym trafem

wszyscy pytają mnie z wielką troską o realizację tego programu i uznają jego urzeczywistnienie za swoiste nadrzędne kryterium wykonawcze. Warto je spełnić.

Wszyscy ludzie prezydenta

Warszawa, 10 października 1994 r.

W tym tygodniu kieruję do Rady Ministrów projekt budżetu państwa. Jest to bezsprzecznie najbardziej skomplikowany dokument, jaki corocznie przygotowuje rząd, a uchwała parlament. Aby stał się on obowiązujący - podpisuje go także prezydent państwa. Sądzę, że obecnie są poważne szanse, aby uchwalić dobry budżet, posiada on bowiem co najmniej trzy istotne cechy. **Po pierwsze**, godzi w rozsądny sposób funkcje socjalne z rozwojowymi, chociaż bardzo wyraźny wzrost nakładów na ubezpieczenia społeczne (realnie aż o 12 %) ogranicza możliwości przeznaczenia jeszcze większych środków na wspieranie tendencji rozwojowych. Są one jednakże już na tyle silne, że - **po drugie** - udaje się zwiększyć odczuwalnie - bo aż o 5,8 % - realne dochody budżetu, bez zwiększania skali fiskalizmu. Dochody te rosną wskutek poszerzania bazy podatkowej w wyniku stopniowego wchłaniania tzw. szarej strefy. W rezultacie zwiększą się także realne wydatki z budżetu państwa. **Po trzecie**, państwo w budżecie zapewnia, że wywiąże się ze wszystkich zobowiązań, w tym zakresie z obciążeń z tytułu długu publicznego - wewnętrznego i zagranicznego.

Droga od projektu budżetu do jego wejścia w życie zazwyczaj jest trudna i długa. Trud chyba uda się nieco zmniejszyć, ponieważ budżet od strony fachowej jest przygotowany bardzo dobrze. Natomiast jego strona polityczna - mówimy tutaj bowiem o gromadzeniu i dzieleniu grosza publicznego, a to już jest polityka - nie stanie się źródłem zbytecznych napięć i kontrowersji, jeśli towarzyszyć mu będzie rzeczowa dyskusja. Droga prowadząca do uchwalenia budżetu może być też krótka, jeśli uda się skoncentrować uwagę na kwestiach najistotniejszych dla finansów publicznych i unik-

nąć straty czasu na poszukiwanie iluzorycznych rozwiązań, które i tak ostatecznie zostaną odrzucone w konfrontacji z nieubłaganą logiką wymagań bilansowych.

W ostatnich latach nie zdarzyło się, aby minister finansów przygotował pod obrady rządu projekt budżetu na ponad 80 dni przed końcem roku. Nie zdarzyło się i to, aby rząd skierował projekt ustawy budżetowej do Sejmu na ponad dwa miesiące przed nowym rokiem, a tak będzie, jeśli Rada Ministrów przyjmie projekt budżetu jeszcze w październiku. Ale czy Sejm, Senat i prezydent wykorzystają okazję, aby podarować społeczeństwu dobry budżet na rok 1995 jeszcze zanim on nastanie? Czasu jest dostatecznie dużo, a dobrej woli politycznej pewnie jeszcze więcej, zatem trzeba wierzyć, że tak się stanie.

Istnieją wszakże liczne niebezpieczeństwa, a z wielu z nich pewnie nie zdają sobie jeszcze sprawy. Już obecnie wyraźnie widać, że ta „dobra wola” polityczna polegać może na tym, że jedni chcą podwyższać podatki bogatym, aby dawać więcej biednym, inni zaś pragną obniżyć podatki biednym, a w rezultacie dla najbiedniejszych będzie jeszcze mniej. Ogólnie - jak zawsze - mnożyć się będą postulaty niższych podatków (czyli w krótkim okresie także mniejszych wpływów), wyższych wydatków i mniejszego deficytu. Ale będą także postulaty zwiększenia deficytu. Gdybym tylko mógł, przykładowo, uśrednić postulaty obu Unii - tej, która dba o interesy świata pracy, i tej, która słusznie walczy o szeroki zakres wolności, także gospodarczej... Postulaty te często tak wyraźnie się znoszą, że to bardziej między nimi przebiega linia podziału, niż między zgłaszanymi przez te partie postulatami a propozycjami rządowymi. Powinno to - wbrew pozorom - zwiększać szansę na rozsądny kompromis.

Co natomiast kompromis będzie utrudniać? Otóż z pewnością **brak wyraźniej zakreślonych preferencji społecznych**. Wielokrotnie próbowałem te preferencje wychwycić, ale rytm, a zwłaszcza charakter naszego życia politycznego bynajmniej tego nie ułatwiają. Świadczy to także o nieokrzepnięciu partii, które ostatecznie poprzez swoich posłów - a także nacisk wywierany przez media - nadadzą budżetowi kształt. Większość z tych partii ma tak zróżnicowany elektorat, że obecnie pod adresem budżetu płyną postulaty bez ładu i składu, a lewica czasami zaskakująco popiera

prawicę - lub odwrotnie. Wciąż jednak stoi zasadnicze pytanie - **jakie są w obecnej fazie preferencje polskiego społeczeństwa i w jaki sposób je odczytać?** Nie można bowiem uwzględniać wszystkiego. Jeśli chcemy nadać wyższą rangę lub większą pilność finansowaniu z kasy publicznej jakichś zadań, to inne zadania muszą świadomie zejść na plan dalszy lub zostać odłożone na później.

Pewną próbą uchwycenia preferencji społecznych są już skierowane do Sejmu przez rząd *Założenia polityki społeczno-gospodarczej na 1995 rok*. Preferencje te są także zaznaczone w projekcie budżetu. Dotyczą one głównie ubezpieczeń społecznych, wymiaru sprawiedliwości, bezpieczeństwa obrotu gospodarczego i absorpcji „szarej strefy” oraz uruchamiania programów infrastrukturalnych, które sprzyjają wzrostowi gospodarki dzięki tzw. efektowi mnożnikowemu. To właśnie daje szansę dobrego połączenia wspomnianych na wstępie socjalnych i rozwojowych funkcji budżetu. Ale to nie jest jeszcze odpowiedzią na stawiane tutaj pytanie.

Dlatego też cieszy fakt, że do trudnego procesu formułowania preferencji społecznych, które powinny znaleźć swoje odzwierciedlenie w przyszłorocznym budżecie, włączył się także prezydent państwa.

Korzystając z tego, że jesteśmy umówieni na spotkanie w tym tygodniu, będę chciał także o tym dowiedzieć się nieco więcej. Prezydent Wałęsa bowiem podczas niedawnego pobytu w Bydgoszcy domagał się zwiększonego udziału nakładów na obronę narodową. I to jest wyraźnie sformułowana preferencja, którą parlament musi głęboko rozważyć. Zarazem prezydent dodał - co bardzo ważne - że potrzeby finansowe wojska powinny być zaspokojone nawet kosztem „innych resortów” Szkoda tylko, że nie dodał - których, a to jest właśnie najtrudniejszy fragment odpowiedzi. Zwłaszcza, że nie o resorty tu chodzi, a o potrzeby społeczne i wszystkich ludzi, którzy za zaspokajaniem tych potrzeb się kryją.

A więc - jeśli mielibyśmy preferować obronę narodową, choć wątpić można, czy jest to w obecnej sytuacji geopolitycznej preferencja społeczeństwa - to czy ma to się dziać kosztem spadku udziału (podkreślam, że chodzi tutaj o udziały, gdyż absolutny poziom w wyniku wzrostu realnych dochodów nie musi spadać) nakładów na ochronę zdrowia, czy na oświatę? A może na bezpie-

czeństwo wewnętrzne lub na kulturę? Bo chyba nie na naukę, skoro prezydent Wałęsa na inauguracji roku akademickiego w mojej macierzystej uczelni - warszawskiej Szkole Głównej Handlowej - apelował, aby właściwi ministrowie zadbali o zwiększenie udziału nakładów na naukę. Rzecz w tym, że ministrowie ci dbają (niektórzy aż zanadto ...), ale od tego środków nie przybywa. O *to* dbać powinien już cały rząd, a zwłaszcza minister finansów. I dba, jak może, choć nie potrafi dostarczyć tyle, ile inni obiecują.

Przyjemnie jest chyba spotkać się z różnymi środowiskami i mówić o tym, że należy im się to, na co zasługują. Wszyscy ludzie - tak w wojsku, jak i na uniwersytetach - lubią słuchać, że im się należy. Sztuka polega wszakże na tym, aby powiedzieć komu i kiedy najbardziej. Nikt bowiem z kolei nie lubi słuchać, że tego, co jedni obiecują, inni - ponoszący za to faktyczną odpowiedzialność - dostarczyć nie zdołają. Rozumiem, że troską prezydenta państwa jest to, aby wszyscy ludzie byli mu za tę troskę o nich wdzięczni. Troską ministra finansów jest zaś to, aby wszystkie pieniądze, jakie uda mu się zgromadzić w przyszłorocznym budżecie, zostały rozdysponowane zgodnie z preferencjami społecznymi. Ostatecznym ich potwierdzeniem powinien być podpis prezydenta. Wszyscy byliby zadowoleni, jeśli mógłby go złożyć najpóźniej w noc sylwestrową.

Polityka z arytmetyką

Warszawa, 16 października 1994 r.

Budżet to jednak polityka. Im tej drugiej będzie mniej, tym ten pierwszy będzie lepszy. Im mniej czasu zmarnujemy na politykę, tym więcej pozostanie go na udoskonalenie projektu budżetu państwa na rok 1995. Zgodnie z obietnicą - przekazałem budżet Radzie Ministrów w ubiegłym tygodniu; w tym samym czasie otrzymał go Narodowy Bank Polski, a także inne centralne instytucje, biorące udział w pracach rządu, choć nie wchodzące w jego skład, jak na przykład Najwyższa Izba Kontroli czy Polska Akademia

Nauk. Poinformowałem także prezydenta Wałęsę podczas naszego ubiegłotygodniowego spotkania o założeniach i proporcjach tego podstawowego planu finansowego państwa.

Z dyskusji z prezydentem wyciągam najważniejsze wnioski. Po pierwsze, chciałby on, aby proporcje wydatków budżetu na podstawowe sfery życia społecznego, a zwłaszcza na oświatę i naukę, kulturę, ochronę zdrowia oraz bezpieczeństwo wewnętrzne i obronę narodową były w miarę stałe przez wiele lat. Wówczas unikaliibyśmy corocznych -jałowych często - sporów o procentowy udział wydatków na te sfery w ogólnych wydatkach systemu finansów publicznych.

Wzrost nakładów byłby wówczas skutkiem wzrostu gospodarczego, poprawy ogólnej sytuacji ekonomicznej i finansowej, a nie następstwem wyrywania środków publicznych na jedne zastosowania kosztem innych lub - co gorsza - kosztem ogólnej destabilizacji. Prowadziłoby to bowiem wprost do nasilenia się tendencji inflacyjnych, które obecnie udaje się skutecznie pokonywać. Oczywiście, stałość tych proporcji jest uzasadniona tylko wówczas, gdy przyjmujemy, że są one prawidłowe w punkcie startu. Czy tak jest - rozstrzygnąć może tylko demokratycznie wybrany parlament.

Utrzymywanie przez okres wieloletni ustalonych zawczasu proporcji, oznacza, że bezwzględny poziom wydatków dostosowywany musi być do możliwości budżetu, które są także wyznaczane poprzez *wielkość tzw. sztywnych* płatności, głównie na obsługę długu publicznego oraz dopłaty do nieefektywnego systemu zabezpieczeń społecznych. Zważywszy na fakt ich realnego wzrostu aż o 12 % w przyszłym roku, oczywiste jest, że wspomniane sfery społeczne - tak ważne dla całokształtu funkcjonowania naszego państwa - muszą partycypować w rosnących wydatkach przyszłorocznego budżetu w mniejszym niż przeciętny stopniu. Tak to wychodzi ze skrzyżowania arytmetyki z polityką.

Drugi ważny wątek mojej rozmowy z prezydentem to już czysta polityka. Usłyszeć bowiem można było tuż przed naszym spotkaniem - a temat ten z pewnością będzie od czasu do czasu wnoszony do publicznej debaty - pomówienia o zamiar wykorzystania przyszłorocznej ustawy budżetowej, a ściślej - odmowy jej podpisania przez prezydenta, jako okazji do zmiany obecnego układu politycznego. Otóż **prezydent Wałęsa zapewnił mnie, że jeśli rząd**

przedłoży dobry budżet, a parlament uchwali go na czas, to zostanie on niezwłocznie podpisany. Chciałbym, aby stało się to jeszcze w tym roku. Jest to termin napięty, ale realny dzięki bardzo sprawnemu i szybkiemu przygotowaniu projektu ustawy. Budżet staje na posiedzeniu rządu w przyszłym tygodniu, w Sejmie może znaleźć się jeszcze w październiku, a na biurku prezydenta w ostatnich dniach roku.

Silne wsparcie dla kierunków polityki gospodarczej, określonych w *Strategii dla Polski*, a skonkretyzowanych m.in. w projekcie budżetu na 1995 rok, uzyskałem - nie po raz pierwszy zresztą - ze środowiska przedsiębiorców. Spotkałem się ostatnio z Polską Radą Przedsiębiorców, skupiającą organizacje przede wszystkim przedsiębiorców z sektora prywatnego, oraz z Konfederacją Pracodawców Polskich, która obejmuje przedsiębiorców i menedżerów ze wszystkich sektorów własnościowych, w tym głównie z sektora państwowego. Przedsiębiorców naszych - w odróżnieniu od polityków - cechuje duży **pragmatyzm i twórcza aktywność**, po części dlatego, że nie występują oni w telewizji i wciąż muszą liczyć pieniądze. Z takiego właśnie - bardzo praktycznego - punktu widzenia oceniają oni politykę makroekonomiczną, a dokładniej jej wpływ na procesy mikroekonomiczne. Krytyczne uwagi kierowane są w pierwszej kolejności pod adresem polityki monetarnej - co rozumiem i z czym się zgadzam - oraz w stronę wciąż jeszcze nie w pełni zadowalających rozwiązań oraz instrumentów polityki fiskalnej. Wiele z tych uwag wykorzystałem w pracach nad przyszłorocznym budżetem, inne są uwzględnione w projektach ustaw i bieżących decyzjach w sferze polityki finansowej. Cieszy mnie także jednoznaczne poparcie, jakie organizacje przedsiębiorców wszystkich orientacji udzieliły działaniom rządu, zmierzającym do reformy sfery budżetowej i systemu ubezpieczeń społecznych. Jest to bowiem oczywiste, że **zmniejszenie skali fiskalizmu możliwe będzie tylko w przypadku redukcji obciążeń systemu finansów publicznych wydatkami na te sfery.**

Ale i z kręgów przedsiębiorców płyną sprzeczne postulaty. Z jednej strony oczekują oni mniejszych obciążeń podatkowych i ciśnienia na te składniki kosztów, które z punktu widzenia przedsiębiorstw są zewnętrzne. Z drugiej zaś strony postuluje się pod adresem budżetu podejmowanie działań, zmniejszających ry-

zyko przedsiębiorstw (na przykład w sferze inwestycji czy eksportu), co wymaga zwiększonych wydatków z kasy państwowej. Raz żąda się - i słusznie - ograniczenia ingerencji administracji w działalność gospodarczą, innym razem **wciąż jeszcze dostrzegam tęsknotę za silniejszą interwencją państwa, chroniącą rodzimych wytwórców przed konkurencją zewnętrzną; w tęsknocie tej sektor prywatny niewiele się różni od sektora państwowego.** Ponownie przeplata się arytmetyka z polityką - liczyć potrafimy wszyscy, ale jedni liczyć chcą tak, aby zawsze wyszło to na ich korzyść. Minister finansów natomiast liczyć musi zawsze na korzyść finansów publicznych oraz interesu ogólnospołecznego.

Liczyć ostatnio także musieliśmy głośno w Sejmie, ponieważ kierowane do prac w komisjach były projekty siedmiu ustaw z pakietu legislacyjnego *Strategii dla Polski* oraz cztery ustawy o budżetowe. Wszystkie one skierowane zostały przez rząd do rozpatrzenia w trybie pilnym, pracy bowiem jest ogrom, a czasu niewiele. Warto sobie uzmysłwić, że partie opozycyjne głosowały za odrzuceniem przedłożonych projektów już w pierwszym czytaniu, a więc w istocie za tym, aby parlament w ogóle nie rozpatrywał projektów ustaw! Tego typu **próby blokowania czy dyskredytowania wysiłku legislacyjnego rządu, próby hamowania tempa reform w zakresie finansów publicznych** są zastanawiające. Pokazują one, że - niestety - cała opozycyjna retoryka na temat niezbędnych reform niewiele jest warta, skoro okazuje się, że to nawet nie chodzi już tylko o opozycję wobec rządu. Jest to bowiem **opozycja wobec reform** - także tych, które wcześniej, w poprzednim układzie politycznym, deklarowane były przez obecnych opozycjonistów.

W budżecie na rok przyszły - wzmacniającym tendencje wzrostowe oraz działania reformujące finanse publiczne - zapewnione są zarazem rosnące realne środki na prawie wszystkie sfery życia publicznego. W sumie wydatki z budżetu mają zwiększyć się (po wyeliminowaniu skutków inflacji, spadającej w końcu przyszłego roku do 16,9 %) o 5,9 %. Niektórzy nazywają to arytmetyką... Teraz do akcji wkraczają inni twierdząc, że więcej to mniej. „Dowiemy się”, że minister finansów, rząd, państwo na wszystkich chce oszczędzić, nikomu nie chce dać tego, co się niby należy. Rozpoczyna się koncert życzeń - dobrych i złych. Niektórzy nazywają to polityką...

Albo wojna, albo spokój

Warszawa, 24 października 1994 r.

Sejm przyjął już tzw. ustawy okołobudżetowe, dyskutuje nad nimi Senat, prezydent czeka ze swoim podpisem, prace nad tymi dokumentami będą bowiem w trybie pilnym. Rząd natomiast kończy prace nad projektem przyszłorocznej ustawy budżetowej, która wkrótce przesłana zostanie do parlamentu. Nie jest to budżet zrównoważony w sensie dosłownym, finansowym, ponieważ zakłada on utrzymanie deficytu na mniej więcej tegorocznym poziomie w wysokości około 3,3 % produktu krajowego brutto. Ale chciałbym, aby był to **budżet zrównoważony w sensie politycznym**, gdyż w miarę rozsądnie kojarzy on nakłady wspierające rozwojową orientację polityki gospodarczej z wydatkami na cele społeczne. Warto podkreślić uruchamianie zapowiadanych w *Strategii dla Polski* rozwiązań w polityce fiskalnej, wspomagających **inwestycje w kapitał ludzki**, m.in. poprzez system ulg podatkowych związanych z wydatkami na doksztalcanie się oraz z kosztami dojazdów młodzieży do szkół. Cieszyć się trzeba, że podjęta przez kręgi opozycyjne pod pozorem niebezpieczeństwa rozrastania się tzw. szarej strefy próba zablokowania tych rozwiązań - korzystnych zwłaszcza dla pracowników sfery budżetowej, w tym nauczycieli i lekarzy - nie powiodła się.

Podnosi się temperatura dyskusji wokół budżetu. Tak politycy koalicji, jak i zwłaszcza opozycji, zgłaszają postulaty i formułują oczekiwania, które często oderwane są od realiów naszych finansów publicznych. Niezależnie od rekordowo wysokiego wzrostu wydatków przyszłorocznych - realnie aż o prawie 6 % - raz jeszcze chcę powtórzyć, że **to programy działań dostosowane muszą być do sytuacji finansowej państwa, a nie odwrotnie**. Jeśli zatem usłyszałem przed paroma dniami z ust pedagoga gromkie słowa, że nakłady na oświatę muszą wzrosnąć pod kątem potrzeb, bez względu na to, jaka jest sytuacja finansowa, to zaczynam obawiać

się o jakość wiedzy przekazywanej naszym uczniom. Jakby bowiem trudno nie było, musi jednak być zdroworozsądkowo. Nieracjonalne żądania i wiecowe pokrzykiwania pozostawić trzeba opozycji; jej też nie jest łatwo. Ale od tego środków nie przybywa. Natomiast lepszych sposobów ich rozdysponowania poszukiwać należy wyłącznie w spokojnych, rzeczowych negocjacjach, to bowiem przynosi owoce.

W wyniku takich właśnie negocjacji z kierownictwem OPZZ - ! w świetle podjętych ostatnio przez Sejm decyzji w sprawie niewielkich modyfikacji podatkowych na rok przyszły, a także w rezultacie prac nieustannie prowadzonych w Ministerstwie Finansów - pojawiły się **możliwości istotnego zwiększenia skali przewidywanych na 1995 rok wynagrodzeń pracowników sfery budżetowej**. Pierwotnie zakładano ich wzrost tylko o 2 punkty procentowe powyżej przewidywanej ścieżki inflacji. Obecnie chcę zaproponować rządowi - a później parlamentowi, wymaga to bowiem rozstrzygnięć ustawowych - wzrost o 5 do 6 punktów procentowych powyżej inflacji. Oznaczałoby to **wzrost przeciętnej płacy realnej w sferze budżetowej o blisko 5%**. Wówczas płaca średnia tej grupy naszego społeczeństwa — a liczy ona prawie dwa i pół miliona osób, co wraz z rodzinami oznacza poprawę warunków życia dla blisko 10 milionów osób - zwiększyłaby się z 4.968.000 w grudniu tego roku do 6.384.000 w grudniu 1995 roku. Zważywszy na fakt, że będzie to już po denominacji, płaca ta wyniesie faktycznie 638 złotych i 40 groszy.

Ten wzrost powinien być skutkiem dwu regulacji. Pierwsza z nich — tj. podwyżka średnio o 480 tys. złotych - miałyby miejsce w styczniu, zaś druga - około dwukrotnie większa - zrealizowana byłaby w połowie przyszłego roku. Do dalszych dyskusji i negocjacji z zainteresowanymi partnerami społecznymi pozostaje kwestia, jak rozłożyć te podwyżki pomiędzy różne grupy zawodowe, a w ich ramach między poszczególne stanowiska zaszeregowania pracowników. Być może, że podczas prac w komisjach sejmowych dojdziemy do wniosku, iż są grupy zawodowe, które powinny partycypować w tym wzroście wynagrodzeń w stopniu ponadprzeciętnym. To łatwa część odpowiedzi. Ale to oznaczać musi, że w 1995 roku w stosunku do innych grup podwyżki będą mniejsze niż średnie. Jakie to grupy? Jeśli wśród tych pierwszych plasować

można by pracowników oświaty i nauki - zgodnie zresztą z priorytetem inwestowania w kapitał ludzki - to kto ma się znaleźć wśród tych drugich? Wydaje się, że powinny to być grupy, które mniej straciły na początku lat dziewięćdziesiątych, a ostatnio nawet odczuwalnie poprawiły swoją sytuację materialną.

W ubiegłym tygodniu uczestniczyłem w dwu ważnych - także z tego punktu widzenia - spotkaniach, a mianowicie w konferencji na temat *Spoleczny wymiar reform w Polsce* zorganizowanej przez „Solidarność” w Toruniu oraz w Zjeździe Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie. Otóż zbyt wiele formuluje się przy takich okazjach żądań, bynajmniej nie określając klarownie, **czym kosztem mają być realizowane preferencje dla konkretnych grup pracowników?** Trzeba mieć odwagę, aby powiedzieć jasno, do kogo w tym samym czasie mają być skierowane - choćby przejściowo tylko - dyspreferencje.

Z kolei na warszawskim zjeździe nauczycieli - po dobrym odbiorze przedstawionej oferty w sprawie wzrostu płac - przyjęto uchwałę, która nie nosi znamion negocjacyjnego stosunku do kwestii podziału grosza publicznego, ale raczej trąci podejściem konfrontacyjnym. Oderwane od realiów ekonomicznych, populistyczne - nazywając rzecz po imieniu - żądania wzrostu nakładów na oświatę ponad możliwości państwa nie zwiększają szans na poprawę warunków funkcjonowania systemu naszej edukacji. W przyszłorocznym budżecie zakłada się **realny wzrost nakładów na oświatę, poprawę sytuacji materialnej nauczycieli na odczuwalną skalę, ulgi podatkowe z tytułu inwestowania w kapitał ludzki, wsparcie dla rodzin dzieci dojeżdżających do szkół.** To udało się wynegocjować. Szantażem i anrybudżetową retoryką nic nie udało się wywalczyć. Co najwyżej to, że proponowany wzrost płac nie obróci się we wzrost realny, bo pożarty zostanie przez inflację.

Sensowne wdrożenie proponowanych podwyżek wymaga utrzymania twardej dyscypliny finansowej, aby nie przekroczyć założonej w projekcie przyszłorocznego budżetu ścieżki inflacji. **Jest to część przedstawianej tu oferty - może być ona przyjęta albo odrzucona, jednakże jej akceptacja oznacza akceptację przyszłorocznego budżetu z nieprzekraczalnym deficytem na poziomie około 88 bilionów złotych.** Zwiększona skala wzrostu wynagrodzeń dla sfery budżetowej w 1995 roku pociąga za sobą

w sumie dodatkowe wydatki z budżetu państwa w wysokości 7,3 biliona złotych. W skali mikro oznacza to dochody dla pracownika sfery budżetowej większe o prawie 9 milionów złotych (brutto). Dlatego też teraz **razem trzeba bronić budżetu**, aby ten przyrost przerodził się w zakładany wzrost płac realnych.

Na interesującej i wartościowej skądinąd konferencji w Toruniu przewodniczący jednego z regionów konfrontacyjnie zareagował na ofertę w sprawie partnerskich stosunków pracy i negocjacyjnego mechanizmu kształtowania wynagrodzeń. Usłyszałem, że nie ma żadnych szans na jakiegokolwiek zaufanie; ubolewam nad tym. I dodał: **tylko wojna**. Nawet jeśli marzy się ona jeszcze jakimś szaleńcom, to odpowiadam - **tylko spokój**. Tylko spokój nas uratuje. Albo będzie budżet - a jego już opracowany projekt jest otwarty na spokojnie negocjowane zmiany, poprawki i uzupełnienia - albo nie będzie możliwości rozwoju. Ale wówczas natychmiast pogorszy się ponownie sytuacja pracowników sfery budżetowej. Chcemy ją odczuwalnie poprawić, począwszy już od 1995 roku. Czy to jest oferta do odrzucenia?

Czyste sumienie

Warszawa, 28 października 1994 r.

W poprzednim tygodniu - chcąc podkreślić konieczność spokojnych dyskusji i koncyliacyjnego podejścia do prób *rozwiązywania* sporów, w które jesteśmy uwikłani - zatytułowałem swój artykuł *Oferta*. Wyłożone tam poglądy wciąż bowiem pozostają moją propozycją dla tych, którzy chcą i potrafią w sposób partnerski dyskutować o różnicach interesów i poszukiwać pragmatycznych rozwiązań nurtujących nas problemów społecznych i gospodarczych. Redakcji „Polityki” tytuł taki nie przypadł jednak do gustu; być może nie chce mnie widzieć w piórach gołębia, uważając, że bardziej i mnie do twarzy w przebraniu jastrzębia. Stąd pewnie nie mój tytuł *Albo wojna, albo spokój* do mojego jednakże tekstu.

Trzeba jednak **zachować spokój**, bo czasy są trudne, a polityków jeszcze bardziej utrudniających i tak niełatwe polskie reformy jakby znowu przybywa. A minął właśnie rok od utworzenia naszego rządu. Rok niełatwy, kontrowersyjny, ale przynajmniej rok znaczącego wzrostu produkcji. Jest ona aż o 13,1 % wyższa, co powinno być powodem do zadowolenia, choć niektórzy się tym martwią. Trudno zachować spokój, skoro wciąż chce się wyznawać zasadę „im gorzej - tym lepiej”, a tu raptem rok minął, nie tylko nie ma „katastrofy narodowej”, ale nawet nie widać „kroczącej destrukcji”. Jest lepiej, chociaż problemów nie brakuje. Wydaje się, że rosnące w niektórych kręgach zniecierpliwienie wynika m.in. z faktu skumulowania się negatywnych efektów spadku dochodu narodowego w minionych latach. Obecnie - pomimo odnotowywanego już wzrostu w odniesieniu do coraz szerszych kręgów społeczeństwa, choć z pewnością nie wobec wszystkich jego grup - nawet kilkuprocentowy, realny wzrost **strumienia** dochodów nie rekompensuje niezadowolenia, wynikającego z daleko większej redukcji **zasobów**, jaka miała miejsce w pierwszej fazie transformacji.

Wielu polityków - tak tych zadowolonych z tego, że jest lepiej, jak i tych, którzy z tej samej przyczyny są zmartwieni - coraz wdzięczniej przegląda się w kamerach telewizyjnych, licytując się, o ile to muszą wzrosnąć wydatki z budżetu na cele, od realizacji których zależy ich polityczna koniunktura. **Obejmując dokładnie pół roku temu stanowisko wicepremiera do spraw gospodarczych i ministra finansów, nie zdawałem sobie absolutnie sprawy, jak wielka w polityce może być doza partykularyzmu, a niekiedy nawet cynizmu.** W odniesieniu do opozycji jest to w pełni zrozumiałe. Dziwiłbym się nawet, gdyby było inaczej. Nie ma bowiem potrzeby odpowiedzialnego zachowania się i ponoszenia politycznego ryzyka za trudną walkę o równowagę finansową, jest natomiast kolejna okazja do dającego tanią popularność koncertu życzeń na temat konieczności zwiększenia wydatków na bez mała wszystko kosztem - oczywiście - niczego, a najlepiej dzięki jeszcze niższemu podatkowi...

W przypadku koalicji zaś (a nie inaczej było podczas funkcjonowania poprzednich konstelacji politycznych) żądania zagrażające i tak bardzo kruchej równowadze finansów publicznych są wyrazem swoistej aberacji naszych stosunków politycznych. **Obowiąz-**

kiem wszystkich członków rządu i koalicyjnych posłów oraz senatorów jest obrona budżetu przed próbami jego rozbicia, a nie skoncentrowany atak na propozycje podziału grosza publicznego pod kątem realizacji naszego przecież programu *Strategia dla Polski*. Światła polityka powinna polegać na wspieraniu proponowanych proporcji w zakresie dochodów i wydatków budżetu oraz osłanianiu ich przed zewnętrznymi naciskami, a nie na wspomaganiu tej presji. Od tego nie przybywa środków, tylko kłopotów. Środków natomiast - po decyzjach Sejmu i Senatu w sprawie ustaw okołobudżetowych i po pewnych korektach dokonanych w Ministerstwie Finansów - będzie realnie aż o 6,6 % więcej, niż w roku bieżącym. W rezultacie wydatki, przekraczające 911 bln zł, zwiększą się o 6,7 %.

Rząd zatwierdził takie właśnie wskaźniki i proporcje, utrzymując proponowany poziom deficytu w wysokości 87,8 biliona złotych. Zaaprobowane zostały także propozycje - a w ślad za nimi natychmiast skierowana została do Sejmu stosowna autopoprawka do przedłożonego wcześniej projektu ustawy - w sprawie podwyższenia skali wzrostu przeciętnych płac w sferze budżetowej w przyszłym roku do wysokości 5 punktów procentowych powyżej zakładanej ścieżki inflacji. W skali makroekonomicznej oznacza to dodatkowy koszt dla budżetu w wysokości 6,4 biliona złotych. Najważniejsze wszakże jest to, że w ten sposób **uda się nieco poprawić sytuację materialną pracowników sfery budżetowej, a zwłaszcza nauczycieli i lekarzy**. Ostatecznie budżet zatwierdzony jest przez rząd w tym tygodniu i na początku listopada znajdzie się w Sejmie; i to jest odpowiedź. Kiedy stamtąd wyjdzie - to już jest pytanie.

Mam nadzieję, że dostatecznie szybko, aby móc skoncentrować uwagę w jak największym stopniu na tworzeniu dochodu narodowego, a nie na jego podziale. Ma on wzrosnąć w przyszłym roku o 5 %, chociaż uważam, że jest wiele przesłanek przemawiających na rzecz jeszcze większego wzrostu - nawet w granicach 6 do 7 % (w ujęciu realnym w odniesieniu do PKB). Ale to wymaga spokoju. Na tym tle niepokoić musi groźba pewnej destabilizacji, jaka wiąże się z dziwnie prowadzoną akcją tzw. *czystych rąk*. Zupełnie niepotrzebne (a może komuś potrzebne?) pomylenie implikacji ustawy z 1992 roku (tzw. antykorupcyjnej) z ustawą z 1981 roku o wy-

grodzeniu osób zajmujących kierownicze stanowiska państwowe, wprowadziło wiele komplikacji.

Kieruję resortem finansów -jednym z najważniejszych i najbardziej obciążonych obowiązkami w naszym państwie - w którym wiele osób zasiada w radach nadzorczych firm z udziałem Skarbu Państwa. Są to wybitni fachowcy, którzy dodatkowym nakładem pracy, poświęcając swój czas, pilnują interesów społecznych i dbają o finanse publiczne, czyli także o pieniądze podatnika, głównie w bankach oraz w instytucjach ubezpieczeniowych i finansowych. Według opinii Biura Prawnego Kancelarii Prezydenta i Biura Prawnego Urzędu Rady Ministrów, o które poprosiło jeszcze w ubiegłym roku Ministerstwo Finansów, wątpliwość co do możliwości pobierania gratyfikacji za pełnienie dodatkowych obowiązków została wyjaśniona następująco: *Osoby zajmujące kierownicze stanowiska państwowe mogą zajmować stanowiska we władzach spółek z udziałem Skarbu Państwa. Jak wiadomo z tytułu zajmowanego stanowiska we władzach spółki z reguły jest przyznawane wynagrodzenie. Brak jest wszakże podstaw do kwalifikowania tego wynagrodzenia jako wynagrodzenia związanego z pełnieniem funkcji publicznej w rozumieniu art. 4 ustawy z 1981 roku (...) nie ma przeszkód prawnych do pobierania wynagrodzenia przez osoby zajmujące kierownicze stanowiska państwowe z tytułu ich udziału we władzach spółki.* Tyle mówi uzyskana wykładnia prawa.

Jeśli dzisiaj ktoś twierdzi, że jest inaczej, to trzeba i tę kontrowersję spokojnie wyjaśnić do końca; są ku temu powołane właściwe instytucje. I o takie **jednoznaczne** wyjaśnienie będę zabiegał. Nie można bowiem bezkarnie pomawiać ludzi uczciwych o nieuczciwość, nie można szargać publicznie nazwisk ludzi pracujących w dobrej wierze i z najlepszą wolą dla swojego państwa. Jeśli zostali oni powołani na określone stanowiska wbrew obowiązującym zasadom - a można mieć w świetle przytoczonej interpretacji wątpliwości w tej sprawie - to należy ich odwołać albo poprosić o społeczne pełnienie zadań czy też oddelegować ich do tej pracy. Ale z pewnością nie można ich obrażać, skoro w przytłaczającej większości przypadków mają oni nie tylko czyste ręce, ale także czyste sumienie.

Koalicja szerokiego porozumienia

Warszawa, 7 listopada 1994 r.

Atmosfera polityczna w Polsce zagęszcza się. Trzeba uciec do przodu przed niebezpieczeństwami, jakich może dostarczyć procesowi reform gospodarczych nasza scena polityczna, choć czasami bardziej przypomina to arenę. Tym bardziej ponownie pora na udzielenie kilku fundamentalnych odpowiedzi ekonomisty i postawienie wielu zasadniczych pytań politykom.

Podczas publicznej prezentacji *Strategii dla Polski* sformułowałem pogląd, że niektóre **reformatorskie przedsięwzięcia powinny zostać wyłączone z obszaru walki politycznej w wyniku porozumienia parlamentarnego**. Chodziło mi zwłaszcza o te przedsięwzięcia, które - onegdaj zainicjowane przez aktualną opozycję - obecnie są kontynuowane przez koalicję SLD-PSL oraz o te, które - ze względu na swój wieloletni horyzont - dziś wszczynane przez koalicję będą kiedyś zapewne dopełniane przez obecną opozycję lub też z jej udziałem w innym niż teraz charakterze. Ta myśl była swego rodzaju ofertą, od przyjęcia której uzależniałem wtedy i warunkuję także teraz dokonanie w Polsce niezbędnych reform w takich kluczowych dziedzinach, jak **system zabezpieczenia społecznego, inwestycje w kapitał ludzki, rekonstrukcja polskiej wsi i rolnictwa, a także w odniesieniu do polityki redukcji długu publicznego i procesu naszej integracji z Unią Europejską**.

Istota tej propozycji sprowadza się do bardzo prostej zasady: odpowiedzialni politycy nie powinni robić tego, co - nawet osłabiając oponenta - w nich samych uderza. Odnoszę ostatnio wrażenie, że niektórzy prominentni politycy gospodarczy opozycji jakby pogodzili się z tym, że w żadnym przypadku nie grozi im w najbliższym czasie przejęcie współodpowiedzialności. Chcieliby bowiem ponownie stosować żenujące podejście typu im gorzej, tym lepiej. Zupełnie niepotrzebnie, ponieważ odpowiedzialna opozycja winna

formułować alternatywne wobec rządowych rozwiązania, a nie stosować programową negację. Odpowiedzialna opozycja nie może stosować obstrukcji wobec czegoś, co sama musiałaby zrobić będąc u władzy. Jeśli wybitna posłanka Unii Wolności - Barbara Labuda - przyznaje, że w kuluarach jej znający się na rzeczy koledzy mówią o budżecie, że „...gdyby przygotowała go ich partia, to byłby zupełnie w porządku” (cyt. za „Gazetą Krakowską” z dnia 2 listopada), to wierzę, iż wkrótce powiedzą to także w Sejmie, miast tracić tak cenny czas i energię na bezproduktywne próby psucia tego podstawowego planu finansowego państwa.

Testem tak koalicyjnej, jak i opozycyjnej odpowiedzialności będzie niewątpliwie debata budżetowa. Już od ubiegłego tygodnia - rekordowo wcześniej - **budżet jest w Sejmie**; Sejm w budżecie zmieni, być może, proporcje pewnych wydatków. W tym świetle nie oczekuję bynajmniej na bezkrytyczne przyjęcie rządowego przedłożenia. Istotne będzie natomiast, za co i jak będzie ono krytykowane. Jeśli treścią tej krytyki będzie propozycja innej struktury wydatków budżetowych, mieszcząca się w makroekonomicznych ramach, które zostały nakreślone w projekcie budżetu, wówczas możliwe oczywiście będzie poszukiwanie kompromisu. Jeżeli natomiast krytyka zostanie sprowadzona do licytacji nierealistycznych żądań, których spełnienie rozsadałoby te ramy - a takie próby podejmowane są już podczas prac nad projektem, na przykład ustawy o kształtowaniu wynagrodzeń w sferze budżetowej - wówczas zbliżenie stanowisk nie będzie możliwe. I to nie z winy rządzącej koalicji. Ta strona bowiem **otwarta jest na twórcze współdziałanie**.

Zbliżająca się debata budżetowa - po raz pierwszy stwarzająca szansę uchwalenia budżetu przed końcem roku - może być interesującym politycznie dialogiem i poszukiwaniem mądrego kompromisu. Może też być serią niefrasobliwych monologów, wygłaszanych w przekonaniu, że **to tylko rządząca koalicja odpowiada za finanse publiczne i równowagę makroekonomiczną, opozycja zaś może budować swą łatwą popularność, rozbudzając niezszechalne oczekiwania**. Taką goryczą okraszoną opinię mógłbym sformułować także na przykład dwa lata temu - przy zupełnie innej przecież konstelacji politycznej. Wynika stąd wniosek, że parlament może być politycznym teatrem, w którym

każdy aktor wygłasza swoje kwestie wyłącznie po to, aby być usłyszany przez publiczność, która go wybrała, grając rolę raz opozycji, innym razem koalicji (a jeszcze innym opozycji w koalicji, o czym warto przypomnieć na tydzień przed spotkaniem parlamentarnych klubów koalicji SLD-PSL). Może on wszakże też być miejscem twórczego zderzania się różnych racji ekonomicznych i politycznych oraz ścierania się odrębnych stanowisk. Uaktywnieniu tej drugiej opcji, a zwłaszcza ustaleniu zasad współpracy, służyło m.in. moje ubiegłotygodniowe spotkanie z bardzo doświadczoną w budżetowych debatach posłanką Wiesławą Ziółkowską z Unii Pracy. Wierzę, że jej kunszt w prowadzeniu prac nad budżetem w sejmowej komisji stworzy dobre warunki do poszukiwania jeszcze lepszych rozwiązań niż te, które zaproponował rząd. **Budżet bowiem to nie tylko dokument finansowy, to także wyraz kompromisu politycznego.**

Wierzę - bo chcę i muszę jako polityk gospodarczy wierzyć - że dominować będzie nastawienie na szukanie mądrego kompromisu. Drugie podejście - zmierzające do nasilania konfrontacji i zupełnie zbytecznego mnożenia trudności, których i tak nie brakuje - musi zostać zepchnięte na margines. Wierzę więc, że przy okazji dyskusji nad ustawą budżetową może powstać **koalicja szerokiego porozumienia**. Poza nią pozostać muszą tylko ci, którzy swą polityczną przyszłość chcą budować na wykazywaniu parlamentarnej niemości i prowokowaniu sił autokracji. Marnie im wróżę, a jeszcze gorzej życzę.

Senator Piotr Andrzejewski z Unii Wolności, podczas niedawno odbytej debaty nad programem gospodarczym rządu i jego realizacją, postulował wręcz utworzenie „przymierza dla *Strategii dla Polski*”. Odbieram to jako bardzo znaczący sygnał, że narasta powoli przekonanie - także w kręgach elit aktualnej (nic nie trwa wiecznie...) opozycji - iż fundamentalne problemy polskiego społeczeństwa i gospodarki należy rozwiązywać, krocząc szerszym niż dotychczas frontem. **Z ekonomicznego punktu widzenia nie ma aż tak wielkich różnic między partiami obecnej koalicji i czołowymi ugrupowaniami parlamentarnej opozycji, aby niemożliwe było połączenie sił politycznych w koalicji szerokiego porozumienia.** Nie jest to łatwe, ale co dziś jest łatwe?!

W co wierzę - to jedna sprawa, a co wiem - to druga. Otóż już wiem - w rok po przygotowaniu założeń i w pół roku po przedstawieniu rozwiniętego programu *Strategia dla Polski* - że koalicja szerokiego porozumienia nie może zawiązać się tylko wokół nadrzędnych racji ekonomicznych i społecznych. Nie można dzielić się tylko odpowiedzialnością za budżet, gospodarkę, Polskę. Trzeba także poszerzyć bazę, włączając do niej inne kręgi polityczne. Może warto znaleźć miejsce na jakiś okrągły stół? Tutaj naprawdę chodzi o coś zasadniczego - chodzi o koalicję szerokiego porozumienia, o czego zależy także sukces transformacji polskiej gospodarki.

Policjanci i złodzieje

Warszawa, 14 listopada 1994 r.

W tym tygodniu parlament przystępuje do debaty budżetowej. Nigdy nie jest ona łatwa, ale jestem dobrej myśli, zważywszy wszystkie plusy i minusy projektu oraz ogólną sytuację gospodarczą. Gdyby tylko od tego zależało przygotowanie budżetu, jego przeprowadzenie i późniejsza realizacja, to byłoby dużo łatwiej prowadzić politykę ekonomiczną i finansową. Można by zakładać, że budżet zostanie szybko przyjęty przez parlament i podpisany przez prezydenta. Ale jest jeszcze polityka. Dostarczy ona znowu jednym wiele emocji, innym stworzy dużo trudności, a pożytku z tego będzie niewiele.

Jeśli przewodniczący Solidarności, nie znając w pełni projektu budżetu, a rozumiejąc z niego jeszcze mniej - zapowiada apel do prezydenta o niepodpisanie budżetu, jeśli nie spełni się nieziszczalnych skądinąd postulatów, to zaczęła się już kampania czysto polityczna. Publiczne pomawianie rządu o ukrycie (?) w budżecie kilkudziesięciu bilionów złotych w celu wyasygnowania ich na podwyżki w trakcie kampanii wyborczej nie jest przecież tylko wyrazem analfabetyzmu ekonomicznego. Tu chodzi wyłącznie o jątrzenie, co niektórzy nazywają polityką. **Trzymam się więc deklaracji prezydenta Wałęsy, który zna i dobrze rozumie**

podstawowe założenia oraz proporcje budżetu, że jeśli Sejm przyjmie dobry budżet, to zostanie on szybko podpisany.

Pozostaje, oczywiście, do rozstrzygnięcia **dylemat, czy jest to dobry budżet** i kto ma prawo to rozsądzić? Otóż jedynie parlament. Uwzględniając wszystkie opinie, zwłaszcza bardziej krytyczne, zgłaszane przez różne środowiska, organizacje i grupy interesu, to parlament oceni rekordowo wcześniej przygotowany przez nasz rząd projekt. Wiele zależy od stanowiska sejmowych klubów koalicji SLD i PSL, które spotykają się w tym tygodniu. Mam nadzieję, że będą się spotykać częściej, bo problemów nie brakuje, a sprawny system ich politycznego rozwiązywania niestety nie zawsze istnieje. Spotkanie posłów partii rządzących jest o tyle zasadnicze dla przyszłorocznego budżetu, że często pytani są oni we własnych środowiskach o stopień realizacji swoich programów wyborczych. Po onegdajszej krytyce poprzednich budżetów, dzisiaj trzeba bronić własnego. Czy jest to możliwe?

Z pewnością tak. Jeśli ktoś twierdził z górą rok temu, że *tak dalek być nie musi*, to już dzisiaj śmiało może powiedzieć - i *nie jest*. Budżet na 1995 rok w rozsądny sposób wspomaga realizację za- 1
powiadanych przez obecną koalicję działań. A to, że oczekiwania zostały często rozbudzone ponad miarę i ich realizacja zajmie więcej czasu, to już inna sprawa. Najważniejsze bowiem jest to, że przyszłoroczny budżet - w odróżnieniu od budżetów realizowanych przez obecną opozycję - nie jest budżetem dalszych cięć nakładów, ale ich umiarkowanego zwiększania. Dotyczy to w zasadzie wszystkich sfer życia społecznego. Jest to **budżet wzrostu**, ponieważ opiera się on na szybkim wzroście dochodu narodowego - z jednej strony - a zarazem gwarantuje więcej środków na wspomaganie tendencji rozwojowych, m.in. przez znaczące zwiększenie limitu gwarancji i poręczeń budżetu na kredyty inwestycyjne, głównie infrastrukturalne, oraz dokapitalizowanie instytucji ubezpieczających eksport i bezpieczeństwo obrotu gospodarczego - z drugiej strony. Zawiera on także środki, które umożliwią uruchomienie programu budowy autostrad, co przyniesie także duże efekty mnożnikowe.

Jest to także **budżet lepszego zaspokajania potrzeb społecznych**. I jeśli dzisiaj słyszy się tyle pretensji - także w łonie koalicji - na temat opóźnień na tym polu, to nie należy ich kierować pod

adresem własnego budżetu, ale w stronę tych, którzy w przeszłości doprowadzili do pogorszenia sytuacji w takim stopniu, że obecnie _ pomimo wzrostu realnych nakładów - można ją poprawić w ograniczonym tylko zakresie.

Budżet na 1995 rok wznaga już wyzwoloną - zgodnie z priorytetami zapisanymi w *Strategii dla Polski* - **tendencję do redukcji społecznych kosztów reform**. Odzwierciedla się to m.in. w uruchomieniu właśnie w tym tygodniu systemu dopłat do czynszów mieszkaniowych dla najuboższych grup społecznych, w spadku bezrobocia, we wzroście realnych rent i emerytur oraz płac pracowników sfery usług społecznych, w tym w stopniu ponadprzeciętnym w odniesieniu do szkolnictwa wyższego i opieki społecznej.

Wreszcie jest to **budżet reform**. Daje on bowiem, poprzez zwiększone realnie nakłady, pewne pole manewru dla zintensyfikowania niezbędnych reform, ale zarazem wymusza dalsze procesy dostosowawcze - tak w sferze produkcji, jak i w sferze usług społecznych, zwłaszcza w służbie zdrowia i oświacie. Nie warto zatem tracić czasu na licytację, komu więcej na co brakuje, ale trzeba poważnie wziąć się do zreformowania wielu sektorów polskiej gospodarki i instytucji publicznych. Temu służyły także moje niedawne spotkania z różnymi środowiskami w Katowicach, gdzie problemów strukturalnych nagromadziło się szczególnie dużo, a także z wybitnymi profesorami z Komitetu Badań Naukowych. Nakłady na badania w Polsce rosną, ale w coraz większej mierze przyrost ten będzie pochodził ze źródeł pozabudżetowych. I to jest właściwy kierunek reform - nie tylko na tym obszarze - który wspomagamy także nowymi rozwiązaniami fiskalnymi w postaci dodatkowych ulg podatkowych.

Nie spodziewam się raczej w łonie koalicji krytyki, że budżet na 1995 rok jest „za duży”, w tym sensie, że rośnie nieco redystrybucja dochodu narodowego. Ale taka jest konieczność wynikająca z charakterystyki obecnej fazy transformacji. Taki jest także imperatyw polityczny, budżet bowiem, który nie zyskałby akceptacji społecznej, byłby złym budżetem. A na akceptację liczyć można tylko gwarantując określony wzrost nakładów ze wszystkimi tego konsekwencjami po stronie dochodów, a więc przede wszystkim podatków. Wobec tego - pamiętając o zakładanych w *Strategii dla Polski* proporcjach, które są pożądane z punktu widzenia długofa-

lowego rozwoju - rok 1995 nie będzie jeszcze tym rokiem, kiedy to wydatki rosnąć będą wolniej od dochodów, a jedno i drugie wolniej od dochodu narodowego. Ale warto już dzisiaj podkreślić, że tak będzie po roku 1995.

Krytyka ze strony opozycji natomiast będzie bardzo różna. Wolałbym co prawda, aby była słuszna, ale niewiele dajemy do tego powodów. Obawiam się wobec tego demagogii, której słyhać już coraz więcej. Szczególnego zabarwienia nabiera ona, jeśli towarzyszy jej obłuda polityków, którzy niedawno sami musieli borykać się z podobnego typu niemerytorycznymi atakami. Zemsta z za politycznego grobu? Za wcześniej, trzeba jeszcze kilka problemów **razem** rozwiązać. Ale jak to zrobić, skoro jeden z liderów Unii Wolności - a do niedawna Kongresu Liberalno-Demokratycznego, którego polityka została w demokratycznych wyborach jednoznacznie negatywnie oceniona przez społeczeństwo - wraz z byłym ministrem finansów, który pamięta jeszcze (chyba), co oznaczał deficyt w wysokości 6,9 proc. w 1992 roku, kiedy to miał okazję prowadzić politykę finansową, której skutki jeszcze długo będziemy odczuwać, nie cieszą się z innymi, że deficyt w latach 1994-95 wynosi ponad dwa razy mniej?

Rozumiem, że to nie jest „ich” budżet, ale czy oni nie rozumieją, że to jest nasz budżet? Dlaczego zgłaszają nonsensowne postulaty o równoczesnym obniżeniu wpływów o 20 bilionów poprzez obniżenie podatków (sami tego nie zrobili), oraz... o zwiększeniu wydatków na - i tutaj wymienia się z reguły te same, prawie wszystkie sfery usług społecznych, uważając, aby nikogo nie pominąć, bo podlizać się warto każdemu. Zwłaszcza, jak nie ponosi się za to żadnej odpowiedzialności. Ale przecież może przyjść czas, kiedy trzeba będzie ją ponieść. Myśleć trzeba tak w koalicji, jak i w opozycji. Naprawdę warto. Nie warto natomiast bawić się w polityce w policjantów i złodziei poprzez zgłaszanie postulatów, które niedawno samemu zwalczało się słusznie jako niedorzeczne. Ale w sumie chyba nie jest tak źle, skoro atakując budżet opozycyjni politycy muszą uciekać się do tak żenujących prób osłabienia pozytywnej wymowy przyszłorocznego budżetu. No cóż, to ich zmartwienie. Ja mam dosyć własnych.

Dobijanie inflacji

Warszawa, 21 listopada 1994

Pomiędzy sierpniem 1989 roku a wrześniem 1993 roku ceny poszły w górę aż czterdziestokrotnie. Po pierwszych ośmiu miesiącach (sierpień '89 - marzec '90), kiedy to wysoka inflacja była ściśle związana z liberalizacją gospodarki, podczas trzech kolejnych kwartałów 1990 roku i w roku 1991 ceny wzrosły o ponad 70 proc., tj. 4,6 proc. miesięcznie, chociaż zapowiadano wówczas, że inflacja bardzo szybko spadnie poniżej 1 proc. miesięcznie. Proces ten zająć musi wszakże więcej lat. W bieżącym roku udaje się obniżyć inflację do około 32 proc. średnio rocznie, czyli 2,3 proc. miesięcznie. Licząc od grudnia do grudnia (a więc uwzględniając wyłącznie tegoroczny ruch cen, bez skutków przechodzących z roku ubiegłego) poziom cen zwiększył się nieco wolniej, bo o około 28 proc. W roku 1995 -jeśli zostaną zrealizowane kierunki polityki gospodarczej i proporcje finansowe, przedstawione w ubiegłym tygodniu Sejmowi wraz z ustawą budżetową - tempo wzrostu cen powinno się znacznie obniżyć, do 16,9 proc. Byłoby to 1,3 proc. miesięcznie; natomiast poniżej 1 proc. inflacja może spaść dopiero w 1996 roku.

Wskaźnik „grudzień do grudnia” jest niekiedy mylony ze wskaźnikiem średniorocznym; jest on także czasami kwestionowany, zwłaszcza przez polityków opozycyjnych. Dlaczego? W obu przypadkach z tego samego powodu. Wskaźnik średnioroczny - z natury rzeczy - jest wyższy, sprawia więc mniej korzystne wrażenie. Natomiast podważanie wskaźnika prognozowanego przez instytucje rządowe służy zarówno podważaniu wiarygodności rządu, jak i podbijaniu oczekiwań inflacyjnych. Jest to szczególnie niebezpieczne, ponieważ mechanizm **inflacji w Polsce w bardzo dużym stopniu wspomagany jest właśnie siłą oczekiwań inflacyjnych oraz bezwładnością (inercją) tego procesu.**

Im większej inflacji spodziewają się podmioty gospodarcze i uczestnicy życia społecznego - przedsiębiorstwa, banki, inwestorzy, gospodarstwa domowe, związki zawodowe, rynek kapitałowy, bank centralny, rząd itd. - tym wyższy będzie jej rzeczywisty poziom. Do oczekiwanej bowiem inflacji dostosowywane są niektóre podstawowe parametry polityki monetarnej, w tym zwłaszcza stopa procentowa, a także przyrosty strumieni finansowych w postaci różnego typu dochodów.

Inflacja w Polsce jest w coraz większym stopniu procesem o charakterze inercyjnym, dlatego też jej przewyciężanie jest tak trudne. Nie ulega najmniejszej wątpliwości - a wynika to również z doświadczeń wielu innych krajów, które wyszły z fazy galopującej inflacji - że łatwiej jest zbić inflację z 700 procent do 70, niż z 70 do 7, czy też z 7 do 0,7, aczkolwiek w każdym przypadku mamy do czynienia z dziesięciokrotnym obniżeniem jej stopy.

Mówiąc o trudnościach polityki antyinflacyjnej mam na myśli nie tylko czas schodzenia z jednej ścieżki na drugą, niżej położoną, ale także koszty towarzyszące tym działaniom. W latach 1989-92 były one w sposób oczywisty zbyt wysokie, co zresztą znalazło wyraz w kolejnych wyborach, podczas których społeczeństwo oceniło nikłą skuteczność polityki gospodarczej. Ale inflacja związana jest wieloma niemi z innymi zjawiskami i procesami, przede wszystkim z poziomem zatrudnienia, dynamiką produkcji i bilansem handlowym. Na wszystkich tych obszarach w bieżącym roku następuje istotna poprawa. Pragnę to podkreślić, ponieważ jeszcze przy okazji prezentacji *Strategii dla Polski* usiłowano podnosić argumenty, że nie jest do pogodzenia realizacja wszystkich tych celów jednocześnie, a zwłaszcza zbijania inflacji i redukcji bezrobocia.

Fakty dowodzą, że to jest możliwe, jeśli właściwie skompletowane są instrumenty polityki gospodarczej, zwłaszcza finansowej i handlowej. Stopa inflacji spada między grudniem 1994 roku a grudniem 1993 roku aż o 10 punktów procentowych (z 38 do 28), a zarazem udaje się zatrzymać wzrost bezrobocia i rozpocząć jego spadek. **O ile bowiem podczas pierwszych dziesięciu miesięcy 1993 roku bezrobotnych przybyło aż 300 tysięcy, to w tych samych miesiącach bieżącego roku bezrobocie spadło o ponad 40 tysięcy.** Zasadniczo także zmienił się bilans handlowy Polski,

INFLAGJA



W. MISYKOWSKI

co jest skutkiem zorientowanego na eksport wzrostu gospodarczego. Najważniejsze, że bilans ten poprawia się nie w wyniku ograniczania skali importu, ale poprzez znacznie szybszy wzrost eksportu.

Powstaje wobec tego pytanie, **czy inflacja mogłaby być w tym roku nieco niższa?** W budżecie na 1994 r. założono jej poziom poniżej 24 proc. i teraz niektórzy usiłują podnosić larum z powodu przekroczenia tego wskaźnika. Wzmaga to niepotrzebnie (?) oczekiwania inflacyjne, co z kolei może osłabić z takim trudem wywołaną tendencję antyinflacyjną. W Ministerstwie Finansów oceniamy, że tegoroczna susza podbiła wskaźnik inflacji o 2,3 proc, a wprowadzenie opłat wyrównawczych o 0,9 proc, ale opłaty te uchroniły także niektórych producentów w rolnictwie i w przemyśle przetwórczym, co odzwierciedla się w jakiejś skali właśnie we wzroście produkcji i zatrudnienia oraz w poprawie bilansu handlowego. Tu też obowiązuje zasada *coś za coś*.

Do wyższej niż zakładano inflacji przyczynił się również wysoki wzrost dochodów, w tym niekontrolowany przejściowo wzrost płac nominalnych. Ponadto pewną rolę odegrała nadmierna podaż pieniądza wskutek za dużego wzrostu poziomu rezerw dewizowych oraz zbyt wysokie stopy procentowe banku centralnego, co podwyższa koszty obsługi długu publicznego (a każde podwyższanie kosztów działa proinflacyjnie) oraz utrwała nadmierne oczekiwania inflacyjne. W znikomym natomiast stopniu do inflacji przyczynia się deficyt budżetowy, ponieważ jest on finansowany w zasadzie nieinflacyjnie. Warto spostrzec, że deficyt ten w wyniku dużej dyscypliny finansowej jest wyraźnie mniejszy (3,3 proc. PKB), niż to zakładano na ten rok (4,1 proc), inflacja zaś jest nieco wyższa.

Często podkreśla się - i słusznie - wpływ wzrostu cen energii na poziom inflacji. Dyskusja na ten temat wróci przy dalszych pracach nad przyszłorocznym budżetem. Można usłyszeć opinie, że to rząd kreuje inflację swoimi decyzjami o podwyżkach cen urzędowych. Otóż bezsprzecznie **istnieje bezpośredni związek między podwyżkami urzędowych cen energii a inflacją**. Rosnące z tego tytułu koszty przenoszą się na rosnące ceny. Ale prawdą jest także i to, że zaniechanie tego typu dostosowań cenowych, polegających na zmianie relacji cen, spowodowałoby nie mniejszą, ale większą skalę inflacji! Zmieniłby się tylko jej mechanizm z kosztowego na popy-

towy. Jeśli obecnie inflacja spada do 28 proc, to także dlatego, że rządy w przeszłości podejmowały trudne decyzje o dostosowaniach cenowych, podwyższając ponadprzeciętnie ceny energii. Taką politykę w rozsądnym zakresie trzeba kontynuować, co zakłada przyszłoroczny budżet.

Służy on także dalszemu wyraźnemu zbijaniu inflacji, ale przy coraz bardziej zrównoważonym wzroście gospodarczym i spadającym bezrobociu. Szczególnie wiele wysiłku trzeba włożyć w przewyciężanie inercji inflacyjnej, redukcję oczekiwań i ograniczanie skali stosowania mechanizmów indeksacyjnych, po to, aby inflację w końcu dobić. Taki kierunek **polityki „dezinflacji”** (w odróżnieniu od deflacyjnych działań sprzed kilku lat) znalazł też uznanie misji Międzynarodowego Funduszu Walutowego, która w tym tygodniu opuściła Warszawę. Misja ta potwierdziła, że **Polska spełnia wszystkie ilościowe kryteria wykonawcze**, dzięki czemu pozytywnie ocenia się postęp w stabilizacji makroekonomicznej i restrukturyzacji naszej gospodarki.

Konfrontacje, negocjacje

Warszawa, 25 listopada 1994 r.

Przy okazji sporów o dotychczasowe rezultaty polityki gospodarczej, a zwłaszcza wobec proponowanych rozwiązań na przyszłość, ożywia się ponownie dyskusja na temat podziału dochodu narodowego. Na rok 1995 - zgodnie z **silną orientacją na wzrost gospodarczy** - budżet państwa zakłada wyższą dynamikę inwestycji (zwłaszcza w sektorze prywatnym) niż konsumpcji. Realna konsumpcja powinna wszakże również się zwiększyć, głównie poprzez wzrost spożycia finansowanego z dochodów osobistych. W tym kontekście szczególnego znaczenia nabierają rozwiązania systemowe w zakresie polityki płacowej, nad którymi właśnie pracuje parlament.

Wzrosną płace realne - tak w sektorze przedsiębiorstw, jak i w sferze budżetowej. Zważywszy na fakt zwiększenia się rozpię-

tości pomiędzy wynagrodzeniami w tych dwu sferach w przeszłości, polityka gospodarcza zmierza obecnie do wyższej dynamiki wynagrodzeń w sferze budżetowej aniżeli w sektorze przedsiębiorstw, w którym wzrosną one realnie o ponad 3 proc. Niezależnie od propozycji zawartych bezpośrednio w budżecie na przyszły rok, rząd przedstawił konkretne rozwiązania ustawowe, które powinny służyć uzyskaniu realnych przyrostów płac, a więc już po wyeliminowaniu skutków skądinąd spadającej inflacji.

Okazuje się jednak, że wszelkie nowe propozycje są zarazem kolejną przyczyną nasilania się dyskusji wokół proporcji płac i tempa ich wzrostu. Jest to zupełnie zrozumiałe. Cechą szczególną obecnej dyskusji jest natomiast ostrość tych sporów, ponieważ **weszliśmy w trudną fazę dzielenia pierwszych owoców reform gospodarczych**. Obecnie pytanie nie brzmi, jak dzielić spadający dochód narodowy, ale jak dzielić efekt jego wzrostu? Wydawałoby się, że znalezienie odpowiedzi w tej kwestii powinno być łatwiejsze. Ale tak nie jest. Dlaczego?

Otóż aspiracje rosną znacznie szybciej, niż materialne możliwości ich zaspokajania. Stajemy się ofiarami własnego sukcesu w tym sensie, że skoro produkcja rośnie, to na jeszcze większą skalę zwiększają się oczekiwania co do wzrostu wynagrodzeń. Na tym tle różnica między aspiracjami a możliwościami ich zaspokojenia zamiast maleć - rośnie. Nakłada się na to dodatkowo skumulowany efekt spadku płac realnych w poprzednich latach wzmacniając jeszcze bardziej zakres roszczeń płacowych, co rodzi wiele problemów.

Pierwszy z nich dotyczy proporcji podziału efektów wzrostu wydajności pracy na nowe inwestycje i wzrost spożycia. Myśląc o podtrzymaniu i wzmocnieniu tendencji rozwojowych, polityka gospodarcza w tej fazie stabilizacji makroekonomicznej i transformacji systemowej **zakłada mniejsze tempo wzrostu płac realnych aniżeli wydajności pracy**. Jest to także bardzo ważny instrument polityki antyinflacyjnej, bez powodzenia której nie udałoby się podtrzymać wzrostu wynagrodzeń na dłuższą metę.

Drugi problem dotyczy sposobów oddziaływania polityki gospodarczej na proporcje dochodów. Otóż wciąż są tutaj potrzebne aktywne polityki państwa i właściwe rozwiązania systemowe. Muszą one sprzyjać temu, aby płace realne rosły przy coraz mniejszej

skali inflacji. Chcemy to osiągnąć m.in. poprzez stosowanie partnerskich stosunków pracy **i negocjacyjnych mechanizmów kształtowania wynagrodzeń**. Temu właśnie służyć mają dwie ustawy. Pierwsza z nich - o kształtowaniu wynagrodzeń w państwowej sferze budżetowej - jest przyjmowana przez Sejm w tym tygodniu. Druga - o negocjacyjnym systemie kształtowania przyrostu wynagrodzeń w podmiotach gospodarczych - trafia właśnie na ścieżkę pilną do parlamentu. Obie ustawy mają duże znaczenie z punktu widzenia kształtowania nowej - właściwej dla społecznej gospodarki rynkowej, co pragnę podkreślić - polityki dochodowej.

Rozwiązania w zakresie kształtowania wynagrodzeń w sferze budżetowej mają zapewnić z jednej strony właściwy udział pracowników tej sfery w efektach wzrostu gospodarczego, z drugiej zaś strony nie mogą one abstrahować od realiów finansów publicznych. A tak, niestety, było dotychczas, kiedy to obowiązywały rozwiązania, które bardziej charakteryzowały się dobrymi intencjami, niż możliwościami ich urzeczywistniania. **Państwo nigdy nie powinno brać na siebie zobowiązań, których nie jest w stanie zrealizować**. Natomiast rząd powinien negocjować przy okazji przygotowywania projektów kolejnych ustaw budżetowych skalę wzrostu płac, opierając ją na możliwościach finansowych, a nie na konfrontacyjnych niekiedy żądaniach zainteresowanych grup społecznych czy zawodowych. Proponowane obecnie rozwiązania gwarantują nie tylko ochronę siły nabywczej tych płac - co notabene było jeszcze niedawno niemożliwe w obliczu recesji gospodarczej - ale także realny wzrost wynagrodzeń uzależniony od sytuacji budżetu państwa.

Skala tego wzrostu, zaproponowana pierwotnie Sejmowi przez rząd, została w wyniku postulatów związkowych podniesiona później do ponad 5 punktów procentowych powyżej zakładanego na przyszły rok poziomu inflacji. I to także jest **skutek stosowania w praktyce nowych - negocjacyjnych, a nie konfrontacyjnych - metod uzgadniania stanowisk pomiędzy partnerami społecznymi**. Skądinąd wiadomo, że duże zainteresowanie pracami nad tą ustawą wykazał prezydent Lech Wałęsa. Jestem przekonany, że dostrzega on i docenia także fakt, iż obecny kształt ustawy odzwierciedla kompromis pomiędzy oczekiwaniami społecznymi a możliwościami finansowymi państwa.

Natomiast w przypadku propozycji dotyczących płac w przedsiębiorstwach, chodzi o stworzenie możliwości ich nie inflacyjnego wzrostu w skali, która wynika z poprawy efektywności mikroekonomicznej. Dlatego też drogą negocjacji na forum Komisji Trójstronnej, obejmującej pracobiorców, pracodawców i rząd, ustalane będą wskaźniki wzrostu płac uzasadnione proporcjami makroekonomicznymi w taki sposób, **aby wzrost wynagrodzeń nominalnych nie nasilał presji inflacyjnej**. Zarazem nie będzie on hamował ekspansywności przedsiębiorstw tak, jak zdarzało się to w przypadku osławionego popiwku.

Wiele można by pisać o trudnym procesie dochodzenia do takich rozwiązań. Niezależnie od trafności tych propozycji, co do których nawet wcześniejsi krytycy mają obecnie coraz mniej wątpliwości, sam fakt ich stworzenia przy aktywnym udziale partnerów społecznych - organizacji pracodawców i związków zawodowych, a także wielu posłów i senatorów oraz prezydenta - jest godny uznania. Prace te nie są łatwe także dlatego, że partnerzy społeczni skupieni w Komisji Trójstronnej - i poza nią - częstokroć jeszcze wykazują brak wzajemnego zaufania, a także znajdują się pod presją polityki, która bardziej polega na tworzeniu problemów, niż na umiejętności ich rozwiązywania. Ale **wynegocjowanie sposobu negocjowania poszerza zakres tych umiejętności**. Dzięki temu większy może być wzrost płac realnych, mniejsza natomiast będzie inflacja.

Odliczanie

Warszawa, 5 grudnia 1994 r.

W ubiegłym tygodniu Sejm - ponownie uchwalając ustawę podatkową - odrzucił weto prezydenta. Odnoszę wrażenie, że fakt zawetowania ustawy, jak i działania podjęte wokół jego odrzucenia, wzbudziły więcej zainteresowania niż sama jej treść. Warto zatem przypomnieć, że rozwiązania zawarte w ustawie ściśle wiążą się z przyszłorocznym budżetem, zapewniając mu odpowiedni poziom

dochodów, a tym samym i możliwości ponoszenia wydatków. Odrzucenie ustawy podatkowej utrudniłoby podniesienie wynagrodzeń w sferze budżetowej o 6 procent powyżej planowanej inflacji, co przesądza inna ustawa właśnie przyjęta przez Sejm i w tym tygodniu dyskutowana w Senacie. Nominalny wzrost płac na skalę zakładaną w projekcie budżetu byłby do osiągnięcia, ale tylko drogą inflacyjnego finansowania zwiększonego deficytu budżetowego. Oznaczałoby to, że rzeczywista inflacja byłaby wyższa od zakładanej, a tym samym odpowiednio mniejszy byłby wzrost płac realnych.

Dobrze zatem się stało, że weto zostało odrzucone, jesteśmy bowiem o krok bliżej od uchwalenia budżetu państwa na 1995 rok. Wielu komentatorów podkreśla przy tym fakt, że koalicja SLD-PSL oddaliła weto własnymi siłami, bez wsparcia ze strony Unii Pracy; za ponownym uchwaleniem ustawy głosowało o 6 posłów więcej, niż wymagane minimum. Ale takie liczenie głosów nie daje właściwego obrazu sytuacji. Rzecz bowiem nie arytmetyce, lecz w polityce. Cztery tygodnie temu pisałem (POLITYKA 46) o potrzebie poszukiwania i tworzenia koalicji szerokiego porozumienia. I chociaż osiągnięte w zeszłym tygodniu porozumienie SLD i PSL z Unią Pracy jest bardziej porozumieniem w sprawie drzewa niż lasu, to postrzegać je także należy jako **zdolność rządzącego układu politycznego do porozumiewania się z innymi siłami politycznymi dla dobra sprawy.**

Zdecydowanie za wcześnie jeszcze, aby odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu ubiegłotygodniowy sojusz taktyczny jest zwiastunem poszukiwania koalicji szerokiego porozumienia. Ale nie ulega wątpliwości, że wciąż aktualna pozostaje oferta w tej sprawie. Nadal bowiem kapitalne znaczenie ma **poszerzanie społecznej i politycznej bazy reform gospodarczych.** Tym bardziej w ślad za osiągniętym porozumieniem mogą - i powinny - pójść dalsze próby. Nie byłoby dobrze, gdyby miały one koncentrować się jedynie wokół aliansów z różnymi partnerami politycznymi na rzecz mobilizowania głosów niezbędnych do uchwalania ustaw. Warto dyskutować wokół nie tylko różnic programowych, ale przede wszystkim podobieństw. Wówczas większe będą szanse porozumiewania się w sprawie całego lasu, niż w kwestii poszczególnych drzew.

W istocie bowiem problemy gospodarcze - w tym w zakresie finansów publicznych - trzeba postrzegać w szerokim kontekście. W innym bowiem przypadku partie mają skłonność składać obietnice bez pokrycia, co powoduje wiele komplikacji, tyle że nieco później. Takie skracanie perspektywy jest dość powszechną cechą, a moim zdaniem po prostu ogromną wadą polityki w różnych czasach i miejscach. Z tego punktu widzenia bardzo podobne są obecne fazy dyskusji budżetowych w Polsce i w Wielkiej Brytanii, we Włoszech i na Węgrzech. Ale mała to pociecha, że inni mają podobne do naszych problemy.

Chodzi o to, aby w ślad za pierwszym krokiem poszły następne. Otóż porozumienie klubów parlamentarnych SLD i PSL z Unią Pracy wychodzi z linii *Strategii dla Polski*, w której zakłada się tak zmianę skali, jak i wielkości podatków dochodowych. *Ten wieloletni program gospodarczy przyjmuje, że następować będzie stopniowa zmiana struktury opodatkowania, zmierzająca do wzrostu udziału podatków pośrednich we wpływach podatkowych ogółem, przy stopniowym zmniejszaniu obciążeń podatkami dochodowymi, zwłaszcza przez szersze stosowanie ulg podatkowych.*

Już w 1995 roku - zgodnie z ustawą, którą parlament ostatecznie przyjął - stosowane będą po raz pierwszy **ulgi z tytułu inwestowania w kapitał ludzki poprzez m.in. wydatki na kształcenie**. Możliwe, że uda się dalej pójść tą drogą w latach następnych, m.in. poprzez stosowanie ewentualnych ulg uwzględniających dochód na członka rodziny. Taki kierunek polityki fiskalnej musiałby być skorelowany z polityką socjalną, zwłaszcza w zakresie zasiłków rodzinnych. I w tej sprawie nowe rozwiązania ustawowe są w tym tygodniu przedmiotem obrad Senatu. W następnych latach natomiast obciążenie podatkami może być niższe, ale spełnione muszą być w tym celu określone warunki.

Po pierwsze, **musi być przyjęty 1 zrealizowany budżet państwa na 1995 rok**. Bez tego trudno planować rozsądne zmiany w następnych latach. Realizacja wszakże przyszłorocznego budżetu wymaga oparcia go na rozwiązaniach, zawartych w już przyjętej przez Sejm **ustawie o kształtowaniu wynagrodzeń w sferze budżetowej**. Gdyby więc ustawa ta miała także zostać zawetowana przez prezydenta - a trwają o to zabiegi - **to musi być ona**

ponownie przyjęta przez Sejm większością dwóch trzecich głosów.

Po drugie, podejmowanie jakichkolwiek ustawowych i politycznych zobowiązań musi znajdować pokrycie w stanie finansów publicznych, a nie tylko w dobrej woli polityków. Tak naprawdę, to uwiarygodnić mogą ją dopiero rzetelne rachunki ekonomiczne, trzeba więc wszystko dobrze policzyć po stronie zarówno dochodów budżetu na 1996 rok, jak i wydatków. Warto pamiętać, dlaczego - pomimo wcześniejszych obietnic - nie udało się w 1995 roku obniżyć stawek podatku od dochodów osobistych. Podjęta w tym zakresie próba została odłożona, uznano bowiem, że konieczne jest zapewnienie jeszcze w przyszłym roku wysokiego tempa wzrostu rent i emerytur. **W roku 1996 natomiast obowiązują już muszą nowe zasady waloryzacji.** Tylko wówczas możliwe będzie zbilansowanie systemu finansów publicznych przy inflacji poniżej 1 proc. miesięcznie w końcu 1996 roku. Ponowne zaniechanie natomiast zmian trybu indeksacji wymusiłoby zwiększenie zamiast zmniejszenia obciążeń podatkowych.

Po trzecie, postulat rozciągnięcia skali podatków dochodowych jest do przyjęcia pod warunkiem, że nie będzie to osłabiało skłonności do oszczędzania i tendencji do szybkiego wzrostu gospodarczego. W szczególności **trudny do przyjęcia byłby postulat kompensowania obniżania najniższych stawek podatkowych poprzez podwyższanie ich najwyższych przedziałów.** Ale do szczegółowych dyskusji na temat sposobu realizacji zawartego porozumienia politycznego wrócimy wiosną, kiedy będzie więcej informacji nieodzwrotnych do odpowiedzi na postawione pytania. Cieszy, że i przy tej okazji udaje się znaleźć więcej czasu. Dobrze więc, że choć uwikłani jesteśmy jeszcze w spory wokół budżetu na rok przyszły, to trwają w pewnej mierze dyskusja o latach następnym.

Niewiele już zostało dni 1994 roku. Wiele wskazuje na to, że uda się uchwalić budżet rozsądnego kompromisu jeszcze przed jego końcem. Na razie wszyscy liczą to, czego im najbardziej brakuje: jedni głosy, inni pieniądze, a jeszcze inni czas. Warto też liczyć na zdrowy rozsądek.

Między cesarzem a inwestycjami

Warszawa, 12 grudnia 1994 r.

Bez wątplenia ubiegłotygodniowa wizyta prezydenta Lecha Wałęsy w Japonii i Korei ma swoją wagę polityczną. Polska w tych krajach zyskuje, czego przejawem jest coraz więcej uznania i sympatii, jako państwo, w którym zapoczątkowane zostały zmiany systemowe, prowadzące do gospodarki rynkowej w tej części świata. Daje się także wyraźnie odczuć **autentyczne wsparcie dla procesu transformacji gospodarczej**, m.in. wsparcie naszych dążeń do członkostwa w OECD. To właśnie Korea i Polska staną się niedługo kolejnymi członkami tej organizacji, skupiającej dotychczas 25 najbardziej rozwiniętych państw świata. I chociaż powtarzającym się wątkiem w toastach wznoszonych na naszą cześć przez cesarza Japonii oraz premiera tego kraju, a także przez prezydenta Korei, zawsze był Chopin albo Kopernik, to pojawiły się podczas tych ceremonii wątki, akcentujące nasz współczesny dorobek i potencjał.

Aspektów politycznych tej wizyty było wiele. Od procesu transformacji systemowej w Europie Środkowej, gdzie **Polska nadal postrzegana jest jako niekwestionowany lider przemian**, do perspektywy zjednoczenia Korei i wniosków, jakie z naszego doświadczenia mogą wypływać dla przeprowadzania rynkowych zmian na północy tego kraju. Omawiane były także sprawy międzynarodowe, w tym współpraca na forum organizacji międzynarodowych oraz sytuacja w niektórych regionach Europy i świata.

Byłem już w Japonii i w Korei wcześniej, prowadząc studia porównawcze pod kątem **przydatności doświadczeń tych krajów dla naszej transformacji**. Ten temat też był poruszany nie tylko w trakcie rozmów oficjalnych i kularowych. Przy całej bowiem odrębności Japonii i Korei, które symbolizowały sukces gospodarczy, Polska może wyciągnąć pewne wnioski dla siebie. Możemy nauczyć się jeszcze sporo, choćby na temat polityki państwa

w rozwoju gospodarczym, w tym zwłaszcza wspierania rodzimego kapitału i podnoszenia jego konkurencyjności międzynarodowej.

Niezależnie od sukcesów, wszystkie państwa mają swoje poważne problemy gospodarcze, choć głowy państw nawzajem kompletują swoje dokonania. W Japonii obecnie za sukces uznaje się wychodzenie z kilkuletniej - skądinąd bardzo płytkiej - recesji; w bieżącym roku sukcesem jest 1-procentowy wzrost gospodarczy. W dniach naszej wizyty w parlamencie toczyła się pełna kontrowersji debata, dotycząca porozumienia w sprawie liberalizacji handlu światowego, w którym ten kraj odgrywa kluczową rolę. Z kolei w Korei narzeka się z powodu zwolnienia tempa wzrostu gospodarczego, choć nadal dla obserwatorów zewnętrznych jest ono imponujące. Ale minister finansów ma swoje zmartwienia (chętnie bym się z nim zamienił), ponieważ dynamika dochodu narodowego spadła o 8 proc. podczas minionych trzech kwartałów, natomiast inflacja sięga aż 6 proc. W obu państwach natomiast stopa bezrobocia utrzymuje się poniżej 3 procent. No cóż, każdy ma takie problemy, najakie sobie zasłużył. W obu jednak przypadkach **wzrost gospodarczy oparty jest na silnej ekspansji zewnętrznej**, na której także my zamierzamy podtrzymywać rozwój naszej gospodarki.

Ze swej strony, wraz z innymi zainteresowanymi ministrami-członkami delegacji, rozmawialiśmy głównie o współpracy gospodarczej i finansowej. Nie lekceważąc bynajmniej znaczenia stosunków handlowych - a obroty w tym zakresie, choć nadal bardzo niskie, zaczynają ponownie rosnać - uwagę skupiałem przede wszystkim **na perspektywach i warunkach lokowania w Polsce inwestycji japońskich oraz koreańskich**. Inwestycje zagraniczne bowiem stanowią istotny element wspierający krajowe oszczędności, a zarazem są instrumentem służącym podnoszeniu międzynarodowej konkurencyjności polskiej gospodarki. Z tego punktu widzenia nasze kraje mogą wyjść sobie naprzeciw, Japonia i Korea bowiem poszukują intratnych możliwości inwestycji zagranicznych, my natomiast chcemy te inwestycje na rosnącą skalę do siebie przyciągnąć.

Co udało się uzyskać podczas tej wizyty? Co najmniej pięć spraw warto tutaj podkreślić. Po pierwsze, jest to wywołanie dużego zainteresowania i wytworzenie dobrego klimatu wokół możliwości

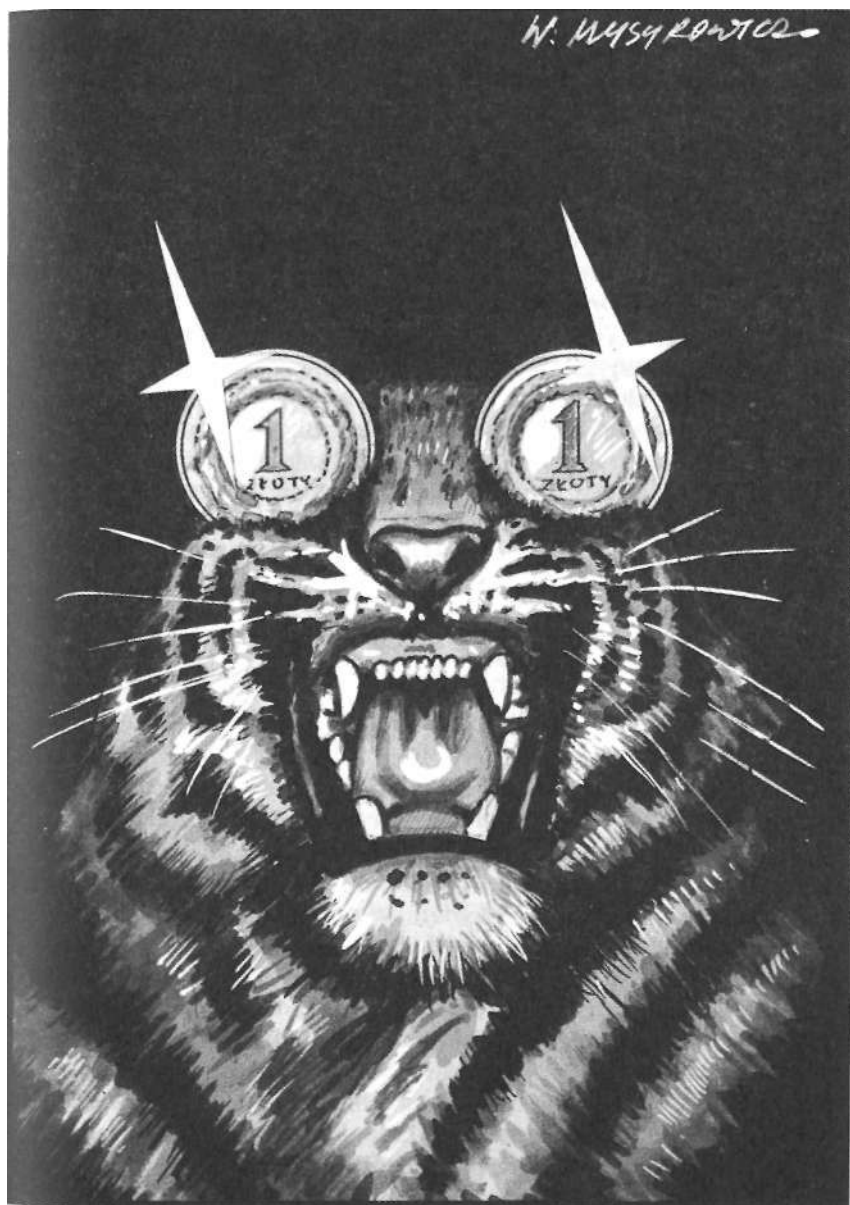
polskiej gospodarki jeśli chodzi o wchłanianie inwestycji bezpośrednich ze źródeł prywatnych i jej dużej konkurencyjności wobec innych krajów regionu. Polska jest postrzegana nie tylko jako największa, dynamiczna gospodarka, przechodząca transformację rynkową w Europie Środkowej, ale także jako kraj, dający szeroki dostęp do innych rynków, w tym zwłaszcza w państwach sąsiadujących z nami na wschodzie. Tak w Tokio, jak i w Seulu miałem kilka seminariów dla znaczącej grupy inwestorów, przedsiębiorców i bankierów, z których część nieźle już była zaznajomiona z naszymi realiami, dla innych zaś była to dopiero pierwsza okazja bliższego spojrzenia na kraj, który określany jest tam czasami jako tygrys Europy Środkowej.

Po drugie, wskutek trwających już od dłuższego czasu zabiegów, **stworzone zostały warunki niezbędne dla promocji japońskich inwestycji bezpośrednich w Polsce.** Chodzi tutaj zwłaszcza o gotowość banku eksportowo-importowego do udzielania kredytów dla japońskich przedsiębiorstw, inwestujących bezpośrednio w Polsce. Uczestniczyłem w ceremonii - choć nie była ona tak spektakularna, jak obiad wydany na cześć delegacji polskiej przez japońską parę cesarską - podpisania umowy o udzieleniu kredytu w wysokości prawie 30 milionów dolarów przez ten bank potężnemu koncernowi Matsushita, za którym kryją się takie znane firmy, jak National, Panasonic czy Technics. Ponadto bank ten gwarantował będzie inne kredyty i ubezpieczał japońskie inwestycje, czynione u nas w przyszłości.

Po trzecie, odbyłem rozmowy z szefami największych japońskich banków inwestycyjnych - Daiwa oraz Nikko - które są zainteresowane inwestycjami portfelowymi na naszym rynku kapitałowym. Przyczyni się to do jego wzbogacenia i ożywienia. Ważna jest także gotowość tych firm do współpracy w rozwoju instytucji naszego rynku finansowego i dokonujących się na nim procesów prywatyzacyjnych.

Po czwarte, **zainicjowanych zostało kilka konkretnych projektów inwestycyjnych czołowych firm japońskich i koreańskich, w tym tak znanych, jak Mitsubishi czy Mitsui.** Ich prezesów przyjął prezydent Lech Wałęsa, skutecznie zachęcając do inwestowania w Polsce. Podobne spotkania odbyły się w Korei, m.in. z kierownictwem firmy Gold Star oraz Samsung, które są już

W. WYSZYKOWSKI



obecne na naszym rynku. W przypadku inwestycji Samsunga w rozwój opolskiej telekomunikacji - w oparciu o kredyt koreański - podejmowane są działania rządowe co do ich kontynuacji. Dokonane zostaną także inne inwestycje, m.in. koreańskich potentatów Deawoo i Hyundai. W rozmowach z ministrem finansów Korei uzgadnialiśmy warunki promocji tych inwestycji od strony kredytów i gwarancji rządowych.

Był także piąty wątek, a mianowicie **kontakty kilkunastu polskich przedsiębiorców towarzyszących delegacji państwowej, z partnerami w Tokio i w Seulu**. Z czasem - a jego nadejście z pewnością w wyniku tej wizyty zostało przyspieszone - to oni sami będą decydować o zawieraniu kontraktów także na wielką skalę. Rozmawiając z prezesem Matsushitą - synem twórcy koncernu i jego obecnym szefem - zastanawiałem się, kiedy syn któregoś z towarzyszących nam przedsiębiorców będzie stał na czele firmy *znanej* i liczącej się na całym świecie. Bo kiedyś tak będzie.

Upominek pod choinkę

Warszawa, 19 grudnia 1994 r.

Nadchodzi Święta. W wigilijną noc przemówią ludzkim głosem nie tylko myszka, królik i pies moich córek, ale także - w to nawet ja jestem raz w roku skłonny uwierzyć - wszyscy bez wyjątku politycy. Nie zawsze każdy z nich czyni to, co trzeba, aby umocnić naszą gospodarkę i poprawiać sytuację materialną polskich rodzin. A te - ze swoimi coraz zasobniejszymi, choć w wielu wypadkach nadal skromnymi budżetami - przygotowują się do Świąt. W domach grudniowy budżet z reguły pęcznieje, zwłaszcza po stronie wydatków. W tym celu wielu z nas przez cały rok oszczędza, aby teraz, na przykład, móc kupić dzieciom narty i wysłać je w góry. W innych rodzinach składa się drobniejsze upominki, każdy bowiem na miarę swego budżetu żyć musi.

W państwie jest nie inaczej, choć nie daje ono prezentów, pomijając fakt, że nadal w wielu zakładach pracy ofiarowuje się na

Święta drobne upominki. Na szczeblu państwa także w grudniu kumulują się pewne wydatki, co wszakże nie wynika z nadchodzących Świąt, ale stąd, że teraz istnieje już pewność, jak wygląda państwowa kasa w kontekście całego kończącego się roku. I dlatego, że wygląda ona wskutek wyważonej i konsekwentnej polityki finansowej - a zwłaszcza w wyniku mniejszych kosztów obsługi długu publicznego, zagranicznego i krajowego - lepiej niż *to* wcześniej zakładano, pojawiły się możliwości podjęcia pewnych oczekiwanych społecznie *działań*.

W szczególności - niezależnie od drobnych, ale dla ich adresatów ważnych decyzji, głównie dofinansowujących kilka teatrów, oper i filharmonii oraz bibliotek - **budżet podjął wysiłek oddłużenia służby zdrowia i oświaty**. Specjalnie piszę budżet, a nie rząd, ponieważ to my wszyscy - podatnicy łożący na ten budżet - dźwigamy ciężar zabiegów oddłużeniowych. Nie jest to żaden prezent świąteczny, ale konieczność związana z **inwestowaniem w kapitał ludzki**, chociaż w formie, która nie powinna mieć miejsca. Niestety, oświata i zwłaszcza służba zdrowia zadłużyły się na znaczne kwoty - w wyniku cięć realnych nakładów na te działy jeszcze przed 1994 rokiem - i obecnie podatnik musi ponieść tego konsekwencje. Innymi słowy, ukryte deficyty z lat 1992-93 przesunięte zostały na *część* tegorocznych wydatków.

Pierwotnie rząd przyznał limit w wysokości 4,2 biliona złotych na redukcję zadłużenia służby zdrowia do końca roku. Ostatnio wyasygnowano na ten cel dodatkowo 2,4 biliona (a więc w sumie na służbę zdrowia aż 6,6 biliona) oraz 3,5 biliona złotych na placówki oświatowe. Ministrowi finansów łatwo wymieniać takie liczby, ale niewiele same z siebie mogą one mówić podatnikom. Otóż kwoty te w sumie nieco przekraczają **10 bilionów złotych**. Tyle mniej więcej zapłaciliśmy w 1994 roku podatków od dochodów osobistych z tytułu podniesienia ich stawek o 1, 3 i 5 punktów procentowych, albo też o połowę mniej państwo wydało ze swego budżetu w 1994 roku na kulturę i sztukę. Pozostawiając już na boku kwestię, dlaczego służba zdrowia i oświata zostały tak mocno zadłużone w poprzednich latach, obecnie trzeba nie tylko pilnie zapłacić stare, zaległe rachunki, ale przede wszystkim podjąć **wysiłek zreformowania tych sfer usług społecznych i sposobów ich finansowania**. Ze strony rządu jest ku temu nie tylko

gotowość, ale zostały także przygotowane projekty odpowiednich zmian ustawowych, których wdrożenie wymaga współdziałania z zainteresowanymi środowiskami.

Powinno to być ułatwione nie tylko wskutek zabiegów oddłużeniowych, ale także dzięki temu, że **przyszłoroczny budżet zakłada wzrost realnych nakładów** na te sfery. Mają one zwiększyć się w przypadku oświaty o blisko 5 proc, szkolnictwa wyższego o 6 proc, ochrony zdrowia o 5 proc, opieki społecznej aż o 13 proc, zaś kultury o ponad 9 proc. Jednocześnie parlament przyjął ustawę, zakładającą w 1995 roku wzrost wynagrodzeń w sferze budżetowej o 6 punktów procentowych powyżej przewidywanej inflacji. Oznacza to większy wzrost płac pracowników usług społecznych finansowanych z budżetu, niż zatrudnionych w przedsiębiorstwach.

Oczywiście, ziszczenie się tych zamiarów wymaga zmniejszenia inflacji do zakładanego w budżecie poziomu 16,9 proc. w końcu przyszedłego roku i obniżenia jej średniego rocznego wskaźnika do 22,7 proc. Cieszyć nas wszystkich powinno to, że nie udało się podważyć tych wskaźników w trakcie sejmowej debaty budżetowej, kiedy to usiłowano sugerować ich rzekomą nierealność. Co ciekawe, goszczący w tym tygodniu w Polsce dyrektor Międzynarodowego Funduszu Walutowego - Michel Camdessus - uważa, że moglibyśmy cele polityki antyinflacyjnej sformułować nawet jeszcze ambitniej.

Pozostaną jednak przy celach już nakreślonych, bowiem nasz **wspólny wysiłek powinien pójść nie w kierunku zabiegania o iluzoryczny większy wzrost płac nominalnych, który zostałby pożarty przez wyższą inflację, ale w stronę przyjęcia i realizacji budżetu na 1995 rok - w tym zbitcia inflacji w dół o kolejne 10 punktów procentowych.** Wówczas gwarantowany ustawowo wzrost płac nominalnych pracowników sfery budżetowej przerodzi się w pożądany wzrost płac realnych. Obecnie zakładamy, że może to być około 5 proc, ale gdyby inflacja spadła w jeszcze większym stopniu, niż planowany, to ten realny wzrost byłby odpowiednio większy. Natomiast z pewnością będzie on mniejszy, jeśli proponowane rozwiązania nie miałyby wejść w życie. Warto przypomnieć, jak drastycznym spadkiem płac realnych zakończyło

się pozornie chroniące ich poziom wymuszenie powszechnej indeksacji wynagrodzeń podczas debaty Okrągłego Stołu w 1989 roku.

Obecnie jesteśmy już w stanie nie tylko oddłużyć oświatę i służbę zdrowia, ale także zwiększyć płace realne w przyszłym roku na odczuwalną skalę. Pozytywny skutek tych zmian, wyrażających się w **rosnących nakładach** na sferę budżetową, jest niwelowany przez mający miejsce w przeszłości **spadek wartości zasobów**. Zubożały niektóre gospodarstwa domowe, placówki kultury, szkoły czy szpitale. I teraz - nawet jeśli strumień realnie rośnie o kilka procent - to zasób nadal zostaje skromny, niekiedy skromniejszy niż kilka lat temu. To tak, jakby ktoś otrzymał w pracy podwyżkę o 5 proc, ale zaraz dowiedział się, że zbankrutował bank bez gwarancji państwowych, w którym przetrzymywał swoje oszczędności, albo też, że zostało zalane nie ubezpieczone mieszkanie. Trudno wówczas uznać, że sytuacja życiowa uległa poprawie, choć faktem jest, że dochody rosną.

Przyjęcie wszakże stosownych ustaw i budżetu umożliwi poprawę ogólnej sytuacji materialnej, wpraw przez wzrost płac o około pół miliona - albo o 50 złotych w nowym pieniądzu - już począwszy od stycznia. Następnie, przeciętnie licząc, 100 złotych dojdzie w połowie roku. W ten sposób także sfera budżetowa stopniowo staje się beneficjentem szybkiego wzrostu polskiej gospodarki. Ten kierunek działań - zgodnie z priorytetami *Strategii dla Polski* - kontynuowany będzie w latach następnych. Ale wpraw trzeba dożyć do następnych Świąt. Będzie to dużo łatwiejsze, jeśli na Nowy Rok będziemy mieli nowy budżet. Jest na to wciąż szansa.

Święta nadchodzą. Kilka choinek zafundowanych zostało z pieniędzy podatnika. Moja - stojąca w gabinecie wicepremiera w Urzędzie Rady Ministrów - jest ładna i cieszę się, że sztuczna. Drzewa powinny rosnać. Mała i skromna - z błękitnymi bombkami i małymi lampkami. Premier ma podobną, choć nieco większą. Dużo, dużo większa stoi w gabinecie marszałka Sejmu. Pewnie dlatego, że Sejm tak intensywnie pracując, przygotował dobry projekt budżetu, gotowy do przyszłotygodniowego głosowania. Ale największą choinkę ma prezydent. I słusznie, pod nią bowiem budżet gotowy do podpisu wkrótce się znajdzie. Taki sobie obmyśliłem prezent. Za całe 912 bilionów złotych.

Wesołych Świąt!

Nowy Rok - nowy pieniądz

Zakopane, 26 grudnia 1994 r.

Zbliża się Nowy Rok. Jest to okazja do podsumowań i snucia planów, ale także sposobność do wprowadzenia nowych rozwiązań. Tak też jest z polskim złotym, który z Nowym Rokiem przybiera nowe oblicze - tak w sensie dosłownym, jak i w ekonomicznym. O przeprowadzeniu denominacji myślałem jeszcze w październiku 1993 roku, przygotowując 44 tezy *Strategii dla Polski*. Teza 35 mówiła o denominacji złotego (dlaczego prawie wszyscy mówią „złotówka”?) jeszcze w 1994 roku, ale okazuje się to możliwe dopiero teraz - z początkiem roku 1995.

Zastanawiałem się przez jakiś czas nad odjęciem tylko trzech zer, ale ostatecznie skreśliśmy cztery. Denominacja polegająca na dzieleniu przez tysiąc jest bezsprzecznie zabiegiem łatwiejszym z punktu widzenia jej społecznego odbioru. Natomiast cięcie czterech zer podyktowane jest koniecznością przywrócenia do normalnego obiegu monet, czyli bilonu. Nie wszedłby on do użycia, gdyby „skrócić” nasze nominały tylko o trzy zera. Ale denominacja bierze się przede wszystkim stąd, że łatwiej będzie - choć nie od razu - operować bilonem niż bilionem. Na razie w jednej z notatek, oceniających przebieg prac nad denominacją, urzędnik pisze o maszynach licząco-^oortujących do „bilionu”, zamiast „bilonu”.

Tak więc po skróceniu czterech zer w sylwestrową noc zaczną się problemy z przeliczaniem nowych dochodów i cen na stare oraz odwrotnie. Moja rada - skoro nie mogłem każdemu, tak jak Pierwszemu Obywatelowi Rzeczypospolitej podczas ubiegłotygodniowego spotkania w Sejmie, podarować specjalnej maszynki do przeliczania starego na nowe - jest prosta. Wpierw należy podzielić przez tysiąc, a następnie przez dziesięć - i odwrotnie. Wówczas szybko wyliczymy, że „Polityka” kosztuje 1 zł 20 groszy, ponieważ kosztowała 12 tysięcy. Aby ułatwić przejście z jednego systemu na drugi, przez dwa lata funkcjonować będą obok siebie stare i nowe

nominały, a nowym cenom towarzyszyć będą stare. W niektórych zakopiańskich sklepach ceny w nowym pieniądzu pojawiły się już na święta.

Decyzję o denominacji złotego podjąłem natychmiast po objęciu stanowiska wicepremiera i ministra finansów. Wiele prac było już wtedy poważnie zaawansowanych, zwłaszcza po stronie NBP. Już w lipcu uchwalona została ustawa o denominacji i prace nabrały pełnego tempa. Do wykonania pojawił się ogrom prac technicznych, organizacyjnych, legislacyjnych i edukacyjnych. W tych ostatnich próbował uczestniczyć także jeden z poprzednich ministrów finansów, nieudolnie strasząc niebezpieczeństwem 1,5-procentowego impulsu inflacyjnego z powodu denominacji. Okazuje się, że w obliczu braku argumentów politycy opozycyjni uciekają się nawet do tak mizernych wypowiedzi, byleby tylko podnieść temperaturę oczekiwań inflacyjnych. Ale nie ma takiego niebezpieczeństwa, denominacja bowiem z czasem siłę tych oczekiwań osłabi, tym samym stając się dodatkowym czynnikiem antyinflacyjnym.

Techniczna strona denominacji złotego przeprowadzana jest przez Narodowy Bank Polski. Wykonał on wiele prac związanych przede wszystkim z przygotowaniem emisji nowych znaków pieniężnych oraz ich dystrybucją. NBP zajmuje się także informacją o tym przedsięwzięciu i jego popularyzowaniem.

Trwają także prace legislacyjne, które znajdują się już w końcowej fazie. W sumie trzeba było przygotować aż 135 aktów normatywnych, z czego najwięcej powstało w resorcie finansów (około 50) oraz w Ministerstwie Pracy i Polityki Socjalnej. Mam nadzieję, że wszystkie one są dobrze przygotowane i zminimalizują zamieszanie, jakie początkowo może powstać w niektórych ogniwach administracji.

Pora jednak raz jeszcze odpowiedzieć na dwa podstawowe pytania, a mianowicie, dlaczego w ogóle przeprowadzamy denominację i dlaczego właśnie teraz, u progu roku 1995? Otóż teraz, ponieważ po okresie znacznego wzrostu cen w minionych pięciu latach obecnie wkraczamy w fazę stabilizacji makroekonomicznej, przy coraz niższych poziomach spadającej inflacji. Chociaż pojawiały się głosy, aby z denominacją jeszcze poczekać, to jednak uznaliśmy razem z NBP, że właśnie w tej fazie transformacji i stabilizacji posunięcie to jest najbardziej uzasadnione. Inflacja bowiem - po

około 50-krotnym wzroście cen podczas minionych pięciu lat - ma szansę spaść do wielkości jednocyfrowej już w końcu 1995 roku. W skali całego 1995 roku osiągnąć powinna ona 17 proc.

Nowy złoty wchodzi do obiegu właśnie teraz także dlatego, że nowy pieniądz jest wyrazem nowego programu gospodarczego i polityki wzrostu gospodarczego, z tego programu wynika i jemu ma służyć. Jest to pieniądz *Strategu dla Polski*.

Denominację przeprowadzamy przede wszystkim dlatego, że koszty obiegu nowego pieniądza będą niższe. Monety - choć kosztowniejsze w produkcji - są zdecydowanie trwalsze w użyciu. Ponadto sam akt denominacji ma istotne znaczenie antyinflacyjne, dowodzi on bowiem zgodnej determinacji władz fiskalnych i monetarnych co do przewycięzania inflacji.

W ślad za coraz wolniej rosnącymi cenami coraz wolniej rośnie także cena pieniądza zagranicznego, a więc kurs walutowy. Skala kroczącej dewaluacji nowego złotego będzie coraz mniejsza, a w latach następnych kurs polskiej waluty wyznaczał będzie już autonomicznie rynek. Także w tej perspektywie polski złoty staje się lepszym pieniądzem. Dlatego też denominacja idzie w parze z wprowadzeniem od 1. stycznia w życie nowego prawa dewizowego, które stanowi istotny krok w kierunku pełnej wymienialności polskiego złotego.

Wymienialność waluty polskiej zostaje ustawowo rozszerzona o swobodę dokonywania płatności z tytułu umów o świadczenie wszelkich usług ze strony osób zagranicznych, zakup lub ustanowienie praw na dobrach niematerialnych, transferu przychodów z tytułu dokonanych zgodnie z prawem polskim inwestycji oraz z tytułu kredytów handlowych, zaciągniętych u osób zagranicznych. Ustawa potwierdza zasadę stosowania w obrocie dewizowym, rozrachunkach międzynarodowych i w rozliczeniach z bankiem centralnym jednolitego kursu, ogłaszanego przez bank centralny z możliwością odchyłeń stosowanych przez banki w transakcjach handlowych. Wymienialność złotego zostanie rozszerzona na wszystkie transakcje bieżące w międzynarodowym obrocie płatniczym Polski. W rezultacie osiągnięta zostanie wkrótce wymienialność według standardów Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Nadchodzi Nowy Rok. Będzie to także rok nowego, coraz twardszego pieniądza. Przyjęcie przez Sejm budżetu po raz pierwszy

jeszcze za starego roku powinno dobrze rokować także naszej narodowej walucie. I chociaż nie wiem, czy wszyscy jej dobrze życzą - co widać po egzorcyzmach, odprawianych wokół ustawy budżetowej - to ja chciałbym życzyć wszystkim, aby w 1995 roku w swoich portfelach znaleźli jak najwięcej nie tylko szeleszczących banknotów, ale także brzęczącej monety. Do Siego Roku!

...w jednym stali domu

Warszawa, 2 stycznia 1995 r.

Sejm po raz pierwszy od wielu lat uchwalił budżet jeszcze w starym roku. Co ważne, przyjął on ten podstawowy dokument finansowy państwa **większością ponad dwu trzecich głosów**, jakby na wyrost oddalając ewentualne kolejne weto prezydenckie, gdyby miało ono się ponownie pojawić. Dwukrotne odrzucenie kwalifikowaną większością weta prezydenta wobec ustaw już przyjętych w parlamencie, z których jedna reguluje sprawy podatkowe, a druga zasady wzrostu płac pracowników sfery usług społecznych finansowanych z budżetu - skłania jego współpracowników do podejmowania kolejnych prób działań w istocie destruktywnych. Zmierzają one bowiem do **naruszenia jednej z podstaw demokratycznego państwa, jaką są stabilne finanse publiczne.**

Miesiąc temu w telewizyjnym „Pulsie dnia”, co przytoczyła „Polityka” 48/49, Lech Falandysz, minister w Kancelarii Prezydenta RP, stwierdził: *Nagruncie Konstytucji, gdybym miał coś radzić panu premierowi Kołodce, gdyby on naprawdę się upierał przy tym, żeby jego przedłożenie rządowe, projekt, był realizowany, to może skorzystać z przepisu Konstytucji, który mówi, że w razie nieuchwalenia budżetu, ustawy budżetowej, gospodarka finansowa Rady Ministrów przebiega na podstawie projektu. Byłby to znakomity sposób uratowania jego autorskiego budżetu, tyle że kosztem tego mógłby być, rzeczywiście, parlament* (podkreślenie GWK). Bynajmniej nie przyjąłem tej oferty, uważając, że pomysł taki nie tylko nie jest znakomity, ale że jest on po prostu fatalny. Nie tędy droga.

Polskiej gospodarce potrzebna jest nie tylko stabilizacja ekonomiczna, ale także niezbędna doza stabilności politycznej. **Ale rok 1995 to rok prezydenta.** I tego, który jest, i tego, który zostanie wybrany na następne pięć lat. Trzeba w jak największej mierze chronić substancję gospodarczą przed niekorzystnym wpływem kampanii politycznej, towarzyszącej walce o prezydenturę. Wygrać trzeba budując i spajając aktywne grupy społeczne wokół pozytywnego programu działania. W obszarze gospodarczym programem takim z pewnością powinna być *Strategia dla Polski*. Ale brak programu - a to charakteryzuje wielu polityków - może niekiedy pchać w kierunku prób destabilizacji i budowania opcji politycznych na niezadowoleniu i konfliktach społecznych. Wówczas rok 1995 byłby rokiem w dużej mierze zmarnowanym. Trzeba podjąć próbę uniknięcia takiego niebezpieczeństwa.

W jakimś stopniu naprzeciw temu mogło wyjść spotkanie prezydium parlamentarnych klubów rządzącej koalicji SLD-PSL z prezydentem Lechem Wałęsą. Nakreślona na początku spotkania alternatywa - albo rozwój sytuacji według scenariusza twórczej współpracy i rywalizacji programów wszystkich ośrodków władzy państwowej, w tym zwłaszcza na bazie dobrego współdziałania parlamentu, rządu i prezydenta, albo też wzajemna podejrzliwość, przepychanka i szarpanina od weta do weta, od spięcia do spięcia, od konfliktu do konfliktu - nie znalazła rozstrzygnięcia w trakcie dyskusji. Wkrótce potem okazało się, że **oferta złożona prezydentowi przez koalicję rządową nie została podjęta**, a wręcz odwrotnie. Nie wróży to dobrze polskiej scenie politycznej w nowym roku.

Podczas tego spotkania **zwróciłem się po trzykroć do prezydenta L. Wałęsy z pytaniem, czy stanie na czele reform, czy też na ich drodze?** Brak odpowiedzi, a przede wszystkim wpięty zawetowanie dwóch ważkich z punktu widzenia tych reform oraz interesów społecznych i stabilizacji ekonomicznej ustaw, a następnie skierowanie ich do Trybunału Konstytucyjnego, dowodzi, że bliższa prawdy miałyby być ta druga opcja. Wprost odparł mi wówczas: *Szanuję pana jako ekonomistę, ale nie baw się pan w politykę.* Biorę sobie tę cenną radę głęboko do serca i nadal się w nią nie bawię, lecz zajmuję się rozwiązywaniem trudnych problemów - zwłaszcza w odniesieniu do gospodarki i finansów pub-



licznych - i cieszyłbym się, gdyby ci, którzy się bawią w politykę, znaleźli sobie inne niż finanse publiczne zabawki. **Budżet i tawarzyszące mu ustawy nie powinny stanowić przedmiotu niemyrtozycznych rozgrywek politycznych, ale płaszczyznę poszukiwania kompromisowych rozwiązań pomiędzy społecznymi interesami ekonomicznymi, w które uwikłane jest nasze społeczeństwo.**

Ocierając się jednak nieustannie o politykę - tę niegospodarczą - dostrzegam obecnie dwie opcje. Jedna z nich to dalsza gra „w dwa ognie”. Polega ona na tym, że z jednej strony rządząca koalicja jest nieustannie wzywana - tak przez prezydenta, jak i przez opozycję, choć odmienne stosują oni kryteria - do podejmowania reformatorskich działań, głównie na niwie reform sfery budżetowej i usług społecznych. Z drugiej natomiast strony próbom podejmowania takich reform czyni się liczne trudności, niekiedy wręcz je paraliżując. Pozornie czyni się to w interesie zainteresowanych grup, a w istocie na ich szkodę, czego najlepszym przykładem jest próba zablokowania ustawy podatkowej, która zawiera szereg regulacji korzystnych z punktu widzenia inwestowania w kapitał ludzki i gwarantuje wpływy potrzebne dla finansowania usług społecznych oraz ustawy o kształtowaniu wynagrodzeń w sferze budżetowej. Tworzy ona dobre ramy systemowe dla realnego wzrostu płac tej jakże ważnej grupy społecznej - lekarzy i pielęgniarek, nauczycieli i profesorów, policjantów i zawodowych żołnierzy - natomiast brak proponowanych rozwiązań w warunkach wciąż wysokiej, choć wyraźnie spadającej inflacji, mógłby ich sytuację materialną pogorszyć, podobnie zresztą jak działało się to w poprzednich latach.

Gra „w dwa ognie” byłaby bardzo kosztowna dla społeczeństwa i zdecydowanie zaszkodziłaby także Polsce na arenie międzynarodowej. W takim meczu z pewnością przegrana zostałaby szansa przystąpienia do Unii Europejskiej jeszcze w 2000 roku. A wciąż jest taka szansa i trzeba ją wykorzystać. Wprowadzić nas tam może - albo i nie - wybierany w tym roku prezydent. Ale tylko wówczas, gdy będzie on stał na czele, a nie na drodze reform. A to wymaga **wyboru drugiej opcji - współzamieszkiwania**. Świat zna tutaj wiele twórczych przykładów. Najwięcej wniosły francuskie doświadczenia z *cohabitation*. Także obecnie w USA prezydent Bill

Clinton w wyniku ostatnich uzupełniających wyborów do Kongresu politykę prowadzić musi w skomplikowanym dla niego układzie politycznym.

Polityka ta wszakże nie może nigdy polegać w takich przypadkach na destruktywnej „wojnie na górze”, ale tylko na współdziałaniu wszystkich demokratycznie ukształtowanych podmiotów władzy przy pełnym poszanowaniu występujących pomiędzy nimi różnic poglądów oraz sprzecznych niekiedy interesów. Ale są takie ich układy, gdzie panować musi zgodność. Nie ulega na przykład najmniejszej wątpliwości, że takim wspólnym interesem powinna być stabilizacja finansowa i dlatego bardzo źle się dzieje, jeśli niektórzy bawią się w politykę finansową, traktując ją nadzwyczaj instrumentalnie. Czasami wydaje się im, że wystarczy tylko powiedzieć - dajcie mi kolejną ustawę, a paragraf na nią to ja już znajdę...

Jakiś czas temu na tych łamach pisałem o potrzebie **koalicji szerokiego porozumienia**. Teraz widzę tym ostrzej taką potrzebę, jesteśmy już bowiem w roku prezydenta. Poszukiwać nadal trzeba sposobów, prowadzących do tworzenia takiej koalicji. Jest ona przede wszystkim potrzebna polskiemu społeczeństwu i sprzyjać będzie kontynuacji reform gospodarczych. A dlatego, że są one trudne politycznie, rządy każdej koalicji powinny być wsparte na *cohabitation po polsku*. Prezydent i rząd bowiem zawsze w jednym będą stali domu.

Vendetta na górze

Warszawa, 9 stycznia 1995 r.

Coraz częściej i coraz więcej osób pyta, o co tak naprawdę chodzi w obserwowanych z narastającym zgorznięciem sporach na szczytach władzy? Spotykam się ostatnio z tymi pytaniami tak w środowisku intelektualistów - ludzi kultury i nauki - jak i wśród elit polskiego biznesu. Pytają o to wybitni sportowcy i studenci. Zaniepokojeni są także zagraniczni obserwatorzy naszej sceny politycznej - zarówno dyplomaci, jak i inwestorzy. Trudno dziwić się temu

zgorzeniu, skoro wielu prominentnych polityków ucieka się do zachowań, które nie tylko nie mogą budzić społecznego uznania, ale wręcz prowokować muszą jeśli nie od razu sprzeciw, to przynajmniej zażenowanie. Ponawiane jest pytanie - coraz częściej wprost - dlaczego ci ludzie, zajmujący tak eksponowane stanowiska, tak właśnie się zachowują? Kiedyś ktoś wyjaśni to w pogłębiony sposób. Ale dzisiaj prosta odpowiedź, że **jest to walka o władzę, której uczestnicy uważają, że prawie wszystkie chwytty są dozwolone**, jest już niewystarczająca. Ja z pewnością nie mogę takiej odpowiedzi zaakceptować, uważam bowiem nadal, że wiele tzw. chwytów jest niedopuszczalnych, a przede wszystkim trzeba chronić substancję naszej - w coraz lepszej znajdującej się kondycji - gospodarki, należy strzec finansów publicznych i dbać o ich stabilizację tak w interesie podatników, jak i beneficjentów budżetu. Niestety, niektóre wątki politycznej przepychanki są wciąż przenoszone na gospodarke i finanse.

Ostatnio mieliśmy taki przykład w związku z organizowaniem strajków wokół planowanego wzrostu płac pracowników sfery usług społecznych, zwłaszcza służby zdrowia, na którą przeznaczony jest co siódmy złoty z naszych podatków. Na pozór chodziło o gwarancję zakładanych na ten rok podwyżek, które daje właśnie budżet i ustawa o kształtowaniu wynagrodzeń w sferze budżetowej, ale natychmiast została ona zaskarżona pod wątpliwym pretekstem do Trybunału Konstytucyjnego. Pretekst ten, to rzekome oderwanie wynagrodzeń w sferze budżetowej od płac w przedsiębiorstwach, chociaż faktycznie przyjęta już ponownie, po odrzuceniu prezydenckiego weta, **ustawa zakłada dla pracowników sfery budżetowej większy wzrost płac, niż w sektorze przedsiębiorstw**. Co gorsza, zarazem torpedowane są wysiłki, aby gwarancje takie miały podstawy we wpływach do budżetu. Bo temu przecież - a nie rzekomej obronie interesów podatnika - służą próby zablokowania wejścia w życie już powtórnie uchwalonej przez Sejm ustawy, rozstrzygającej poziom obciążeń podatkowych na 1995 rok.

Wkrótce rozpocznie się kolejna faza debaty na temat reformy służby zdrowia oraz systemu ubezpieczeń społecznych i niezbędnej dla ochrony realnego poziomu świadczeń zmiany zasad indeksacji rent i emerytur, zapowiadanej już w umowie koalicyjnej SLD-PSL.

Ta trudna sprawa będzie swego rodzaju testem wiarygodności dla polityków różnych opcji - także opozycyjnych - którzy wcześniej opowiadali się za tego typu zmianą jako operacją absolutnie niezbędną. Warto już dzisiaj mieć pełną świadomość, że ewentualne odłożenie zmian, przewidywanych w ustawie przesłanej przez rząd do Sejmu, uniemożliwiłoby obniżenie skali podatków od przyszłego roku, a także doprowadziłoby do spadku realnych emerytur wskutek niekorzystnych tendencji makroekonomicznych.

Dzisiaj można jeszcze tych niebezpieczeństw uniknąć, ale wymaga to niezbędnych reform. Te z kolei mogą się dokonać tylko w warunkach pokoju społecznego, współpracy różnych, także opozycyjnych wobec siebie partii politycznych oraz *cohabitation* po polsku, o czym pisałem przed tygodniem. Czy to jest jeszcze możliwe? Myślę, że tak. Ale wymaga to **przewyciężenia syndromu skłócenia polityków, funkcjonujących w decydujących ogniwach systemu władzy w Polsce**. Władza wiąże się z prestiżem, a ten w odniesieniu do niektórych polityków i partii jest mocno nadwyreżony. Strach o jego utratę prowadzi do zaniechania polityki twórczej i reformatorskiej, polegającej na rozwiązywaniu problemów dla dobra publicznego. Uwaga koncentruje się na walce o to, czyje będzie na wierzchu. Choćby bez sensu, ale żeby tylko było na wierzchu!

To już nie jest żadna „wojna na górze”, która sama z siebie też jest czymś złym i dla nas wszystkich niekorzystnym. Na wojnie chodzi o to, że ktoś musi zwyciężyć, na wojnie chodzi o to, kto kogo? W obecnej fazie walki politycznej w Polsce - a obserwuję ją z samego epicentrum - nie chodzi już o to, kto kogo, ale kto komu. Kto komu więcej „przyłoży”, kto komu utrudni itd. To już nie jest „wojna na górze”, **to jest vendetta na górze**, gdzie złość rozum odbiera. Zadaje się ciosy, które mają boleśnie ranić, ale przecież zwycięstwa nie dają nikomu. Od pewnego momentu nie chodzi już o to, o co oficjalnie chodzi, tylko działa logika zemsty. Na ustawie o podatkach - za blokowanie nominacji czyjegoś kandydata w bardzo ważnym skądinąd resorcie; na obchodach w Buffalo - za obchody w Monte Cassino; za niedostatek środków na remont pewnego pałacu - brakiem zgody na korzystanie ze specjalnego samolotu; za to, że ktoś wchodzi na mównicę tym, że ktoś wychodzi z sali itd.

Takie uprawianie polityki może nie mieć końca i wyrwać się spod kontroli. To grozi lawiną. Dlatego też **obecne spory na gorze to nie jest kolejna wersja obrzydliwego polskiego magla politycznego, ale jest to swoisty wir, który wciąga w swe zgubne prądy coraz to dalsze kręgi światłych skądinąd polityków.** Wir ten kręci się tym mocniej, że media nie tylko z niego żyją i bezlitośnie to eksploatują, ale także naoliwiają jeszcze tę maszynę. Na tym tle wielkie znaczenie mają działania tych osób i instytucji, które w żaden sposób nie dają się wciągnąć w ów wir i wskazują właściwy kierunek oraz sposób postępowania, W szczególności szacunek wzbudzać musi tutaj postawa Rzecznika Praw Obywatelskich - profesora Tadeusza Zielińskiego, który w toczących się sporach zawsze staje po właściwej stronie, którą wyznacza interes społeczny i prawa obywatelskie.

Dzisiaj wszakże liczne sprawy sporne są już brzemienne w skutki. Na szalę rzuca się finanse publiczne, posługuje się strajkami głodowymi, uniemożliwia się mianowanie szefa policji czy też ministra obrony narodowej, wetuje się ustawy w celu destabilizacji finansów publicznych, wzywa się do niepłacenia należnych państwu (powtarzam-państwu, nie rządowi) podatków, co już jest kuriozum na miarę światową. Patrząc tylko, jak ktoś ze szczytów władzy wezwie do niewykonywania rozkazów w wojsku, bo mu się nie będzie podobał nowy minister. Albo że będzie ich dwu naraz - jeden od obrony, a drugi od ataku. A może jeszcze w każdym państwie będziemy mieli po dwu ambasadorów...

Najwyższy czas to powstrzymać. Decydować o poszczególnych rozstrzygnięciach musi ład konstytucyjny, a nie żenujące interpretacje prawa i powoływanie się na nie zawsze dość precyzyjną i jednoznaczną literę Konstytucji po to, aby łamać jej ducha. Takie praktyki muszą wywoływać reakcje obronne, ale mogą też popychać do nadgorliwości na innych polach i w rezultacie do coraz silniejszego wirowania, które może wciągnąć wszystkich. **Teraz już doprawdy nie jest ważne, kto zaczął - tak jak w vendettie - ale kto i jak to skończy.** Warto pamiętać, że dla wielu polityków najważniejsze są ich elektoraty. Ale to nie to samo co społeczeństwo, a to jego właśnie interesom podporządkowana musi być polityka.

Spierać się trzeba i warto, bo to rozwija i pomaga. Ale jeśli niektórzy politycy nie potrafią wykorzystać takich sporów twórczo

i udowodnić, że zaiste publicznej służą sprawie, to złożmy się wszyscy i zbudujemy im mur, aby mogli przy nim dalej zastanawiać się, jaką by tu obmyślić sobie nawzajem zemstę. Sobie - nie nam.

Pierwsi z czternastu

Paryż, 16 stycznia 1995 r.

Mimo wszelkich zawirowań na polskiej scenie politycznej **atmosfera uznania i zainteresowania naszą gospodarką rośnie**. Było to szczególnie widoczne podczas ubiegłotygodniowej konferencji na temat handlu i inwestycji w Europie Środkowej i Wschodniej, zorganizowanej z inspiracji prezydenta USA Billa Clintona w Cleveland. „Trade not aid” - „Handel a nie pomoc” - to eksponowane przez prezydenta hasło, które odzwierciedla istotę obecnej, nowej fazy współpracy pomiędzy gospodarką amerykańską a wyłaniającymi się rynkowymi gospodarkami posocjalistycznymi.

Największe uznanie spośród nich budzi Polska. USA promują nasz kraj, zaliczają Polskę do dwunastu największych wyłaniających się rynków. Obok nas znajdują się w tej grupie takie państwa, jak Chiny i Korea, Meksyk i Argentyna, Turcja i Indonezja. Z naszej części świata - a w konferencji w Cleveland uczestniczyli przedstawiciele czternastu państw środkowo-wschodniej Europy, od Estonii do Albanii - do grupy tej zakwalifikowana została tylko Polska. Taka ocena bierze się zarówno z dotychczasowych osiągnięć, przede wszystkim z odzyskania w wyniku transformacji systemowej zdolności do szybkiego wzrostu gospodarczego - przy jednoczesnym otwarciu na zewnątrz oraz liberalizacji - jak i z pozytywnych prognoz co do możliwości rozwojowych na przyszłość.

Ocena tych perspektyw jest nawet ważniejsza, postrzeganie bowiem możliwości rozwojowych gospodarki polskiej decydować będzie o intensyfikacji obrotów handlowych i dopływie nowych inwestycji. A na tym nam szczególnie zależy. **Przedstawiona w Cleveland przez prezydenta Clintona strategia dla Europy Środkowo-Wschodniej stanowi w przypadku naszego kraju do-**

bre uzupełnienie i wsparcie naszej Strategii dla Polski, Program ten zakłada bowiem wzmocnienie tendencji do zrównoważonego, długookresowego rozwoju gospodarczego w oparciu o wysoką skłonność do oszczędzania oraz wzrost produkcji eksportowej. Jedno i drugie wymaga dopływu inwestycji zagranicznych, które traktują głównie jako instrument podnoszenia międzynarodowej konkurencyjności naszej gospodarki oraz uzupełnienia wciąż niedostatecznego poziomu oszczędności.

Dotychczas kapitał zagraniczny zainwestował w Polsce blisko pięć miliardów dolarów. Na prawie drugie tyle opiewają plany na najbliższe lata. Największym inwestorem - obejmującym około jednej trzeciej tych inwestycji - są właśnie USA. Rozmowy prowadzone w Cleveland pociągną za sobą dalszy dopływ do naszego regionu inwestycji zagranicznych i to nie tylko amerykańskich, w ślad za USA bowiem idą inne państwa. Dobra opinia amerykańskich ośrodków o polskiej gospodarce i rzeczywiste działania amerykańskich inwestorów są zatem postrzegane przez inne kraje. Faktu tego nie zmieniają przekłamania, sugerujące pogorszenie się naszej międzynarodowej pozycji finansowej. O takiej rzekomej tendencji doniosła ostatnio „Gazeta Wyborcza”, której gorliwy korespondent posługiwał się raportem jednej z amerykańskich agencji, oceniającej naszą gospodarkę w... 1992 r. **Tego typu zabiegi intencjonalnie wymierzone są w rząd, którego pozycję i osiągnięcia chce się osłabić, ale szkodzi to po prostu interesom państwa.** W jego bowiem interesie leży poprawa odbioru Polski w szerokim świecie, co udaje się osiągnąć dzięki wysiłkowi całego społeczeństwa i reformatorskim działaniom kilku kolejnych rządów.

W Cleveland wszakże nie tylko odbyła się konferencja, ale także była to okazja do odbycia rozmów z prezydentem B. Clintonem, sekretarzem ds. handlu R. Brownem i prezeską Korporacji Prywatnych Inwestycji Zagranicznych R. Harkin oraz podsekretarzem Departamentu Stanu, R. Holbrookiem. Prezydent Clinton potwierdził swoje poparcie dla naszych aspiracji w sprawie przystąpienia do NATO, OECD i Unii Europejskiej. Trzeba docenić jego osobisty wkład w popieranie reform w naszej części świata. Sekretarz handlu R. Brown - bardzo życzliwy wobec Polski i naszej współpracy - jest nawet nieco zdziwiony, że to **polski eksport do USA rośnie**

dużo szybciej, niż w odwrotnym kierunku, chociaż w innych rozmowach słyszałem utyskiwania na niedostateczną aktywność naszych firm na rynku amerykańskim. Prezes R. Harkin zaskoczyła mnie mile stwierdzeniem, że **Polska uważana jest za jeden z najbardziej stabilnych krajów** pośród 140 państw, wobec których kierowana przez nią amerykańska korporacja rządowa udziela rodzimym firmom gwarancji - także od ryzyka politycznego - oraz kredytów na prowadzenie przedsięwzięć inwestycyjnych. Z R. Holbrookiem omówiliśmy sytuację międzynarodową, a zwłaszcza sprawy związane z perspektywami poszerzenia NATO i przystąpienia Polski do tej struktury międzynarodowego bezpieczeństwa.

Spotkanie było także okazją dla wchodzącej w skład polskiej ekipy grupy około dwudziestu prezesów i dyrektorów firm prywatnych i państwowych - a byli oni zgodnie z zainteresowaniami partnerów amerykańskich zaproszeni przez organizatorów - do odbycia wielu spotkań, służących kontraktom handlowym oraz inwestycyjnym. Szacujemy, że w wyniku realizacji uzgadnianych projektów **inwestycje amerykańskie w Polsce mogą w krótkim okresie - myślę tu o dwu, trzech latach - ulec podwojeniu, natomiast obroty handlowe powinny wzrosnąć o około pół miliarda dolarów**. Służyć temu będzie uzgodniona na początek marca wizyta grupy amerykańskich inwestorów i przedsiębiorców, organizowana przez wspomnianą korporację wspierającą amerykańskie inwestycje zagraniczne.

Tak układa się sekwencja zdarzeń, że bezpośrednio po konferencji w Cleveland prowadzę rozmowy w OECD. Paryskie spotkanie z Radą Ambasadorów 25 państw członkowskich jest dobrą okazją, aby potwierdzić nie tylko naszą determinację przystąpienia do tej organizacji, ale także **konsekwencję co do strategicznych kierunków polskiej polityki zagranicznej**. OECD - organizacja skupiająca najbardziej rozwinięte państwa świata - ogłosiła właśnie raport o polskiej gospodarce. Ma on niezwykle opiniotwórcze znaczenie. Tym bardziej cieszyć powinno, że OECD **pozytywnie ocenia postęp dokonany w transformacji polskiej gospodarki i jej perspektywy rozwojowe**. A to, że fakt takiej właśnie oceny ma miejsce teraz, nie powinno smucić i irytować przeciwników rządu, ocena dotyczy bowiem polskiej gospodarki oraz efektów zbiorowego wysiłku pod kierunkiem obecnego i poprzedniego rzą-

du, które z kolei dyskutowały już dorobek jeszcze wcześniejszego okresu.

Rozmowy z sekretarzem generalnym - J. Payem - dotyczyły procedury przystępowania Polski do OECD. Wiele w tym celu uczyniono i jest szansa, że **już za rok będziemy dołączali do ugrupowania najbardziej rozwiniętych państw**, cieszących się demokracją polityczną i gospodarką rynkową. Wpierw jednak wiele jeszcze musimy zrobić, zwłaszcza w zakresie dostosowań prawa gospodarczego, nad czym intensywnie pracuje kilka komitetów i grup roboczych, koordynowanych przez pion wicepremiera ds. gospodarczych.

Dzisiaj - na początku 1995 r. - można już chyba nakreślić **sekwencję instytucjonalnego włączania się Polski w układ międzynarodowy i światowy**. Po przystąpieniu do Światowej Organizacji Handlu Polska zostać powinna członkiem OECD już w 1996 r. To z kolei jest niezbędnym krokiem przed późniejszym przystąpieniem do NATO i wejściem do Unii Europejskiej - być może już w roku 2000. Temu ma służyć nasza polityka, w tym realizacja *Strategii dla Polski*. Temu także służyć ma inwestowanie w Polskę, dlatego warto innych do tego zachęcać.

Kwadratura pięciokąta

Warszawa, 23 stycznia 1995 r.

Sytuacja gospodarcza podlega nieustannym zmianom, ale przy okazji podsumowywania dorobku kolejnych lat, można dokonać pogłębionych ocen. Z tego punktu widzenia **rok 1994 dowodzi wyraźnej poprawy naszej sytuacji makroekonomicznej**, co też łatwo odczytać z rozłożenia akcentów w politycznych dyskusjach prowadzonych wokół gospodarki. Wielu bowiem podstawowych problemów makroekonomicznych nie rozstrząsa się już z taką zawziętością, jak wcześniej. Dyskusje ponownie koncentrują się bardziej na kwestiach mikroekonomicznych czy stosunkach po-

działu, gdzie faktycznie trudnych problemów do rozwiązywania mamy więcej.

Przed kilkoma laty, wykładając na zagranicznych uniwersytetach i uczestnicząc w serii seminariów, dotyczących transformacji gospodarki posocjalistycznej, często brałem udział w sporach na temat, czy już jest lepiej, czy jeszcze nie (bo w nadchodzącą z czasem poprawę sytuacji gospodarczej w naszej części świata prawie nikt w środowiskach profesjonalnych nie wątpił). Zresztą i dzisiaj dyskusje takie trwają nadal. Wbrew pozorom, odpowiedź na tak postawione pytanie nie jest łatwa. A to dlatego, że **nie ma jednoznacznego kryterium oceny sytuacji ekonomicznej**; dyskutanci często posługują się dowolnie wybraną miarą, aby dowodzić słuszności swojej oceny. Dlatego też raz jest lepiej, raz gorzej.

Warto zwrócić uwagę, jak tego typu dyskusje przebiegają w ostatnich latach w Polsce. Otóż, z reguły, **kręgi rządzące i sprzyjający im ekonomiści oraz publicyści nagłaśniali przebieg tego procesu, który kształtował się najkorzystniej**. Dla przykładu przytoczmy tutaj odczuwalny - aczkolwiek skądinąd zbyt wolny - spadek inflacji po pierwszym kwartale 1990 roku. Jednocześnie, celowo, umniejszane było znaczenie ewidentnych niepowodzeń na innych odcinkach. Tu zaś najlepszym przykładem może być głęboka recesja lat 1990-91, kiedy to dochód narodowy obniżył się niepotrzebnie aż o ponad 18 proc, a produkcja przemysłowa załamała się, spadając aż o około 40 proc. Z kolei **politycy i wtórujący im ekonomiści z kręgów ówczesnej opozycji nadmiernie eksponowali negatywne tendencje** - jak wspomniany spadek produkcji i towarzyszące mu lawinowo narastające bezrobocie - nie doceniając postępu dokonywanego gdzie indziej. Pomimo upływu czasu tak jedna, jak i druga grupa w zasadzie pozostaje przy swoich subiektywnych, często emocjonalnie podbarwionych, a niekiedy nawet przeideologizowanych ocenach. Rzeczywistość jest jednak bardziej złożona.

Pomiędzy wieloma procesami ekonomicznymi bowiem występują określone zależności. Nieświadomość istnienia takich związków jest nie tylko przyczyną wielu nieporozumień wśród polityków, jest także wykorzystywana w rozgrywkach określonych partii - deklaratywnie w interesie ich elektoratu, chociaż w rzeczywistości często jego kosztem. Skądinąd nadużywanie w naszym życiu

publicznym pojęcia „elektorat” wskazuje, że dla wielu polityków adresatami ich działalności są właśnie ci, którzy mają ich wybierać za „zasługi” wobec wyborców. **Polityka ekonomiczna** **wszakże powinna być ukierunkowana nie tyle na pozyskiwanie głosów wyborców, co na rozwiązywanie strategicznych problemów gospodarki narodowej** (przy równoczesnym zaspokajaniu potrzeb - zgodnie ze społecznymi preferencjami - finansowanych z pieniędzy podatników, a więc z budżetu państwa).

Szukając zatem odpowiedzi na pytanie, czy i jaki jest zakres poprawy sytuacji makroekonomicznej w Polsce i w innych gospodarkach posocjalistycznych, zaproponowałem w połowie 1992 roku spojrzenie na ten problem przez pryzmat wielu kryteriów jednocześnie. Poprawa bowiem na jednych odcinkach - na przykład walki z inflacją - pociągała za sobą pogorszenie gdzie indziej, zwłaszcza w sferze produkcji, która wówczas spadała. To z kolei pociągało za sobą wzrost bezrobocia. W obrębie finansów zaś poziom produkcji, jej rentowność, zatrudnienie i dochody z podatków wpływały na sytuację budżetu państwa i bilansu płatniczego. W ten sposób powstała **koncepcja pięciokąta stabilizacji makroekonomicznej**, która kładzie na szalę ocen nie tylko to, co jest wygodne oceniającym, ale również inne podstawowe parametry opisujące tempo i kierunki zmian - często przeciwstawne - sytuacji gospodarczej. Szeroko piszę o tym w książce *Kwadratura pięciokąta. Od załamania gospodarczego do trwałego wzrostu* (Poltext, 1993). Oczywiście, nie przypuszczałem wtedy, że przyjdzie mi wystrzelić z tej strzelby, zawieszanej w dekoracji we wcześniejszym akcie. Teraz bowiem według tej metody można ocenić także rzeczywistość, którą sam próbuję kształtować.

Otóż - zgodnie z koncepcją pięciokąta stabilizacji - **sytuacja makroekonomiczna jest tym lepsza, im większe jest pole pięciokąta, które wyznaczają wskaźniki tempa wzrostu gospodarczego, bezrobocia, inflacji, salda budżetu i bilansu płatniczego**. Wielu krytyków słusznie spostrzegło, że koncepcja programu gospodarczego *Strategii dla Polski* wyprowadzona została z tego właśnie nurtu myślowego. Ale podkreślali oni ten fakt w celu podważenia możliwości jednoczesnej poprawy sytuacji na różnych odcinkach. Podobne uwagi - moim zdaniem niesłusznie - zgłaszane były z kręgów opozycyjnych podczas niedawnej debaty

budżetowej: kwestionowano **możliwość jednoczesnego przyspieszenia tempa wzrostu gospodarczego i obniżania stopy inflacyjnej, albo też jej redukcji przy równoczesnym zbijaniu stopy bezrobocia**. Ale to, że inni nie potrafili zrobić tego kiedyś, nie oznacza, iż nie możemy takiej strategii prowadzić obecnie. Co ważniejsze, daje ona już dobre skutki, czego dobitnie dowodzi przebieg procesów gospodarczych w minionym roku, a wzmocni to jeszcze rok bieżący.

W 1994 roku **tempo wzrostu produktu krajowego brutto zwiększyło się** z 3,8 - jak dziś szacuję - do 5,3 proc. **Stopa bezrobocia spadła** z 16,4 do 16,0 proc. Równocześnie aż o ponad 8 punktów (tj. na większą skalę niż rok wcześniej) **obniżyła się stopa inflacji**, spadając z 37,6 proc. do 29,5 proc. Działo się to przy dalszej **redukcji skali deficytu budżetowego**, który z ponad 2,8 proc. w relacji do PKB spadł poniżej 2,8 proc. i to przy przejściu części deficytu ukrytego w 1993 r. w postaci zadłużenia jednostek służby zdrowia i oświaty. Największy postęp dokonał się w odniesieniu do **poprawy salda bilansu płatniczego**, które z - 2,7 proc. PKB spadło do tylko -0,7 proc. Pole pięciokąta stabilizacji (którego „kwadraturę” dzięki realizacji *Strategu dla Polski* udaje się przezwyciężyć) zwiększyło się w sumie w 1994 r. aż o 20 proc. Nic zatem dziwnego, że ciężar dyskusji i krytyki przesunął się w inne obszary, choć wolałbym, aby skupiała się ona na poszukiwaniu jeszcze lepszych sposobów utrwalania tych pozytywnych tendencji.

Jesteśmy w **trudnej fazie podziału coraz obfitszych owoców transformacji gospodarki**. Wiele uwagi poświęcamy poprawie tak sytuacji makroekonomicznej, jak i materialnego położenia tych wszystkich, dzięki którym ta poprawa może mieć miejsce. Już w tym tygodniu - pomimo wielu utrudnień - od wetowania poprzez strajkowanie i zaskarżanie - podwyższane są średnio o około 51 nowych złotych płace w sferze budżetowej. Rosną realne dochody emerytów i płace w przedsiębiorstwach. Tym bardziej trzeba strzec materialnych i finansowych podstaw tej poprawy - także w postaci zagwarantowania właściwych wpływów podatkowych, które owe wetowania i zaskarżania miałyby uniemożliwić - wiedząc zarazem, że problem kwadratury pięciokąta, jeśli się chce i potrafi, jest do rozwiązania.

Tego roku w Davos

Davos, 29 stycznia 1995 r.

Kiedy ćwierć wieku temu rozpoczynałem studia, dużo mówiło się o raporcie Klubu Rzymskiego, który przestrzegał, że wzrost gospodarczy niesie zagrożenie dla środowiska naturalnego. Wnio-
ski Klubu Rzymskiego sugerujące „zerowy wzrost” okazały się jednak równie błędne, jak niegdysiejsze ostrzeżenia przed zagrożeniami dla Paryża z powodu zbyt szybko zwiększającej się liczby konnych dorożek. Z problemami ochrony środowiska radzimy sobie nie poprzez ograniczenie tempa wzrostu, ale przez zmianę charakteru procesów rozwojowych i technologicznych. Po Klubie Rzymskim pojawiło się nowe forum dyskusji o gospodarce światowej w postaci corocznych konferencji w Davos. Jest to już renomowana instytucja, która ściąga do tego szwajcarskiego kurortu kilkuset mężów stanu i polityków, ekonomistów i finansistów, biznesmenów i uczonych. Tak też było tego roku w Davos. Około dwudziestu prezydentów - od Argentyny poprzez Ugandę do Niemiec, wielu premierów - od Nowej Zelandii poprzez Słowenię do Norwegii, blisko dwustu ministrów, setki ludzi interesów, mediów i wszelkiej polityki.

Z wieloma z nich miałem okazję rozmawiać osobiście, niezależnie od udziału w sesjach tzw. INGWEL, tj. nieformalnych - całkowicie bez udziału mediów - spotkaniach, zastrzeżonych wyłącznie dla wysokiej rangi przedstawicieli państw i rządów. Taka formuła dyskusji umożliwia konfrontację poglądów w sposób, który nie jest możliwy w świetle jupiterów. Jest to bowiem swobodna wymiana zdań, podczas której łatwiej powiedzieć, co się myśli bez konieczności zadbania od razu o własne interesy i obawy o to, jak zareaguje opozycja, elektorat, media i inni.

Bardzo ważnym wątkiem rozmów było poszukiwanie odpowiedzi na dosyć prowokacyjne pytanie w tytule tegorocznego forum: *Co po wzroście gospodarczym?* Otóż niektórzy politycy - zwłaszcza

z Afryki - kwestionowali w ogóle trafność stwierdzenia, że wzrost jest już zjawiskiem ogarniającym cały świat, inni próbowali argumentować - w moim przekonaniu niesłusznie - że trudno mówić o rzeczywistej globalizacji procesów gospodarczych. Wykazywano wszakże - choćby na przykładzie skutków ostatniego kryzysu finansowego w Meksyku - że silny szok w jednym kraju może rozlać swe następstwa na inne regiony i w końcu na cały świat.

Sam z kolei zwracałem uwagę na **korelację pomiędzy stabilnością polityczną i ekonomiczną** oraz sprzężenia zwrotne, jakie zachodzą między taką stabilizacją a wzrostem gospodarczym. Jest to dostrzegalne zarówno w kraju, jak i w skali regionalnej oraz na całym świecie. Mówiłem także, że wzrostu gospodarczego nigdy nie należy traktować jako danego raz na zawsze; jego podtrzymywanie wymaga odpowiedniej polityki makroekonomicznej. W wymiarze narodowym okazuje się ona w coraz większej liczbie przypadków skuteczna. W skali światowej natomiast nadal potrzebne są organizacje międzynarodowe - takie jak OECD, MFW czy powstająca właśnie Światowa Organizacja Handlu - w celu koordynacji polityk, służących stabilizacji i wzrostowi gospodarczemu.

Ciekawy jest ten świat. Rozmawiając z premierem Nowej Zelandii - J. Bolgerem i z prezydentem Argentyny - C. Menemem - z dużym uznaniem odnosiłem się do ich osiągnięć gospodarczych. Zwłaszcza rolę, jaką w procesie otwierania się na świat, stabilizacji i wzrostu odegrał prezydent Menem (przechodząc od neoperonistowskiego populizmu do twardego pragmatyzmu) budzi uznanie. Wkrótce będzie okazja, aby lepiej poznać te doświadczenia przy okazji nadchodzącej wizyty prezydenta Polski w Buenos Aires. W Argentynie to właśnie **prezydent bierze na siebie inicjowanie i osłanianie trudnych reform, związanych z prywatyzacją, liberalizacją i przebudową systemu świadczeń społecznych**. I to owocuje.

Ważne również było spotkanie z prezydentem Niemiec - R. Herzogiem. Jak wiadomo, **Niemcy jednoznacznie popierają nasze plany przystąpienia do Unii Europejskiej oraz NATO**. Podzielałem pogląd prezydenta Herzoga, że wcześniej zostaniemy członkiem NATO, a nieco później dopiero spełnimy warunki, umożliwiające przystąpienie do Unii Europejskiej, jest to bowiem trudniejsze. Tak w swoim wystąpieniu podczas panelu z udziałem prezydentów

Austrii i Węgier oraz premiera Czech, jak i w rozmowie z nowym przewodniczącym Unii Europejskiej - J. Santerem - próbowałem wykazać, że choć trudne to zadanie, może okazać się ono do zrealizowania w perspektywie 2000 roku.

W innych regionach świata problemów jest znacznie więcej, niż u nas i są one trudniejsze do rozwiązania. Nadal ogromne problemy ma Rosja. Większość moich rosyjskich rozmówców nadal różni się w zapatrywaniach na metody transformacji gospodarki pokomunistycznej i z uznaniem spogląda na polskie dokonania. Jeszcze większe trudności stoją przed Palestyńczykami, którzy odbudowują swoją gospodarkę w ramach procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie. O jego trudnym przebiegu rozmawiałem także z premierem Izraela - S. Perezem - który oczekuje wkrótce na wizytę premiera naszego rządu.

Świat jest jeden, ale składa się z wielu państw albo, jak powiedziałby ekonomista, gospodarek narodowych. W trakcie tegorocznego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos wyraźnie dostrzec można było **akcentowanie znaczenia sześciu krajów, które zaliczane są do dwunastki tzw. dużych, wylaniających się rynków, a mianowicie Chin, Indii, Argentyny, Meksyku, Południowej Afryki i Polski.** W tych właśnie kierunkach spoglądają obecnie inwestorzy, poszukując możliwości lokowania kapitału i dostępu do szybko rozwijających się, niekiedy wręcz kwitnących rynków. Z drugiej strony, gospodarki te - w tym nasza - muszą czynić wiele wysiłków, aby sprostać rosnącemu zainteresowaniu i stawić czoła coraz większej konkurencji innych państw, nawet najbardziej odległych. Dzisiaj bowiem odległość nie odgrywa większej roli, liczy się natomiast stabilizacja gospodarcza i polityczna, tempo wzrostu, chłonność rynku. Na tym tle Polska jest coraz atrakcyjniejszym partnerem dla zagranicznych inwestorów. Spotykałem się z nimi w Davos wielokrotnie. Aktywni są tutaj także dyrektorzy i prezesi wielkich polskich firm - takich jak Polimex, Budimex czy Impexmetal - znanych na świecie i wchodzących w związki kapitałowe, handlowe oraz produkcyjne z partnerami zagranicznymi.

Ludzie interesu i politycy zadają wiele pytań na temat sytuacji politycznej w naszym kraju, przy czym najczęściej dotyczą one **niezrozumienia zabiegów prezydenta L. Wałęsy wokół ustaw**

podatkowych i tegorocznego budżetu. To niepokoi i zdumiewa, zagrażając korzystnej atmosferze wytworzonej ostatnio wokół Polski oraz dobrym perspektywom rozwojowym naszej gospodarki. Trudno bowiem obserwatorom naszej sceny zrozumieć, a jeszcze trudniej pochwalać tego typu działania, niebawem w rozwiniętych demokracjach i gospodarkach rynkowych. Oczekują oni bowiem utrwalania przejrzystych reguł gry ekonomicznej i stabilności politycznej. **Polskie aspiracje do OECD, NATO i Unii Europejskiej będą mogły się ziścić tylko w oparciu o stabilność i rozwój**, a procesy te mogą zostać zakłócone przez nieodpowiedzialne, pozabawione wyobraźni działania polityków. To trzeba wyraźnie powiedzieć już teraz, aby zapobiec niebezpieczeństwu straty czasu i energii na niepotrzebne potyczki polityczne. W Davos w sobotni wieczór - akurat w dniu moich urodzin - tańczono argentyńskie tango. Za rok może być polka. Ale tak inni będą wokół nas tańczyć, jak my sami sobie zagramy.

Stół z powylamywanymi nogami

Warszawa, 6 lutego 1995 r.

Dokładnie sześć lat temu - na początku lutego 1989 roku - usiadłem do stołu. Był okrągły. Przynajmniej tak go nazwaliśmy, *zważywszy* na rangę spraw, które przy tym stole były omawiane przez następne dwa miesiące. W wyniku tych rozmów wyłonił się historyczny kompromis, który umożliwił godne naśladowania przejście od jednej formacji do drugiej. Proces ten później zaczęliśmy określać jako transformację systemową. Dzisiaj, kiedy przekształcenia zaczynają przynosić coraz więcej owoców, okazuje się, że w obecnej, daleko mniej złożonej sytuacji, chęci do prowadzenia trudnego dialogu jakby brakowało. Bardziej słychać wokół ton konfrontacyjny, aniżeli ugodowy, co w jakiś sposób kaleczy ideę okrągłego stołu.

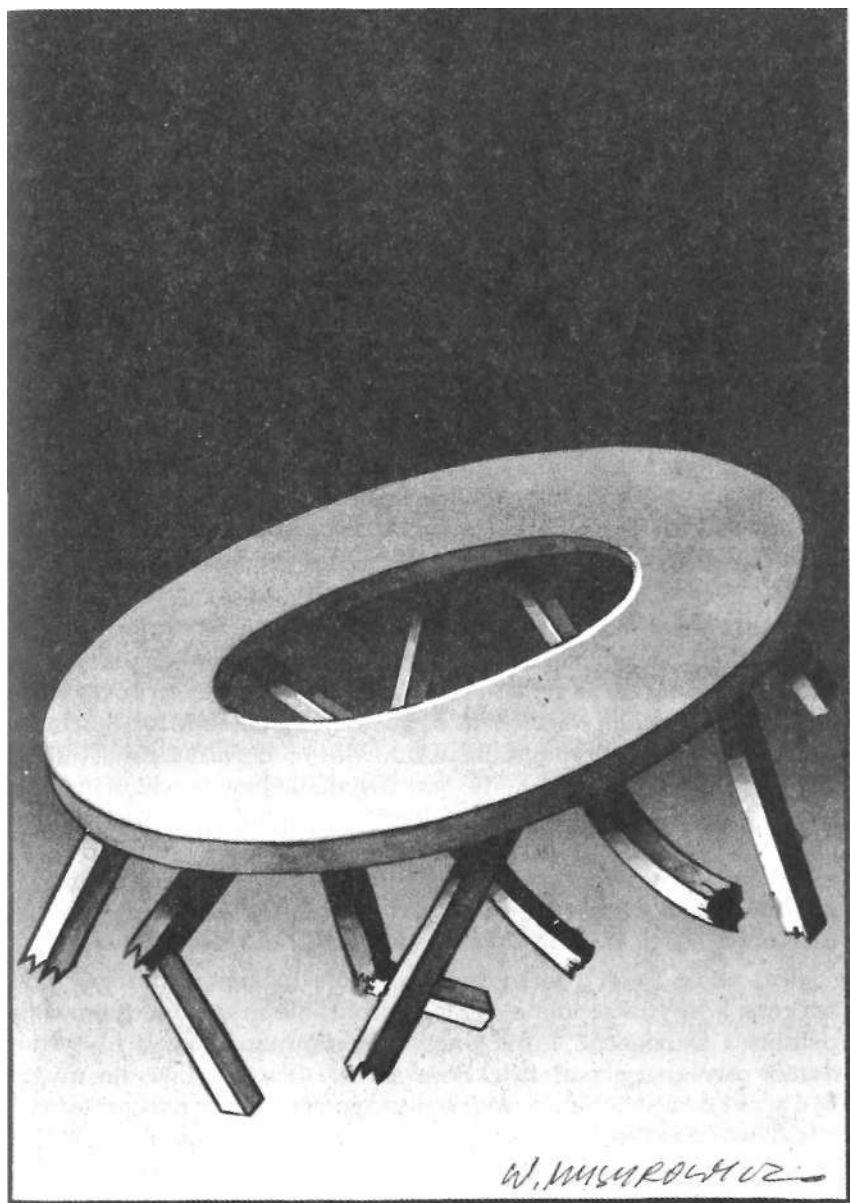
Polski okrągły stół był **osiągnięciem na miarę historyczną**. Rozpoczął - wraz z późniejszą decyzją o zburzeniu muru berlińskiego

skiego - nieodwracalny proces demokratycznych przekształceń w naszej części świata. Chociaż w czasie trwania samych negocjacji trudno było wyobrazić sobie wszystkie implikacje tamtych decyzji, to dla ich uczestników było jasne, że wchodzimy na drogę budowy gospodarki rynkowej i rozwoju demokratycznych instytucji państwa prawa. Myślę jednak, że tempo późniejszych zmian było szybsze, niż się tego spodziewano, podpisując porozumienie okrągłego stołu. Dla wielu osób - tak spośród uczestników, jak i obserwatorów tamtych wydarzeń - także kierunki późniejszych zmian okazały się niekiedy inne, niż oczekiwano. I to nadal daje się zauważyć.

Z dzisiejszej perspektywy może się wydawać, że okrągły stół grzeszył naiwnością i połowicznością wielu przyjętych wówczas rozwiązań. Część z nich była przy tym ewidentnie błędna. Co gorsza, w niektórych przypadkach było to już wiadome w momencie podejmowania decyzji, a mimo to - pod presją nacisków czysto politycznych - decyzje te zapadały. Przykładem takiego brzemienego w skutki błędu było narzucenie przez Solidarność i jej ówczesnego przewodniczącego powszechnej indeksacji płac, co - wraz z uwolnieniem cen żywności bez podjęcia innych działań - prowadziło wprost do hiperinflacyjnego wzrostu cen.

W trakcie obrad okrągłego stołu było to jeszcze do uniknięcia, i ale bardzo krótkowzroczna polityka wzięła górę nad ekonomicznym rozsądkiem, z którego zrezygnowała wówczas przytłaczająca większość uczestników obrad przy tzw. stoliku ekonomicznym. Na dobrą sprawę, w batalii przeciwko wprowadzeniu tamtej indeksacji w końcowej fazie dyskusji zostałem już zupełnie sam, aczkolwiek w innych miejscach - także na łamach „Polityki” - odzywali się niektórzy ekonomiści, oponujący przeciwko takiemu rozwiązaniu.

Z tej obserwacji wynika wniosek, że nie należy ulegać politycznym naciskom, jeżeli skórka nie jest warta wyprawki. Coraz bardziej rozumiem, że w polityce nie tak ważny jest fakt posiadania racji bądź jej braku, lecz skuteczność w przekonaniu do niej innych. Tak było kiedyś, tak też jest i dzisiaj. Dlatego też sprawą zasadniczą jest **nieustanne prowadzenie dialogu**, który uwzględniać musi odmienne od własnego punkty widzenia. W polityce bowiem nie tyle chodzi o różnice poglądów, ile o różnice interesów. Odmienność poglądów jest twórcza, jeśli dyskusja *toczy się* na



argumenty. Zróżnicowane interesy mogą być do pogodzenia, jeśli są wyartykułowane we właściwy sposób i jeśli istnieje dobry mechanizm arbitrażu. Z jednym i drugim wszakże mamy spore trudności — i to pomimo niekwestionowanego postępu w tworzeniu instytucji demokratycznego państwa prawa, jaki dokonał się od czasu obrad okrągłego stołu.

Po sześciu latach sytuacja jest odmienna, istnieją bowiem liczne instytucje umożliwiające zorganizowany dialog pomiędzy podstawowymi grupami społecznymi. W kwestiach związanych z polityką społeczno-gospodarczą forum takim jest komisja trójstronna, w której zasiadają przedstawiciele pracowników, pracodawców i rządu. Przy dobrej woli wszystkich stron udaje się w takim trybie omówić wiele rozwiązań - zwłaszcza z obszaru stosunków podziału - które potem stosowane są w miarę bezkonfliktowo w praktyce. I o to w istocie chodzi - poprzez właściwe zaprezentowanie swoich grupowych interesów i znalezienie rozwiązania będącego do przyjęcia dla wszystkich stron, można uniknąć przerodzenia się różnic poglądów oraz odmienności interesów w sytuacji konfliktowe.

Ostatnio komisja trójstronna negocjowała, uzasadniony realiami makroekonomicznymi, pułap wzrostu płac w przedsiębiorstwach w oparciu o nowe rozwiązanie ustawowe, wprowadzone w ramach *Strategii dla Polski*. Negocjacyjny mechanizm kształtowania przyrostu wynagrodzeń ma służyć ograniczaniu inflacji i unikaniu konfliktów na tle płacowym. Lepiej bowiem jest dla wszystkich zainteresowanych, kiedy negocjuje się przy stole - obojętnie już jakiego kształtu - niż wtedy, kiedy brak dialogu prowokuje do ostrych protestów i konfliktów. Problem w tym, że niektórzy żyją z organizowania protestów i wywoływania konfliktów, choć udają, że żyją chęcią ich łagodzenia i rozwiązywania.

Jest wiele innych form dialogu, które można postrzegać jako twórczą kontynuację idei okrągłego stołu, ale mogą one tylko uzupełniać i wzbogacać funkcjonowanie najważniejszych instytucji demokratycznego państwa. Podstawowe bowiem kwestie muszą być poddawane debatom w demokratycznie wybranym parlamencie. Warto podkreślić, że zasiada w nim wciąż wielu wybitnych uczestników dyskusji okrągłego stołu. Obecnie niektórzy z nich głoszą nieco odmienne poglądy, niż kiedyś, ale wynikać to może także z zasadniczej odmienności sytuacji, w jakiej się znajdujemy

na początku 1995 roku. W międzyczasie doprawdy przetoczyło się koło historii i teraz stoimy przed innymi dylematami, niż sześć lat wcześniej. Ale sposób ich rozstrzygnięcia musi być podobny - prowadzić powinien poprzez **dyskusję, dialog, porozumienie. To jest ta najważniejsza lekcja, która płynie z doświadczenia okrągłego stołu.**

Obecnie nie ma konieczności uciekania się do dialogu w rodzaju okrągłego stołu. Są ku temu lepsze instytucje, a zwłaszcza parlament oraz wolne media. Rola tych ostatnich jest - a dokładniej *może* być, jeśli staną one na wysokości zadania - olbrzymia. Media mogą równie dobrze skłócać, jak i godzić, ułatwiać poszukiwanie rozwiązań nurtujących nas problemów, jak i stwarzać ich jeszcze więcej. Ale i tak decydują politycy. A z nimi mamy ostatnio jakby coraz więcej zamiast mniej zmartwień i problemów.

Dzisiaj w pałacu, w którym usiedliśmy do okrągłego stołu przed sześciu laty, kto inny sam zasiada. Myślę, że nie o tym myślał, kiedy zastanawiał się, co wyniknie z podpisanych wtedy porozumień. Ja natomiast uważałem - i nadal tak sądzę - że najważniejsze to próbować porozumieć się wokół spraw ważnych, co do których wcześniej porozumieć się nie było można. Dlatego też, aby porozmawiać o sposobach poprawy sytuacji, może warto byłoby innych zaprosić. Niekoniecznie do okrągłego stołu, gdyż tego naszego narodowego mebla tam już nie ma. Ale jest dostatecznie dużo problemów, aby właśnie nad ich rozwiązywaniem wspólnie się zastanowić.

Teraz albo nie wiadomo kiedy

Warszawa, 13 lutego 1995 r.

Jeśli powstanie nowy rząd starej koalicji, musi być to rząd koalicji zorganizowanej nie tyle, czy nie tylko wokół zmian personalnych, ale przede wszystkim wokół spraw i problemów, które - na zasadzie wspólnoty programowej - będą rozwiązywane. Jest to także okazja, aby podjąć ponownie kwestię koalicji szerokiego

porozumienia. Nie ma bowiem aż takich różnic programowych pomiędzy obecnie rządzącymi partiami a niektórymi partiami z parlamentarnej opozycji, które uniemożliwiłyby wspólne działania, zwłaszcza w sferze gospodarczej. Pisałem o tym na początku listopada i niedobre doświadczenia ostatnich trzech miesięcy jeszcze bardziej utwierdzają mnie w przekonaniu, że dalsze poszukiwanie takiego historycznego kompromisu jest konieczne. Wymagają tego **strategiczne interesy polskiej gospodarki**. Być może, to właśnie w tych dniach i tygodniach - choć wielu polityków nie zdaje sobie z tego sprawy - rozstrzyga się kwestia terminu przystąpienia przez Polskę do Unii Europejskiej. Jeszcze kilka zawirowań na naszej scenie politycznej, jeszcze jedno zapętlenie wokół transformacji gospodarki i szansa na wejście do Unii w 2000 roku zniknie.

Najważniejsze wszakże jest to, że obecne przesilenie polityczne nie jest w zasadzie związane z sytuacją gospodarczą, ta bowiem jest nie tylko w miarę dobra, ale wciąż się poprawia. Do takich ocen doszła też wieńcząca w tym tygodniu swój pobyt w Warszawie misja Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Być może właśnie dlatego, że **Polska zrealizowała wszystkie tzw. kryteria wykonawcze MFW na koniec 1994 roku**, niewiele o tym słyhać. Lepiej (?) bowiem nagłaśniać złe wieści.

Trzeba raz jeszcze podkreślić, że występują oczywiście związki pomiędzy niestabilnością polityczną a zagrożeniem stabilizacji ekonomicznej. Tym razem kryzys polityczny nie wynika z sytuacji gospodarczej, zrodził się on bowiem na swoim własnym, niezdrowym podłożu. Powstało **niebezpieczeństwo wywołania kryzysu gospodarczego wskutek kryzysu politycznego - a nie odwrotnie**. Takiego zagrożenia trzeba unikać, stąd też obecne przesilenie polityczne powinno znaleźć rychłe rozwiązanie. Ile bym bowiem nie powtarzał, że w polityce gospodarczej i finansowej „robimy swoje”, można to czynić tylko do czasu. Państwo potrzebuje nie tylko budżetu i niezbędnych ustaw, ale przede wszystkim normalnie funkcjonującego mechanizmu koordynacji działań i zdolności podejmowania decyzji w sferze gospodarczej, finansowej i społecznej. A mechanizm ten - pomijając już coraz liczniejsze perturbacje, spowodowane przez kryzys polityczny - jest sam z siebie wadliwy

i nie odpowiada wyzwaniom obecnej fazy transformacji gospodarczej.

Dlatego też w *Strategii dla Polski* mocno eksponowana jest **konieczność reformy centrum gospodarczego**. Jej rozwinięta koncepcja została przedstawiona premierowi rządu oraz kierownictwu politycznemu SLD i PSL jeszcze latem 1994 roku. O konieczności takich zmian wspomniałem także na łamach „Polityki” na początku lipca zeszłego roku. Być może obecne trudności polityczne w jakimś stopniu są także skutkiem odkładania realizacji tej reformy przez kierownicze gremia partii koalicyjnych. Nadmierna koncentracja na sprawach wtórnych prowadzi do tego, że z czasem nie sposób poradzić sobie z problemami zasadniczymi. Czy podobnie będzie raz jeszcze? Oto jest pytanie, które trzeba wyraźnie postawić w dniach próby rekonstrukcji rządu.

Nowy rząd powinien oprzeć się na zreformowanym centrum gospodarczym. Dotychczasowy układ ministerstw i centralnych urzędów gospodarczych jest dysfunkcyjny i utrudnia transformację gospodarczą. Mechanizm koordynacyjny jest niedrożny i konfliktogenny, sprawność polityki makroekonomicznej jest ograniczana, procedury decyzyjne wydłużane. Nie jest prawdą, że w polityce gospodarczej zbyt wiele uwagi poświęca się interwencji w procesy mikroekonomiczne, ale faktem jest, że tego typu interwencje często są nieskuteczne lub też kierowane są pod złym adresem. I jest to nie tyle sprawa ludzi, którzy stoją u steru konkretnych ministerstw i urzędów, ile sposobu koordynacji polityk, które są w ramach tych instytucji prowadzone. Innymi słowy, **nie wystarczy wymienić ludzi - to zresztą może okazać się najłatwiejsze - lecz trzeba zmienić instytucje i zasady ich funkcjonowania**. I pod tym kątem dopiero należy dobierać fachowe kadry, których doprawdy nie brakuje.

Przed dwoma tygodniami złożyłem w Sejmie w imieniu rządu informację o zaawansowaniu prac nad reformą centrum gospodarczego. Wówczas zadeklarowałem zamiar przedstawienia parlamentowi stosownych propozycji na początku następnego kwartału. Ale - być może - nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ostatnie zawirowanie polityczne *może i* powinno skutkować przyspieszeniem prac na tą reformą. W polityce nie należy ponoć nigdy mówić nigdy (osobiście uważam, że są sytuacje, kiedy właśnie tak należy

mówić), dlatego też nie mówię „teraz albo nigdy”, ale powiadam wyraźnie - teraz albo nie wiadomo kiedy. Obecnie bowiem, przy okazji rekonstrukcji rządu, jest najdogodniejsza politycznie sytuacja, by przeprowadzić kompleksową reformę centrum gospodarczego.

Będzie ona miała głębszy sens jedynie wtedy, gdy zmiany nie zostaną ograniczone do powołania nowych ministrów (łącznie z pierwszym), ale obejmą głęboką przebudowę centralnych instytucji, decydujących o sposobie zarządzania gospodarką narodową. Nie mogą bowiem stare instytucje - i to nawet z nowymi ludźmi, których z czasem zniszczą - sterować procesami gospodarczymi i finansowymi w nowych warunkach systemowych. Nie powinno centrum gospodarcze z okresu późnego planowania centralnego wpływać na alokację zasobów i strumieni w otwartej w coraz większym stopniu, zliberalizowanej, społecznej gospodarce rynkowej.

Nowe centrum gospodarcze rządu powinno opierać się o sześć założeń. Po pierwsze, chodzi o deetatyzację, w wyniku której państwo winno ograniczyć swój udział w gospodarce poprzez intensyfikację prywatyzacji i rozwój przedsiębiorczości. Po drugie, zaawansować trzeba dalej decentralizację. Wymaga to przekazania przez państwo części swoich funkcji i zadań gospodarczych niższym szczeblom administracji państwowej i terytorialnej. Po trzecie, dokonać trzeba wyraźnej konsolidacji funkcji gospodarczych państwa, co musi doprowadzić do eliminacji podziałów branżowych w nowym centrum. Po czwarte, struktura centrum gospodarczego powinna być dostosowana do struktur najważniejszych partnerów gospodarczych Polski (także pod kątem naszego członkostwa, prawdopodobnie już od 1995 roku, w OECD) i ma służyć stałej poprawie naszej międzynarodowej konkurencyjności. Po piąte, nowe centrum musi cechować się w większym niż dotychczas stopniu orientacją prorozwojową. Wreszcie, po szóste, niezbędne jest wdrożenie do funkcjonowania centrum zasady równowagi sił i wzajemnej kontroli (tzw. *check & balance*), m.in. poprzez osłabienie pozycji Ministerstwa Finansów.

Dopiero z tych zasad wyprowadzam propozycje konkretnych rozwiązań instytucjonalnych. Stąd z kolei wynika konstrukcja części gospodarczej rządu, wzajemne powiązania pomiędzy nowymi resortami służące doskonaleniu mechanizmów koordynacji i kont-

roli tak, aby eliminować wspomniane ułomności. I na takim tle dopiero warto dyskutować o tym, które to - i dlaczego - ministerstwa znikną, jakie nowe zaś - i po co - pojawią się. Sprawy personalne stawiać na porządku trzeba dopiero na końcu, nie u zarania całej sekwencji. W tym też celu **na początku tygodnia przekazałem premierowi i marszałkowi Sejmu oraz liderom partii koalicyjnych projekt reformy centrum gospodarczego rządu**. Raz jeszcze odpowiedź, udzielona z jednego punktu widzenia jest pytaniem stawianym z innego. Pytanie to jest głęboko polityczne, dotyczy bowiem politycznej determinacji liderów i klubów parlamentarnych SLD oraz PSL co do przeprowadzenia reformy centrum gospodarczego. Warto się tego podjąć. Teraz - albo nie wiadomo kiedy.

Niebezpieczne flirty z inflacją

Warszawa, 17 lutego 1995

Wciąż czekamy na podpisanie budżetu. Polityczne egzorcyzmy odprawiane wokół tego podstawowego dokumentu państwa doprowadziły do zamierzonego rozchwiania sytuacji politycznej, ale także - czego należało się obawiać i przed czym cały czas przestrzegałem - do pewnego zdestabilizowania sytuacji gospodarczej, a zwłaszcza finansowej. Szczególnie silnie podniesiony został **poziom oczekiwania inflacyjnych**, co z kolei przeniosło się na sam proces inflacyjny. Jest to wyraźne, zwłaszcza od trzech-czterech miesięcy.

Oczekiwania inflacyjne - poprzez nagłaśniane zapowiedzi inflacji wyższej niż faktycznie już przesądzona innymi mechanizmami poziomu cen - działają w ten sposób, że przepowiednie mogą stać się rzeczywistością. Jeśli tak wiele mówi się o tym, że prezydent nie podpisze budżetu oraz pisze się o tym, że „się mówi”, iż inflacja jest wyższa niż planowano (choć jej poziom ulega systematycznej redukcji) - to działa tutaj **mechanizm samosprawdzającej się prognozy**. Skoro bank centralny utrzymuje nadmiernie wysokie

stopy procentowe - zasadniczo wyższe, niż zakładana w budżecie i założeniach polityki pieniężnej inflacja na przyszłość - i zezwała na nadmierne tempo drożenia walut, to wysłała on również do podmiotów gospodarczych sygnały, jakiej inflacji sam oczekuje. Ale w ten właśnie sposób także sam ją kreuje, niepotrzebnie podbijając dodatkowo i tak już zbyt silne oczekiwania inflacyjne.

Oczywiście, nie należy przeceniać znaczenia mechanizmu tych oczekiwań, ale nie należy także bagatelizować go. Inflacja w Polsce bowiem ma coraz bardziej charakter inercyjny z wbudowanym **silnie działającym mechanizmem oczekiwań inflacyjnych**. Szczególną rolę odgrywają tutaj również mechanizmy indeksacyjne, najczęściej wprowadzone na drodze ustawowej.

Odejście od takich wadliwych rozwiązań wymaga także regulacji ustawowych. A te są blokowane nie tylko ze względów politycznych, ale wręcz wprowadza się kolejne rozwiązania tego typu. I to także - wbrew deklarowanym intencjom krótkowzrocznych polityków - jest czynnik proinflacyjny. Indeksacja pozornie ma chronić przed skutkami inflacji, ale jej nadmierny zakres daje skutki odwrotne.

Takie wymuszone - oderwane od zmian w efektywności gospodarczej i wzrostu podaży towarów - dostosowywanie nominalnych dochodów do rosnących cen i kosztów utrzymania prowadzi szybko do dalszego wzrostu cen.

Dzieje się tak dlatego, że strumień popytu, rosnącego w ślad za nominalnymi podwyżkami dochodów, wywołuje dalszy wzrost cen. I w ten sposób **indeksacja może co najwyżej i tylko przejściowo łagodzić skutki inflacji, nigdy natomiast nie usunie jej przyczyn**.

Do tych właśnie przyczyn proponuję sięgnąć w *Strategii dla Polski*, która mocno eksponuje wątek stabilizacji makroekonomicznej i przeciwdziałania inflacji. Jest konieczne jak najszybsze sprowadzenie inflacji do niskiego poziomu. Z reguły przyjmuje się, że chodzi tutaj o jednocyfrową stopę inflacji, ale zarazem musi ona uwzględniać pewne cechy, a zwłaszcza powinna zejść do poziomu, który nie będzie pociągał za sobą konieczności stosowania mechanizmów indeksacyjnych i nie będzie przeszkadzał wzrostowi gospodarczemu. Na takim rozumowaniu został zbudowany tegoroczny budżet i podjęte są już prace nad założeniami budżetu na 1996

rok. Aby jednak inflacja w przyszłym roku była niższa, niż w roku 1994, już teraz muszą być podjęte trudne decyzje. W szczególności chodzi tutaj o **zmianę zasad indeksacji rent i emerytur**. Stosowny projekt ustawy rząd przekazał Sejmowi jeszcze w grudniu, a dwa tygodnie temu został on skierowany do rozpatrzenia w trybie pilnym, ponieważ **bez rozstrzygnięć w tej materii nie uda się przygotować dobrego budżetu na rok przyszły**.

Proponuję chronić siłę nabywczą świadczeń emerytalnych przed inflacją indeksując je częściej niż dotychczas, ale w stosunku do coraz wolniej rosnących kosztów utrzymania, a nie wobec wzrostu płac nominalnych. Jednocześnie podjęta musi być zasadnicza reforma całego systemu świadczeń społecznych. Alternatywą takich zdroworozsądkowych rozwiązań jest podejście populistyczne, obliczone na zdobywanie popularności politycznej na krótką metę, ale za to kosztem wyższej inflacji w przyszłości. Jest oczywiste, że w wyniku zdestabilizowania finansów publicznych i załamania budżetu, przyspieszeniu ulegnie wzrost cen. **Stopa inflacji przewyższy tempo wzrostu płac nominalnych i zaczną one - a w ślad za nimi emerytury i renty - realnie spadać**. Takiej opcji, za którą stoi brak odpowiedzialności politycznej i krótkookresowy koniunkturalizm - trzeba unikać i dlatego też nie można dalej blokować zmiany zasad indeksacji świadczeń. Byłaby to cyniczna gra pewnych polityków, którzy tak doprawdy zatroskani są tylko o głosy wyborców, potrzebne im i własnym partiom, a nie troszczą się wcale o faktyczną zasobność ich portfeli na dłuższą metę.

Tym bardziej trzeba walczyć z zagrożeniem inflacyjnym, nie gubiąc z pola widzenia krótkookresowych aspektów polityki prowadzonej na tym polu. W tym też celu podjęto ostatnio **działania zmierzające do osłabienia zbyt wysokiego tempa wzrostu cen**. Ich ogólny poziom w lutym i marcu nie powinien przekroczyć 2 proc, ale w styczniu podniósł się o 3,9 proc, co musi niepokoić. Zasadniczym tego powodem - obok już wcześniej wspomnianych ogólnych przyczyn - był znaczny wzrost cen żywności oraz szybki wzrost cen usług, związany z dostosowaniem cen energii i reformą czynszów mieszkaniowych.

Na tym tle rząd podjął dodatkowe przedsięwzięcia antyinflacyjne. W szczególności na rynku rolnym wprowadzono w życie pakiet

działań interwencyjnych, który powinien poprzez pożądane efekty podażowe wystudzić tempo wzrostu cen żywności; pozytywne skutki tych posunięć dają się już dostrzec. Inaczej niż pierwotnie zakładano, została rozłożona sekwencja działań dostosowawczych i skala podwyżek niektórych cen urzędowych. Muszą one także iść w górę, ponieważ ich blokowanie w dłuższym okresie będzie dla nas jeszcze bardziej kosztowne. Na przykład dotacje do marnotrawionej energii zmieniają tylko mechanizm inflacji z kosztowego (**koszty pchają ceny w górę**) na popytowy (dotacje powodują wzrost deficytu budżetowego finansowanego pieniądzem bez pokrycia i w końcu **nadmierny popyt ciągnie ceny w górę**).

Ważne znaczenie dla zmniejszenia skali inflacji powinna mieć - choć szkoda, że pomimo sugestii Ministerstwa Finansów spóźniona - decyzja o redukcji miesięcznej skali kroczącej dewaluacji do 1,2 proc. Osłabi to tempo wzrostu wypływu pieniądza z tytułu skupu walut obcych przez NBP i - tym samym - zmniejszy siłę działania popytowego mechanizmu inflacji, kreowanego przez politykę monetarną banku centralnego. Taki kierunek dostosowań powinien być kontynuowany w przyszłości, wpływając dodatkowo na osłabienie oczekiwań inflacyjnych.

Decydujące znaczenie jednak - obok wykonania budżetu państwa, tak jak chce tego parlament, a nie tak, jak życzą sobie tego partykularne grupy nacisku - będzie miało kształtowanie się płac. Wiążą się one z inflacją nie tylko poprzez mechanizm swoich dostosowań do rosnących wcześniej cen i kosztów utrzymania, ale także przez wpływ na jej poziom od strony rosnących kosztów, które później pchają ceny sprzedawanych produktów w górę, oraz od strony dochodów, które - jeśli nominalnie rosną dużo szybciej, niż wydajność pracy - **później** ceny te z kolei w górę ciągną.

Szukając tutaj dobrych rozwiązań, komisja trójstronna wynegocjowała z partnerami społecznymi, w tym ze związkami zawodowymi, takie wskaźniki, które dają szansę realizacji ambitnych i doprawdy koniecznych planów antyinflacyjnych. Wiem, że są one trudne, ale wciąż jeszcze realne.

Potwierdziła to także zakończona w ubiegłym tygodniu misja Międzynarodowego Funduszu Walutowego, który - przy okazji pozytywnej weryfikacji **realizacji wszystkich ustalonych z nami kryteriów wykonawczych** - wysoko ocenił osiągnięcia polskiej

gospodarki w 1994 roku. Mogą być one jeszcze większe w tym roku. Ale to wymaga rozwinięcia szerszego niż dotychczas frontu walki z inflacją - minister finansów nie wystarczy. Lepiej polec w walce z inflacją, niż żyć z jej nakręcania przez udawanie „obrońców ludu”

Warunki brzegowe*

Warszawa, 27 lutego 1995 r.

Obecny kryzys ma charakter wybitnie polityczny. Nie oznacza to, że nie ma wielu problemów gospodarczych - w szczególności związanych z restrukturyzacją mikroekonomiczną - ale nie ta sfera leży u podstaw zaburzeń, których jesteśmy świadkami. **W gospodarce polskiej następuje bowiem stała poprawa**, co podkreślano także w przedstawionym ostatnio raporcie OECD. Wyraża się ona we wzroście produkcji i stopniowej poprawie warunków życia. Szczególnie szybko wzrasta eksport. Spada natomiast inflacja, a od ubiegłego roku także bezrobocie w wyniku tworzenia nowych, konkurencyjnych miejsc pracy.

Poprawę tę dostrzec można także na szczeblu regionalnym, co z przyjemnością odnotowałem w trakcie pobytu w Opolu. Nie bez znaczenia jest tutaj fakt, że mądre działania rozwojowe koordynuje od pięciu lat ten sam wojewoda, Ryszard Zembaczyński, **a ciągłość władzy i jej stabilizacja jest czynnikiem budującym.**

Polityka gospodarcza jest również coraz skuteczniejsza z punktu widzenia zwiększania dochodów realnych ludności. Po wypłacie podwyżek dla pracowników sfery budżetowej (średnio o 51 nowych złotych od stycznia) **z początkiem marca, a więc jeszcze w tym tygodniu dokonana zostanie pierwsza w tym roku waloryzacja rent i emerytur. Rosną one średnio o 13,8 proc, tj. o ponad dwa punkty procentowe więcej niż zakłada budżet.** W skali makroekonomicznej oznacza to miesięczne wydatki w wysokości aż 470 milionów nowych złotych, ale system finansów

* „Polityka” opublikowała ten felieton pod własnym tytułem „Cztery warunki”.

publicznych — w tym budżet państwa — jest na to przygotowany pomimo trudności, jakie stwarzane są właśnie po to, aby utrudnić czy wręcz uniemożliwić rządowi realizację takiej polityki, obarczając go później za to odpowiedzialnością.

Temu, niestety, służy polityka wetowania i zaskarżania ustaw reformujących i stabilizujących finanse publiczne. W obliczu małej, jak dotychczas, skuteczności tej destrukcyjnej polityki, podejmowane są także inne działania, zmierzające do utrudnienia realizacji budżetu i wynikających stąd zobowiązań. **Nakładanie na państwo i obywateli dodatkowego quasi-podatku poprzez podniesienie stóp procentowych banku centralnego** w sytuacji, kiedy banki komercyjne w ślad za spadającą inflacją (kształtującą się w lutym-marcu na rocznym poziomie około 27 proc., obniżając stopy procentowe), automatycznie pozbawia budżet państwa środków na inne cele, m.in. na przyspieszone wypłaty tzw. trzynastek. Tym bardziej swoje działania jako ministra finansów podporządkowuję linii wzrostu i stabilizacji, co wciąż jeszcze jest możliwe.

Ale wszystko ma swoje granice. Pomiedzy stabilnością polityczną a stabilizacją ekonomiczną z jednej strony, oraz stabilizacją ekonomiczną a wzrostem gospodarczym z drugiej strony, występują sprzężenia zwrotne. Działają one zarówno na szczeblu regionów, gdzie zawirowania polityczne występują na nieporównanie mniejszą skalę, jak i w skali całej gospodarki. Dotychczas udaje się utrzymać stabilizację makroekonomiczną pomimo zdestabilizowania układu politycznego. **To nie kryzys gospodarczy - bo nie ma takiego - wywołał kryzys polityczny, ale zaburzenia polityczne mogą spowodować kryzys gospodarczy.** Działania zmierzające do destabilizacji gospodarczej, a zwłaszcza próby posłużenia się finansami publicznymi jako instrumentem pogłębiającym kryzys polityczny, wykraczają poza granice odpowiedzialności. Tak długo, jak tylko będzie to możliwe, trzeba czynić wszystko, aby substancję polskiej gospodarki i finansów publicznych ochraniać przed takimi zagrożeniami.

Temu służyć musi polityka gospodarcza rządu. Każdego rządu. Dlatego też praca w nim musi opierać się na niezbędnych warunkach brzegowych. Ich niedostateczne uwzględnienie mogłoby uniemożliwić realizację takiej linii programowej, co do słuszności której jestem głęboko przekonany. Dziś już **nie wystarczy ogólne popar-**

cie dla Strategii dla Polski i wysunięcie jej na plan pierwszy w nowej umowie koalicyjnej PSL-SLD. Konieczne jest zajęcie klarownego stanowiska w kilku zasadniczych kwestiach, i to teraz, aby później nie było konieczności wycofywania się z wcześniejszych zapowiedzi i rozmywania politycznej odpowiedzialności za blokowanie niezbędnych reform strukturalnych i instytucjonalnych.

Po pierwsze, konieczne jest jednoznaczne potwierdzenie, że **polityka finansowa państwa do końca roku prowadzona będzie równie rygorystycznie jak dotychczas**, zgodnie z kursem anty-inflacyjnym zapisanym w ustawie budżetowej, uchwalonej przez parlament.

Po drugie, podjęta zostanie próba przeprowadzenia kompleksowej **reformy systemu ubezpieczeń społecznych**, uwzględniająca obecny i przyszły stan finansów publicznych, aktualną fazę przekształceń własnościowych i konieczność osłony socjalnej ludności. Jej najpilniejszym elementem jest zmiana zasad indeksacji rent i emerytur. Projekt odpowiedniej ustawy już trzeci miesiąc czeka w Sejmie na debatę i rozstrzygnięcia, bez których nie można przystąpić do odpowiednich prac nad projektem ustawy budżetowej na 1996 rok. Odłożenie tych reform nie tylko uniemożliwi obniżenie obciążeń podatkowych, ale może wymusić ich dalsze zwiększenie, co obróciłoby się przeciwko wzrostowi gospodarczemu, poprawie warunków życia różnych grup ludności, w tym emerytów i rencistów.

Po trzecie, przedłożony liderom PSL-SLD **projekt reformy centrum gospodarczego powinien zostać konsekwentnie zrealizowany**, co wymaga uprzedniej akceptacji dla proponowanych zmian także ze strony ministrów tych resortów, które w nowym, bardziej funkcjonalnym układzie nie będą już istnieć. Rozumiem, że w skład rządu wchodzić tylko ci ministrowie, którzy podzielają taki wspólny punkt widzenia, potwierdzony również dodatkowo stosownymi zapisami w umowie koalicyjnej.

Po czwarte, **mechanizm koordynacyjny Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów** będzie tak funkcjonował, aby jego przewodniczący miał możliwość egzekwowania działań, służących realizacji obranej przez rząd linii programowej, a w szczególności reform instytucjonalnych i strukturalnych, w przeprowadzaniu których uczestniczyć muszą różne resorty gospodarcze. Chodzi

tutaj zwłaszcza o reformę ubezpieczeń społecznych, komercjalizację i prywatyzację oraz utrzymywanie silnego kursu antyinflacyjnego, w czym minister finansów nie tylko nie powinien być osamotniony, ale musi być wspierany przez innych członków rządu.

Tak wyglądają warunki brzegowe, w ramach których poruszać powinna się polityka gospodarcza. Takiej właśnie polityce warto byłoby nadal służyć.

Czy warto inwestować w Polskę?

Warszawa, 6 marca 1995 r.

Zasadnicze znaczenie dla wzrostu gospodarczego mają inwestycje. Źródłem ich finansowania są oszczędności, które w naszym społeczeństwie od pewnego czasu ponownie się zwiększają. Dzieje się tak, gdyż rosną dochody realne coraz liczniejszych kręgów ludności (jest z czego oszczędzać) oraz pogłębia się stabilizacja makroekonomiczna (opłaca się oszczędzać). Ale pomimo to oszczędności krajowe wciąż są niewystarczające dla finansowania naszych ambitnych zamierzeń rozwojowych. Oszczędności wewnętrzne wymagają wsparcia przez oszczędności zagraniczne, co oznacza **konieczność napływu do kraju kapitału zagranicznego.**

Oczywiście, dopływ tego kapitału musi służyć nie tylko inwestorom, nastawianym oczywiście na własny zysk, ale przede wszystkim realizacji celów gospodarczych, jakie stawiają przed sobą poszczególne państwa. Inwestycje zagraniczne bowiem - zwłaszcza typu portfelowego, dokonywane na rynku kapitałowym - mogą być lokowane na krótki okres. Kiedy ich odpływ spiętrzy się i skoncentruje w czasie, wówczas mogą powstać poważne zaburzenia. Ostatnio mieliśmy do czynienia z takim zjawiskiem w Meksyku, którego gospodarka - a w rezultacie także pozycja w świecie - znacznie ucierpiała wskutek gwałtownego odpływu krótkoterminowego kapitału spekulacyjnego.

Polsce nie grozi obecnie takie niebezpieczeństwo, a byłem także o to pytany podczas przesłuchania w sejmowej komisji w związku z formowaniem nowego rządu. Inna bowiem jest charakterystyka naszego rynku kapitałowego, na którym udział kapitałów zagranicznych lokowanych w formie inwestycji portfelowych na giełdzie jest wciąż skromny. Dlatego m.in. zawiesiłem pobieranie podatku od sprzedaży akcji w obrocie publicznym. Powinno to sprzyjać większemu dopływowi zagranicznych inwestycji portfelowych na nasz rynek, w tym także części kapitału, który teraz - po kryzysie meksykańskim - szuka atrakcyjnych lokat. W ten sposób ułatwiać i przyspieszać można również procesy prywatyzacyjne. Zachować tutaj trzeba jednak niezbędną ostrożność, ponieważ obecna faza rozwoju naszych rynków finansowych i kapitałowych przypominać może sytuację, jaka występowała w Meksyku przed trzema laty. Stąd wniosek, że nie można opierać rozwoju na dopływie spekulacyjnego kapitału krótkoterminowego, natomiast potrzebne jest **absorbowanie kapitału długoterminowego w postaci inwestycji bezpośrednich.**

Nie jest to łatwe, ponieważ o tego rodzaju inwestycje zabiega coraz więcej krajów, a ilość kapitału poszukującego lokat poza granicami własnych państw (gdzie poziom oszczędności jest tak wysoki, że nie mogą one być w całości opłacalnie zainwestowane na rodzimym gruncie) jest ograniczona. Od kilkunastu już lat najbardziej rozwinięte gospodarki inwestują nie tylko u siebie nawzajem, ale penetrują w coraz większym stopniu Azję Wschodnią i Południową oraz Amerykę Łacińską. Do niektórych państw tych regionów przeniosły się całe branże różnych przemysłów, na przykład tekstylnego czy elektronicznego. Ale z punktu widzenia tych krajów, dopłynął do nich znaczący kapitał zagraniczny, stwarzając dodatkowe, konkurencyjne miejsca pracy i przynosząc nowe technologie, co zwiększa szanse rozwoju na przyszłość.

Od kilku lat do konkurencji o dopływ inwestycji zagranicznych włączyły się wprawdzie gospodarki Europy Środkowej i Wschodniej, a następnie Wspólnoty Niepodległych Państw. Szczególnie wiele inwestycji absorbują także Chiny i Wietnam. Jest zatem coraz trudniej pozyskiwać zagraniczny kapitał na trwałe - w postaci inwestycji dokonywanych od podstaw (tzw. *greenfield investment*) oraz wspólnych przedsięwzięć z rodzimymi firmami [*joint venture*].

Trzeba o to zabiegać, tworząc przede wszystkim sprzyjający klimat dla zagranicznych inwestycji i zapewniając im korzystne warunki.

Bezpośrednie inwestycje zagraniczne są nam potrzebne jako **instrument podnoszenia międzynarodowej konkurencyjności polskiej gospodarki**. Trzeba je postrzegać nie tyle jako zagrożenia dla naszej produkcji i swobodnego konia trojańskiego, służącego jej wypieraniu, ale właśnie jako środek do poprawy efektywności całej gospodarki. Sprzyja to dalszej ekspansji eksportowej, na której opiera się obecnie realizowana strategia rozwoju. Konieczność jej kontynuacji znalazła również potwierdzenie podczas ubiegłotygodniowej debaty sejmowej. Ale usłyszeć można było także obawy - jak sądzę nadmierne i nieuzasadnione - o zagrożenia wynikające z dopływu kapitału zagranicznego. Obaw tych jest coraz mniej, także dlatego, że obecnie już bardziej niż kiedyś widoczne są dla wszystkich pozytywne skutki zagranicznych inwestycji bezpośrednich.

Polska przyciąga coraz więcej takich inwestycji. **W latach 1990—94 w sumie zainwestowano 4,3 miliarda dolarów, z czego aż 30 proc. w minionym roku.** W rzeczywistości wartość tych inwestycji przekracza, jak sądzę, 6 miliardów, gdy uwzględnić także przedsięwzięcia poniżej 1 miliona dolarów, których jest mnóstwo, a które nie są wliczone do tej kwoty. Firm zaś, w które włożono ponad 1 milion dolarów, jest prawie dwadzieścia tysięcy, z czego największe należą do kapitału amerykańskiego i do międzynarodowych korporacji. Następnie idą Niemcy, Włosi, Austriacy i Francuzi. Spośród dużych inwestorów jedna trzecia przypada na USA. Najwięcej zainwestowano jak dotychczas w przemyśle elektromaszynowym, spożywczym, telekomunikacji oraz w sektorze finansowym.

Dzieje się tak w warunkach ostrej konkurencji, tym bardziej więc cieszy, że już rok temu **Polska wysunęła się na drugie miejsce w regionie**, ustępując tylko Węgrom. Sądzę, że mamy szanse wyjść i tutaj na czoło, ponieważ na dalsze ponad 5 miliardów dolarów opiewają zamiary inwestorów w najbliższych latach. Szczególne zainteresowanie przyciąga obecnie energetyka i budownictwo infrastrukturalne. Pośród zagranicznych inwestorów nadal prym wiodzie kapitał amerykański. Daję już owoce rozmowy, które prowadziłem w ubiegłym roku w Waszyngtonie, a także styczniowe

rozmowy w Davos i konferencja na temat handlu oraz inwestycji w Europie Środkowej i Wschodniej zorganizowana w Cleveland przez administrację prezydenta B. Clintona. Członek tej administracji, prezes amerykańskiej Agencji Prywatnych Inwestycji Zagranicznych (OPIC) - pani Ruth Harkin - właśnie gościła wraz z misją około trzydziestu znaczących inwestorów w Polsce. Szacujemy, że ich plany inwestycyjne na najbliższe dwa-trzy lata, z których wiele zostało skonkretyzowanych podczas ubiegłotygodniowej wizyty, przekraczają 1,3 miliarda dolarów.

Inwestycji tych może być jeszcze więcej, jeśli uda się utrzymać obecny kurs polityki gospodarczej na „wzrost poprzez eksport”. Jak bowiem zauważyła pani Harkin, *...polskagospodarka tętni życiem, a klimat do inwestycji jest korzystny i biznes amerykański jest pełen entuzjazmu dla inwestycji w Polsce*. Co ciekawe, stwierdziła również, że spośród 140 krajów, z którymi prowadzimy interesy, Polska jest jednym z najbardziej obiecujących. I dodała, że *mimo zawirowań politycznych polska gospodarka jest silna*. Mam nadzieję, że będzie jeszcze silniejsza-tym silniejsza, im bardziej będą słabły wspomniane zawirowania. Wówczas jeszcze chętniej będzie się inwestowało w Polskę.

Długów odpuszczenie

Warszawa, 13 marca 1995 r.

Działanie każdej gospodarki związane jest z zaciąganiem kredytów, ich obsługą i spłacaniem. Normalne stosunki kredytowe - zarówno w układzie wewnętrznym gospodarki narodowej, jak i w relacjach z otoczeniem zewnętrznym - przyczyniają się do podnoszenia sprawności gospodarczej. Dzieje się tak dlatego, że poprzez udzielanie kredytów i zaciąganie zobowiązań czasowo wolne środki finansowe jednych podmiotów mogą być wykorzystywane przez inne. Jeśli są one lokowane korzystnie i przynoszą zyski, to proces ten przebiega bez zakłóceń. Ale nie zawsze tak jest, a doty-

czy to zarówno układów międzynarodowych, jak i wewnętrznych stosunków kredytowych.

Lata osiemdziesiąte i pierwsza połowa obecnej dekady upłynęły pod znakiem światowego kryzysu zadłużeniowego. Polska, niestety, była jednym z jego negatywnych bohaterów. Dług skumulowany w latach siedemdziesiątych i **narastający skutek kryzysu gospodarczego przez następne dziesięciolecie nie mógł być spłacony**. W podobnej sytuacji znalazło się wiele innych państw, zwłaszcza Ameryki Południowej i Afryki. Część z nich do tej pory boryka się z trudno przewidywalnymi kłopotami z obsługą swoich zobowiązań. Najgorsze wydaje się być już wszakże za nami, wspólnym bowiem wysiłkiem dłużników, wierzycieli i organizacji międzynarodowych - zwłaszcza Międzynarodowego Funduszu Walutowego - **udało się opanować światowy kryzys zadłużeniowy**. Nie oznacza to, że problem ten zniknął, wciąż jeszcze są kraje, które nie mogą sobie poradzić z narastającym przez lata długiem zagranicznym.

Polska jest nadal silnie zadłużona (na około 40 miliardów dolarów). Obecnie jednak ta kwota, choć w stosunku do dochodu narodowego wciąż wysoka, stanowi już **mniejsze niż kiedyś obciążenie dla gospodarki i podatników** - bo to oni w ostateczności spłacają dług swego państwa. Jest tak między innymi dlatego, że gospodarka w wyniku procesu dostosowań strukturalnych oraz wejścia na ścieżkę wzrostu gospodarczego, pobudzanego przede wszystkim przez szybko rosnący eksport, charakteryzuje się obecnie lepszymi wskaźnikami relacji wielkości długu i kosztów jego obsługi do poziomu eksportu i uzyskiwanych z niego wpływów.

Polska uzyskała korzystne porozumienie z wierzycielami rządowymi skupionymi w Klubie Paryskim, który na zasadzie koncesji politycznej, chociaż na bardzo twardych warunkach, zgodził się zredukować nasze zadłużenie o połowę jeszcze w 1991 r. Proces tej redukcji trwa nadal. Jego pełna realizacja jest uwarunkowana, co zrozumiałe, właściwym przebiegiem procesów makroekonomicznych i reform strukturalnych, co z reguły oceniane jest przez pryzmat wypełniania porozumień zawieranych z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Przypomnieć zatem warto, że **wszystkie kryteria wykonawcze naszego aktualnego porozumienia z MFW na koniec 1994 r. zostały zrealizowane**. Porozumienie

to - typu *stand by* - opiewa na około 900 milionów dolarów kredytu dla Polski i obejmuje osiemnaście miesięcy (do końca bieżącego roku). Z kolei we wrześniu podpisałem porozumienie z grupą banków komercyjnych skupionych w Klubie Londyńskim, w wyniku czego nasze zadłużenie zostało zredukowane aż o 6,4 miliarda dolarów.

Działania te są uzupełniane o mniej spektakularne, ale także bardzo potrzebne **uzgodnienia, regulujące i normalizujące nasze stosunki finansowe z innymi partnerami zagranicznymi**. W styczniu podpisałem umowę w tej sprawie z Rosją i Czechami, w lutym zapadły stosowne uzgodnienia w sprawie rozliczeń z Rumunią, a wkrótce zamierzam podpisać umowę ze Słowacją. W pierwszym przypadku zobowiązania były dwustronne i umowa reguluje sprawę kompleksowo, rozliczając tak nasze zadłużenie, jak i dług Rosji wobec nas. W przypadku Czech to my zwracamy narosły jeszcze w czasie transakcji obsługiwanych w rublach transferowych dług, przy czym jest on spłacany w postaci dostaw usług polskich firm budowlanych. Realizują one głównie inwestycje o charakterze ekologicznym. Tego typu rozwiązanie ma wiele walorów. Nie tylko zdejmuje ciężar zobowiązań, ale także daje zajęcie naszym firmom budowlanym i zatrudnienie ich pracownikom. Ponadto inwestycje ekologiczne u naszego południowego sąsiada są dla nas korzystne, gdyż w wielu przypadkach sprzyjają oczyszczaniu rzek, płynących w kierunku naszej granicy. Z kolei w odniesieniu do Rumunii to my dochodzimy należności, które są spłacane rumuńskimi produktami, zwałaszcza przemysłu chemicznego i (coraz lepszymi) winami.

Dzięki unormowaniu zewnętrznych stosunków finansowych, Polska w tym roku może zacząć wracać na międzynarodowe rynki kapitałowe. Służyć temu ma ewentualna **emisja polskich obligacji denominowanych w walutach obcych**. Tegoroczny budżet dopuszcza możliwość takiej emisji na sumę do 300 milionów dolarów. Jej realizacja nie jest jeszcze przesądzona, aczkolwiek takie właśnie działania byłyby uzasadnione i potrzebne.

Zadłużenie i oddłużanie ma także swój wymiar wewnętrzny, ściśle związany z budżetem państwa. W końcu ubiegłego roku na kwotę blisko 10 bilionów złotych **oddłużone zostały służba zdrowia i oświata**. Narastające w latach poprzednich zobowiązania tej

części sektora usług społecznych finansowanych z budżetu państwa są formą ukrytego deficytu budżetowego. Powinny one być pokryte w latach 1992-93, a nie jako zadłużenie jednostek budżetowych zostać przerzucone na kolejny rok. Rachunkowe różnice nie zmieniają faktu, że to zawsze w ostatniej instancji płacą podatnicy, tyle że koszty obsługi takiego długu mogą być jeszcze większe.

Udało się także podczas kilkunastu minionych miesięcy ograniczyć negatywne następstwa polityki, prowadzonej wobec podmiotów gospodarczych w latach poprzednich, przede wszystkim w okresie 1990-91. Wówczas to wiele przedsiębiorstw - nie tylko z sektora państwowego - zostało wpędzonych zbyt restrykcyjną polityką monetarną i fiskalną w nieprzewidywalne dla nich trudności finansowe. Zwłaszcza oprocentowanie starych kredytów doprowadziło do kryzysu zadłużeniowego, którego ciężar, w wyniku specjalnych procedur oddłużeniowych, udało się dopiero teraz zmniejszyć.

Zastosowano tutaj kilka technik postępowania oddłużeniowego, w tym częściowe zaniechanie poboru niektórych podatków i innych należności w oparciu o zarządzenie ministra finansów sprzed roku oraz specjalne układy oraz ugody bankowe. Z procedur tych skorzystało blisko siedemnaście tysięcy podmiotów gospodarczych, z czego zdecydowana większość to nie przedsiębiorstwa państwowe - jak się powszechnie sądzi - ale osoby fizyczne i spółki nie mające osobowości prawnej. Całkowita **kwota objęta w ubiegłym roku postępowaniami oddłużeniowymi przekracza 22,5 biliona złotych**. Odzyskano z tego już 3,3 biliona, a ponad 9 bilionów zostało rozłożone na raty i sukcesywnie będzie spłacane, zaś kolejne 10 bilionów umorzono. Dało to wielu firmom szansę przetrwania, chroniąc przy okazji wiele tysięcy miejsc pracy.

Należy jednak podkreślić, że wobec jednostek budżetowych i firm - jak i w przypadku Polski - z redukcji zadłużenia skorzystać można tylko raz. **Nie będzie powtórnego darowania części długów**. O tym musi pamiętać tak społeczeństwo oraz rząd, jak i dyrektor przedsiębiorstwa, szkoły czy szpitala. Mamy wreszcie podpisany budżet - choć mogło i powinno stać się to już dwa i pół miesiąca temu - i teraz jego zapisy trzeba z całą konsekwencją realizować.

Werdykt

Warszawa, 20 marca 1995 r.

Zgodnie z wcześniejszymi planami i deklaracjami, projekty budżetu państwa i tzw. ustaw okołobudżetowych zostały opracowane na czas i z dużym wyprzedzeniem przekazane do Sejmu. Cała procedura była prowadzona tak, aby budżet mógł wejść w życie z początkiem nowego roku. Możliwość taka - a jest to kuriozum na miarę światową - została storpedowana przez prezydenta L. Wałęsę. Nie powiodły się jego zamiary wykorzystania budżetu jako instrumentu służącego do rozwiązania demokratycznie wybranego i wykonującego swoje konstytucyjne obowiązki parlamentu.

Raz jeszcze zacytuję przytaczane już na łamach „Polityki” słowa Lecha Falandysza - ówczesnego ministra w Kancelarii Prezydenta RP - który stwierdził: *Na gruncie Konstytucji, gdybym miał coś radzić panu premierowi Kołodce, gdyby on naprawdę się upierał przy tym, żeby jego przedłożenie rządowe, projekt, był realizowany, to może skorzystać z przepisu Konstytucji, który mówi, że w razie nieuchwalenia budżetu, ustawy budżetowej, gospodarka finansowa Rady Ministrów przebiega na podstawie projektu. Byłby to znakomity sposób uratowania jego autorskiego budżetu, tyle że kosztem tego mógłby być, rzeczywiście, parlament (podkreślenie GWK).* Powiedziałem wtedy - i powtarzam to dzisiaj - że pomysł taki był nie tyle znakomity, co fatalny. I nadal bronię budżetu, jest to bowiem w interesie polskiego państwa, społeczeństwa i gospodarki.

Prezydenckie egzorcyzmy wokół budżetu spowodowały jednak pewne kłopoty. W ich wyniku budżet wszedł w życie dopiero od drugiej połowy marca, chociaż rząd przyjął jego projekt jeszcze w październiku, a Sejm w grudniu. Prawem serii wraz z innymi ustawami budżet został skierowany do Trybunału Konstytucyjnego, ale w obliczu twardych faktów został on stamtąd zawczasu - przed spodziewanym przegraniem sprawy - wycofany. Co cieką-

we, stało się to bez cienia szacunku i krzty wyjaśnień wobec podatników i beneficjentów budżetu, którzy ponieśli negatywne konsekwencje opóźnień jego pełnego obowiązywania.

Nie jest bowiem prawdą, że minister finansów może prowadzić politykę finansową opierając się na projekcie ustawy. Występujące tutaj ograniczenia co do działań Ministerstwa Finansów, zwłaszcza w zakresie obsługi wewnętrznego długu publicznego, były skrzętnie wykorzystywane przeciwko rządowi, choć kosztem społeczeństwa. Niezadowolone części niektórych grup społecznych - na przykład w związku z niedostatecznym przyspieszeniem wypłat trzynastek, co było naszą intencją - nie są kierowane pod właściwym adresem, lecz do rządu.

W tym czasie zapadły werdykty Trybunału Konstytucyjnego zmuszające prezydenta, wbrew jego woli, do podpisania ustaw uchwalanych - w interesie społecznym i zgodnie z konstytucją - przez parlament. Dotyczy to **ustawy o wynagrodzeniach pracowników sfery budżetowej** oraz tzw. ustawy podatkowej. Ta pierwsza weszła już w życie, choć po licznych obstrukcjach, polegających na jej wetowaniu i zaskarżaniu przez prezydenta. Jest to dobra ustawa, gdyż daje możliwość wzrostu płac realnych pracownikom sfery usług społecznych i stwarza im szansę na większy udział w efektach wzrostu gospodarczego. Działanie to będzie na drodze negocjacji przy okazji przygotowywania budżetów na kolejne lata, a zarazem przy poszanowaniu niezbędnych proporcji makroekonomicznych. Jest to rozwiązanie odmienne, mniej konfliktogenne niż dotychczasowe, które było oderwane od realiów finansowych państwa. W tym roku zastosowanie ustawy daje możliwość wzrostu przeciętnego wynagrodzenia o 6 punktów powyżej inflacji, co początkuje proces odrabiania zaległości płacowych, narastających wobec tej grupy społecznej na początku lat dziewięćdziesiątych.

Co zaś się tyczy ustawy podatkowej, to obstrukcje prezydenckie - choć zakończyły się fiaskiem, ustawa budżetowa bowiem weszła w życie, a parlament istnieje i działa - spowodowały komplikacje, a sprawa ma swój dalszy ciąg w świetle ubiegłotygodniowego werdyktu Trybunału Konstytucyjnego. Umorzył on, co prawda, bezzasadny wniosek grupy posłów Unii Wolności w sprawie obwieszczenia, w którym **minister finansów lojalnie poinformo-**

wał w końcu roku, jakie stawki podatkowe zostały zapisane w projekcie ustawy budżetowej. Był to więc tylko i wyłącznie akt poinformowania o tym, co jest w projekcie ustawy, a nie akt nakładania jakichkolwiek podatków. Te są wprowadzone ustawą, której zgodność z konstytucją uznał Trybunał Konstytucyjny na początku stycznia, zmuszając i tym razem prezydenta do jej podpisania. Trybunał w swoim ubiegłotygodniowym orzeczeniu uznał także zgodność z konstytucją zapisów o wysokości stawki podatku pobieranego w formie ryczałtu od przychodów, oddalając tym samym zaskarżenie wniesione w tym punkcie jako całkowicie nietrafne.

Jednakże na gruncie czysto formalnoprawnym Trybunał stwierdził, że ustawa podatkowa nie zagwarantowała odpowiedniego okresu dostosowawczego oraz może być odebrana jako wprowadzająca nowe stawki podatkowe w trakcie trwania roku fiskalnego. Warto zatem przypomnieć, że **zamiar utrzymania dotychczasowych stawek podatku od dochodów osobistych, gdyż bynajmniej nie zostały one podniesione, był powszechnie znany na wiele miesięcy przed końcem roku.** Wiązało się to z potrzebą zapewnienia środków finansowych m.in. na realizację wypłat podwyżek wynagrodzeń dla pracowników sfery budżetowej i sfinansowanie dopłat do rent i emerytur, waloryzowanych wciąż jeszcze według formuły płacowej. Pierwszą ratę tych podwyżek przeciętnie o 51 nowych złotych, wypłacono już w styczniu, pomimo braku obowiązującej ustawy budżetowej, ale było to możliwe na podstawie jej projektu. Przeprowadzona została również pierwsza w tym roku waloryzacja świadczeń, które w marcu wzrosły średnio o 13,8 proc.

Minister finansów przedstawił rządowi stosowny projekt ustawy podatkowej rekordowo wcześniej, bo jeszcze w połowie września. Sejm uchwalił ustawę przedłożoną przez Radę Ministrów także wyjątkowo wcześniej, a mianowicie 16 listopada. Weto prezydenta, zmierzające do zakłócenia prac nad budżetem, Sejm odrzucił kwalifikowaną większością głosów 2 grudnia, tym samym powtórnie uchwalając ustawę. Termin posiedzenia Trybunału Konstytucyjnego był tak wyznaczony, aby powstałe wątpliwości wyjaśnić jeszcze przed nowym rokiem, ale ponowne trudności stwarzane przez prezydenta L. Wałęsę i jego

urzędników, którzy celowo nie stawili się na posiedzeniu, uniemożliwiły wydanie werdyktu na czas. To tak, jakby celowo przedłużać kontrolę podczas odprawy na lotnisku, a potem jeszcze mieć pretenzje do pasażera, że się spóźnił na samolot. Posiedzenie Trybunału było możliwe dopiero 12 stycznia, ale prezydent - pomimo kolejnej porażki - dalej przeciągał sprawę, składając prawem wymagany podpis jak najpóźniej.

Jeśli zatem obecnie Trybunał Konstytucyjny orzeka na gruncie sucho interpretowanego prawa, że ustawa podatkowa weszła w życie z opóźnieniem, to **odpowiedzialność za to ponosi tylko i wyłącznie prezydent L. Wałęsa**. Skoro wiemy także, iż przyświecająca mu motywacja podyktowana była chęcią rozwiązania parlamentu, to oczekiwać można, że Sejm konsekwentnie po raz trzeci - i ostatni - uchwali tę ustawę, nie przyjmując orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego. Takie rozwiązanie bowiem będzie nie tylko zgodne z konstytucją, która daje Sejmowi prawo nieprzyjęcia werdyktu Trybunału, ale także ze zdrowym rozsądkiem ekonomicznym i dbałością o stan finansów publicznych w interesie społecznym.

Rok 2019

Warszawa, 27 marca 1995 r.

Wielu polityków nie umie wybiegać myślą daleko w przód. Cykle polityczne, w których operują, są raczej krótkie i w ich ramach rozpatruje się następstwa podejmowanych - lub zaniechanych - decyzji. U nas horyzont niektórych rozważań został skrócony już tylko do siedmiu miesięcy. Tym bardziej trzeba akcentować konieczność podejmowania działań o dalekosiężnych skutkach ekonomicznych, społecznych i politycznych. Skłonność do skracania perspektywy czasowej nie jest bynajmniej tylko cechą polityki w Polsce, zjawisko takie można bowiem obserwować w wielu państwach, choć w ostatnich kilkudziesięciu latach dają się na tym polu zauważyć również pozytywne zmiany. Np. w dziedzinie ochrony środowiska, czy też zabezpieczenia socjalnego ludności, zwa-

szcza na starość. Ten ostatni problem coraz bardziej doskwiera wielu społeczeństwom. **Nawet najbogatsze kraje świata wkrótce nie będą się mogły uporać z wyzwaniami ze strony systemu emerytalnego, jeśli teraz nie podejmą radykalnych i kompleksowych reform.**

Rzecz w tym, że podstawowe systemy emerytalne - obejmujące zdecydowaną większość ludzi starszych - opierają się na systemach repartycyjnych (tzw. pay-as-you-go). Oznacza to, że **osoby obecnie pracujące finansują, poprzez opłacane składki ubezpieczeniowe oraz podatki, tych, którzy przeszli już na emeryturę.** Bez zmiany tego systemu, także w XXI wieku emerytów utrzymywaliby ci, którzy wtedy będą pracować. Ale faktycznie tak nie będzie, ponieważ obecny system w żadnym przypadku nie jest w stanie przetrwać. Oczywiście, może on funkcjonować jeszcze przez jakiś czas, ale coraz powszechniejsza jest świadomość, że czas ten jest ograniczony. Dlatego też mówi się niekiedy o bombie zegarowej, która musi zostać rozbrojona, zanim nastąpi eksplozja.

Problem ten staje się tym bardziej dotkliwy, im wyższa jest tzw. **stopa zależności wiekowej.** Określa ona relację ludności w wieku ponad 65 lat do liczby ludności w wieku produkcyjnym, tj. w przedziale wieku od 15 do 64 lat. Dla dwunastu państw Unii Europejskiej liczba ta podwaja się z 21,4 procent w 1990 r. do 42,8 procent w roku 2040. Jest to skutek wielu pozytywnych procesów demograficznych, w tym wydłużania się czasu życia i podnoszenia dobrobytu ekonomicznego.

Kłopoty, jakie obecnie przeżywają niektóre wysoko rozwinięte społeczeństwa, biorą się z tego, że zróżnicowany jest wiek przechodzenia na emeryturę. Im jest on wcześniejszy, tym więcej trudności z finansowaniem świadczeń społecznych w ramach niewydolnego systemu repartycyjnego. Przykładowo, w Belgii tylko połowa ludności w wieku 55-59 lat jest aktywna zawodowo. Dlatego też podejmuje się tam m.in. próby podwyższenia wieku emerytalnego. W Wielkiej Brytanii wzrośnie on do 2030 roku dla kobiet z 60 do 65 lat, natomiast w USA już obecnie podnosi się wiek emerytalny do 67 lat bez względu na płeć. O podejmowaniu podobnych działań trzeba także myśleć w **Polisce, która charakteryzuje się najniższym przeciętnym wiekiem przechodzenia na emeryturę i rentę w Europie.** Do znacznego pogorszenia proporcji

emeryci-pracujący przyczyniły się błędne decyzje, podjęte na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to z obawy przed bezrobociem skierowano wiele osób na wcześniejsze emerytury. Duże znaczenie ma także zbyt liberalne przyznawanie uprawnień inwalidzkich.

Presja na wcześniejsze przechodzenie na emerytury, których późniejsze sfinansowanie w sposób bezinflacyjny może okazać się niemożliwe bez względu na tempo wzrostu gospodarczego, ma liczne źródła. Chodzi tu głównie o chęć uzyskania emerytury na bazie jak najwyższej płacy, która osiąga swoje apogeum wcześniej, niż nadchodzi pełny wiek emerytalny, jak i o dążenie pracodawców do zwalniania pracowników w wieku przedemerytalnym i zatrudniania w to miejsce młodszych roczników. Obserwuje się także powściągliwość w zatrudnianiu pracowników w wieku przedemerytalnym, którzy utracili pracę, mimo że posiadają oni często wysokie kwalifikacje wynikające z długiego stażu pracy.

Obecnie funkcjonujący w Polsce system emerytalno-rentowy jest nie do utrzymania, wymaga gruntownej i pełnej reformy. Charakteryzują go liczne ułomności, podobnie jak w bardziej rozwiniętych państwach, dodatkowo ma on własne wady. Do takich z pewnością zaliczyć trzeba płacową formułę waloryzacji rent i emerytur. Rosnące dopłaty z budżetu państwa, które zasilają, do wymaganego ustawowo poziomu, pulę niewystarczających środków pochodzących z wnoszonych na bieżąco składek ubezpieczeniowych, wymuszają wyższe podatki. Formuła ta musi być pilnie zmieniona, także z tego powodu, że **przejście na waloryzację cenową konieczne jest dla podjęcia prac nad uruchamianiem nowego systemu ubezpieczeń społecznych i ochrony siły nabywczej świadczeń w dłuższej perspektywie.** Stosowna ustawa już czwarty miesiąc czeka w Sejmie na pierwsze czytanie i debatę, a jej rychłe podjęcie będzie dowodem determinacji polityków oraz poważnego i odpowiedzialnego traktowania reformy ubezpieczeń społecznych.

Projekty tych reform są przygotowane, choć wiele kwestii pozostaje jeszcze otwartych i wymaga dyskusji - tak ogólnospołecznej, jak i profesjonalnej. **Kompleksowość reformy wymaga uwzględnienia zarówno wątków socjalnych, jak i kapitałowo-finansowych.** Te pierwsze łączą się z koniecznością zapewnienia bezpieczeństwa socjalnego obecnym i przyszłym emerytom, którzy

muszą już teraz zrozumieć, że jeśli nie poprą tych reform, to nie będą mieli zapewnionych świadczeń - tak jak obecni emeryci i renciści - gdyż nie starczy na to środków w systemie finansów publicznych. Dlatego też niezbędne jest uwzględnienie wątku kapitałowo-finansowego planowanych reform. Chodzi tu zwłaszcza o **zmianę części systemu z repartycyjnego na kapitalizacyjny**.

W tym celu, obok obowiązkowych ubezpieczeń o charakterze repartycyjnym (ZUS), powstanie system dobrowolnych ubezpieczeń indywidualnych w postaci Indywidualnych Rachunków Emerytalnych (IRE), wpłaty na które zwolnione będą w części z podatku dochodowego; powstaną także komercyjne fundusze inwestycyjne w postaci Narodowych Funduszy Emerytalnych (NFE). Ten **trzeci filar systemu wymaga wykorzystania majątku przeznaczanego do prywatyzacji**, który po przejściowym okresie — np. dziesięciu lat - stałby się ważnym źródłem finansowania emerytur, przejmując część zadań i środków ZUS. Bez wykorzystania zasobów prywatyzacyjnych niemożliwe będzie zagwarantowanie stabilnych źródeł finansowania NFE. Ich tworzenie nie może polegać na podwójnym obciążeniu osób znajdujących się obecnie w wieku produkcyjnym, które musiałyby w innym przypadku być zarówno obciążone wpłatami na rzecz obecnych emerytów, jak i zgromadzić środki na własne emerytury w przyszłości.

Patrząc na tę przyszłość także przez pryzmat obliczeń i symulacji komputerowych, sięgających w przypadku Polski 2020 roku. Tak daleko bowiem wykraczają prognozy, które - w zależności od wariantu - wskazują, że system ubezpieczeń społecznych może od strony finansowej zbilansować się „już” w 2005 roku, lub też nie zbilansuje się nawet w roku 2019. Wtedy, wraz z moimi rówieśnikami, będę miał 70 lat i zostanę emerytem. Z pewnością wówczas będzie nas jeszcze więcej niż teraz. Ale czy będą emerytury?

Wotum zaufania

Warszawa, 3 kwietnia 1995 r.

W końcu ubiegłego tygodnia odbyła się w Sejmie krótka debata nad wnioskiem grupy posłów o wotum nieufności dla ministra finansów. Formalnym powodem do złożenia tego wniosku było **orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie ustawy podatkowej**, w której parlament przesądził utrzymanie w 1995 r. stawek podatkowych obowiązujących w roku poprzednim, a ściślej, problemy natury formalno-prawnej wokół tej ustawy. Przebieg debaty jednoznacznie wskazywał, że rzeczywiste przesłanki wystąpienia z takim wnioskiem były inne i miały naturę polityczną. Opinię publiczną mogły utwierdzić w takim przekonaniu także stwierdzenia niektórych polityków Unii Wolności, tym bardziej, że wielu z nich głosowało za wnioskiem tylko ze względu na narzuconą dyscyplinę klubową.

Przy tej sposobności (**każda okazja jest dobra dla opozycji, aby komplikować działania koalicji**) zarzucono mi czyny, których bynajmniej nie popełniłem oraz intencje, które z pewnością mi nie przyświecały. Tak też - jak można sądzić - wniosek grupy posłów został w Sejmie oceniony, skoro opowiedziało się za jego przyjęciem tylko 85 spośród 392 głosujących posłów. Skoro jednak życie polityczne toczy się u nas często w ten sposób, że fałszywe akty oskarżenia są przytaczane wielokrotnie i dlatego też stają się dość powszechnie znane, a argumenty wyjaśniające istotę sprawy i pokazujące jej prawdziwe oblicze są wyciszane i pomijane, to trzeba je raz jeszcze przedstawić.

Przed głosowaniem powiedziałem w Sejmie:

Nie jest tak, jak utrzymują moi oponenci, że chcę za wszelką cenę postawić na swoim. Przeciwnie, co do wielkości podatków na 1995 rok miałem wątpliwości. Wszyscy pamiętają przecież zgłoszony przeze mnie zamiar ich obniżenia i przywrócenia poziomu stawek z 1993 r., które przecież nie przeze mnie i nie na mój wniosek zostały

podniesione wcześniej. Nadal sądzę, że poprzednie stawki można by przywrócić. Ostatecznie jednak - po wielokrotnych szacunkach i dyskusjach - nie zdecydowałem się przedłożyć rządowi propozycji uczynienia tego już teraz. Trzeba byłoby bowiem jeszcze przez kolejny rok blokować wzrost realnych nakładów na sferę budżetową lub powiększyć deficyt budżetowy, co osłabiałoby skuteczność antyinflacyjnych wysiłków, a nasz rząd pragnie poprawiać — nie pogarszać - warunki życia ludności.

Mój pogląd w sprawach podatkowych został zaakceptowany przez Radę Ministrów, która już 20. września 1994 r. skierowała projekt ustawy podatkowej do Sejmu i przyjęty został przez zdecydowaną większość członków Wysokiej Izby, która tę ustawę uchwaliła najpierw 16. listopada oraz powtórnie 2 grudnia, odrzucając zarazem nieuzasadnione weto prezydenta. Minister finansów i rząd zatem na czas i dobrze wykonali swoją powinność.

Nie wysokość stawek podatkowych stanowiła jednak podstawę wniosku o wotum nieufności. Wnioskodawcy próbują dowodzić, że działanie ministra finansów było naruszeniem prawa. Trybunał Konstytucyjny, orzekając niezgodność ustawy podatkowej z konstytucją, nie rozstrzygał o przyczynie i odpowiedzialności, a stwierdził jedynie, że przepisy tej ustawy weszły w życie z mocą wsteczną. Ten fakt jest niepodważalny. To jednak nie minister finansów go spowodował. Nie przyczynił się do tego także nasz rząd. Nie jest to wreszcie winą Wysokiej Izby.

Dziękując tym, którzy wypowiadają się w mojej obronie - a w istocie w obronie prawa i praw ekonomicznych oraz zasad kultury politycznej - pragnę stwierdzić, że nie przyjmuję argumentacji, która sprowadza się do tego, że minister finansów postępował podobnie jak niektórzy jego poprzednicy, w tym także zasiadający obecnie w opozycyjnych ławach. Gdybym bowiem postępował tak jak oni - doprowadzając do zobowiązań Skarbu Państwa obciążających podatników na sumę około 113 bilionów złotych, a wynikających z orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego kwestionujących zgodność z Konstytucją wcześniejszych ustaw - to sam podałbym się do dymisji.

Nie szukam usprawiedliwienia wyłącznie w tym, że działałem w dobrej wierze i zgodnie ze społecznym interesem. Działalem bowiem — i tak czynić będę nadal - zgodnie z prawem.

To pełny tekst mojego oświadczenia. Sejmowa dyskusja, na zakończenie której to wygłosiłem, była krótka, a jeden z głosów nawet wyjątkowo krótki i przy tym treściwy. Niezależny poseł Tadeusz Gąsienica-Łuszczek sięgnął do folklorystycznej klasyki. Poseł zasugerował - w dość niezwykły sposób - że odmienne zasady stosują wnioskodawcy wobec opozycji, inne natomiast miałyby ich obowiązywać, czy też wręcz już obowiązywały w okresie sprawowania władzy przez nich samych. A uczynił to, wygłaszając taki oto wierszyk:

*Gdybyś była moja, kupiłbym ci skrzypce,
Ale żeś nie moja - zagraj se na pipce.*

Jest to góralska wersja przypowieści o znanej skądinąd w polskiej kulturze podwójnej moralności. Okazuje się, że dla wskazania na taką ułomność niekoniecznie trzeba sięgać do Sienkiewicza i nawiązywać do opisanego przez niego moralności Kalego. Czasami wystarczyć mogą góralskie przypowieści o ludowych instrumentach muzycznych...

Tak więc w Sejmie za wnioskiem o wotum nieufności głosowało tylko kilkanaście procent posłów. W ten sposób polityka gospodarczo-społeczna obecnej koalicji ponownie uzyskała silne wsparcie w parlamencie i **wotum zaufania**. To mobilizuje do wytrwałej realizacji linii programowej *Strategii dla Polski*, która leży także u podstaw polityki, prowadzonej z dużym impetem przez nowy rząd premiera Józefa Oleksego.

Rok wdrażania tej strategii potwierdził słusność obranych priorytetów polityki gospodarczej - **szybki wzrost gospodarczy, stabilizacja makroekonomiczna i redukcja społecznych kosztów reform**. Ubiegłotygodniowa debata uwypukliła jednakże i to, że wciąż wiele jest problemów, utrudniających realizację takich priorytetów. Obok tych, które są nieuniknione ze względu na samą istotę procesu transformacji i stabilizacji, pojawiają się także dodatkowe, specjalnie prowokowane trudności polityczne. W tym roku może być ich szczególnie dużo. Ale chociaż w Polsce - inaczej niż w Chinach i Japonii, gdzie jest to „rok dzika” - mamy „rok prezydenta”, to wierzę, że poradzimy sobie i z tymi kłopotami, chroniąc finanse publiczne i gospodarkę. Zasluguje ona bowiem na wotum zaufania.

Woda czysta i trawa zielona

Nowy Jork, 10 kwietnia 1995 r.

Przyszła wiosna. Przy takiej okazji wydaje się nam, że woda jakby czystsza i trawa bardziej zielona. Ale tak jest naprawdę. **Jakość środowiska naturalnego systematycznie poprawia się**, co z pewnością cieszy nas wszystkich. Na początku lat dziewięćdziesiątych było to głównie ubocznym skutkiem głębokiego załamania gospodarczego. Ograniczanie skali produkcji sprzyjało spadkowi ilości zanieczyszczeń, emitowanych przez przemysł. Ale od trzech już lat produkcja ponownie rośnie. Ma ona jednak odmienny charakter, także z punktu widzenia wpływu na stan środowiska naturalnego. Transformacja gospodarki sprzyja szerszemu stosowaniu nowych, proekologicznych technologii. Coraz mniej używamy maszyn i urządzeń szkodliwych dla otoczenia, coraz więcej funkcjonuje oczyszczalni ścieków, coraz lepsze są rozwiązania prawne i finansowe, wymuszające większą dbałość o środowisko.

Polityka ekologiczna państwa jest dość skuteczna. Jej kierunki oraz instrumenty były omawiane w listopadzie przez Senat, a w styczniu Sejm wytyczył kierunki dalszych działań. W ich wyniku została m.in. powołana Komisja ds. Ekorozwoju, koordynująca działania rządu na tym polu. Chociaż mamy bardzo dobrze funkcjonujące Ministerstwo Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa, to niezbędna jest także **instytucja monitorująca i kontrolująca działania innych sektorów gospodarczych z punktu widzenia ich wpływu na stan środowiska**. Obowiązujące w Polsce standardy są ostre, co niekiedy powoduje oczywiste konflikty interesów pomiędzy chęcią do ekspansji producentów a koniecznością dbałości o równowagę ekologiczną. Wówczas potrzebny jest nie tylko arbitraż, ale przede wszystkim mechanizm, który przyczynom takich konfliktów będzie zapobiegał.

Z jednej strony, problemów wciąż jeszcze nie brakuje. Dotyczy to zwłaszcza emisji dwutlenku węgla, odsiarczania spalin i rozbudowy oczyszczalni ścieków. Z drugiej strony, znaczący postęp został dokonany na przykład w odniesieniu do oczyszczania Zatoki Gdańskiej i spływających do niej rzek. Dolna Wisła obecnie jest czystsza niż Ren, który widziałem tydzień wcześniej. Gdy nadejdzie tegoroczne lato, mniej już będzie bałtyckich plaż z zakazem kąpieli. Okazuje się zatem, że **możliwy jest nlerabunkowy rozwój gospodarczy** i być może - za wcześnie jest bowiem jeszcze, aby to jednoznacznie rozstrzygnąć - że kraj nasz przy okazji transformacji wszedł już na taką ścieżkę zrównoważonego rozwoju. Uzyskiwane przyrosty produkcji nie pociągają za sobą dewastacji środowiska, a niekiedy wręcz odwrotnie - źródłem rozwoju są ekologiczne inwestycje i dążenie do poprawy stanu przyrody.

W Polsce do **ekorozwoju przyczyniają się dobre rozwiązania instytucjonalne i finansowe**, wdrożone jeszcze kilka lat temu. Sprawdził się pomysł z utworzeniem Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska, który dysponuje środkami ściągаныmi od tzw. trucicieli. Ci, co szkodzą, obciążani są kosztami działań sprzyjających poprawie standardów naturalnego otoczenia. Istnieją również wojewódzkie i gminne fundusze. Dobrze spełnia swoje funkcje wyspecjalizowany Bank Ochrony Środowiska, kredytujący ekologiczne projekty inwestycyjne. Duże znaczenie ma ponadto **Ekofundusz, gromadzący środki z konwersji części zadłużenia zagranicznego na inwestycje w ochronę środowiska**. Podczas niedawnego pobytu w Bonn rozmawiałem z ministrem finansów Niemiec - Theo Waiglem - na temat przystąpienia naszego zachodniego sąsiada do tego funduszu. Obecnie zarysowała się taka szansa, która przy okazji ułatwi niemieckim partnerom dostęp do przetargów na dostawy ekologicznych technologii do Polski.

W tym tygodniu odbywa się w Nowym Jorku trzecie posiedzenie Komisji Zrównoważonego Rozwoju ONZ. Jej wiceprzewodniczącym jest polski specjalista w zakresie polityki ekologicznej - profesor Maciej Nowicki. Nie tylko on, ale również wielu zagranicznych ekspertów uważa, że nasze rozwiązania z zakresu finansowania ochrony środowiska są unikatowe i godne naśladowania przez inne gospodarki, zwłaszcza znajdujące się w fazie rynkowej transformacji. Ten fakt jest powodem **zaproszenia polskiego ministra**

finansów do udziału w panelu, Inaugurującym posiedzenie tej ważnej komisji wpływającej w coraz większej mierze na globalne działania, chroniące środowisko naturalne.

Podczas debaty w ONZ dyskusja koncentruje się nad finansowymi mechanizmami wspierania ekorozwoju. Najwięcej krytyki wzbudzają dwa zagadnienia. Pierwsze dotyczy wciąż daleko niedostatecznej realizacji zaleceń sprzed trzech lat, podjętych podczas Szczytu Ziemi w Rio w sprawie **transferu 0,7 procenta dochodu narodowego z krajów bogatych do biedniejszych na wspieranie rozwoju zrównoważonego**. Drugi problem ociera się o krytykę międzynarodowych organizacji finansowych, które nadal nie czynią wystarczająco wiele dla ekorozwoju.

Temat ten poruszany był ostatnio w Londynie podczas moich rozmów z dyrektorem wykonawczym Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju - Jacquesem de Larosiere. Zależy nam na większym wsparciu ze strony tej instytucji w zakresie kredytowania projektów inwestycyjnych, ukierunkowanych na ochronę środowiska. Problem jest złożony także i z tego powodu, że wciąż jeszcze zbyt wysoki jest poziom subsydiów do cen energii, co ekolog nazwałby "**środowiskowo nieprzyjawnymi praktykami gospodarczymi**". Stopniowe odchodzenie od nich wymaga dostosowania cen energii, co - jak wiadomo - ma swoje negatywne implikacje w krótkim okresie, zwłaszcza dla ludności mniej zamożnej. Rozwiązywanie tego dylematu wymaga wielu lat i znacznych wysiłków, ale i w tej materii dokonany został już znaczący postęp.

Tegoroczna sesja Komisji Zrównoważonego Rozwoju ONZ akcentuje co najmniej pięć zagadnień, związanych z międzynarodowym mechanizmem mobilizacji środków na ekorozwój. **Po pierwsze**, rozważa się wprowadzenie specjalnych opłat za używanie przestrzeni powietrznej przez linie lotnicze. **Po drugie**, chodzi o ograniczenia emisji dwutlenku węgla poprzez wymuszanie stosowania odpowiednich technologii pod kątem zmniejszania negatywnego wpływu tej emisji na zmiany klimatyczne, o czym ostatnio pisała także „Polityka”. **Po trzecie**, zalecane jest szersze sięganie do tak dobrze sprawdzających się w naszym przypadku technik zmiany długu zagranicznego na inwestycje ekologiczne. **Po czwarte**, poszukuje się dodatkowych sposobów na intensyfikację transferu nowoczesnych, ekologicznych technologii, co ma tym większe

szanse, że handel tymi technologiami w dłuższym horyzoncie czasu i w sprzyjającej sytuacji geopolitycznej dawać może takie same korzyści finansowe, jak handel bronią. I wreszcie **po piąte**, akcentuje się rozwój biotechnologii. Dodać warto, że rząd właśnie przyjął projekt ustawy, upoważniającej prezydenta do ratyfikacji statutu Międzynarodowego Instytutu Inżynierii Genetycznej i Biotechnologii, co ułatwiać nam będzie dostęp do światowego dorobku nauki z tego zakresu.

Tak więc woda coraz bardziej czysta, a trawa zielona nie tylko dlatego, że przyszła wiosna.

Wesołych Świąt!

Śniadanie u Kissingera

Zakopane, 17 kwietnia 1995 r.

W ubiegłym tygodniu jeden dzień spędziłem w Nowym Jorku. Głównym powodem tej bardzo krótkiej wizyty była trzecia sesja ONZ-owskiej Komisji Zrównoważonego Rozwoju, podczas której przedstawiłem nasz punkt widzenia na kwestie finansowe, związane z ochroną naturalnego środowiska. Sesja ta - z udziałem przedstawicieli wszystkich państw członkowskich ONZ - trwa kilka tygodni i powinna zaowocować czymś więcej, niż tylko kolejnym dokumentem o potrzebie szerszego finansowania krajów biedniejszych przez bogatsze (dziś społeczeństwa zamożne niechętnie przekazują 0,7 proc. dochodu narodowego na rzecz narodów uboższych. Dodać warto, że w przypadku Polski tylko około 3 proc. środków przeznaczonych na ochronę środowiska pochodzi ze źródeł zagranicznych).

Pobyt w Nowym Jorku wykorzystałem także na kilka spotkań, z których najciekawsze to rozmowa z Henrym Kissingerem. Jest to człowiek - instytucja, który zajął już swoje miejsce w historii. Był sekretarzem stanu w 1973-77, laureatem Pokojowej Nagrody Nobla, dziś jest szefem prestiżowej firmy doradczej. Zawsze śledziłem z zainteresowaniem i uznaniem jego zmagania o nadanie współ-

czesnemu światu lepszemu, pokojowego kształtu. Tym chętniej przyjąłem zaproszenie na śniadanie u Kissingera, była to bowiem okazja, aby wymienić poglądy, zwłaszcza o transformacji przebiegającej w naszej części świata i jej związkach z sytuacją globalną, w której analizach Kissinger czuje się najlepiej.

Pamiętam, jak sześć lat temu - w maju 1989 r. - Kissinger napisał w „Newsweeku” artykuł analizujący przebieg reform w Związku Radzieckim i Chinach, a okazją do tego komentarza było pekińskie spotkanie na szczycie Gorbaczowa z Dengiem. Odbyło się ono na ledwie kilka tygodni przed pamiętnymi zajściami na placu Tiananmen. Autor wówczas zastanawiał się, który z tych przywódców ma rację; czy właściwą drogę obrały Chiny Denga, stawiając wprawdzie na transformację gospodarczą i zostawiając demokratyczne przemiany na później; czy też trafnego wyboru dokonał Związek Radziecki Gorbaczowa, który odłożył głębsze przekształcenia ekonomiczne, usiłując wprowadzić częściową demokrację w sferze politycznej?

Przypomniałem ten dylemat podczas naszej rozmowy, pytając, jak jest on postrzegany teraz, kiedy koło historii przetoczyło się przez świat z wielkim impetem. Otóż H. Kissinger nie ma wątpliwości, że w błędzie był Gorbaczow. Natomiast co do chińskich przemian, to nie są one jeszcze zakończone, choć z ekonomicznego punktu widzenia transformacja Chin budzi wiele uznania i optymizmu. Z ostatecznymi ocenami trzeba jeszcze poczekać.

Mój punkt widzenia na dylemat, umownie nazwany Gorbaczow-Deng, był nieco odmienny już sześć lat temu. Otóż sądzę - choć jest to bardziej sąd wyprowadzony z wewnętrznego przekonania, niż z dowodu naukowego - że sukces transformacji zależy nie od tego, czy zaczyna się od polityki, czy też od gospodarki, lecz od stopnia dostosowania tych dwu historycznych procesów. Tak przynajmniej transformacja przebiega w Polsce i w większości innych państw Europy Środkowej i Wschodniej, gdzie usiłuje się równocześnie przebudowywać struktury polityczne i ekonomiczne. W moim przekonaniu jest to słuszny kierunek, co nie oznacza, że w krótkim okresie transformacja gospodarcza ułatwia polityczną - i odwrotnie. W perspektywie historycznej jest tak z pewnością (a jeśli jeszcze nie jest, to warto w praktyce udowodnić, że tak być powinno).

Nie ulega bowiem wątpliwości, że demokracja i rynek iść muszą w parze, aczkolwiek sam proces dochodzenia do tych wartości może okazać się odmienny w pewnych konkretnych okolicznościach cywilizacyjnych. Być może właśnie przypadek Chin, czy też ostatnio Wietnamu, dowiedzie istnienia takiej możliwości. W Polsce z pewnością taka zgodność występuje, co oznacza, że rozwój instytucji demokracji politycznej w dłuższej perspektywie sprzyja rozwojowi instytucji gospodarki rynkowej.

Szczególne zainteresowanie - choć może właściwiej byłoby powiedzieć zdziwienie - Henry Kissingera wzbudzał fakt, że proces ustrojowej transformacji mogą sprawnie prowadzić postkomuniści czy też partie określane na Zachodzie jako postkomunistyczne. Okazuje się, że siła oddziaływania pewnych stereotypów jest olbrzymia i nawet tak wytrawny polityk sceny międzynarodowej, jak H. Kissinger, słysząc o Kwaśniewskim i Oleksym, może oczyma wyobraźni widzieć typ polityka, z jakim zetknął się przed dwudziestu laty podczas pierwszej wizyty w Polsce. Przewycięzanie takich stereotypów zapewne wymaga lat, a przede wszystkim faktów.

Usiłowałem ten pozorny paradoks wyjaśnić, wskazując na reformatorski nurt w partiach lewicowych, które obecnie sprawują władzę w kilku państwach Europy Środkowej i Wschodniej, a zwłaszcza na ich większą wrażliwość na społeczną dotkliwość reform rynkowych w naszej części świata. Dopiero uzmysłowienie sobie ogromu problemów, które wyzierają spoza bardzo korzystnych wskaźników makroekonomicznych, wskazuje, iż to właśnie partie lewicowo-centrowe zwiększają szanse powodzenia przemian.

Henry Kissinger - chociaż już nie jest bezpośrednio aktywny na scenie politycznej - z życzliwością przygląda się naszym zmaganiom z transformacją ustrojową i staraniom o członkostwo tak w NATO, jak i w Unii Europejskiej. Nasze przystąpienie do obu tych organizacji - i to bez względu na opinie państw trzecich - uważa on za naturalną kolej rzeczy. Jest także zwolennikiem dalszego zbliżenia gospodarczego USA i naszej części Europy, czemu często daje wyraz publicznie. Mam nadzieję, że będzie ku temu jeszcze jedna, dodatkowa okazja, zaprosiłem bowiem Henry Kissingera do złożenia wizyty w Warszawie - i to już w czerwcu. Zawsze to lepiej z bliska popatrzeć, jak rzeczy się mają.

Rok w polityce

Warszawa, 24 kwietnia 1995 r.

Minął właśnie rok, od kiedy przyszło mi zająć się polityką. Tak jak polityka jest wielowarstwowa i nie da się jej jednoznacznie określić, tak samo jest z moimi doświadczeniami z polityką. Przez politykę - w tym także gospodarczą - zawsze rozumiałem rozwiązywanie problemów, chociaż roczna praca w rządzie przekonała mnie, że dla wielu polega ona raczej na ich tworzeniu. Jeden z bardzo znanych naszych polityków bardziej serio niż żartem uważał, że są tylko dwa rodzaje problemów: takie, które rozwiązują się same oraz problemy nierozwiązywalne. Ale tak doprawdy, to rozwiązanie jakiegoś zagadnienia szybko tworzy następne albo też - patrząc z innej perspektywy - rozwikłanie czyjegoś problemu tworzy trudności komuś innemu. **Brak umiejętności rozwiązywania narastających sprzeczności właściwymi metodami i w odpowiednim czasie grozi niebezpieczeństwem ich przerozdzenia się w sytuacje konfliktowe.** Stąd też tak ważny jest wątek odpowiedniej sekwencji działań w polityce gospodarczej. Cały czas wszakże uwikłani jesteśmy w sprzeczności interesów, których ścieranie się jest dla jednych polityków okazją do twórczych poszukiwań, dla innych natomiast stanowi głównie okazję do prób ugruntowywania swoich własnych pozycji.

Szczególnie ryzykowne z tego punktu widzenia okazać mogą się liczne **rankingi popularności polityków**. Nie zawsze jest tak, że rosnąca popularność oznacza większą skuteczność działań, a często wręcz jest to krótkookresowy skutek zaniechania lub spowolnienia niezbędnych skądinąd przedsięwzięć. Dodatkowo fakt, że opinia publiczna często nie ma świadomości pełnych związków, występujących między przyczynami a skutkami rozmaitych działań, powoduje skłonność do spychania odpowiedzialności na innych i obawę przed podejmowaniem decyzji niepopularnych na krótką metę. Niektórzy politycy - jak ta czarownica - patrzą

w czarodziejskie lusterko i zdzierzyć nie mogą, gdy mówi im, że nawet niekoniecznie za górami, za lasami, ale tuż-tuż są od nich piękniejsi. Oczywiście, **minister finansów jest tu wzorem brzydoty**, skoro ściąga „za wysokie” podatki, „na nic” mu nie starcza i jeszcze w dodatku ma deficyt. Aż dziw bierze, że deficyt tak mąry, zważywszy siłę zewsząd wywieranych nacisków, które miałyby dostosować wydatki (choć już bynajmniej nie podatki) do wszelkich potrzeb i słuszych programów - a nie odwrotnie. Obawiam się, że właśnie ze względu na ten nieustająco trwający „konkurs piękności” kilku ważnych problemów nie udało się rozwiązać.

Ale podkreślić także trzeba, że **trzy podstawowe priorytety naszej strategii rozwojowej są realizowane**. Po pierwsze, **wzmacniane są tendencje rozwojowe polskiej gospodarki**. Produkcja przemysłowa i budowlana jest obecnie wyższa o ponad 13 proc. niż przed rokiem. Jest to wzrost ciągniony głównie przez inwestycje i eksport, którego poziom przewyższa ubiegłoroczny aż o ponad jedną czwartą. Rosną też bezpośrednio inwestycje zagraniczne w Polsce; wyniosły one około 1,3 miliarda dolarów w ubiegłym roku, ale w pierwszym kwartale 1995 roku zwiększyły się już o około 700 milionów dolarów. Po drugie, powoli - krok po kroku, rok po roku - **postępuje proces makroekonomicznej stabilizacji**, co wyraża się w niskim i kontrolowanym deficycie budżetowym oraz spadającej inflacji. W przeliczeniu rocznym jej stopa wynosi obecnie, licząc średnią ruchomą dla lutego-kwietnia, około 24-25 proc. Co ważniejsze, inflacja nadal się obniża, aczkolwiek funkcjonują w naszej gospodarce (i polityce) potężne siły, działające w odwrotnym kierunku. Dokonaliśmy sprawnie denominacji złotego, a teraz wdrażamy jego wymienialność w odniesieniu do transakcji bieżących.

I po trzecie, **spadają koszty reform**, zwłaszcza w wyniku ograniczania bezrobocia. W trakcie ostatnich dwunastu miesięcy ponad dwieście tysięcy ludzi znalazło pracę, ponadto udało się wejść na drogę stopniowe go wzrostu płac realnych. Rosną także - i to nawet szybciej niż płace - realne renty i emerytury. Trudno zatem się dziwić, że takie wyniki makroekonomiczne wzbudzają wiele uznania za granicą, a słyszałem o tym ostatnio od wielu polityków, od USA i Niemiec po Irlandię i Łotwę.

Zdecydowanie mniej satysfakcji po roku w polityce **daje przebieg reform instytucjonalnych**, związanych zwłaszcza z przekształceniami własnościowymi, w tym z prywatyzacją, rozwojem sektora finansowego i podnoszeniem bezpieczeństwa obrotu gospodarczego, przebudową administracji gospodarczej i reformą systemu ubezpieczeń społecznych. Krzyżuje się tutaj takie kłębowisko sprzecznych interesów, że opór materii przed koniecznymi zmianami jest wyjątkowo silny i roku nie starcza, aby opór ten został przewyciężony. Interesy są różne i z zupełnie innych powodów mamy kłopoty z reformą ubezpieczeń społecznych, a w innych z przebudową centrum gospodarczego. Okazuje się, że w polityce - tej żywej, dziejącej się naprawdę, tak jak ją teraz wykładam studentom, a nie tej wyobrażanej sobie przed rokiem - wiele jest transakcji wiązanych.

Do dziś odnoszę się do tego z wielką niechęcią, ponieważ rozumiejąc związki, występujące pomiędzy kursem walutowym a dynamiką eksportu czy też pomiędzy redukcją inflacji i poziomem bezrobocia myślałem, że polityka gospodarcza polegać ma na wyciąganiu praktycznych wniosków z tej wiedzy. A tu często okazuje się, że inni politycy usiłują narzucić transakcje, wiążące z sobą kwestie, które żadnego merytorycznego związku nie mają. No bo jakie jest powiązanie między stopniem zmonopolizowania cukrownictwa a aborcją, czy też wysokością podatków a personalnym obsadzeniem ważnych instytucji? Otóż jest ono zdecydowanie większe niż rok temu wydawało się to profesorowi zwyczajnemu SGH i ekspertowi organizacji międzynarodowych. Polityka zatem także uczy, chociaż wątpię cały czas w „wartości”, które ona niesie.

Coraz częściej mam wrażenie, że ta druga polityka - ta, od której chciałbym być jak najdalej - tylko przez jakiś czas utwardza charaktery, a potem je psuje. Ale robić swoje trzeba tak długo, jak długo robi się więcej pożytku niż szkód. A tych ostatnich niewiele narobiliśmy podczas minionego roku, choć cieszyłbym się, gdyby pożytków było jeszcze więcej.

Reform instytucjonalnych w szczególności nie ułatwia obecny układ polityczny. **Prezydent zamiast stanąć na czele reform, stanął im na drodze.** Kohabitacja po polsku, o którą wciąż zabiegam także na tych łamach, czyni jeszcze bardziej koszmarną politykę, która szarpie się między tym, co konieczne, a tym, co

możliwe. Sugestie co do **potrzeby poszukiwania historycznego kompromisu szerokiej koalicji z udziałem reformatorskich partii opozycyjnych** nie dają skutków. Okazuje się, że liderzy tych partii większą wagę przywiązują do różnic ocen historii, niż do wspólnoty programowej co do przyszłości gospodarki. Zaś **sama rządząca koalicja czasami zachowuje się jak małżeństwo zawarte z rozsądku**, ale teraz zamieszkujące nadal we wspólnym M-3 - no bo przecież nie w wili z basenem - dlatego, że żadna ze stron nie jest gotowa się wyprowadzić.

Rok miniony spędziłem także w „Polityce”. Cenię sobie tę możliwość uczestniczenia w dyskusji publicznej, ponieważ pomaga to w przekonywaniu do racji, wynikających z zamierzeń programowych. A w polityce (i w „Polityce”) nie wystarczy mieć rację. Trzeba jeszcze umieć innych - i to większość - do tego przekonać. Nie zawsze się to udaje. W takim kontekście to w ogóle zakrawa na cud, że udawało się przez miniony rok tak łączyć politykę monetarną naszego banku centralnego z polityką socjalną naszej koalicji, iż produkcja naprawdę rośnie, a inflacja rzeczywiście spada. Ale w cuda - w odróżnieniu od niektórych innych polityków - nadal nie wierzę. Ile bez tej wiary można jeszcze wytrzymać w polityce - tego już sam nie wiem.

Im dalej, tym lepiej

Waszyngton, 28 kwietnia 1995 r.

Podróżując po świecie w polskiej sprawie często zastanawiam się, skąd biorą się - i to nie od dzisiaj - tak duże rozbieżności pomiędzy ocenami naszej sytuacji gospodarczej formułowanymi w kraju i za granicą. W tym pierwszym przypadku najczęściej są to oceny krytyczne, niekiedy bardzo surowe. Wydaje się, że pewne narzekania - niezależnie od obiektywnie trudnej sytuacji ekonomicznej czy też niekorzystnego wciąż położenia materialnego niektórych grup ludności - biorą się z przekonania, że narzekając można więcej uzyskać dla siebie. Ale w jeszcze większej mierze niezado-

wolenie - abstrahując od jego motywacji politycznych, w których punkt widzenia niezwykle mocno uzależniony jest od punktu siedzenia - bierze się stąd, że tak znacząca ostatnio poprawa sytuacji makroekonomicznej nie przekłada się dostatecznie szybko i w zadowalającej skali na polepszenie sytuacji finansowej przedsiębiorstw i gospodarstw domowych.

W drugim przypadku, tj. w odniesieniu do zewnętrznych opinii o naszej gospodarce, stosuje się inne kryteria oceny. Koncentrują się one zwłaszcza na wskaźnikach makroekonomicznych, kształtowaniu się tendencji w sferze eksportu i bilansu płatniczego, możliwości ekspansji inwestycji zagranicznych i ich opłacalności, a także postępów w zakresie prywatyzacji. Zresztą te dwa ostatnie wątki ściśle się ze sobą wiążą i często widzę te same osoby zadające pytania podczas spotkań, w których uczestniczę, bynajmniej nie o restrukturyzację na przykład hutnictwa, ale o prywatyzację sektora energetycznego czy też telekomunikacji.

Opracowując aktualną analizę polskiej gospodarki, eksperci Międzynarodowego Funduszu Walutowego podkreślają jej dobrą i stale poprawiającą się kondycję. Nie zdradzę tutaj wielkiej tajemnicy, jeśli zacytuję fragment z przygotowanego właśnie w MFW poufnego przeglądu na temat naszej polityki gospodarczej. *„Podczas minionego roku tendencja do wzrostu w Polsce była skutecznie podtrzymywana. Czynnikiem szczególnie utrwalającym taki proces było stale wzmacnianie międzynarodowej konkurencyjności polskiej gospodarki, co przyczynia się do narastania korzyści płynących z procesu transformacji. Dodatkowo, zarządzanie procesami makrogospodarczymi było i jest prawidłowe, co jest dowodem właściwych reakcji ze strony polityki gospodarczej rządu na rozwój sytuacji ekonomicznej. Patrząc na rok wprzód, perspektywy gospodarcze są generalnie korzystne, z silnym wzrostem i pozytywnym bilansem rachunku bieżącego bilansu płatniczego.”*

To doprawdy nie są słowa rzecznika prasowego premiera Oleksego, tylko obiektywna ocena międzynarodowej instytucji wypracowana z profesjonalnej, ale bezemocjonalnej - w odróżnieniu od wielu innych opinii - analizy tego, co się dzieje. W tym też kontekście Fundusz zamierza w tych dniach podjąć kolejne pozytywne decyzje wobec Polski.

Swoją ostatnią wizytę w Waszyngtonie rozpocząłem od wykładu w prestiżowym Instytucie Finansów Międzynarodowych. Jego dyrektor tak korzystnie przedstawił gospodarkę i prowadzoną przez nas politykę, że nie tylko już na samym starcie wypadliśmy lepiej niż inne państwa, których ministrowie finansów (np. Meksyku) bądź szefowie banków centralnych (Turcji i Węgier) także wzięli udział w tym spotkaniu. To raczej ja stonowałem nieco te oceny, zwracając uwagę na liczne problemy strukturalne oraz instytucjonalne, z którymi przychodzi nam się borykać. Ale pośród wielkich banków skupionych w tym instytucie obecnie właśnie Polska budzi największe uznanie, a tym samym zainteresowanie inwestorów.

O inwestycjach zagranicznych w Polsce rozmawiałem także z ministrem finansów Szwajcarii, a do niedawna również prezydentem swego kraju, Otto Stichem, który nie jest zadowolony - i słusznie - że jego kraj znajduje się dopiero na dziewiątej pozycji jeśli chodzi o bezpośrednie inwestycje u nas. Szwajcarski minister finansów, gdy był zarazem prezydentem miał w sposób oczywisty znacznie większe możliwości działania, choćby dlatego, że z pewnością nie wetował swoich ustaw... Szwajcaria przewodniczy, w odbywającym właśnie swą wiosenną sesję Międzynarodowym Funduszu Walutowym, konstytuancie, w której Polska jest wiceprzewodniczącym, stąd też nasze żywe i dobre kontakty na tym forum.

Z kolei perspektywy dalszych amerykańskich inwestycji bezpośrednich w naszej gospodarce - a przekroczyły one już 1,7 miliarda dolarów - były przedmiotem rozmów z Ruth Harkin, członkiem administracji prezydenta Billa Clintona. Kieruje ona agencją inwestycji zagranicznych i wraz z liczną misją gościła niedawno w Polsce. USA nadal znajdują się na pierwszym miejscu jeśli chodzi o inwestycje w naszej gospodarce, a podpisana podczas tutejszej wizyty umowa o współpracy z amerykańskim bankiem eksportowo-importowym powinna sprzyjać dalszej, korzystnej także dla nas ekspansji na tym polu. Tworzenie właściwych warunków instytucjonalnych oraz wsparcie finansowe dla tej współpracy były również przedmiotem rozmów z podsekretarzem Skarbu USA - Lawrence Summarsem. Jest to także dobra sposobność do porozmawiania na temat amerykańskiej sytuacji gospodarczej oraz

do oceny globalnej procesów i zjawisk ekonomicznych, w których Stany Zjednoczone odgrywają znaczącą rolę. Przy okazji bez mała wszyscy zwracają uwagę na źródła poskich sukcesów i nauki stąd płynące dla innych transformowanych gospodarek.

Nadal - już do czasu jesiennego szczytu w Madrycie - dyskutowana jest potrzeba zwiększenia możliwości finansowych MFW, ale zdania w tej sprawie są podzielone - zwłaszcza pomiędzy bogatymi i biednymi tego świata. Jako polski gubernator w Funduszu popieram w tej sprawie starania dyrektora zarządzającego - Michela Camdessus - który dostrzega potrzeby zwiększenia kwot tzw. specjalnych praw ciągnięcia - znanych także jako papierowe złoto - z których MFW finansuje swoje kredyty wspierające bilans płatniczy i przekształcenia strukturalne.

Od kilku lat - w obliczu przystąpienia do MFW ponad dwudziestu nowych państw z Europy Środkowej i Wschodniej oraz byłego Związku Radzieckiego - zapotrzebowanie na środki z Funduszu znacznie wzrosło i transformowane gospodarki posocjalistyczne muszą konkurować nie tylko między sobą, ale także z innymi regionami świata, gdzie problemów strukturalnych jest nie mniej niż u nas, a zwłaszcza z Afryką, Ameryką Łacińską oraz Południową Azją. Niechętnie do zamiaru zwiększania kwot na kredyty udzielane przez MFW i Bank Światowy odnoszą się najbogatsze państwa skupione w grupie G-7, podkreślając bardziej konieczność bezpośredniego inwestowania w sektor prywatny gospodarek transformowanych.

Trwają nasze starania o to, aby Polska wróciła w pełni do normalnego, światowego obiegu finansowego. Tutaj nie wystarczy sam wzrost gospodarczy i postęp odnotowany w zakresie stabilizacji monetarnej.

Dopiero niedawno zdecydowałem się wystąpić do odpowiednich agencji wystawiających oceny poszczególnym gospodarkom ubiegającym się o dostęp do światowego rynku finansowego. Po licznych rozmowach prowadzonych w Warszawie agencje te powinny wkrótce przedstawić tzw. *rating* naszej gospodarki, co także wpłynąć będzie na koszty ewentualnej emisji polskich euroobligacji denominowanych w walutach obcych. W Nowym Jorku spotkałem się z kierownictwem dwóch z tych agencji, będziemy bowiem korzystali z ich usług nadal.

W istocie bowiem chodzi tutaj o inwestowanie w przyszłość polskiej gospodarki. Jej terażniejszość rzutuje na oceny formułowane obecnie, ale z kolei aktualne oceny wpłynąć będą na naszą przyszłą pozycję na międzynarodowych rynkach finansowych. Jestem przekonany, że dalszy rozwój będzie niwelował z czasem tak duże różnice, jakie wciąż jeszcze występują pomiędzy ocenami wypowiedzianymi nad Wisłą i nad Potomakiem.

Jest jasne, że najważniejsze są te pierwsze. Ale trzeba także rozumieć jaka jest natura związków występujących pomiędzy tym, co się naprawdę dzieje w świecie globalnych powiązań gospodarczych i finansowych, a tym co dzieje się obecnie i dzieć się będzie w przyszłości w polskich przedsiębiorstwach i gospodarstwach domowych. Dopiero umiejętne wykorzystanie wniosków stąd wypływających, da szansę na rozwiązanie problemów gospodarczych, których mamy z pewnością więcej, niż widzi się to z Waszyngtonu.

Czas i polityka

Warszawa, 8 maja 1995 r.

Czas szybko mija. Niektórym wydaje się, że mamy go dużo, ale w istocie może go zacząć brakować. Zwłaszcza w polityce. Ilu bowiem problemów nie udało się ostatnio - w tym podzasię minionego roku - rozwiązać, to do zrobienia wiele jeszcze pozostaje. W tej chwili stoi przed nami kilka kwestii o fundamentalnym znaczeniu: dłużej odsuwać ich od siebie już nie sposób. Zdawać sobie musi z tego w pełni sprawę **klasa polityczna**, gdyż w innym przypadku **może zostać ponownie zantagonizowana z własnym społeczeństwem**.

Do tych fundamentalnych problemów w tej fazie transformacji należy zaliczyć **reformę systemu finansów publicznych**. Wiąże się z tym w sposób integralny **przebudowa kryzysogennego systemu ubezpieczeń oraz usług społecznych, a zwłaszcza sposobu finansowania emerytur i rent oraz służby zdrowia i oświaty**. W tę stronę przesuwa się punkt ciężkości procesu transformacji

i tam tkwią największe zagrożenia dla jej pełnego sukcesu. Niebezpieczeństwa są tym większe, że wśród znaczącej części klasy politycznej - tak w koalicji, jak i w opozycji - dominuje postrzeganie tych wyzwań przez pryzmat politycznych reakcji wyborców. Niekiedy decyzje bardziej są podporządkowywane kalkulacjom wyborczym niż długookresowym skutkom gospodarczym, co ma przecież także swoje implikacje polityczne.

Dramat obecnej sytuacji polega na tym, że w rezultacie przeprowadzania niezbędnych reform można pogorszyć sobie wyniki wyborów i niekoniecznie je wygrać, a to jest z reguły bezpośrednim celem polityków. Stąd też można mieć coraz poważniejsze obawy *co* do rzeczywistej determinacji kręgów rządzących - i to w całym układzie władzy - w sprawie kontynuacji i przyspieszenia reform. Ale ci, którzy chcą czekać na lepszą okazję do trudnych decyzji - a sama wizja ich krótkookresowych następstw wywołuje paraliżujący strach - **marnują swój czas polityczny**, choć mogą mieć wrażenie, iż wykorzystują go dobrze. Czas ucieka, a odwlekanie trudnych decyzji to też decyzja, za którą odpowiedzialność nie zawsze daje się rozmyć.

Pojęcie czasu jest względne. Wyraźnie dostrzegam jego relatywizm. Po pierwszym roku spędzonym w polityce nadszedł drugi. Obok czasu fizycznego biegnie wszakże **czas polityczny**. Nie mierzy się go tygodniami czy latami, ale odstępem pomiędzy powstaniem problemu, uzmysłowieniem go sobie oraz innym a zdolnością do terapii. Szczególnie stresujące w polityce jest marnowanie czasu pomiędzy stworzeniem dobrego projektu działań, a zdolnością rządzącego układu politycznego do realizacji tych zamierzeń.

Układ polityczny, o którym tu mowa, **jest daleko szerszy niż koalicyjny rząd**. Obejmuje również partnerów społecznych - w tym związki zawodowe i organizacje pracodawców - z którymi konsultowane są proponowane rozwiązania ustawowe, Sejm, Senat, prezydenta, a także urząd Rzecznika Praw Obywatelskich i Trybunał Konstytucyjny. Ten ostatni jest niekiedy wikłany w procesy decyzyjne ze względu na niedoskonałe wciąż prawo, jak i z powodów czysto politycznych. To one były przecież podstawą licznych obstrukcji prezydenckich przy okazji prac nad podstawową ustawą, jaką jest budżet państwa, oraz towarzyszącymi mu rozwiązaniami płacowymi i podatkowymi. Ostatecznie - przy zastoso-

waniu wszystkich procedur demokratycznych - racje zostały przyznane rządowi i, co ważniejsze, górę wziął zdrowy rozsądek ekonomiczny, gdyż udało się utrzymać finanse publiczne we względnej równowadze.

Straciliśmy przy tej okazji nie tylko wiele energii, ale także sporo cennego czasu, głównie politycznego, który z pożytkiem można było wykorzystać na prace nad niezbędnymi reformami. Ale o nich łatwiej jest mówić, **trudniej zaś w urzeczywistnianie takich reform się angażować, ponieważ na krótką metę nie daje to popularności upragnionej przez polityków.** Nawet jeśli czasami wydaje się im, że odpowiadają tylko przed Bogiem i historią, to powinni wiedzieć, że ich grzesznych czynów ten pierwszy może im nie wybaczyć, a ta druga nie powinna im zapomnieć. Jeśli zaś politycy są głównie świadomi odpowiedzialności ponoszonej przed wyborcami, to warto pamiętać, że czas szybko mija i odkładanie niezbędnych, choć niepopularnych reform doprowadzić może do klęski wyborczej, aczkolwiek w innym czasie niż kiedy chowają głowy w piasek.

Różnicę pomiędzy czasem fizycznym a politycznym dostrzegam coraz częściej i wyraźniej. Wiele decyzji jest opóźnionych **w wyniku braku sprawnego mechanizmu arbitrażu politycznego między sprzecznymi interesami grupowymi czy też między odmiennymi koncepcjami programowymi.** W takich okolicznościach nie wystarczy odgórne określenie terminu realizacji zadania. Tak do sprawy podchodzą czasami posłowie wyznaczając rządowi sztywne ramy, w których mają zostać zaproponowane rozwiązania, choć czasu może nie starczyć, by osiągnąć kompromis. Tak postępuje często również sam rząd i jego ogniwa, które nie nadążają, nie ze względu na brak chęci, ale na brak zdolności narzucenia słusznej decyzji oponentom pozostającym w mniejszości.

Byka trzeba brać za rogi. Problemów, które rozwiązują się same wraz z upływem czasu, jest coraz mniej. Czas szybciej rodzi nowe problemy, niż rozwiązuje stare. Rozumiem, że **wielu kusi odłożenie trudnych spraw aż minie kampania prezydencka, ale lepiej narazić się na porażkę w słusznej sprawie, niż wygrać kosztem interesu publicznego postrzeganego w dłuższej perspektywie.** Wówczas też się przegrywa - i to większym kosztem, choć w innym momencie.

Nadszedł czas wyboru trudnych decyzji w kwestiach fundamentalnych, przede wszystkim finansowania ubezpieczeń i usług społecznych. **Na tym nie da się zbić kapitału politycznego, który można byłoby łatwo zdyskontować przy okazji wyborów prezydenckich, i późniejszych wyborów parlamentarnych.** Ale wybierać trzeba już teraz, gdyż wdrożenie koniecznych rozwiązań będzie z czasem jeszcze kosztowniejsze. Dosłownie - z punktu widzenia konsekwencji finansowych - jak i w znaczeniu społecznym oraz politycznym. Korzystne tendencje w sferze wzrostu gospodarczego stwarzają tu materialne przesłanki dla dokonania niezbędnych zmian. Wymaga to jednak umiejętności dostrzegania względności czasu i odróżniania jego wymiaru fizycznego od politycznego. Tylko wówczas jest szansa uniknięcia zbyt wielu napięć politycznych i płynących stąd konsekwencji.

Nowym kursem

Warszawa, 15 maja 1995 r.

Zdarza się i tak, że **dolary tanieją**. Często - także w ostatnich miesiącach - obserwujemy to na światowych rynkach walutowych, choć i tam dzieją się rzeczy jeszcze niedawno niewyobrażalne. Kilka lat temu wypowiedź jednego z wybitnych amerykańskich ekonomistów sugerująca, że wkrótce kurs dolara wobec waluty japońskiej spadnie do poziomu stu jenów, uznana została przez innego znanego autora za bez mała niedorzeczną. Później okazało się, że kurs ten może dojść nawet do poziomu ledwie przewyższającego osiemdziesiąt jenów. I nikt dzisiaj nie może odpowiedzieć (co najwyżej zgadnąć), jakie będą kursy krzyżowe dolara do jena czy też marki do funta na przykład za rok, pomimo nieporównywalnie bardziej stabilnej sytuacji ekonomicznej i politycznej, niż ta, w którą my jesteśmy uwikłani. Skądinąd na tym „zgadywaniu” opiera się **największy na świecie rynek - rynek walutowy**, przez który dzień w dzień przetaczają się niebotyczne transakcje, na których jedni zarabiają, a inni mogą stracić.

Doczekaliśmy także i my czasu - choć bardzo krótkotrwałego - kiedy dolary tanieją. Zupełnie niepotrzebnie na tym straciliśmy, dając przy okazji zarobić innym. Najważniejszy wszakże jest fakt, że przyniosło to **negatywne konsekwencje dla gospodarki**. Wpierw Narodowy Bank Polski dopuścił do nadmiernego tempa drożenia walut obcych, a obecnie - poprzez dokonywaną właśnie zmianę mechanizmu kształtowania kursów - obniża ich relacje wobec złotego, posługując się w tym celu częściowym upłynnieniem kursu. Wobec aktualnych realiów finansowych oznacza to przyzwolenie na przejściowy wzrost wartości złotego, która jednakże w dalszym ciągu będzie spadała, ponieważ kontynuowana będzie tzw. krocząca dewaluacja - na razie na dotychczasową skalę 1,2 proc. miesięcznie wobec koszyka pięciu walut. Przypomina to zatem kroczenie do przodu niezrozumiałym dla wielu krokiem do tyłu. Dlaczego?

Otóż tak w roku poprzednim, jak i w bieżącym, mamy do czynienia ze znacznym napływem walut obcych do Polski. Tempo ulegało przyspieszeniu w ostatnich miesiącach minionego i w pierwszym kwartale tego roku do poziomu, który musiał być uznany za nadmierny. Mogłoby się wydać, że ten napływ jest powodem do radości. I tak z pewnością byłoby w wielu krajach, w których banki centralne potrafią prowadzić odpowiednią politykę monetarną prawidłowo skorelowaną z polityką makroekonomiczną państwa. Ale **jeśli bank centralny tego nie potrafi, to nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło.**

Okazało się, że dopływ kapitału był zbyt wielki, ponieważ nabywanie przez NBP na tak znaczną skalę walut obcych od banków komercyjnych, w których w wyniku określonych przepływów finansowych lokowane były te środki, przyczyniło się do **kreowania nadmiernej podaży pieniądza**. Wzrastała ona ponad poziom dopuszczalny z punktu widzenia antyinflacyjnej polityki rządu, którą wspierał także Międzynarodowy Fundusz Walutowy przez podpisane z nami porozumienia i postawione do dyspozycji kredyty. Pomimo tych trudności i zaniepokojenia skutkami działań w sferze monetarnej, w ubiegłym tygodniu Fundusz wysoko ocenił kondycję naszej gospodarki i politykę makroekonomiczną - a zwłaszcza dyscyplinę budżetową aprobując zarazem wspólne ustalenia rządu i NBP co do programu gospodarczego na następne miesiące.

Wcześniej jednak podaż pieniądza była zbyt duża przyczyniając się do wyższego poziomu inflacji. W naszych konkretnych warunkach także tzw. polityka sterylizacji (prowadzona przez NBP wobec wpływu gromadzonych rezerw pieniądza zagranicznego na podaż pieniądza krajowego) była bardzo droga. Powodowało to mniejsze zyski banku centralnego, **czego koszty są ponoszone przez budżet państwa, a więc w ostatniej instancji obciążają kieszeń podatnika.** Trzeba podkreślić, że oba te czynniki wystąpiły w 1994 r., kiedy to podaż pieniądza przekroczyła założenia aż o 6 proc. i to pomimo zdecydowanie niższego deficytu budżetu. **Co poprawiła polityka budżetowa rządu, to z nawiązką popsowała polityka monetarna banku centralnego.** Przyjdzie czas, kiedy będzie to przypadek wykładany w podręcznikach akademickich.

A można było tego uniknąć - jeśli nie w pełni, to przynajmniej w znaczącej części. Nie udało się, ponieważ mieliśmy do czynienia z **paradoksalnym przypadkiem kontynuacji przez NBP daremnych wysiłków przypominających planowanie centralne.** Prowadził on swą politykę, usiłując bezskutecznie ustalać równocześnie ilość tak specyficznego towaru, jakim jest pieniądz, oraz jego cenę. I to zarówno w kategoriach ceny na przyszłość (stopa procentowa), jak i w odniesieniu do walut obcych (kurs walutowy). Jeśli pragnie się jednocześnie ustalić ilość pieniądza i obie jego ceny podporządkowując to z góry zaplanowanym celom, to ich osiągnięcie możliwe jest albo przypadkowo, albo przez pomyłkę, albo też byłby to cud, na który - być może - ktoś liczył. **Ale przy tej sposobności przeliczyliśmy się wszyscy, płacąc za popełnione błędy wyższą inflacją, a także większymi obciążeniami podatkowymi** wskutek relatywnie mniejszych wpływów budżetowych i większych wydatków na obsługę długu publicznego, co jest prostą konsekwencją nadmiernie wyśrubowanych stóp procentowych.

Ze strony rządu i Ministerstwa Finansów wielokrotnie występowaliśmy z propozycjami dokonania odpowiednich korekt w polityce monetarnej banku centralnego. Bezskutecznie. Teraz okazuje się, że sugestie te i tak muszą być zrealizowane, choć trochę okreśną metodą i na zasadzie mniejszego zła. Negatywne konsekwencje zostały bowiem już poniesione. Wprowadzenie tzw. „pasma” albo „węża”, w ramach którego może się wahać kurs walutowy, w aktualnych

warunkach prowadzi do przejściowego obniżenia niepotrzebnie wywindowanej ceny dolara i innych walut obcych. W ten sposób także NBP przyznał wreszcie, że drożały one za bardzo. **Można było zatem już wcześniej obniżyć skalę kroczącej dewaluacji przy równoczesnej redukcji ceny pieniądza krajowego, czyli stóp procentowych.** Wówczas mniejszy byłby napływ krótkoterminowego kapitału spekulacyjnego, który umiejętnie wykorzystał zbyt niski poziom kursu polskiego złotego i zbyt wysokie stopy procentowe. Wciąż trudno pojąć, jak można było prowadzić taką politykę. Jest to możliwe chyba tylko dlatego, że sprawy te są bardzo złożone, a poprzez to niezrozumiałe dla szerszej publiczności. Skłonna jest ona raczej wierzyć, że to podwyżki cen urzędowych napędzają inflację, podczas gdy naprawdę decyduje o tym głównie cena pieniądza.

W skali makroekonomicznej wprowadzane obecnie zmiany mechanizmu kształtowania kursu walutowego spowolnią nieco tempo wzrostu produkcji i zatrudnienia, pogorszy się bowiem opłacalność eksportu. Dla niektórych firm oznaczać to może obniżenie ich konkurencyjności, a dla części pracowników - utratę miejsc pracy. Z drugiej strony, zelźć powinna nieco siła presji inflacyjnej powodowana dotychczasową polityką pieniężną i kursową. W sumie wypadkowa korekt systemu i polityki monetarnej powinna dać po pewnym czasie pozytywne skutki. Szkoda, że dopiero teraz.

W zwierciadle prasy

*(Fragmenty wywiadów wicepremiera,
ministra finansów prof. Grzegorza W. Kołodko)*

Strategia tysiąca dni

*W rozmowie z Piotrem Andrzejewskim
i Markiem Zieleniewskim,
„Wprost” nr 20 z 15 maja 1994 r.*

(...) Przychodzi pan w momencie, gdy obraz sytuacji gospodarczej stanowi - z grubsza - rezultat realizacji „linii Balcerowicza”. Co chciałby pan zachować, a co zmienić?

To nie my wymyśliliśmy rynek, pieniądz, zasady racjonalnego gospodarowania oraz prawo popytu i podaży. Jeżeli chodzi o mnie, chciałbym, żebyśmy żyli w „państwie prawa”, nie tylko w sensie literalnym, ale też w państwie, w którym rządzą prawa ekonomiczne. Ludzie winni posiadać umiejętność poruszania się wśród nich, a państwo - interweniować jedynie wtedy, gdy okażą się one zbyt dokuczliwe społecznie. (...)

Co więc chce pan zmienić dzisiaj?

Przesunięcie akcentów polegać będzie na silniejszym zaznaczeniu strategii wzrostu gospodarczego, próbie uzdrowienia finansów publicznych na tej właśnie ścieżce, równoprawnym traktowaniu sektorów gospodarczych oraz większej wrażliwości społecznej, wyrażającej się w bardziej sprawiedliwym podziale dochodu narodowego. (...)

Czy jest pan rzecznikiem pełnej niezależności banku centralnego? Ostatnio można było zaobserwować wzmożone naciski rządu i parlamentu na jego prezesa.

Oczywiście, opowiadam się za niezależnością, jeśli nawet jest to częściowo niekorzystne z punktu widzenia celów, jakie na bieżąco stawia sobie rząd. Konflikty są oczywiście możliwe i będą, ale - strategicznie rzecz biorąc - jako ekonomista uważam tę zasadę niezależności za niepodważalną. (...)

Powiedział pan „mądra polityka rządu”. Co pan przez to rozumie?

Mądra, to znaczy taka, że stawiając problemy i podejmując działania, wiemy, jakie będą ich następstwa za tysiąc dni, a nie za dziesięć. Przychodząc tutaj, zaproponowałem „ucieczkę do przodu” i wydłużenie horyzontu czasowego, operowanie w kategoriach analiz rocznych lub wieloletnich. Dotychczas jednak zbyt wiele sprowadza się do godzin. (...)

Głowa ponad lawiną

*W rozmowie z Jerzym Baczyńskim,
„Polityka” nr 21 z 21 maja 1994 r.*

(...) Jest pan nie tylko ministrem finansów, lecz także wicepremierem. Do czego potrzebny jest rządowi wicepremier gospodarczy? Nie było wicepremiera przez parę miesięcy i gospodarka się nie zawaliła. Wręcz przeciwnie.

W obecnej strukturze rządu to właśnie wicepremier musi odpowiadać za stworzenie i wykonanie strategii gospodarczej; to jego głowa powinna wystawać ponad lawinę spraw bieżących, którą zasypani są ministrowie. Ktoś musi koordynować działalność ministrów, rozładowywać kolizje interesów, zanim zmienią się one w konflikt polityczny.

Czy jednak nie jest to argument za rozdzieleniem funkcji wicepremiera i ministra finansów? Niedawno, żartobliwie, dzielił pan sprawy państwowe na ważne i pilne, dodając, że zazwyczaj pilne nie są ważne, a ważne nie są pilne. Czy wicepremier nie powinien być od spraw ważnych, długookresowych, a minister od pilnych?

W jakimś idealnym układzie tak być powinno. Mamy jednak do czynienia z pewnym stanem faktycznym: co wicepremierowi po strategii, jeśli nie będzie miał instrumentów, aby ją realizować? A te narzędzia są głównie w Ministerstwie Finansów. A teraz odwróćmy sytuację: jaka będzie odporność ministra finansów na naciski, płynące także od kolegów z rządu, jeśli jego pozycja nie będzie wsparta autorytetem wicepremiera? Ponadto, w mojej kon-

cepcji istnieje ścisły związek między prorozwojową strategią gospodarczą a stanem finansów publicznych. Po co rozdzielać to, co los złączył?

Co zatem jest dziś najpilniejsze, a co najważniejsze?

Pilna, to znaczy do przeprowadzenia jeszcze w tym roku, jest zmiana systemu indeksacji świadczeń społecznych, a zwłaszcza rent i emerytur. Także w tym roku trzeba rozwiązać sprawę kontroli płac w przedsiębiorstwach państwowych; nie można też odkładać problemu konsolidacji i dokapitalizowania sektora bankowego. A ważne, w tym sensie, że brane jakby z wyższej półki, to opracowanie strategii w nowej sytuacji gospodarczej i politycznej. Na tej samej półce umieściłbym problem bezrobocia. Uważam, że w Polsce, niestety, prędzej będzie jednocyfrowa stopa inflacji niż bezrobocia. Wierzę, że od przyszłego roku bezrobocie będzie malało - to jest jedna z głównych misji tego rządu. Jeśli już mówimy o sprawach „ważnych” i „pilnych”, to na co dzień istnieje między nimi konkurencja. Choćby w miniony weekend: pracowałem nad dokumentem, określającym strategię rządu, ale równocześnie musiałem się zajmować sprawą dofinansowania wyjazdu naszych kombatantów na Monte Cassino, bo zdaje się ktoś - nie wiem jeszcze, kto - czegoś nie dopilnował. Takich pilnych spraw miałem już kilkadziesiąt. (...)

Na wiele trudnych pytań to pan będzie musiał udzielać odpowiedzi. Stąd zrozumiałe zainteresowanie pańskimi poglądami na gospodarkę. Niedawno spotkałem w księgarni klienta, który prosił o wszystkie książki Kolodki, po pięć sztuk każdej. Uchodzi pan np. za zwolennika większego udziału państwa w gospodarce. Niektórzy wręcz nazywają pana etatystą. Czy teraz, kiedy - jak slysze od pańskich współpracowników - mnóstwo posłów, senatorów, ministrów, biznesmenów próbuje się do pana dostać, żeby coś załatwić, nie odnosi pan wrażenia, że nadal mamy za dużo państwa w gospodarce, że wciąż minister finansów za dużo dzieli?

Zdecydowanie mam takie wrażenie i nie oznacza to, że zmieniam pogląd, choć niewątpliwie dziś mam tego wrażenia więcej niż w przeszłości. Ja nie jestem etatystą i chyba nigdy nie byłem, ale nie wyobrażam sobie rozwiązania wielu polskich problemów bez

aktywnej roli państwa. Nieodpowiedzialne są podszepty, że trzeba np. przyspieszać proces agonii państwowych przedsiębiorstw. Bo co to oznacza: że mamy godzić się na dalszy niekontrolowany wzrost bezrobocia? Z czego my tych bezrobotnych utrzymamy? Ja nie mogę odpowiedzieć na protesty górników, że to jest problem, który nas, w rządzie, nie dotyczy. Natomiast jestem - proszę sięgnąć do moich publikacji - za deregulacją, decentralizacją, deetaryzacją. Pisałem o tych 3 D jako przeciwstawieniu sławetnych 3 S. Państwo musi się wycofywać z gospodarki, ale w sposób uporządkowany i na z góry upatrzone pozycje. Inaczej zapanuje chaos.

Jeśli rząd nie znajduje odpowiedzi na kierowane do niego pytania, wówczas rodzi się pokusa, aby brać „sprawy w swoje ręce”, tak jak tego ostatnio próbuje „Solidarność”, usiłując narzucić rządowi jakąś koncepcję państwa korporacyjnego, gdzie o polityce gospodarczej będą decydowały związki zawodowe, a nie demokratycznie wybrany parlament i kontrolowany przezeń rząd. W gospodarce mają rządzić prawa ekonomiczne i prawa ustanawiane przez parlament; związki zawodowe mają zaś niezbywalne prawo do negocjacji i do tego właśnie celu służy Komisja Trójstronna. (...)

Jak pan ocenia prawdopodobieństwo powodzenia swojej „Strategii dla Polski”?

Liczbowo nie potrafię tego określić. Mam dystans do pokonania i zamierzam go przepłynąć. Bez względu na to, czy mam 80 czy 40 proc. szans, zamierzam to zrobić, choć nie wiem jak długo będę pływał.

Czy w funkcji wicepremiera i ministra finansów czuje się pan jak prawdziwy sternik gospodarki?

Być może ja rzeczywiście trzymam w rękę rumpel, ale na razie łódź dryfuje. Mam jednak wrażenie, że zaczynamy łapać wiatr w żagle.

Strategia dla Polski

W rozmowie z Katarzyną Jędrzejewską
i Piotrem Aleksandrowiczem,
„Rzeczpospolita” z 23 maja 1994 r.

**(...) Czy ceny urzędowe będą rosły w takim tempie jak inflacja?
Czy w ogóle ceny urzędowe będą nadal istniały?**

Chcielibyśmy zmniejszyć zakres cen urzędowych. Jeśli chodzi o tempo ich wzrostu, uczyniona została już pewna koncesja na rzecz zwolenników jego ograniczania. W tym roku będziemy ściśle wykonywać ustawę budżetową. W najbliższych latach ceny energii będą rosły nieco szybciej, niż ogólny wskaźnik inflacji, ale wolniej, niż to wcześniej uzgodniono z Bankiem Światowym.

Muszę tu wypowiedzieć uwagę natury ogólnej. Otóż zbijanie inflacji nie jest samoistnym celem polityki gospodarczej. W naszej strategii obniżenie inflacji jest instrumentem niezbędnym do wywołania wzrostu skłonności do oszczędzania, mobilizowania krajowych oszczędności. A zatem jest to instrument wzrostu inwestycji, a także wzrostu wydajności pracy. I dopiero w takiej sekwencji - jako wynik - możemy postawić kwestię wzrostu płac realnych.

Drugi powód, dla którego zbijanie inflacji jest niezbędne, to obniżenie napięć po stronie wydatków budżetu. Chodzi o to, by zapanować nad ich narastaniem, a potem - zmniejszać koszty obsługi długu publicznego. Wreszcie - spadek inflacji oznacza spadek tempa dewaluacji, w związku z tym będzie obniżał się budżetowy koszt obsługi długu zagranicznego.

Obecnie udział finansów publicznych w produkcie krajowym wynosi ok. 50 proc. Ten wskaźnik pokazuje stopień redystrybucji. Czy jest satysfakcjonujący, powinien być większy czy raczej mniejszy?

Powinien być mniejszy i w średniookresowej strategii finansowej kreślimy ścieżkę zmniejszania go. Trudności istnieją mniej po stronie dochodów, a bardziej po stronie wydatków. Zbyt duże są,

zarówno jeśli popatrzymy na nasz poziom rozwoju, jak i z punktu widzenia rynkowej alokacji środków, tak zwane transfery dla ludności. To wiąże się ze sferą świadczeń społecznych, które - choć jednostkowo niskie - w skali makro przysgniatają swym ciężarem finanse publiczne.

W każdym razie uważam, że budżet w zbyt dużym stopniu pełni funkcje redystrybucyjne i dlatego w „Strategii dla Polski” chcielibyśmy ograniczać redystrybucję zmniejszając ciężar wydatków na transfery dla ludności, ale zarazem chroniąc realny poziom przeciętnych płac i świadczeń. To jest możliwe.

Od czego w takim razie teraz zacząłby pan reformy?

Przede wszystkim od zablokowania wydrapywania kolejnych przywilejów branżowych, np. wcześniejszego wieku emerytalnego, z czym mieliśmy od lat, także całkiem niedawno, do czynienia.

Problem nie polega na tym, że nasze świadczenia są zbyt wysokie, tylko na tym, że jest zbyt wielu świadczeniobiorców. Mam świadomość, że beneficjentem reformy systemu ubezpieczeń i świadczeń społecznych społeczeństwo - a zwłaszcza jego starsza część - będzie dopiero w dłuższym okresie. Ale myśląc o finansach publicznych w dłuższej perspektywie, zmiany trzeba wprowadzać teraz. I nasz rząd jest gotów podjąć to trudne wyzwanie. (...)

Czy, pana zdaniem, podaż pieniądza powinna być taka jak nominalny wzrost produktu krajowego czy nieco szybsza, czy też wolniejsza? Słowem, czy polityka pieniężna powinna być bardziej ścisła czy ekspansywna?

Myślę, że ilość pieniądza będzie rosła nieco szybciej niż nominalny produkt krajowy.

Chciałbym przede wszystkim, by bank centralny czuwał nad utrzymaniem realnie dodatnich stóp procentowych. Oczekiwałbym, żeby w ramach polityki monetarnej zmierzał do obniżenia kosztu pieniądza i rozpiętości między oprocentowaniem depozytów i kredytów. Myśmy już uczynili ważny krok w tym kierunku zgadzając się na ujmowanie przez banki w koszty ich działalności rezerw na złe kredyty, co zmniejsza ich obciążenia podatkowe. W efekcie tanieje koszt pieniądza. Bank centralny nie powinien kierować się w swej działalności doraźnymi potrzebami rządu czy

ministra finansów, tylko zadaniem stabilizacji pieniądza w długim okresie. (...)

Jak pan sobie wyobraża - jaka część produktu krajowego brutto i jaka część produkcji przemysłowej będzie w 1997 roku pochodziła z sektora prywatnego?

Nie znam tych liczb jeszcze i specjalnie mnie nie ekscytują prognozy w tym zakresie. Ale z pewnością sektor prywatny będzie rozwijał się szybciej, niż państwowy, a wskaźniki jego udziału w zatrudnieniu, produkcji, eksporcie będą rosły, ze względu na szybsze tempo wzrostu przedsiębiorstw prywatnych, napływ kapitału zagranicznego i procesy denacjonalizacji. Natomiast wskaźniki te będą się zmieniały na korzyść sektora prywatnego wolniej, niż w ostatnich latach, bo rewolucji dokonuje się tylko raz. Nie może się podwoić coś, co już ma ponad połowę udziału we wskaźnikach globalnych. (...)

Wydaje się, że pana projekty są raczej technokratyczne...

... pragmatyczne...

... tymczasem w jednym z wywiadów powiedział pan, że chciałby bardziej sprawiedliwego podziału dochodu narodowego. Co ma jedno wspólne z drugim i jak zamierza pan tę sprawiedliwość osiągnąć?

Proces transformacji uwikłany jest w kolosalną redystrybucję i w każdym niemal pytaniu tego dotykamy. Ta redystrybucja dokonuje się przez budżet albo przez rynek kapitałowy, albo przenosi się ponad granicami. Beneficjentami procesu są różne grupy społeczne i nadal tak będzie. Teraz pytanie: jak dzielić efekty wzrostu wydajności pracy, rosnącego dochodu narodowego. Otóż chcemy zmienić stosunki pracy i wynagrodzenia. Zdecydowany jestem odchodzić od chaotycznego, politycznego, chorego systemu przetargowego, który jest antyrynkowy.

Ja na pewno nie jestem populistą, takiej gęby nie dam sobie przypisać. Ale uważam, że jest obecnie czas na więcej wrażliwości społecznej. I uważam, że jest w interesie ludzi, żebyśmy zmienili stosunki pracy i zasady wynagradzania. Nie możemy dopuścić do tego, żeby nagminnie prowadzono dwustronne negocjacje, skoro problemy są wielowymiarowe. Jestem przeciwko temu, żeby każde

decyzje placowe przenosiły się na szczebel centralny. Jestem za deregulacją i decentralizacją i zarazem jestem przeciwko narzucaniu koncepcji państwa korporacyjnego.

Komisja Trójstronna będzie ustawowo umocowana, ale ma być przede wszystkim miejscem artykulacji sprzecznych interesów i forum negocjacji. Nie będzie natomiast o wszystkim decydować. Rząd podlega parlamentowi i prezydentowi, na pewno nie będzie podlegał Komisji Trójstronnej.

A wracając do pytania. Kiedy mówimy o sprawiedliwości społecznej, to nie mówimy, że chcemy być dobrymi wujkami i rozdawać jakieś pieniądze z budżetu. Wręcz odwrotnie. Sprawiedliwość polega na tym, żeby nie pozwolić, aby silniejsi, na przykład poprzez nacisk strajkowy, wrywali słabym. Sprawiedliwszy podział to jest taki, że więcej będą zarabiać ci, którzy ciężko pracują, a nie ci, którzy ciężko strajkują.

...też bym strajkował

*W rozmowie z Teresą Wójcik,
„Tygodnik Solidarność” nr 28 z 8 lipca 1994 r.*

Jest pan autorem programu gospodarczego „Strategia dla Polski”, który spotkał się z dużym zainteresowaniem, ale również krytyką. Jedni zarzucają panu, że jest napisany przez lewicowca, inni, że przez liberała.

Zarzuty są z prawa i z lewa. Najmniej z pozycji zdrowego rozsądku. Właśnie dlatego, że jest to program przede wszystkim pragmatyczny. Słyszałem o pewnej prominentnej osobie, że historycznie to ten pan ma poglądy lewicowe, ale jeśli chodzi o interesy - to liberalne. W tym znaczeniu ja nie jestem ani lewicowcem ani liberałem, mój interes jest dosyć klarownie oznaczony: chciałbym zrobić wszystko, aby program ten był w największym stopniu zrealizowany. Takie są moje ambicje. Czytelnikom „Strategii dla Polski” i innych moich autorskich opracowań jako profesora ekonomii, pozostawiam ocenę, w jakim nurcie mnie uplasować. Choć,

jeśli mam poglądy polityczne, a pewnie mam jak każdy, to ze względu na wrażliwość społeczną jestem bliski nurtom określanym jako lewicowe.

W „Strategii dla Polski” są zakreślone trzy priorytety: szybki wzrost gospodarczy, stabilizacja rynkowa i makroekonomiczna oraz poprawa warunków życia. Ale z matematyki wynika, że jednoczesna maksymalizacja trzech celów jest niewykonalna.

Jeśli podejść formalistycznie, to priorytet powinien być z istoty jeden. Więc proponuję, żeby te trzy priorytety rozumieć nieco elastyczniej. Nie, że będziemy kajstrować, przerzucać, zamieniać. Lecz, że wskazuje się trzy główne kierunki od strony skutków, jakie chcielibyśmy osiągnąć. Czy między tymi kierunkami jest sprzeczność? Nie ma.

Szybki wzrost gospodarczy tym łatwiej będzie osiągnąć, im stabilniejsze będą system i sytuacja makroekonomiczna. A gdy te dwa warunki będą spełnione - to wówczas można obniżyć społeczne koszty reform, poprawiać warunki życia obywateli. Niedawno przeczytałem zarzut: dlaczego poprawa warunków życia, a nie wzrost konsumpcji? Otóż, chodzi o coś więcej niż wzrost konsumpcji. O poprawę warunków środowiska naturalnego, odwrócenie niekorzystnych tendencji w budownictwie mieszkaniowym. O poprawę bezpieczeństwa społecznego nie tylko w sensie socjalnym, ale też dosłownym. Rozumiemy więc poprawę warunków życia szerzej, w tym sensie, że mogą się one znacznie poprawić nawet gdy konsumpcja akurat chwilowo nie wzrosła. Choć według tej ścieżki jaką w „Strategii” wybraliśmy - to konsumpcja ma zwiększyć się w ciągu 4 lat o ok. 15 %. To jest bardzo dużo według standardów międzynarodowych, ale mniej, niż ludzie by sobie życzyli. Zwłaszcza, że w wielu grupach społeczno-zawodowych w ostatnich latach poziom konsumpcji niestety dosyć mocno spadł.

Cała „Strategia”, jej linia programowa jest tak skonstruowana, żeby podtrzymać, utrwalić tendencje wzrostu, jakie od pewnego czasu występują w naszej gospodarce. Nie jest bowiem prawdą, że jesteśmy na ten wzrost skazani. Trzeba pewne procesy doprowadzić do końca, inne rozpocząć, jeszcze innym przeciwdziałać, żeby temu wzrostowi nadać charakter nazywający się w anglosaskiej

literaturze ekonomicznej *sustainable*, a który w Polsce tłumaczymy jako „trwały i zrównoważony”. (...)

Ale łatwo nie będzie. Czy właśnie dlatego pierwszy węzłowy program ma tytuł „Partnerskie stosunki pracy i negocjacyjny mechanizm regulacji płac”?

Z pewnością tak. Nie jest to przy tym wartość sama w sobie, dlatego, że strajki niczemu nie służą. Inna rzecz, że jeśli widzę dziś w gazecie na pierwszej stronie fotografię z podpisem „zaostrenie strajku w Hucie Lucchini”, a na tej fotografii opalających się, uśmiechniętych robotników - to sądzę jednak, jeśli jest to naprawdę zdjęcie z tego strajku, że jest to uśmiech tylko do kamery. Bo tak naprawdę - to nie ma się z czego śmiać. Jeśli ci ludzie strajkują, to muszą mieć do tego powody.

...Mają. I bardzo zasadnicze.

Muszą być bardzo zdeterminowani, bardzo niezadowoleni z tego jak są rozwiązywane ich problemy w skali mikro. Ten strajk, jak i wiele innych obecnie, dotyczy problemów mikroekonomicznych, nie oprotestowuje polityki makroekonomicznej. Rozumiem ludzi, którzy strajkują, zwłaszcza jeśli są zmotywowani groźbą utraty pracy. Ja to dobrze rozumiem i gdybym był robotnikiem to też bym strajkował.

Chcemy stworzyć partnerskie stosunki pracy, negocjacyjny system płac w skali mikro, żeby powodów do strajków było jak najmniej. Żeby można było wynegocjować dobre porozumienia pomiędzy dwoma dobrze zorganizowanymi grupami interesów, które to interesy naturalnie mogą być w krótkim czasie rozbieżne. To się zdarza. I nie zawsze pracodawcy i pracownicy są w stanie zawczasu wynegocjować dobre porozumienie i wobec tego pracownicy uciekają się do strajku. Zaproponowaliśmy tu rozwiązanie - przyszłość pokaże, czy zostaną przyjęte i w jakim stopniu. (...)

Więc dla kogo „Strategia dla Polski”? Dla tych 30-40 % poniżej granicy ubóstwa? Dla tych 20 % co jakoś wiążą koniec z końcem? Czy dla tych kilku procent beneficjentów przemian?

Muszę pamiętać o tych 30-40 %. Nie tylko ze względu na moją wrażliwość społeczną. Także dlatego, że przy takim ogromnym procencie ubóstwa, bezrobocia, zaniedbań socjalnych - gospodar-

ka nie może być zdrowa. Ci ludzie jednak są najbardziej zależni od szybkiego wzrostu gospodarczego. Dla nich potrzebne są miejsca pracy, możliwość zapracowania na dobre wynagrodzenia, a pośrednio - lepsze warunki pracy, ochrona pracy, wyższe emerytury itp. To wszystko jest możliwe, jest w zasięgu ręki, bo otwieramy proces z natury rzeczy z dużą dynamiką. (...)

Nie chcemy niczego likwidować

*W rozmowie z Haliną Bober,
„Gromada Rolnik Polski” nr 59/60 z 31 lipca 1994 r.*

Z programu „Strategia dla Polski” wynika, że z ponad 8 milionów gospodarstw rolnych tylko jedna trzecia ma szansę przetrwania. Przy znacznym bezrobociu na wsi jest to mało pocieszająca wiadomość. Likwidacji ulegną nierentowne kilkuhektarowe zagony. Ich właściciele nie wiedzą, co z nimi będzie. Czy „Strategia” zapowiada powrót czasów dziedzica i chłopu folwarcznego? - pytają w listach do redakcji.

Pani źle stawia pytanie i jest Pani w błędzie. My nie chcemy niczego likwidować, nie zamierzamy niczego nikomu zabierać. Chcemy dać mieszkańcom wsi możliwość innego pokierowania losem swoim i swojej rodziny. Jeśli ktoś planuje nadal męczyć się prowadząc produkcję nierentowną i wiązać koniec z końcem, to jego wola i decyzja. Ale niech nie liczy na dotacje, upusty, umorzenia. Drobne gospodarstwa będą stopniowo wypadać z użytkowania. Jeden rolnik dojdzie do wniosku, że przestaje się męczyć prowadząc niedochodową produkcję i sam znajdzie dla siebie alternatywne zajęcie. Drugi z wiekiem przejdzie na emeryturę. Jeszcze inny pozostawi decyzję swojemu następcy, a ten albo powiększy areał albo sprzeda ziemię i uruchomi jakąś produkcję. Kwestia mentalności. I czasu, bo jest to proces obliczony na lata, a nie bieżące działanie z dnia na dzień.

Grunty stopniowo przejmą inni rolnicy powiększając swoje gospodarstwa, w których zastosują nowoczesne metody upraw i ho-

dowli. Z 3 gospodarstw 7-hektarowych powstanie jedno, co wcale nie znaczy, że część rolników pójdzie z torbami. „Strategia dla Polski” rysuje przed nimi nowe szanse, ale także ich sprawą jest chcieć i umieć z nich skorzystać. (...)

(...) Do procesu przemian na wsi musi włączać się miasto i przemysł. Większość środków pomocowych jakie Polska otrzymuje z Unii Europejskiej na dofinansowanie programów restrukturyzacyjnych powinno być przekazywane wsi i rolnictwu. Nie ma innej możliwości wejścia do Unii Europejskiej jak zmienić oblicze polskiej wsi. I na te cele otrzymujemy z Zachodu pieniądze.

Czyli środki finansowe najpierw dla wsi, a potem na rolnictwo?

Tak, właśnie w takiej kolejności. Wolałbym, aby został położony większy nacisk na rozwój pozarolniczych form aktywności produkcyjnej i usługowej na wsi. Niestety, działamy w warunkach krótkiej kołdry i na wszystko nie starcza. A w rolnictwie można utopić wszystkie pieniądze i nadal będą funkcjonowały te 3, 5, 7-hektarowe gospodarstwa, gdzie końca z końcem nie można związać. (...)

(...) Nie da się integrować z Europą mając około 1/4 zatrudnienia w rolnictwie, które nie jest najbardziej wydajnym na świecie. Powstało pytanie, co z tym problemem zrobić. Obszary wiejskie nie powinny się wyludniać, zaś ich mieszkańcy mają prawo żyć godnie i zarabiać pieniądze nie tylko na roli. Wieś powinna być również siedliskiem, w którym chcieliby mieszkać i żyć także przybysze z miast. (...)

Bez przesuwania gór

W rozmowie z *Eugeniuszem Jabłońskim*
i *Tomaszem Kitą*,
„Zielony Sztandar” nr 34 z 21 sierpnia 1994 r.

(...) Co przysparza najwięcej trudności?

Są co najmniej trzy grupy problemów. Po pierwsze: przebudowa ustroju przedsiębiorstw w kierunku kształtowania partnerskich stosunków pracy i negocjacyjnego systemu wynagrodzeń.

Wiąże się z tym druga kwestia, tzw. powszechnej komercjalizacji, przy czym - zwracam uwagę - nie jest ona zamiast prywatyzacji, ale obok niej. Prywatyzację, wbrew temu, co o koalicji mówią jej przeciwnicy, zamierzamy przyspieszać. Po stronie dochodów z tego tytułu w budżecie na rok przyszły zapisaliśmy aż 29 bilionów złotych.

Trzeci problem, jaki napotykaemy, to ustawy i rozwiązania związane z reformą systemu zabezpieczenia społecznego. Lawinowo narastają obciążenia budżetu z tytułu dopłat do tegoż systemu. Z drugiej strony świadczenia społeczne w stopniu niedostatecznym zaspokajają potrzeby ludzi, którzy je pobierają. Od tej sprawy nie ma już odwrotu, jeśli szybko nie poczynimy zmian, cały system może runąć. Zamierzona reforma przyniesie owoce w okresie daleko wykraczającym poza ten, o którym mówimy.

Nad tym wszystkim góruje (...) reforma centrum gospodarczego. To jeden z newralgicznych problemów strategii. (...)

Powodzenie strategii w dużym stopniu należy od poparcia społecznego, no i, jak mówi się w programie, od „świetłej polityki rządzących”. Nadal jednak wśród dużej części Polaków utrzymuje się apatia. Społeczeństwo nie zostało poderwane do większego wysiłku. Czy uda się przekonać rodaków, że „Strategia dla Polski” to właśnie ten program, który gwarantuje im poprawę warunków życia?

Ująłbym ten problem inaczej. Ja nie mam ambicji porywania społeczeństwa do wielkich czynów, bo sądzę, że to są już nie te czasy. Natomiast mam takie ambicje, żeby każdy w coraz większym stopniu rozumiał, że jego czy jej los jest w ich rękach i żebyśmy tworzyli warunki do ziszczenia planów jednostkowych i grupowych. Jest też ważne, aby jasne i zrozumiałe dla polskiego społeczeństwa były intencje i polityka koalicyjnego rządu, żeby wiedziało ono, czego po naszym rządzie można się spodziewać, a czego spodziewać się nie należy.

Uważam, że „Strategia dla Polski” została dobrze odebrana w społeczeństwie, choć od początku wokół tego zdarzenia niektóre mass media i niektóre siły opozycyjne podniosły ogromny szum, żeby nie powiedzieć - urządziły koncert. Jeśli zatem widać gdzieś niechęć do koalicyjnej linii programowej, to obawiam się, że nie

dlatego, że nasz program jest zły, choć zapewne nie jest idealny - czego mam świadomość - tylko dlatego, że komuś na tym zależy, że chce zbić kapitał polityczny.

Ze swej strony przykładamy wielką wagę do komunikowania się i dialogu ze społeczeństwem. Chcemy pozyskiwać poparcie społeczne dla naszych koncepcji rozwojowych na zasadzie konsultacji, dialogu, argumentacji, przekonywania, a nie mądrzenia się i narzucania swoich poglądów jako jedynie słusznych. (...)

He jest prawdy w opinii, że rolnictwo utrudni nam wejście do Unii Europejskiej?

Z takim rolnictwem i taką wsią, jakie obecnie mamy, Unia nas nie zaakceptuje. To jest jasne. Ale nie można wpadać w panikę. Należy to traktować jako szansę i wyzwanie. Patrząc perspektywicznie będziemy się starali zadbać o interes polskich rolników co najmniej w takim stopniu, w jakim to się udało zrobić w swoim czasie Portugalii i Hiszpanii. A może i tu postawimy wyżej poprzeczkę. (...)

Para w tłoki

*W rozmowie z Piotrem Andrzejewskim,
Dobrochną Kędzierską i Markiem Królem,
„Wprost” nr 37 z 11 września 1994 r.*

O „Strategii dla Polski” mówi się, że to spora dawka dynamitu w atrakcyjnym opakowaniu. Może się ona okazać zupełnie nieprzyswajalna dla tych, których zmusza do reformowania samych siebie. Będzie pan wtedy wrogiem publicznym numer jeden.

Nie dam się państwu ustawić na tej pozycji. Nie jestem wrogiem wszystkich, wręcz przeciwnie - chcę być przyjacielem wszystkich, podejmując próbę łączenia wody z ogniem. Para musi jednak pójść w tłoki, a nie w gwizdek. (...)



W. WISNIEWSKI

Ostatnio często słyzy się opinię, że na reformach zyskuje 3 proc. społeczeństwa, podczas gdy reszta biednieje. Czy w związku ze zbliżaniem się kolejnej kampanii wyborczej nie obawia się pan, że na ołtarzu polityki złożone zostaną niektóre z zasadniczych celów gospodarczych?

Mam nadzieję, że tak się nie stanie, tym bardziej, że nieprawdą jest, iż na reformach zyskuje tylko trzy czy nawet pięć procent społeczeństwa. Oczywiście, nie wszyscy z nich korzystają, a są także grupy, które znajdują się w położeniu trudniejszym niż kilka lat temu. Dostrzegamy to, dlatego nie tylko mówimy o konieczności obniżenia społecznych kosztów reform, ale podejmujemy konkretne kroki. Zachodzą również pozytywne przemiany, docierające jednak do świadomości społecznej z trudem lub z dużym opóźnieniem. Jak przekonać np. emerytów i rencistów, że następuje bardzo istotny wzrost ich dochodów realnych - w tym roku, uwzględniając grudniową podwyżkę, przeciętnie o 7 proc. Obawiam się zresztą, że po wydrukowaniu tego stwierdzenia, otrzymacie państwo stos listów od oburzonych działaczy i pseudopolityków, kwestionujących ten fakt. (...)

Zagrożenia potęgują jednak także ci, którzy podejmują decyzje. Trudno nie zauważyć braku spójności działań w koalicji rządowej...

Niebezpieczeństwo polega na braku zdolności elit politycznych do dalekowzrocznego myślenia. Wyraźnie odczuwam w mojej pracy, że o ile w sferze kreślenia planów widoczne jest zdecydowane poparcie dla idei „patrzenia szerzej”, o tyle później daje o sobie znać potworne ciśnienie, związane z dążeniem do podporządkowania polityki gospodarczej doraźnym interesom. Myślę zresztą, że ciśnieniu temu podlega każdy wicepremier i minister finansów, w każdym układzie.

Czego obawia się pan najbardziej?

W „Strategii” istnieją trzy „ścieżki krytyczne”. Pierwsza to pakiet legislacyjny, zawierający 14 ustaw. Ani jednej mniej, ani jednej więcej. Tymczasem podejmowane są próby „dopasowania” do owego pakietu projektów, od których powodzenie tego zamysłu wcale nie zależy. Są to próby załatwiania różnych interesów, często nawet

uzasadnionych, ale nie mieszczących się w tej konstrukcji lub przekraczających możliwości budżetu.

Czy chodzi np. o tzw. ustawę cukrową?

Nie chciałbym podawać przykładów. Ma to znaczenie drugorzędne.

Co ma więc znaczenie pierwszorzędne?

To, czy będzie w Polsce inaczej zorganizowane centrum gospodarcze. Jest to druga „ścieżka Strategii”. Przyznam, że moja uwaga koncentruje się właśnie na tym. W przeciwnym razie nie byłbym wicepremierem i ministrem finansów, lecz skrzyżowaniem publicysty, NIK, prokuratury i izby skarbowej. Nie znaczy to, iż lekceważę fakt, że w gospodarce występują wciąż zjawiska bulwersujące opinię publiczną. Chcę jednak przede wszystkim usuwać przyczyny patologii. Jest wreszcie trzecia „ścieżka”: budżet. Niestety, wiele osób, słysząc to, rozumie: pieniądze na moje potrzeby. Politycy, stawiający mnie pod ścianą za to, że skąpię pieniądze na różne ważne cele: oświatę, służbę zdrowia etc, znacznie mniej skorzy są do podjęcia debaty nad tym, jak zwiększyć te środki. To samo dotyczy mediów, w których często jeden artykuł, atakujący fiskusa za zbyt wysokie podatki, sąsiaduje z drugim, opisującym, jak umiera służba zdrowia pozbawiona etatów. Prowadziłoby to tymczasem do sięgania do kieszeni podatnika po kolejną porcję pieniędzy. Jako minister finansów powinienem być - jak sądzę - kitytkowany raczej za to, że optymistycznie oceniam przyszłoroczne dochody budżetu, które —jak zakładam - wzrosną o ponad 6 proc. (...)

Tak - ale będę strzegł finansów publicznych

*W rozmowie z K.T. Toeplitzem,
„Wiadomości kulturalne” nr 17 z 18 września 1994 r.*

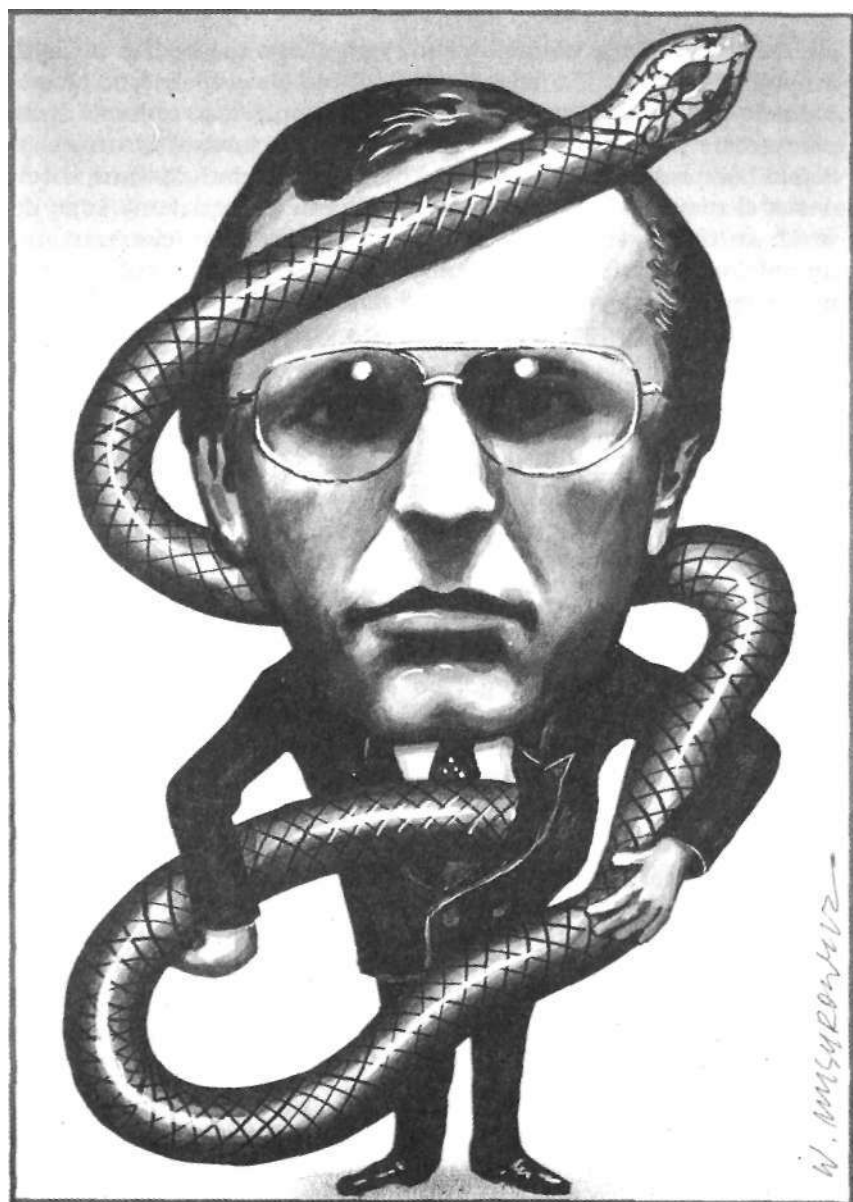
Panie premierze, rząd, który pan reprezentuje, przedstawił się parlamentowi i wyborcom jako ten, który sprawę inwestycji

w człowieka stawia na miejscu pierwszym. Zaskakujące wręcz było w pierwszym expose premiera Pawlaka, że na samym początku mówił o nauce, oświacie i kulturze, kiedy zwykle mówi się tam o innych sprawach. Czy jako szef gospodarki polskiej pan potwierdza tę hierarchię wartości?

Tak. Ja też tak podchodzę do tych zagadnień. Dla mnie ekonomia jest bardziej nauką humanistyczną niż matematyczną czy techniczną, co nie oznacza, że lekceważymy rachunek ekonomiczny. Ale z mojego całego doświadczenia, z moich studiów, z obserwacji porażek i sukcesów społecznych na świecie wynika, że lekceważenie kapitału ludzkiego zawsze się źle kończy. Na dobrą sprawę nikt się nie może dostać do czołówki narodów świata, jeśli nie potrafi rozwiązać problemów inwestowania w kapitał ludzki. Wiem, że nie wszyscy lubią ten termin, chętniej mówi się o kulturze narodowej, oświacie, ale w pojęciu inwestowania w kapitał ludzki mieści się próba pokazania związku pomiędzy tą inwestycją a dłuższą perspektywą rozwojową. Inwestycja to jest coś, co przynosi korzyści. Oczywiście słyszy się także zarzuty, że ten termin oznacza odhumanizowanie, kładzenie nacisku na zyski i korzyści. Otóż nie, człowiek, jego kwalifikacje, jego zdolności rozwojowe, poziom cywilizacyjny czy kulturowy z jednej strony jest wartością samoistną, a z drugiej strony sprzyja procesowi rozwoju w dłuższym okresie.

Studiowałem na przykład korzenie sukcesów wysoko funkcjonalnych gospodarek azjatyckich, a więc poza Japonią są to cztery tzw. tygrysy plus jeszcze Tajlandia, Malezja, Indonezja, do tego trzeba dodać jeszcze olbrzymie obszary południowych Chin, a powoli zaczynają dołączać także Filipiny, a nawet Wietnam, do niedawna jeden z najbiedniejszych krajów świata, który bardzo dynamicznie się rozwija. Otóż wszędzie tam u źródeł rozwoju leżą właśnie inwestycje w kapitał ludzki. Mówiąc to wiem, co mówię, i od razu muszę dodać, że nie dam się zakrzyczeć, nie ulegnę presji zarzutów, że my głosimy takie hasła, a nie mamy pieniędzy.

Mówimy tu bowiem o przedsięwzięciach pokoleniowych, mówimy o okresach kilkunastoletnich. Jeśli traktować oświatę jako inwestowanie w kapitał ludzki, to okres zwrotu poniesionych nakładów następuje według badań naukowych za siedem do dziesięciu lat. Wobec tego trzeba ponosić nakłady przez siedem do dziesięciu lat i dopiero potem liczyć na efekty - i nie chodzi o to,



aby podnieść płace nauczycielom, jeśli z tego nie będzie żadnych innych efektów, tylko nieco poprawi się nauczycielom. Chodzi o dalekowzroczną strategię. Wobec tego popierając te hasła, podpisując się pod nimi, opracowując dane dla naszej *Strategii dla Polski* będę robił wszystko, by nie było to teraz nadużywane w celu destabilizacji finansów publicznych. Wiem, że będziemy krytykowani, że obiecywaliśmy, a nie podwyższamy płac lekarzom, nauczycielom, profesorom i innym. Proponujemy cały szereg przedsięwzięć na rok przyszły, ale chodzi o to, żeby tej dłuższej perspektywy nie skrócić.

I ostatnia uwaga: inwestowanie w kapitał ludzki oznacza inwestowanie w kulturę, oświatę czy w ochronę zdrowia, co nie zawsze jest jednak tożsame z wydawaniem na lekarzy, nauczycieli czy pracowników administracji kulturalnej. Jeśli będziemy tak podchodzić do inwestowania w kapitał ludzki, to możemy próbować nieco poprawić sytuację poszczególnych grup społecznych, nam jednak chodzi o jakość kapitału ludzkiego, a tego się w ten sposób nie poprawi. (...)

I tutaj pytanie zasadnicze tej rozmowy, które dla mnie jest najważniejsze. Otóż z tego, co widać, los kultury w gruncie rzeczy znajdzie się w ręku jej użytkowników, to znaczy ludzi, którzy kupują książki, którzy kupują bilety kinowe, którzy kupują obrazy, którzy chodzą na wystawy itd., itd. Czy nie należałoby wobec tego, zmieniając mechanizmy wsparcia kultury, pomyśleć o tym, żeby ludzie korzystający z kultury osiąkali z tego konkretne korzyści? Takie np. jak ci, którzy prowadzą działalność w zakresie indywidualnego budownictwa mieszkaniowego. Chodzi mi konkretnie o to, czy jest do rozpatrzenia projekt, aby obywatel korzystający z dóbr kultury wszelkiego typu, chodzący do kina, chodzący do teatru, kupujący obraz mógł liczyć na to, że będzie mu to odliczone z podstawy opodatkowania? Tak dzieje się na świecie.

Na świecie dzieje się bardzo różnie. Natomiast takie propozycje są rozpatrywane. Nie pamiętam czy wszystkie, które pan tu wymienił. Ale myśli się o tego typu mechanizmie. Są pewne pomysły, które powinny być już uwzględnione przy okazji przedstawiania parlamentowi tzw. ustaw okołobudżetowych. Wraz z budżetem ma

wejść w życie od przyszłego roku ustawa, dająca możliwości odliczania od podstawy podatku pewnych wydatków związanych właśnie z inwestowaniem w kapitał ludzki, w kształcenie, w oświatę. Pytanie - jak daleko można wydłużyć listę tych ulg. Jest kilka kryteriów, które absolutnie nie obchodzą żadnego malarza, żadnego muzyka, natomiast bezsprzecznie muszą być przedmiotem zainteresowania rządu, dlatego że w momencie, gdy mówimy o kulturze, mówimy także i o pieniądzu. Moją intencją jako wicepremiera i ministra finansów jest to, żeby znajdować dobre rozwiązania, bez ubocznych efektów destabilizujących, na których wszyscy stracimy. (...)

Ale wróćmy do pańskiego pytania. Takie systemy fiskalne, o których mówimy, działają wtedy, kiedy się wzajemnie nie oszukujemy. Musimy również mieć większe bezpieczeństwo finansowe, a także niezbyt zbiurokratyzowany system kontrolowania tych odpisów. Nie możemy stworzyć warunków ku temu, że wszyscy będą raptem wpisywali, jak dużo wydają na kulturę, a potem się okaże, że to jest w ogóle nieprawda. Generalnie łatwiej będzie można prowadzić taką politykę, jeśli będzie rósł poziom kultury fiskalnej. To są przedsięwzięcia na pokolenia, myje dopiero zapoczątkowujemy. (...)

Ja nie powiadam nie, ja powiadam tak, ale to wszystko musi mieścić się w ramach rachunku. Nie zgodzę się jako wicepremier w rządzie koalicyjnym i minister finansów Rzeczypospolitej na jakiegokolwiek działania, które będą rozmontowywały system finansów publicznych w Polsce. (...)

Chciałbym wyraźnie powiedzieć, że w Polsce trwa rozrywanie finansów publicznych, że jedni oszukują drugich, że wykorzystuje się i marnotrawi grosz publiczny. Pod hasłem zdrowie, nauka, bezpieczeństwo, kultura często chodzi o partykularne interesy ludzi z tych środowisk. A to, co pan redaktor mówi, to są świetne pomysły, które będą wprowadzane przez następne 25 lat. (...)

Liczę publiczne pieniądze, nie głosy wyborców

*W rozmowie z Janem Bazylem Lipszycem
„Rzeczpospolita” z 28 września 1994 r.*

Kiedy ogłosił pan „Strategię dla Polski” odezwał się liczny chór krytyków. Teraz niektórzy z nich mówią, że lepsza taka „Strategia” niż żadna i ubolewają, że jej realizacja jest zagrożona.

Cieszę, że wczorajsi krytycy przyznają się do popełnienia błędu i przestrzegają mnie przed licznym niebezpieczeństwami, towarzyszącymi realizacji tego programu. Światli przedstawiciele opozycji wyrażają obawy, czy jest wola polityczna i instrumenty do jego wdrożenia.

Czy to są obawy bezzasadne?

Wróćę jeszcze do tamtej krytyki. „Strategia” nie jest z pewnością programem idealnym, ale jest dobra. Ja nie kwestionuję tych krytycznych uwag, ale mam podejrzenia, co do szczerości intencji krytykujących. Nie troska o jakość programu była powodem tamtej krytyki i nie obawa o jego powodzenie jest źródłem dzisiejszych trosk.

Trudności i zagrożenia dla „Strategii” są faktem i w coraz większym stopniu jestem ich świadom. Rozwiązujemy problemy, jakie niesie jej realizacja, jedne szybciej, inne wolniej, ale jest ona dziś bardziej zaawansowana, niż cztery miesiące temu.

Teraz powie pan o 7 projektach ustaw złożonych w Sejmie. Zostały one rzeczywiście szybko przygotowane. Krytycy tej koalicji mówią, że niezależnie od oceny „Strategii dla Polski”, polityka gospodarcza rządu idzie w inną stronę, niż ten program. Chodzi m.in. o waloryzację rent i emerytur...

Pytanie, jak w tak krótkim czasie oceniać realizację tego programu. Rok temu sformułowałem 44 tezy, a dokument o którym

dyskutujemy powstał 4 miesiące temu. Sam zaproponowałem w nim kryteria wykonawcze, z których wiele można rozpatrywać jedynie w rocznym okresie.

W gospodarce nie chodzi o ciągle majstrowanie przy ustawach, ale o efekty. Produkcja rośnie na niebywałą skalę. Od dawna nie było takiego wzrostu produkcji i wzrostu produktu narodowego. Produkcja wzrośnie w tym roku o 10 proc., PKB o 5. Jest zasadnicza poprawa bilansu handlowego i bilansu płatniczego. Mówię o tych wskaźnikach, bo one obrazują fakt, że „strategiczny” cel ciągnięcia wzrostu gospodarczego przez eksport już jest realizowany-

To nie jest wyłącznie skutek naszej polityki. Jesteśmy beneficjentami wielu wcześniej podjętych decyzji, ale także spadkobiercami niesłusznych decyzji poprzednich ekip.

Skoro mowa o projektach ustaw, to realizacja programu rządu nie może być mierzona tym, że w Sejmie jest 7 projektów czy też jeszcze 7 brakuje. „Strategia” jest realizowana, chociaż towarzyszą temu pewne trudności... (...)

Jaki jest podtekst sporu z prezesem NBP, a także ministrem pracy - polityczny czy ekonomiczny?

Mój punkt widzenia na te dyskusje, nie spory, jest taki, że osoba odpowiedzialna za stan finansów publicznych, ale także za rozwój gospodarki, chcąc nie chcąc, jest uwikłana w rozwiązywanie pewnych sprzeczności interesów ekonomicznych. Jest rzeczą naturalną, że minister pracy chce, żeby rosły wydatki i rozumiem go, a prezes banku powinien dbać o stabilizację pieniądza i ograniczanie inflacji. Inna sprawa - czy ich decyzje w rzeczywistości służą realizacji tych celów. Mam na ten temat cały czas wątpliwości. Chcę jednak wierzyć i wierzę, że za tym kryją się różnice koncepcji i próby stosowania innych instrumentów, a nie ma tu drugiego dna politycznego.

Jeśli nawet bank centralny przewiduje wyższą inflację niż rząd - 20, nie daj Boże 21 proc., to stopa kredytu refinansowego 33 proc. nie ma uzasadnienia.

To znaczy, że jest ona, według pana, o kilka punktów za wysoka w stosunku do planowanej inflacji.

Zasadniczy błąd metodologiczny, który nieja popełniam, polega na tym, że polityka stóp procentowych jako element mobilizowania oszczędności i ograniczania inflacji, jako podstawa podejmowania decyzji inwestycyjnych, powinna być zorientowana do przodu. Druga sprawa - na ile wizja przyszłej inflacji jest funkcją obecnej. (...)

Wyjaśniliśmy pana punkt widzenia na konflikt z bankiem centralnym. Pozostał nam spór z ministrem pracy i te 8-9 bln złotych, które trzeba dodatkowo wydać w przyszłym roku.

To, co proponuję, w rzeczywistości służy obronie interesów rencistów i emerytów, ale do opinii publicznej przedostało się przekonanie, że to budżet na nich chce oszczędzać, a inni ich bronią. Chcę przekonać kogo tylko można, że moja propozycja jest lepszym rozwiązaniem. Jeśli płace będą rosły w takim tempie, jak zakładamy, to renty i emerytury w tym roku wzrosną realnie o 7 proc, i o tyle samo w przyszłym. Taki wzrost można próbować uzasadnić społecznie, ale nie ekonomicznie. Relacja przeciętnej renty i emerytury do średniej płacy także rośnie. Chcemy zagwarantować, że one realnie nie spadną w przyszłości, co może zapewnić jedynie zmiana zasad waloryzacji z płacowej na cenową. (...)

Robię za wroga publicznego

*W rozmowie z Wandą Zagawą
i Jerzym Sieradzińskim
„Trybuna” z 1 października 1994 r.*

Z różnych stron słychać: „Strategia” w zagrożeniu. Program, o którym nawet prezydent Wałęsa wyrażał się z uznaniem. A co Pan - twórca „Strategii” uważa dziś za największe jej zagrożenie: wahliwość nastrojów społecznych, spory wewnątrz obozu koalicyjnego, niechęć do współdziałania ze strony opozycji?

Każdy z tych elementów warto rozpatrzeć oddzielnie. Generalnie uważam, że największym zagrożeniem realizacji „Strategii dla Pol-

ski" jest brak umiejętności, lub też motywacji do myślenia strategicznego w świecie polityki. Obyczajem naszych polityków jest dążenie do celów doraźnych. Tym celom podporządkowują swoje opinie i działania.

W swojej naiwności przedstawiając „Strategię” apelowałem, żeby pewne obszary wyłączyć z pola walki politycznej, która w gospodarkach przechodzących procesy transformacji toczy się zbyt ostro, nie zawsze fair. Nie chciano słuchać, nie tylko w opozycji - nad czym ubolewam - żeby wyłączyć ze sporów politycznych na przykład kwestię reformy zabezpieczeń społecznych.

Wychodzimy do związków zawodowych, do świata pracy z ofertą stworzenia partnerskiego systemu negocjacyjnego, który obniży społeczne koszty reform. I otrzymujemy odpowiedź od kierownictwa „Solidarności”, że to jest „strategia konfrontacji”. W kategoriach intelektualnych nie potrafię tego zrozumieć. Być może komuś chodzi o to, by właśnie była to okazja do konfrontacji. Jeśli tak, to jest to polityka z pogranicza obłąkania. (...)

Czy to politycy są winni, że nastroje społeczne są nie najlepsze? A może są jednak racjonalne podstawy do niezadowolenia dużych grup społecznych?

Niektórzy mówią, że jest gorzej, bo miało być znacznie lepiej niż jest. Powiem otwarcie: nie możemy stać się ofiarami wielu obietnic wyborczych, których nie da się zrealizować w krótkim czasie. I to jest dziś wielki polityczny problem lewicy. Nie wszyscy mają odwagę, żeby to głośno powiedzieć i urealnić programy, dostosować je do materialnych warunków naszej gospodarki i rozłożyć osiągnięcie deklarowanych celów na całą kadencję.

Jest też taki problem: ludzie zwykle porównują się do otoczenia. U nas szczególnie szybko rozwinęły się dwa skrajne bieguny: bogactwa i biedy. Tę biedę trzeba ograniczać, choć słyszałem i takie głosy, że może ona być siłą napędową zmian. Uważam, taki pogląd za nieodpowiedzialny i niebezpieczny. „Strategia dla Polski” służy temu, by coraz szersze kręgi społeczeństwa nie popadały w biedę. Nie chodzi jednak o to, by odbierać bogatym, a dawać biednym, lecz by na drodze rozwoju gospodarki unikać konfliktów społecznych i osiągać wyższy poziom życia. (...)

„Strategia dla Polski” ma nas więc natchnąć optymizmem i wiarą w przyszłość?

Uważam, że powinna, choć z całą pewnością nie jest to program populistyczny, nastawiony na podział. Gdyby tak było, wówczas cała dyskusja sprowadzałaby się wyłącznie do tego, jak mamy dzielić. Nie jest to również program liberalny. Uważam, że jest to program soc-liberalny, który w sferze ekonomicznej ma sporo elementów liberalnych, np. decentralizacja, swoboda kształtowania cen, popieranie przedsiębiorczości, równoprawne traktowanie sektorów; zaś w sferze społecznej cechują go silne elementy socjalne, chroniące najsłabszych. Chodzi o taką redystrybucję, by hamować rozrastanie się bieguna biedy.

Zasadnicza różnica między „Strategią dla Polski” a polityką poprzednich rządów jest właśnie taka, że my chcemy główne kwestie socjalne i problemy finansów publicznych rozwiązywać na ścieżce wzrostu gospodarczego. (...)

Chce Pan zmienić zasady indeksacji emerytur z płacowej na cenową i ludzie się tego boją...

Tu nie chodzi o żadne oszczędzanie na emerytach, lecz oszczędzanie emerytów. Czasami brakuje mi siły argumentów, by to uzasadnić, zresztą i tak nikt nie chce ich słuchać. Powtarzam: renty i emerytury realnie rosły w latach 1994—95 o 15 proc. To jest niebezpieczna polityka z punktu widzenia ekonomicznego. To lot ćmy do ognia. Jeśli nie zostanie przyhamowana, to za dwa lata budżet może stać się niewypłacalny wobec emerytów. Tak stoi sprawa. Obawiam się, że minister Miller żądając kontynuacji ścieżki płacowej nie wie do czego zmierza. (...)

(...) Płace będą rosły szybciej niż ceny a renty i emerytury - nie wolniej, niż te ceny. To prawda - będzie następowała wówczas zmiana relacji przeciętnej emerytury i renty do średniej płacy, na niekorzyść świadczeń, ale twierdzę, że nie ma w tym nic złego. Ta relacja uległa przecież ostatnio istotnej poprawie, gdyż w latach 1994-95 emerytury rosły szybciej niż płace. (...)

Emeryci i renciści zostali na mnie poszczuci. Robię za wroga publicznego nr 1, chociaż nim nie jestem. Wolę jednak mówić emerytom całą prawdę, niż karmić ich nierealnymi obietnicami (...)

Dać żyć

*W rozmowie z Konstantym Migdałem
i Danielem Szafrugą
„Gazeta Krakowska” z 28 października 1994 r.*

(...) Co innego mówią wskaźniki ekonomiczne, co innego portfele.

Ze względu na to, iż konieczne jest szybsze zwiększanie nakładów inwestycyjnych, to konsumpcja i dochody realne rosną nieco wolniej niż dochód narodowy. Płace realne wzrosną w tym roku o 3-4 procent, w większym stopniu w sferze produkcji materialnej, niż w sferze budżetowej. Pracujemy nad rozwiązaniami, które umożliwią jednak nadrobienie z nawiązką w roku 1995 tegorocznych zaległości. Jeśli chodzi o inne priorytety założone w programie „Strategia dla Polski” - stabilizację makroekonomiczną i zmniejszanie społecznych kosztów reform - też obserwujemy pozytywne efekty. (...)

Czy jest Pan zwolennikiem prywatyzacji czy komercjalizacji.

Jestem zwolennikiem zdrowego rozsądku i dlatego nie dam się wpuścić w maliny demagogicznej dyskusji, którą prowadzi opozycja. Komercjalizacja nie jest i nigdy nie miała być zamiast prywatyzacji. Komercjalizacja jest zamiast obłąkańczej koncepcji tzw. twórczej destrukcji. Jest alternatywą dla formuły przedsiębiorstwa państwowego, metodą na równoprawne traktowanie sektorów, jednak nie zamiast prywatyzacji - lecz obok niej. Komercjalizacja jest kontrofertą dla nierobienia niczego z przedsiębiorstwami państwowymi poza głoszeniem, iż są one skazane na prywatyzację lub bankructwo. One będą sprywatyzowane we właściwym czasie i we właściwy sposób. Natomiast dopóki nie są sprywatyzowane, mają działać według formuły spółki skarbu państwa zgodnie z kodeksem handlowym. (...)

Dlaczego nie podejmuje się reform w sferze budżetowej?

Rzeczywiście, reformy w sferze budżetowej są opóźnione. Nie jest zreformowana służba zdrowia, niedostatecznie są zaawansowane reformy w oświacie, niewiele zrobiono w reformowaniu systemu ubezpieczeń. To bardzo trudne problemy i nasi poprzednicy niewiele w tym względzie zrobili. Obecny rząd, choć nie wyszedł poza przygotowania, to jednak dotarł już dalej. Sejm przyjął przecież przed kilkoma dniami projekty pakietu ustaw z kręgu „Strategii dla Polski”, które dotyczą sfery budżetowej, ubezpieczeń społecznych i wcale nie są łatwe do społecznego zaakceptowania. To obrazuje skalę trudności. (...)

Powiedział Pan, iż projekt budżetu na rok przyszły jest dobry. To taki urzędowy optymizm?

Powiedziałem tylko, iż projekt budżetu jest najlepszy, jaki potrafiliśmy przygotować. Można by chyba s trawestować powiedzenie Churchilla o demokracji: może ten budżet nie jest dobry, ale nic lepszego nie można było obecnie zrobić. Ten budżet musi połączyć funkcje socjalne z wątkiem prorozwojowym i nam się to udało w jakiś sposób osiągnąć. Inna sprawa, czy zrobiliśmy to dobrze. Zdaję sobie sprawę, iż budżet będzie krytykowany z różnych punktów widzenia. Krytyka wyjdzie zarówno ze strony koalicji jak i opozycji. Jedni będą twierdzili, że jego orientacja prospołeczna, prosocjalna jest niewystarczająca. Inni z kolei będą mówili, że absolutnie niedostateczny jest jego wątek prorozwojowy, a więc pomoc dla eksportu, produkcji, nakłady inwestycyjne, wspieranie inwestycji infrastrukturalnych, dokapitalizowanie banków. Będzie to kakofonia krytyki, żądań, które się nawzajem wykluczają. To będzie polityka, a polityka nie jest logiczna. Kieruje się swoją własną logiką, w której dwa razy dwa rzadko jest cztery. Tymczasem ten budżet daje realne zwiększenie dochodów, po uwzględnieniu skutków inflacji, o 5,8 proc, a wydatków o 5,9 proc. Takiego budżetu w ciągu ostatnich paru lat nie przedstawił nikt.

Na ile więc jest on realny?

Mogliśmy przedstawić taki właśnie projekt budżetu dzięki zanotowanym w ostatnim roku silnym tendencjom wzrostowym. „Strategia dla Polski” podtrzymuje je. Poprawia się efektywność, rośnie produkcja bez zwiększenia obciążeń podatkowych, rosną wpływy

do budżetu. Nawet zmniejszamy, co podkreślam, obciążenia podatkowe. Ubolewam nad tym, że w roku 1995 nie udało się obniżyć podatków od dochodów osobistych do 20, 30 i 40 procent, jak to wcześniej zamierzałem. Ale zapadły decyzje o większych wydatkach. Chciałbym kształtować świadomość podatników, dlatego powtarzam bez przerwy - to są wasze pieniądze! Kowalskich, Malinowskich, Krakowskich i Warszawskich. Pieniądze podatników. I podatnicy zdecydowali: chcemy pomóc tej grupie, która się już napracowała. Chcemy, by w większym stopniu wzrosły renty i emerytury, nawet w większym niż płace tych, którzy jeszcze pracują. Dobrze. Ja tę decyzję szanuję. Jestem za nią całym sercem. Ale te pieniądze muszą się skądś wziąć. Jako minister finansów - muszę o tym pamiętać.

Skąd wziąć ... to zarówno dylemat Pana jako ministra finansów i ministrów jako szefów resortów.

System świadczeń jest niewydolny i musi być dofinansowany z budżetu, a więc muszą być te wpływy do budżetu państwa. Nie można widzieć tylko jednej strony zagadnienia, choć jest to bardzo wygodne. Niektórzy uprawiając demagogię polityczną tylko na tym się koncentrują, twierdząc, iż podatki są za wysokie. Podatki są wysokie dlatego, że wydatki są wysokie. Jeśli chce się zmniejszyć podatki, trzeba zacząć od zmniejszenia wydatków.

Ale wydatków nie wolno zmniejszyć, bo one na wszystko, podobno, są za małe.

Niestety, na tym polega konstruowanie polityki budżetowej, że między nieustannie zgłaszanymi sprzecznymi postulatami trzeba znaleźć złoty środek. Myśmy takie rozwiązanie znaleźli - rosną dochody o prawie 6 procent, rosną wydatki o prawie 6 procent, i prawie żadna część sfery budżetowej nie będzie miała w roku przyszłym gorszej sytuacji. (...).

Kto jest pana prawdziwym sojusznikiem?

Wszyscy mądrzy, rozsądnie myślący ludzie.

Z czym ma Pan większe problemy - z transformacją gospodarki z centralnie sterowanej na rynkową, czy może ze zmianą własnej osobowości socjalisty na ekonomistę optującego za twardymi regułami rynku?

Ja nie mam problemów ze zmianą siebie, dlatego że moje poglądy też dojrzywały. Powiedziałbym, iż jestem socjalliberałem. Jeśli chodzi o funkcjonowanie gospodarki - to jestem zdecydowanie liberalny. Za dużo tego państwa, za dużo interwencji, za dużo tego centralnego zarządzania. Tak jak powiedziałem na ostatnim spotkaniu z „Solidarnością” i pracodawcami: potrzebna jest deregulacja, decentralizacja, deetatyzacja i denacjonalizacja. Trzeba to jednak robić z głową, by nie zapomnieć o drugim elemencie, o aspekcie socjalnym. Nie można ludzi doprowadzać do desperacji, nie należy ich wpędzać w nędzę. Trzeba pozwolić im żyć. Taką ofertę daje „Strategia dla Polski”. Rynek wszystkiego nie rozwiąże, albo inaczej - rozwiąże, jeśli będzie pełno krwista gospodarka wolnorynkowa, po 100 latach funkcjonowania. Uważam, że gospodarkę wolnorynkową, można połączyć z wrażliwością społeczną.

Za gospodarkę odpowiadam ja!

*W rozmowie z Krystyną Milewską
„Prawo i Życie” nr 45 z 5 listopada 1994 r.*

Kto dzisiaj w Polsce decyduje o polityce gospodarczej państwa? Odpowiadając na tak postawione pytanie w telewizyjnych „100 pytaniach”, odpowiedział pan „ja”. Czy rzeczywiście? Przegrał pan przecież bitwę o obniżkę stóp procentowych z panią prezes NBP, że wymienię pierwszy z brzegu przykład porażki.

O polityce gospodarczej w demokratycznym kraju decyduje w ostateczności parlament. Personalnie natomiast decyduje - a przede wszystkim odpowiada za gospodarkę - wicepremier do spraw gospodarczych. Nie znaczy to, że inne osobistości życia gospodarczego nie mają na tę politykę wpływu. Proszę mi wierzyć - nie toczyłem z nikim bitew o stopy procentowe. Stopy procentowe w Polsce i tak muszą spaść, jako prosty rezultat obecnej sytuacji gospodarczej. Mogę tylko ubolewać, że osoby odpowiedzialne za politykę monetarną nie chciały uznać tej tendencji. (...)

Panie Premierze, najmocniej trzyma się biurokracja. Za czasów poprzedniego rządu płace urzędników państwowych wzrosły 0 sto procent, zatrudnienie o 10 proc. Zamiast reformy w ubezpieczeniach zdrowotnych mamy walkę o ulgi podatkowe na leczenie. Jak pan w tej sytuacji wyobraża sobie reformę sfery budżetowej, o której tak często pan mówi?

Nie mam wprawdzie, jak mój poprzednik, wiceministra do spraw reformy sfery budżetowej, natomiast sędzę, że mam koncepcję tej reformy. Natomiast jeśli chodzi o ulgi podatkowe na ochronę zdrowia, to zostały one zaproponowane przez posłów Unii Wolności, którzy przecież przy każdej okazji głosili potrzebę reformowania sfery budżetowej. Dziś natomiast, wszelkie próby zmian w tym kierunku starają się zablokować. Widać to szczególnie wyraźnie w głosowaniach sejmowych. Ale tak już jest, że pod pojęciem reform różni politycy rozumieją różne treści. Dla mnie reformowanie oznacza przede wszystkim dążenie, aby z tych środków, jakie się wydaje na sferę budżetową, osiągnąć więcej, a tym samym i większą satysfakcję społeczną. Niemniej chcę podkreślić, że skutki niektórych, z pewnością niemiłych decyzji podatkowych, jakie podjął Sejm, np. utrzymanie stawek podatkowych 21, 33 i 45 proc. a także ograniczenie niektórych ulg - rząd postanowił wykorzystać dla podniesienia wynagrodzeń w sferze budżetowej. I to dość znacznie, bo realnie o 5,6 proc. Niestety, wyższy wzrost wynagrodzeń bez ograniczeń zatrudnienia w tej sferze jest już niemożliwy.

Przygotowany przez Pana projekt budżetu zakłada podwyżki cen energii elektrycznej i ciepłej w szybszym tempie niż inflacja. Pan uzasadnia to „dotowaniem” energetyki (...)

Uzasadnienie jest następujące. Polski sektor energetyczny wymaga ogromnych nakładów na inwestycje. Wymaga również dopływu kapitału zagranicznego. Żeby sprostać tym potrzebom, musimy stopniowo liberalizować ceny. Ceny energii jeszcze przez jakiś czas muszą rosnać szybciej, niż ogólny poziom inflacji. Natomiast skala wzrostu tych cen jest coraz niższa. Nie ma natomiast żadnego uzasadnienia, aby ceny energii rosły poniżej tempa inflacji. Otwarte jest pytanie co do różnicy między wzrostem cen energii a inflacją. I tu istotnie są różnice między poglądami jakie reprezentuje lobby energetyczne, a także niektóre międzynarodowe organizacje finan-

sowę, a moimi poglądami. Zapewniam panią, że nie ulegam tym naciskom, ale uważam, że kilkupunktowa różnica wzrostu cen energii i inflacji jest uzasadniona. W tym roku są to 4 punkty, w przyszłym powinno być mniej. (...)

Często mówi pan o potrzebie woli politycznej do realizacji programu „Strategia dla Polski”? Czy ta wola w ogóle jest?

Z mojej strony z pewnością tak.

Pytani o to dlatego, że odnoszę wrażenie, jakby każdy z koalicjantów naciągał krótką koldrę w swoją stronę. PSL dba o przesunięcie środków dla rolników. Przykładem są choćby dotacje do rent i emerytur, propozycje zmian w przyznawaniu zasiłków rodzinnych, dofinansowanie BGŻ.

A to ci dopiero niespodzianka. Nie wiem, czy pani słyszała, jak jestem oskarżany przez niektórych polityków PSL o to, że prowadzę antychlopską politykę i żałuję wsparcia finansowego dla rolnictwa! Rozumiem, że pani pytanie dotyczy kierunków redystrybucji dochodów budżetu. Nie ma w tej chwili żadnych dowodów na to, że oto nagle teraz nasilił się transfer dochodów z miasta do wsi. Dokapitalizowanie objęło nie tylko BGŻ, ale i wiele innych banków. Nawiasem mówiąc, BGŻ obsługuje głównie przemysł przetwórczy. Pragnę podkreślić jeszcze jedną rzecz. Dokapitalizowanie banków służy przede wszystkim ochronie jego depozytariuszy. Jeśli dziś pieniędzmi podatników ratujemy banki, to również dlatego, że w ubiegłych latach zmarnotrawiono wiele środków, wydając je lekką ręką na nietrafione kredyty. (...).

Jakie wydatki na armię?

*W rozmowie z pplk Zdzisławem Lasotą
„Polska Zbrojna” z 25-27 listopada 1994 r.*

Sejmowa podkomisja zapowiedziała zwrócenie się Sejmu do rządu o określenie wydatków na obronność państwa w perspe-

ktywie co najmniej pięciu lat oraz zwiększenie nakładów do 3 procent PKB. Czy podziela pan potrzebę takich rozwiązań?

Z pewnością podzielałam potrzebę szukania dobrych rozwiązań w dłuższej perspektywie czasowej. Taki wysiłek został podjęty w naszym programie gospodarczym „Strategia dla Polski”, który jest także poważną ofertą z punktu widzenia wzmocnienia naszej obronności i restrukturyzacji przemysłu zbrojeniowego pod kątem doskonalenia technicznego wyposażenia polskiej armii, gdyż dostrzegam pewne związki pomiędzy kondycją polskiego przemysłu zbrojeniowego, a stanem technicznego wyposażenia naszej armii. (...)

(...) Przed nami stoi więc pytanie, na jaki poziom wydatków może liczyć armia czy sektor obrony narodowej w perspektywie kilku najbliższych lat. Zdecydowanie niewłaściwą drogą jest próba wywierania nacisku i zakładania z góry, jaki to udział bądź w budżecie państwa, bądź w produkcie krajowym brutto mają mieć wydatki na obronę narodową.

Zgłoszony postulat, że ma to wynieść określony procent, oczywiście zawsze większy niż jest, niejednokrotnie dużo większy niż jest, do niczego dobrego nie prowadzi. Zgłaszają bowiem takie postulaty wszystkie inne środowiska, a żadne z nich nie ma odwagi cywilnej - tym bardziej tę odwagę cywilną powinni mieć żołnierze i oficerowie - aby powiedzieć, komu ten udział ma się obniżyć. Jeżeli armia domaga się wzrostu udziału nakładów do 3 procent PKB, to trzeba umieć wskazać, czym kosztem. (...)

Pragniemy członkostwa w NATO. Udział w „Partnerstwie dla pokoju” kosztuje rocznie około 1 bln. zł. Tymczasem rząd wyasygnował jedną dziesiątą tej kwoty. Nie obawia się pan premier zarzutu o hamowaniu integracji z zachodnimi strukturami bezpieczeństwa?

Obawiam się dlatego, że spotykam się z bardzo wieloma demagogicznymi zarzutami. Te zarzuty są niebezpieczne właśnie dlatego, że są demagogiczne, nieprawdziwe, a mogą robić wrażenie wśród czytelników, słuchaczy, widzów, a także w samej armii, że są prawdziwe.

My nie hamujemy, lecz wspieramy w rządzie działania, o które tu pytacie. Chociaż dla mnie, jako dla ekonomisty, większą wagę

ma proces integracji z Unią Europejską. Zdaję sobie sprawę także z implikacji politycznych i z uwarunkowań ekonomicznych przystępowania Polski do Paktu Północnoatlantyckiego, ale jeżeli mówimy nie o polityce tylko o pieniądzach, to wymieniona w pytaniu kwota biliona złotych jest dla mnie pewnym zaskoczeniem dlatego, że najczęściej słyszałem 0,5 bln złotych. Czy to nie jest czasem taka metoda, czy forma nacisku, że im się większą kwotę wymieni, tym więcej się dostanie?

My w finansach planujemy realistycznie i z tego też punktu widzenia chcielibyśmy umożliwić sfinansowanie wydatków związanych z „Partnerstwem dla pokoju”, które jest krokiem na naszej ścieżce do NATO. A więc jeżeli jest potrzebne w rzeczywistości 0,5 bln złotych na sfinansowanie naszego udziału w tym programie, to odpowiadam; tak, jest to pół biliona złotych. Ono znajduje się w kwocie 51 bln 317 mld złotych, przeznaczonych w przyszłym roku na obronę.

I zmartwieniem - mówię to z całą szczerością, które może zabrzmieć brutalnie dla resortu obrony narodowej - jest rozłożenie tych pieniędzy na waszym stole i zobaczenie, czy znalezienie, gdzie jest ten jeden procent przyszłorocznych wydatków resortu obrony narodowej, który ma pójść na sfinansowanie naszego udziału w „Partnerstwie dla pokoju”. Takie właśnie działanie mam na myśli mówiąc, że programy trzeba dostosować do środków. Natomiast gdyby miało okazać się, że absolutnie tych pieniędzy tam nie ma, to z tego faktu trzeba wyciągnąć wnioski dalej idące. (...)

Nie zmienił się mój charakter

*w rozmowie z Ewą Boniecką
„Sukces” nr 12, grudzień 1994 r.*

(...) Ukończył Pan studia na SGPiS w 1972 roku. W tamtych latach nie wykładano zasad gospodarki rynkowej ... A jednak wyszło z tej uczelni grono wybitnych ekonomistów różniąc-

cych się w wielu kwestiach, zdolnych wszakże do wdrażania u nas kapitalizmu.

To nie była siermiężna uczelnia w Nowosybirsku, tylko Szkoła Główna Planowania i Statystyki w Warszawie, gdzie był dostęp do światowej literatury ekonomicznej, gdzie przyjeżdżali profesorowie z zagranicy. Gdzie stwarzano także nam możliwości wyjazdów naukowych. SGPiS była w ciągu dwudziestu kilku lat najlepszą polską uczelnią ekonomiczną i miała słuszenie opinię elitarną. Tam przychodziła ponadprzeciętnie zdolna młodzież. Tam było i nadal jest wielu znakomitych profesorów, którzy potrafili czegoś nauczyć. Ja np. najwięcej zawdzięczam profesorowi Maksymilianowi Pohorillemu, który miał wykłady z ekonomii politycznej kapitalizmu. Czyli z zakresu gospodarki rynkowej. U niego pisałem pracę magisterską na temat równowagi rynkowej w Polsce w latach 1960-70, a de facto jej braku. Zaczęło mnie już wówczas nurtować, jak się ma teoria o dobrym funkcjonowaniu gospodarki socjalistycznej do praktyki, gdy widać gołym okiem, że tak nie jest (...)

Obecnie nie należy pan do żadnej partii. Ale to chyba nie oznacza, że nie ma pan poglądów politycznych? Jak by je Pan określił?

Sę w tym, że mam coraz większe problemy ze swoimi poglądami politycznymi, bo przychodzi czas, gdy zaczyna się wątpić w różne dogmaty (...) Moje poglądy określiłbym chyba jako lewicowe, choć nie wiem czy dziś jest to rodzaj poglądów, którymi można coś w gospodarce wyjaśnić. Staram się być przede wszystkim pragmatykiem. Wyznam wszakże pewien system wartości, które można określić jako socliberalne. Jestem zdecydowanie liberalny jeżeli chodzi o takie kategorie jak wolność, swoboda, przedsiębiorczość, inicjatywa. Jestem wszakże zdecydowanie uwrażliwiony społecznie, wyczulony na sprawiedliwość społeczną, zapobieganie nędzy. Uważam, że jest u nas tak wiele problemów do rozwiązania, iż jest rzeczą wtórną w jakiej konfiguracji politycznej się działa. Oczywiście, jeśli będą w Polsce rządzić partie, których programów nie akceptuję, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Jeżeli jestem „fachowcem do wynajęcia”, mogę być wynajęty przez taki układ, którego główną linię polityczną mógłbym zaakceptować, a więc np. taki jak jest obecnie. A w ogóle liczyłem po ostatnich wyborach, że

możliwe będzie stworzenie w kraju koalicji szerokiego kompromisu, gwarantującej wszechstronne poparcie dla realizacji reform. Byłem naiwny. Zresztą ciągle takim pozostaję w jakimś stopniu. Zawsze uważałem, że świat należy zmieniać i nadal w tym romantyzmie tkwię. Wierzę, że w Polsce nadejdą warunki dla współdziałania obecnej koalicji z obydwoma uniami - Unią Wolności i Unią Pracy dla dobra naszej gospodarki i społeczeństwa.

Dlaczego na biurku w pana gabinecie nie ma żadnych papierów i wygląda ono na całkowicie wyczyszczone?

Z dwóch powodów. W moim domu rodzinnym było zawsze wszystko uporządkowane i jestem po matce pedantem. Nigdy niczego nie szukam, wiem gdzie jest każda kartka. Mnie nigdy niczego nie brakuje, łącznie z budżetem państwa. Wiem dobrze, co i gdzie jest zaksięgowane. Biurko jest jednak puste także dlatego, że jak stąd wychodzę, nie zostawiam tu nic swojego. Niech pani zobaczy, że również wszystkie półki na książki są puste. Jestem gotowy opuścić to biuro w każdej sekundzie. Czuję się jak saper, nie chcę, żeby trzeba było po mnie sprzątać. (...)

Czego Pana nauczyło sprawowanie obecnych funkcji? Czy Pan się zmienił?

Mam nadzieję, że nie zmienił się mój charakter, natomiast zmieniły się moje wyobrażenia o pewnych sprawach. Myślałem, że problemy gospodarcze będą zajmowały 80-90 procent mojego czasu. Że jestem zaangażowany dlatego, że mam pewne poglądy ekonomiczne i znam się na gospodarce. Sądziłem, że inne czynności pochłaniać będą pozostałe 10 czy 20 procent mojego czasu. Natomiast owe proporcje okazały się odwrotne. Niezwykle wiele czasu zajmują mi sprawy koordynowania, uzgadniania, przekonywania najbliższego otoczenia, a także parlamentarzystów, że musimy koncentrować się na rozwiązywaniu spraw ważnych i strategicznych dla rozwoju gospodarki. Prezentując „Strategię dla Polski” myślałem, że za kilka miesięcy znajdziemy się dalej niż jesteśmy obecnie (...)

Przejsć restrukturyzacyjny czyściec

*W rozmowie z Ryszardem Fedorowskim
„Trybuna Śląska” z 1 grudnia 1994 r.*

W wolnorynkowej gospodarce nie ma, jak wiadomo, sentymentów. Tymczasem górnictwo - nie z własnej wyłącznie winy, bo po części za sprawą rządu, który nie wyasygnował na czas określonych środków, znalazło się w trudnej sytuacji. Wiadomo, że nadal pozostawione samo sobie, bez wsparcia rządu nie będzie miało szans na przejście przez restrukturyzacyjny czyściec. Na jaką pomoc może w obecnej sytuacji liczyć?

Wie pan, za co atakuje mnie ostatnio opozycja? Za to właśnie, że prezentowałem i prezentuję nadal podobny do pańskiego, a więc jak się domyślam, także i sporej części braci górniczej pogląd, że państwo nie może pozbyć się obowiązku zarządzania majątkiem, którego jest właścicielem. To jeden z podstawowych błędów popełnionych przez rządy początku lat dziewięćdziesiątych. Nie bardzo wiedząc, co robić z otrzymanym w zarząd państwowym majątkiem produkcyjnym, uznano wówczas, że nie będzie się robić nic. Ta swoista bezradność podniesiona została nawet w pewnym momencie do rangi pseudodoktryny głoszącej, że najlepszą polityką gospodarczą państwa jest ... brak takiej polityki. Byłem i jestem takiemu stanowisku przeciwny, czemu dałem m.in. wyraz w opublikowanej książce pt. „Kwadratura pięciokąta”. Stoję na stanowisku, że sam rynek - a tym bardziej rynek tak słabo ukształtowany, jak nasz - nie zastąpi państwa w sterowaniu procesami restrukturyzacyjnymi. Przecież nawet przebudowa gospodarki byłej NRD, odbywająca się w ramach państwa o ukształtowanym rynku - toczy się przy wydatnym udziale państwa. (...)

W „Strategii dla Polski” przyszły kształt sektora paliwowo-energetycznego, w tym przede wszystkim górnictwa nie został jednak w jednoznaczny sposób określony. Taka przynajmniej panuje opinia w środowisku górniczym.

Owszem. Tak samo nie określono tam szczegółów dotyczących jakiegokolwiek innej konkretnej branży. „Strategia dla Polski” w sposób świadomy i celowy została skonstruowana jako program w poprzek resortowy, skupiając się na rozwiązaniach systemowych dających podstawy normalnego, opartego na rachunku ekonomicznym, funkcjonowania wszystkich podmiotów gospodarczych. Dopiero na podstawie takich rozwiązań systemowych będzie można formułować konkretne propozycje dotyczące poszczególnych rodzajów przemysłu, będące wynikiem przyjętej polityki gospodarczej. Poza tym, nie wydaje mi się celowe, aby te wszystkie specyficzne rozwiązania należało wymyślać w Warszawie. Centrum gospodarcze ma tworzyć warunki dla sprawnego funkcjonowania, a rozwiązania specyficzne powinni tworzyć eksperci w danych dziedzinach. (...)

Czy polski węgiel zostanie sprywatyzowany?

W dosłownym znaczeniu z pewnością nie, bo przecież nie prywatyzuje się zasobów narodowych. Domyślam się, że chodzi raczej o przemysł wydobywczy. Z pewnością górnictwo nie będzie prywatyzowane w pierwszej kolejności. Poza tym wiele jest kopalń deficytowych, których z pewnością nikt nie zechciałby kupić, a nierozsądna byłaby przecież wyprzedaż tylko przedsiębiorstw dochodowych i powiększanie w ten sposób państwowej sfery przynoszącej deficyt. Nie ma tutaj uniwersalnej recepty. Zapewne prędzej na ścieżkę prywatyzacyjną trafią przedsiębiorstwa pracujące na rzecz lub w bezpośrednim otoczeniu górnictwa. Wiem, że pewne inicjatywy oddolne w tym zakresie są podejmowane. I to jest najlepsze wyjście. Czyli znów wracam do tego samego: propozycje najlepszych rozwiązań muszą powstawać tylko na Śląsku. (...)

Szyf miał gorzej

*W rozmowie z Grzegorzem Wójcikowskim
„Kurier Lubelski” z 20-22 stycznia 1995 r.*

Na ile walka o utrzymanie stabilności finansowej państwa może być pretekstem do łamania bądź nadmiernego interpretowania prawa?

Uważam, że nie powinna być i ja się takimi metodami nie posługuję. Niestety, walka polityczna, która w Polsce się toczy, posługuje się finansami publicznymi i naciąga prawo, żeby zdestabilizować te finanse. Staram się temu przeciwstawiać. Natomiast drugi ważny aspekt problemu, którego pan dotknął, polega na tym, że mogą zaistnieć takie fakty prawne, które nie znajdują prostego rozwiązania na gruncie finansów. Przykładem jest tu ubiegłotygodniowy werdykt Trybunału Konstytucyjnego, wytykający ominięcie prawa przez Hannę Suchocką i Jerzego Osiatyńskiego. Zamrażając emerytury popełnili oni błąd mogący dziś nałożyć na finanse publiczne konieczność nieprzewidzianego wydatkowania ok. 3 miliardów złotych. Tych pieniędzy nie ma i nie będzie. Stoi teraz przede mną pytanie, co zrobić. Szukamy właśnie rozwiązania. (...)

Co jest dziś groźniejsze dla „Strategii dla Polski” - nie zrealizowanie któregoś z podstawowych założeń gospodarczych czy głęboki kryzys polityczny w kraju?

Zacznijmy od tego, że nie zgadzam się z pańską tezą o głębokim kizysie politycznym w naszym kraju. Byłem ostatnio w USA, gdzie w Korporacji Prywatnych Inwestycji Zagranicznych, która zajmuje się ocenianiem 140 krajów usłyszałem, że jesteśmy dla nich jednym z najbardziej stabilnych państw. Czy więc my przypadkiem w Polsce nie przesadzamy? W ubiegłym roku produkcja przemysłowa wzrosła przecież aż o 13,2 proc, eksport o ponad 20 proc, dochód o 5,5 proc. Odnotowaliśmy ogromny wzrost produkcji, po raz pierwszy spadło bezrobocie, a inflacja zmniejszyła się o 8 punktów. To jest dla nas wielka szansa. Kryzys uniemożliwiłby

zapewne dalszą realizację Strategii dla Polski, ale na szczęście tak jeszcze nie jest.

Oczywiście, że najbardziej wymarzoną sytuacją byłoby - według mnie - zaprzestanie w kraju walk politycznych i zastąpienie ich porozumieniem i negocjacjami. Marzy mi się stworzenie koalicji szerokiego porozumienia. Blokowanie takiego porozumienia występuje w polityce pozaekonomicznej. Dlatego chcę wyłączyć gospodarkę z wojny na górze.

O ile dni współpracy i spokoju chciałby pan poprosić i jakie najważniejsze cele chciałby pan zrealizować w tym roku?

Celem wyjściowym jest utrzymanie inflacji na zakładanym poziomie. Od tego zależy niemal wszystko pozostałe. Z reform za najważniejsze uważam wprowadzenie nowego systemu ubezpieczeń społecznych, reformę służby zdrowia oraz reformę centrum gospodarczego. O spokój nie będę już prosił. Myślę, że do wyborów prezydenckich nie będzie go na tyle dużo, ile bym sobie i wszystkim podatnikom życzył. Ale my będziemy mimo to dalej robić swoje.

Czyli jest Pan trochę jak Syzyf, który pcha kamień do góry i nie może się cofnąć?

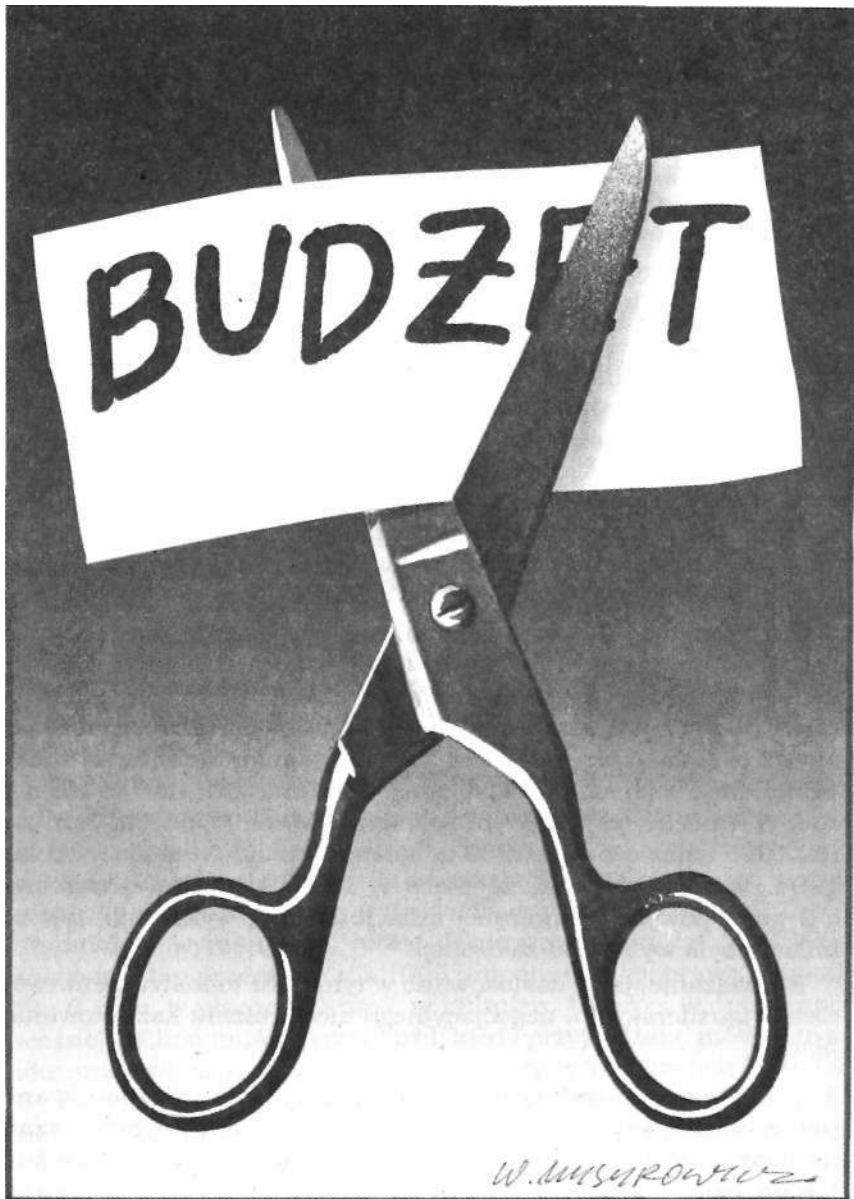
Chyba jestem w lepszej sytuacji, bo ja się mogę nie tyle cofnąć, co wycofać. Zaznaczam jednak, że nie mam najmniejszego zamiaru tak postąpić. (...)

Zanim będzie za późno

*W rozmowie z Haliną Maleszewską
„Przegląd Tygodniowy” nr 3 z 27 stycznia 1995 r.*

Nie udało się panu „zbić” inflacji do 23 proc, co zapisano w zeszłorocznej ustawie budżetowej. „Rzeczpospolita” już w pierwszych dniach nowego roku doniosła: „Inflacja wyższa, niż planowano - sięgnęła 29,7 proc...”

Gdyby to był inny rząd, tytuł w „Rzeczpospolitej” brzmiałby: „Inflacja o 8 proc. niższa od ubiegłorocznej”. To istotny spadek, na co



BUDGET

W. WISNIEWSKI

nie zwraca się uwagi. Nikt nie pyta, dlaczego nie zrealizowano prognozy, która była słuszna. Tymczasem ta „ponadplanowa” inflacja to koszt sukcesu wielu innych procesów. Wzrost gospodarczy wyższy, a deficyt budżetowy niższy, niż miał być; rachunek obrotów bieżących jest lepszy, niż przewidywano, a bezrobocie zmalało.

Dla tych, którzy nas krytykują, to wszystko nie ma znaczenia. Gospodarka stała się przedmiotem walki politycznej i to jest najgorsze. (...)

Czy nie uznaje pan - jako profesor, a nie minister finansów - moralnego prawa pracowników sfery budżetowej do strajku? Przecież nigdy dotąd nie dotrzymano ustaleń ustawy budżetowej w kwestii wynagrodzeń „budżetówki”. Ich płace w stosunku do sfery produkcji miały rosnać, a z roku na rok - malały.

Takiego zapisu w ustawie budżetowej nie było. I być nie mogło. To tak, jakby zapisać, że dwa razy dwa równa się pięć. Jest natomiast ustawa z roku 1989 o 106 proc. wynagrodzeń dla sfery budżetowej. To koncepcja polityczna rządu Rakowskiego. Być może temu, kto ją pisał, jej realizacja wydawała się możliwa. Wszakże, w praktyce, byłaby możliwa tylko pod jednym warunkiem: następuje radykalne, niewyobrażalne cięcie zatrudnienia rządu 30 proc. i zaoszczędzone w ten sposób środki przeznacza się na wzrost płac. Ale to dopiero byłoby niemoralne. Tamtą ustawę należało zmienić. Żaden Sejm - i żaden rząd - na to się nie zdobył. Obecny też nie. W projekcie ustaw okołobudżetowych na rok 1995 ustawę z roku 1989 uchylono. To samo zrobiono w roku 1994. Wtedy był zapis, że płace w sferze budżetowej wzrosną o 2 proc. powyżej planowanej inflacji. Ustawę wykonano, tyle że inflacja była wyższa od założonej.

Rozwiązanie, jakie zastosowano w tym roku to instrument tworzenia partnerskiego, negocjacyjnego mechanizmu kształtowania płac.

A nowe zasady waloryzacji rent i emerytur, proponowane przez pana, przyjęte już przez Sejm i przesunięte przez rząd na następny rok? Przecież nie ulga wątpliwości, że nie można ich określić mianem „partnerskich” i „negocjacyjnych”, że są to zmiany na niekorzyść emerytów. Nie wprowadził ich nawet

Balcerowicz, mimo iż - jak wyznał ostatnio w jednym z wywiadów - klimat na przełomie lat 89/90 był taki, że „sprawę tę można było, być może, załatwić”...

Nie tylko „można” było, ale bezwzględnie należało. Narażono społeczeństwo na olbrzymie koszty, czasem zupełnie niepotrzebne. Nastąpił spadek płac realnych o 30 proc, dochodu narodowego - o 20 proc, załamanie produkcji. Natomiast nie poniesiono kosztów, które należało ponieść, żeby dzisiaj nie było tak skomplikowanych problemów. Jestem coraz bardziej zbulwersowany tym, jak wiele tchórzostwa cywilnego wykazano w tamtym okresie, w nieporównywalnie przecież lepszych warunkach politycznych. (...)

Jeżeli nie nastąpi zmiana zasad indeksacji - z wersji współzależności od płac na współzależność od wzrostu cen - renty i emerytury spadną. Trudność polega na tym, że niektórzy nie potrafią tego zrozumieć, bo jest *to* zagadnienie na pograniczu prostoty i takiego skomplikowania, że przypomina kwadraturę koła. Inni będą wykorzystywać problemy emerytów z całą perfidią polityczną. (...)

Tego typu zagrania polityczne trafiają wszakże na podatny grunt, bo - w opinii społeczeństwa - jest nadal źle i wcale nie zanoszi się na to, by miało być lepiej.

Chciałbym pani powiedzieć krótko, jak ja widzę problem oceny odbioru rzeczywistości. Po pierwsze - są zasoby i strumienie. Otóż ludziom spadły dochody - o 20, 30 proc. Zdekaptalizowały się zakłady. Zużyło się wszystko w szkołach, szpitalach, na uczelniach, w teatrach... Ale to jest „syndrom rozlanego mleka”. Zasoób stopniał, w wyniku tego, co się działo przez kilka lat. Rok 1994 zatrzymał ten proces. Na rok 1995 proponujemy poprawę radykalną: 6 proc. w płacach, 9 proc w kulturze, 13 proc. w opiece społecznej... Ekonomiści zagraniczni, kiedy przyjeżdżają, mówią: to są skrajnie optymistyczne założenia. Czy ty je zrealizujesz? Chciałbym! Te kilka procent wzrostu to strasznie dużo, ale i strasznie mało, kiedy porównać z wcześniejszym, kilkudziesięcioprocentowym spadkiem. Dlatego, jeżeli przymierzać rok 1994 do 1989 - jest gorzej. Ale jeżeli porównywać z rokiem 93 - jest lepiej. Jeżeli założymy, że będzie tak, jak zapisano w ustawie budżetowej na

1995 - w porównaniu z latami poprzednimi będzie jeszcze lepiej. Strumień realnie rośnie. Ale zasób cały czas jest skromny.

W tym momencie oczywiście rozgrywki polityczne, elementy wartościowania przesuwają się na ocenę zasobów, a nie ocenę strumienia.

Czy naprawdę wierzy pan, że ludzie nie odczuwają poprawy swojej sytuacji z winy polityków? Tak łatwo nas omamić?

Znam wszystkie elementy składowe tego stanu. Zdaję sobie sprawę, że jeżeli płace w zeszłym roku wzrosły statystycznie o 3 proc, to znaczy, że jednym wzrosły o 10 proc. a innym wcale. A ci, którym się polepszyło - nie krzyczą. Poza tym - zgodnie z teorią pewnego klasyka - jeżeli ludziom bez przerwy będzie się wmawiało, że jest gorzej - w końcu w to uwierzą. Kolejna przyczyna to porównanie oczekiwań z rzeczywistością. „Solidarność” zapowiadała nonsensy i po okrągłym stole, i po przejęciu władzy. Na początku roku 1990 obiecywano wzrost gospodarczy po pół roku, obiecywano szybką jednocyfrową inflację... Dużo obiecywano. I wiele osób w to uwierzyło. (...)

Kiedy w Sejmie przedstawiałem „Strategię” - apelowałem o wyłączenie pewnych obszarów reform z wojny politycznej. (...) Bo np. zdestabilizowanie finansów publicznych, to takie samo zagrożenie jak obca armia u granic Rzeczypospolitej. A jeżeli politycy wykorzystują finanse publiczne w sposób obłudny i celowy, starając się je zdestabilizować po to, żeby osłabić rządzący układ, to jest to polityka, która godzi w interesy państwa. I to trzeba głośno powiedzieć - zanim będzie za późno.

„...chciałbym mieć sojusznika w środowisku przedsiębiorców i biznesmenów polskich...”

*W wywiadzie dla redakcji
„GMT Partner Wielkopolski” nr 1 ze stycznia 1995 r.*

(...) Generalnie przedsiębiorcy wyrażają pogląd, że polityka podatkowa realizowana przez ministra finansów jest w stosunku do nich wybitnie restrykcyjna, co w znacznej mierze ogranicza rozwój przedsiębiorstw i inwestycje. Czy minister finansów zgadza się z tą opinią, a jeśli tak, to w jakim horyzoncie czasowym, realizując „Strategię dla Polski”, przewiduje łagodzenie polityki podatkowej?

Nie spotkałem się, ze strony przedsiębiorców z opinią aby polityka ministra finansów była polityką wybitnie restrykcyjną w stosunku do tego właśnie środowiska (...). Jest rzeczą naturalną, że przy każdym poziomie podatków przedsiębiorcy - i nie tylko przedsiębiorcy - chcieliby płacić mniej i nikt nigdy nie powie, że podatki są za niskie....

Z tego punktu widzenia pytanie należałoby postawić tak: czy w ramach „Strategii dla Polski” rośnie obciążenie podatkami? Otóż nie. Jest dokładnie odwrotnie. Już w roku 1994 podjęliśmy pewne działania zmierzające do znacznego poszerzenia zakresu ulg systemowych, skłaniających przede wszystkim do inwestowania. Zakres tych ulg w roku 1995 ma ulec rozszerzeniu. Pragnę przestrzec przed widzeniem wyłącznie jednej strony zagadnienia. Nie można prowadzić dyskusji o tym czy podatki są za wysokie, czy za niskie. Można natomiast dyskutować nad tym, jak się mają podatki, jako podstawowe źródło dochodów budżetu, do wydatków z tego budżetu. A więc jeśli ktokolwiek, obojętnie: indywidualny pracownik czy prywatny przedsiębiorca uważają, że podatki są za wysokie, to liczę, że w fazie dyskusji nad budżetem w parlamencie zechce wesprzeć mnie w działaniach, które chronią nasze państwo przed niebezpieczeństwem dalszego wzrostu podatków. Jeśli dzisiaj ktoś

zachowuje milczącą, obojętną postawę wobec prób szantażowania ministra finansów zmierzających do wymuszenia jeszcze większych dotacji do nieefektywnego systemu ubezpieczeń społecznych, czy niekontrolowanego wzrostu wynagrodzeń dla niektórych segmentów sfery budżetowej - to oznacza, że zgadza się z tym, że mogą te podatki w przyszłości wzrosnąć.

Ja jestem za tym, by obniżały się podatki. Musi być jednak zachowana pewna symetria, która umożliwi równoważenie systemu finansów publicznych, a więc muszą również spadać w odpowiednim stopniu wydatki z budżetu państwa. Są to dwie strony tego samego medalu i taką politykę w ramach „Strategii dla Polski” staramy się prowadzić. O tych sprawach należy rozmawiać spokojnie i w takim klimacie były utrzymane nasze negocjacje z Radą Przedsiębiorców Polskich. Ponieważ padło pytanie o mój osobisty pogląd odpowiadam: nie zgadzam się z opinią, że prowadzona polityka podatkowa jest wybitnie restrykcyjna w stosunku do przedsiębiorców. Zdecydowanie nie podzielam tego poglądu. (...)

Pragnę nawiązać do programu „Strategia dla Polski”. Promując tę wizję rozwoju gospodarczego, jej Autor odpowiadał na wiele pytań. Być może nie było wśród nich takiego pytania, które sam by postawił, a na które odpowiedź byłaby najważniejszym uzasadnieniem proponowanych działań.

Jest takie pytanie i sformułowałbym je następująco: Czy dostrzegam i jak sobie tłumaczę sprzeczność, że „Strategia dla Polski” jest wspierana przez środowiska biznesu i organizacje pracodawców, a zarazem jest ostro krytykowana przez liberalną opozycję?

W tym rzeczywiście tkwi jakiś paradoks, który można rozwikłać tylko, gdy oddzieli się racje gospodarcze i polityczne. Biznesmeni i pracodawcy nie myślą kategoriami jedynie słusznego programu, jedynie możliwej drogi. Dla nich najważniejsze jest to, czy system ekonomiczny i polityka gospodarcza stwarzają im niezbędne warunki do efektywnego prowadzenia działalności. To wymaga zwłaszcza stabilności reguł. Gospodarka po prostu nie znosi szoków. Dla nich nie jest ważne czy „Strategia dla Polski” jest najlepszym - z ich punktu widzenia - programem, lecz czy jest programem wystarczająco dobrym, rozumnym i akceptowalnym, i tak go oce-

nili. Tak też mimo różnych zastrzeżeń oceniają politykę gospodarczą rządu.

Politycy z kolei zawsze stwarzają wrażenie, że ich program jest pod każdym względem najlepszy, w tym sensie jedyny. Będąc w opozycji krytykują program aktualnie rządzących, dążąc do wysadzenia ich z siodła i przejęcia władzy. To jest racjonalne, choć niestety gospodarce na ogół szkodzi. Dlatego w sprawnych systemach społecznych istnieją pewne instytucjonalne bariery przenikania się polityki i gospodarki, choć nigdy nie da się tych światów zupełnie rozdzielić. Chodzi o to, żeby działania i cykle polityczne nie kolidowały z działaniami i cyklami gospodarczymi, mimo, że zawsze na siebie jakoś wpływają.

Jestem ulokowany gdzieś między tymi oddziaływaniami. Dlatego jasno i często deklaruję: chcę być politykiem gospodarczym (...)

Nowy okrągły stół?

*W rozmowie z Marią Bnińską
„Express Wieczorny” z 13 lutego 1995 r.*

(...) Jaką politykę gospodarczą powinien prowadzić nowy rząd?

Póki co znany mi jest jeden zwarty, konkretny, zaaprobowany społecznie i politycznie program. Jest to program „Strategia dla Polski”.

Czy ktoś inny mógłby realizować ten Pana program?

Tak, to jest wyobrażalne. (...)

Jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy ocenia obecną sytuację w Polsce?

To są profesjonaliści, którym nawet nie wolno wypowiadać się na tematy polityczne.

Ale sytuację polityczną biorą również pod uwagę.

Tak, jest to pewien element ogólnej sytuacji, lecz oni oceniają gospodarkę pod kątem 5 konkretnych kryteriów, bardzo twardych, bardzo mierzalnych. Polska gospodarka ma bardzo dobre notowa-

nia. (...) Płyną do Polski inwestycje zagraniczne, rok 1994 był znakomicie lepszy niż poprzednie, zainwestowano w Polsce 1 miliard 300 mln dolarów, a jest to o ponad 50 proc. więcej niż przeciętnie w poprzednich 4 latach, w sumie bowiem było to 4,4 mld dolarów i są plany co do następnych 5 mld.

Jak to jest z polską gospodarką, czy burze polityczne nie są w stanie jej naruszyć, czy jest na tyle mocna?

O nie, tak nie jest. Zawsze można narobić szkody. Dlatego trzeba uważać i dać po łapach niektórym politykom, którzy zaczynają szkodzić. (...) Trzeba jeszcze raz postawić pytanie, czy jest możliwa w Polsce polityczna koalicja szerszego porozumienia niż tylko to, na którym opierał się rząd SLD, PSL. Jeśli chodzi o grunt ekonomiczny, to ja uważam, że taka szansa jest.

Nowy okrągły stół?

Nie wiem, czy nowy okrągły stół, ale ten sam sposób, tzn. usiąść, słuchać innych, szanować cudze opcje i opinie, rozmawiać w interesie społeczeństwa, gospodarki, Rzeczypospolitej tak długo, aż się znajdzie rozwiązanie, które zaakceptuje większość i przy którym uszanuje się odmienne głosy mniejszości. Ale to nie musi być okrągły stół, bo dzisiaj mamy demokratycznie wybrany parlament, mamy demokratycznie wybranego prezydenta, mamy wolne media. (...).

Kwadratura stabilizacji

*W rozmowie z Markiem Misiakiem
„Życie Gospodarcze” nr 8 z 19 lutego 1995 r.*

Jak wypada ocena polskiej gospodarki po 1994 r. według kryteriów słynnego pięciokąta?

Koncepcja pięciokąta stabilizacji makroekonomicznej, co wypada przypomnieć, polega na tym, że opisuje on zależności o charakterze sprzężeń zwrotnych w sferze realnej i finansowej między: 1) wzrostem PKB, 2) stopą bezrobocia, 3) stopą inflacji oraz rela-

cjami, 4) sald budżetu państwa i 5) obrotów bieżących bilansu płatniczego do PKB.

Wierzchołki pięciokąta stanowią odpowiednio wyskalowane parametry pięciu powyższych kryteriów. Wyskalowanie jest takie, że im lepsza jest sytuacja w danym zakresie, tym dalej konkretny punkt położony jest do centrum. Stąd też raz jest to skala rosnąca i zapoczątkowana wartościami ujemnymi (stopa zmian PKB oraz relacje sald budżetu państwa i obrotów bieżących bilansu płatniczego do PKB), innym razem jest to skala malejąca i podążająca do zera (stopa inflacji, stopa bezrobocia).

Pierwszy trójkąt w pięciokącie wykreślają parametry zmian PKB i stopy bezrobocia - jest to trójkąt sfery realnej. Drugi jest funkcją zmian stopy bezrobocia i stopy inflacji; trzeci - budżetu i inflacji; czwarty - równowagi finansowej, zależy on od relacji sald budżetu i obrotów bieżących bilansu płatniczego do PKB; wreszcie piąty ma pole ograniczone zmiennością salda obrotów bieżących bilansu płatniczego oraz dynamiką PKB.

Im większe jest pole pięciokąta, tym większa jest stabilizacja makroekonomiczna. Z moich aktualnych obliczeń wynika, że pole pięciokąta wzrosło z 0,264 w 1993 r. do 0,320 w 1994 r. Zwiększyła się powierzchnia wszystkich pięciu trójkątów, co wynikało ze zwiększenia tempa wzrostu PKB z 3,8 proc. w 1993 r. do -jak obecnie szacuję - 5,3 proc. w 1994 r.; obniżenia stopy bezrobocia odpowiednio z 16,4 proc. do 16,0 proc.; stopy inflacji wyrażającej się we wskaźniku wzrostu cen detalicznych towarów i usług konsumpcyjnych z 37,6 proc. w grudniu 1993 r. do 29,5 proc. w grudniu 1994 r.; relacji ujemnego salda budżetu państwa do PKB z 2,8 proc. w 1993 r. do 2,7 proc. w 1994 r. i ujemnego salda obrotów bieżących bilansu płatniczego do PKB z 2,7 w 1993 r. do 1,0 w 1994 r. (...)

Co udało się w 1994 r. może nie udać się w 1995 r. ... Gdzie rząd dostrzega największe zagrożenia?

W trójkątach budżetu i inflacji oraz bezrobocia i inflacji. Zatrudnienie - patrząc na aktualną sytuację - wprawdzie zwiększa się, ale w tempie bardzo umiarkowanym. Bardzo trudnym, szeroko opisanym w ekonomii dylematem jest wybór pomiędzy przyspie-

szeniem tempa obniżania inflacji a skalą redukcji stopy bezrobocia. (...)

A ceny żywności?

Na przyspieszenie wzrostu cen żywności wpłynęła susza, według naszych szacunków, o ok. 3 pkt proc. Ten czynnik przyspieszający wzrost cen żywności w dalszym ciągu działa. Do tego dołożyły się skutki wprowadzenia opłat wyrównawczych. Szacujemy je na ok. 1 pkt proc. Wpływ wprowadzenia opłat wyrównawczych na inflację był i jest często przeceniany w celach politycznych.

Trzeba jednak pamiętać, że opłaty wyrównawcze chroniły kilkanaście tysięcy miejsc pracy w gospodarce rolnej i przemyśle rolno-spożywczym, nie mówiąc o pewnych (niewielkich wprawdzie) związanych z tym dochodach budżetowych oraz określonej poprawie salda obrotów bieżących bilansu płatniczego (...)

Żywność zdrożała w styczniu, według szacunków MF, aż o 4,2 proc...

Dlatego też wprowadzamy w życie pakiet decyzji antyinflacyjnych, które wpłyną już w niedalekiej przyszłości na „ostudzenie” cen żywności.

Gdyby decyzje te podjęto w grudniu, to wzrost cen żywności w styczniu byłby słabszy.

Były to decyzje trudne, uwikłane w liczne sprzeczności interesów ekonomicznych. Chodzi bowiem nie tylko o doraźny efekt antyinflacyjny, ale o cały splot związanych z tym ubocznych skutków w sferze realnej i w finansach. Przede wszystkim zaś chodzi o to, żeby doraźny efekt antyinflacyjny nie był osiąganym kosztem nadmiernego zmniejszenia opłacalności rozwoju produkcji rolniczej w przyszłości, co groziłoby zwiększoną inflacją w następnych okresach.

Natomiast spadek inflacji mógł być większy, gdyby obniżono jesienią ubiegłego roku cenę pieniądza krajowego (stopy procentowej), a zwłaszcza bardziej zdecydowanie zredukowano cenę pieniądza zagranicznego (szybciej obniżano tempo tzw. pełzającej dewaluacji złotego do koszyka walut wymienialnych). Innymi słowy, znaczną część winy za to, że inflacja była wyższa niż zakładaliśmy, ponosi - moim zdaniem - polityka monetarna. Uwagę tę

można odnieść nie tylko do przeszłości, ale również do sytuacji aktualnej. Obecnie występuje w gospodarce głębokie uzasadnienie dla decyzji obniżającej tempo pełzającej dewaluacji złotego i mam nadzieję, że taka decyzja zostanie podjęta. Bez silniejszego wsparcia polityki antyinflacyjnej ze strony polityki monetarnej każdy rząd będzie skazany na krytyczną ocenę za niezrealizowanie zakładanego obniżenia inflacji. (...).

Racje i procenty

*W rozmowie z Małgorzatą Wawryszewicz
i Ryszardem Rudnikiem
„Nowa Trybuna Opolska” z 23 lutego 1995 r.*

(...) Czy jest nadzieja, że nowy rząd dokona zmian w sferze ubezpieczeń społecznych i systemu ochrony zdrowia?

Obecny rząd nie stronił od trudnych decyzji. Gdyby tak było, nie mielibyśmy przynajmniej części obecnych problemów. Rząd podejmował także decyzje, które taniej popularności mu nie przysporzyły. Natomiast jeśli chodzi o reformę ubezpieczeń społecznych czy ochrony zdrowia, to jest nieprawdą, że wszyscy się na nią zgadzają. To tylko wrażenie. Jestem przekonany, że wielu posłów jest przeciwnych tej reformie. Przeciwni są też biurokraci zawiadujący systemem ubezpieczeń i ochroną zdrowia, spora część pracowników służby zdrowia, znaczna część związkowców, i to z różnych central związkowych. Dlatego nie tylko ten rząd, ale i poprzednie nie podjęły jeszcze reformy tych sektorów życia publicznego (...).

Może niechęć do reform, np. służby zdrowia, wynika z niezrozumienia ich celów?

Reforma służby zdrowia w żadnym wypadku nie może polegać na tym, żeby wyłącznym jej celem była poprawa sytuacji materialnej pracowników służby zdrowia. To efekt, który mamy osiągnąć przy okazji. Natomiast zasadniczym celem jest podniesienie poziomu usług oraz stworzenie sytuacji, by finansowanie ochrony zdrowia było w przyszłości mniejszym obciążeniem dla budżetu, a więc

dla podatników. Jeśli będziemy kontynuować dotychczasowy sposób zasilania zarówno ochrony zdrowia, jak i systemu ubezpieczeń społecznych, to się udławimy. Co czwarty obywatel Polski jest emerytem bądź rencistą. To najwyższy wskaźnik w skali światowej. Problem tkwi nie w wysokości świadczeń, które w wielu przypadkach są zbyt niskie, a w liczebności świadczeniobiorców. Pieniądzy ze składek od dawna już nie starcza na emerytury i renty, dofinansowanie z budżetu zwiększa się więc z roku na rok. Dalsze utrzymanie tej sytuacji musiałoby spowodować zwiększenie podatków, a w konsekwencji - zatrzymanie procesów wzrostu, recesję i inflację.

W związku z tym na co rząd czeka?

Kompleksowy projekt reformy ubezpieczeń jest przygotowywany. Wysłałem stosowne dokumenty czterem prominentnym politykom PSL i SLD: panom Pawlakowi, Zychowi, Kwaśniewskiemu i Oleksemu. I czekam na jednoznaczną odpowiedź: tak czy nie, a jeśli nie tak, to jak?

Czy nie obawia się pan, że znów skończy się na deklaracjach?

Tym razem to już się nie może skończyć na tym, że wszyscy deklarują, że są za reformami, i to zostaje wpisane w porozumienie koalicyjne, a potem przez reformy rozumie się tylko wydawanie większej ilości pieniędzy z kieszeni podatnika. Z taką polityką ja nie chcę mieć niczego wspólnego (...)

Czy nie obawia się pan, że kampania prezydencka może te niezbędne, ale mało popularne, bo trudne reformy przesunąć w czasie?

Chciałbym, żeby kampania była okazją do pewnego konkursu pozytywnych programów. Obawiam się jednak, że tak będzie w niewielkim stopniu. Zresztą słowo „reformy” powinno być wykreślone z polskiego słownika politycznego, bo posługują się nim wszyscy, na czele z najwybitniejszymi antyreformatorami (...)

Jest Pan również zwolennikiem gruntownej reformy centrum gospodarczego. Co w nim dziś jest szczególnie złego?

Po każdym posiedzeniu rządu utwierdzam się w tym, że reforma centrum jest konieczna. Mechanizm koordynacyjny pracy ministerstw jest zły, wiele instytucji i osób jest uwikłanych w takie

sprzeczności interesów, że my częstokroć tracimy czas na rozwiązywanie spraw, które nigdy nie powinny stawać na posiedzeniach KERM czy rządu. Sposób koordynacji pracy pionu gospodarczego rządu jest niejako opozycyjny wewnątrznie. „Sam Kołodko mówi bez przerwy, że rośnie eksport o 20 procent, produkcja przemysłowa o 13, dochód narodowy o 5, a gdzie są pieniądze?”. Takie podejście ma bardzo wielu kolegów z rządu. To niebywałe gdzie indziej, ale dopuszczalne u nas, że minister wypowiada się w telewizji, stając po stronie strajkujących pracowników resortu, którego on jest szefem. On powinien stać na straży finansów publicznych, racji stanu, interesu makroekonomicznego i ogólnospołecznego. A gdzież tam! Przy takim, jak u nas, sposobie zorganizowania centrum, tym lepszy minister, im więcej załatwi dla podległych mu dziedzin życia. O to trzeba walczyć, a walczyć oznacza wydrzeć. Czyim kosztem, to już zmartwienie ministra finansów. Cały rząd jest tak zorganizowany, że walką z inflacją tak naprawdę jest zainteresowany tylko minister finansów. Premier ewentualnie może go wspierać. {...}

Jak jednak przejść z jednego systemu rządzenia do drugiego?

Oto jest pytanie. Wiele osób z rządu w ogóle nie pyta się, po co ja chcę reformować to centrum gospodarcze. Dominuje troska o podział łupów: a co my będziemy z tego mieli? Ja mówiąc o reformie centrum nie chcę dzielić wpływów, chcę raczej podzielić odpowiedzialność. (...)

Z literą i duchem Strategii

*W rozmowie z Klaudią Sanetrą
„Nowa Europa” z 25-26 lutego 1995 r.*

Panie premierze, czy obecny kryzys już zagraża gospodarce?

Robię wszystko, żeby zakończyć tę schizofreniczną sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. Mamy bowiem dość dziwny kryzys polityczny. Mnie co najwyżej może cieszyć, że nie wyrósł on na podłożu ekonomicznym. Na szczęście polska gospodarka ma się dobrze, co

potwierdziły ostatnie dane GUS, a także seminarium OECD, oceniające postęp polskiej transformacji w ostatnich latach i zakończona w ubiegłym tygodniu misja MFW. Alarmistyczne tony, że wszystko się wali czy tonie, to są, powiedzmy, gry polityczne. Fakty są takie: produkcja rośnie, inflacja mimo wszystko spada, przybywa nowych miejsc pracy, polska gospodarka otwiera się na dopływ zagranicznych inwestycji i mamy coraz lepsze notowania na świecie. Ale jeśli kryzys będzie się przeciągał, to poniesiemy straty.

Czy będzie Pan w rządzie Józefa Oleksego?

Postawiłem koalicji i kandydatowi na premiera, panu marszałkowi Józefowi Oleksemu, kilka pytań: jak zamierzacie panowie wyjść z tego kryzysu politycznego, aby ochronić substancję polskiej gospodarki i finansów publicznych oraz kontynuować proces transformacji? Jak rozumiecie to, że na czele nowego porozumienia koalicyjnego jest zapis o realizacji programu *Strategia dla Polski*? Czy rozumiemy to tak samo, czy inaczej? To trzeba wyjaśnić zawczasu, by wiedzieć, czy jest nam po drodze.

Chcę wiedzieć, czy *Strategia dla Polski* będzie realizowana zgodnie z jej duchem i literą, czy też jest to tylko deklaracja i próba posłużenia się hasłem, które funkcjonuje już w świadomości społecznej w kraju i za granicą, a potem i tak każde ministerstwo będzie ciągnęło w swoją stronę i starało się realizować swoje partykularne interesy, partie - interesy partyjne, regiony - regionalne itd.

Chcę wiedzieć, jak będzie działał w rządzie mechanizm koordynacji. Dlatego, że nawet jeśli uzgodnimy cele, to z pewnością będą daleko posunięte rozbieżności co do sposobów ich realizacji, kojarzenia instrumentów polityki finansowej, przemysłowej, handlowej, społecznej, dochodowej, podziału środków pomiędzy różne konkurencyjne działy, regiony itd. To nie jest czas zapisywania w umowie ogólników, np. że *będziemy walczyć z bezrobociem*. Ale jak, czym kosztem, na czyją odpowiedzialność?! To nie jest pora, by stwierdzać, że *będzie reforma systemu ubezpieczeń społecznych o określonej sekwencji*. Jakiej sekwencji, kto będzie w pierwszej kolejności beneficjentem, a kto poniesie koszty reformy i jak ona ma być zrobiona przy obecnym, ale i przyszłym stanie finansów publicznych. To jest także pytanie, czy tak samo rozumiemy

konieczność utrzymania kursu antyinflacyjnego. Chciałbym utrzymać tę linię tak, jak jest zapisana w *Strategii*, a więc zwracając uwagę na koszty społeczne. Ale nie chciałbym przeeksponowania tzw. wątków prospołecznych o zabarwieniu populistycznym kosztem destabilizacji finansów publicznych i nasilenia procesów inflacyjnych. Wobec tego pytam: jaki ma być mechanizm koordynacji? Czy dalej ma być tak, że za wszystko odpowiada minister finansów i jest bez przerwy posądzany o to, że myśli kategoriami księgowego? Na te pytania nie tylko mnie powinna być udzielona odpowiedź. Myślę, że tej odpowiedzi oczekuje również opinia publiczna. (...)

Jak Pan ocenia realizację *Strategii dla Polski*?

Raczej pozytywnie. Z pewnością został wykonany tzw. krok we właściwym kierunku. Jednak nie ukrywam, że oczekiwałem, iż zrobię więcej. Nie doceniłem oporu materii. Do każdego z 10 programów węzłowych *Strategii* sformułowałem kryteria wykonawcze w sposób skwantyfikowany, tak by dało się to zmierzyć. I jeśli przyjąć miarę, to w większości programów jest jakiś postęp. W niektórych słabo odczuwany, w innych, np. międzynarodowej konkurencyjności naszej gospodarki, imponujący. Eksport wzrósł 4-5 razy szybciej niż PKB. Tego nie przewidziała moja wyobraźnia. Tempo wzrostu PKB zwiększyło się z zaplanowanego 3,8 do 5,3, inflacja spadła, choć nie tak bardzo, jak byśmy sobie tego życzyli, o 8 pkt proc, deficyt jest znacznie mniejszy. A jeśli spojrzeć przez pryzmat społecznych kosztów reformy, to jest to pierwszy okres, w którym udało się zmniejszyć bezrobocie, kilkadziesiąt tysięcy ludzi więcej ma pracę, udało się podnieść poziom dochodów ludności, w większym stopniu emerytury i renty, w nieco mniejszym płace w sektorze przedsiębiorstw. Niestety spadły płace w sferze budżetowej, w niewielkim stopniu, ale jest to szczególnie dotkliwe, dlatego, że był to kolejny rok spadku.

Ale w pozostałych programach liczyłem na więcej. Najsłabiej wygląda realizacja reformy ubezpieczeń społecznych, bo tam jako kryterium zaplanowałem rosnący udział środków pozabudżetowych w finansowaniu. Jest to jednak program, którego realizację należy oceniać w perspektywie daleko szerszej niż 1 rok. Niedostateczne jest tempo przekształceń własnościowych, zwłaszcza pod

kątem masowej komercjalizacji służącej przyspieszeniu prywatyzacji. Słabo wypadł program rozwoju wsi i rolnictwa. Zbyt wysoki jest poziom inflacji i w związku z tym redystrybucja, którą ta inflacja nakreśla. I wciąż są napięcia polityczne, które powodują opóźnienie, mam nadzieję, że nie zaniechanie, reformy centrum administracji. Ale ten kryzys, paradoksalnie, może spowodować rekonstrukcję rządu i doprowadzić do reformy centrum, przynajmniej gospodarczego.

Przekazałem liderom koalicji obszerny, 60-stronicowy dokument przebudowy centrum gospodarczego rządu. Jest ich gotowość i moja determinacja, żeby go zrealizować (...)

W URM spoczywa już wiele takich projektów, które nie mogły się przebić przez Radę Ministrów. Są to projekty ustaw o reprivatyzacji, prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych, komercjalizacji, Skarbie Państwa itd.

(...) Sprawa zalegających w URM projektów również wynika z braku mechanizmów. Jeśli są decyzje polityczne dotyczące prywatyzacji, komercjalizacji, reformy centrum gospodarczego czy nawet utrzymywania ze względów społecznych nieefektywnych przedsiębiorstw, to muszą istnieć sposoby egzekwowania tych decyzji. Podatnika i obywatela niewiele obchodzi dlaczego rząd jest nieskuteczny. To niech przyjdzie następny. A jeśli tak się nie stanie, to niech ten rząd wyciągnie wnioski z sytuacji i niech podejmie decyzje.

Strategia na cenzurowanym

*W rozmowie z Markiem Misiakiem
„Życie Gospodarcze” Nr 9 z 26 lutego 1995 r.*

Jak wypada ocena „Strategii dla Polski” po blisko rocznym okresie jej wprowadzania w życie w rządzie koalicyjnym SLD-PSL?

Dosyć dobrze, choć oczekiwałem, że będzie lepiej. Zawsze byłem świadom tego, że jest pewna różnica pomiędzy tym, co być powin-

no, a tym, co można w danych warunkach wprowadzić w życie. Natomiast nigdy nie podejrzewałem, że ta różnica może być aż tak wielka, jak to ma miejsce w polskiej rzeczywistości. Można się zastanawiać, co w tym stanowi ogólną prawidłowość, a co wiąże się ze szczególnym charakterem obecnego układu politycznego w rządzie, w parlamencie i poza parlamentem (...)

W rzeczywistych procesach decyzyjnych występuje, niestety, wiele ograniczeń i konfliktów, których przyczyny mają niekiedy podłoże ambicjonalne lub emocjonalne. Rzecz często nie w tym, że się wie (o ile się wie), jak rozwiązać problem od strony merytorycznej. Większość problemów, z którymi się borykamy, bierze się nie z ograniczeń intelektualnych, lecz politycznych. Kiedyś myślałem, że do wejścia w życie ustaw wystarczy większość w parlamencie, dziś wiem, że 2/3 to też może być za mało.

Nie wiem, czy liderzy polityczni, zgadzając się ogólnie na reformę centrum gospodarczego, wzięli pod uwagę wszystkie konsekwencje swojej decyzji. Potrzebne jest porozumienie z prezydentem. Mamy bowiem do czynienia z przedsięwzięciem z natury rzeczy bardzo konfliktogennym i należy zrobić wszystko, żeby nie zostało ono wykorzystane w partykularnych celach politycznych. Potrzebne jest porozumienie z opozycją, gdyż nowe centrum gospodarcze powinno służyć również następnym ekipom rządowym.

Partnerzy koalicyjni zastosowali jednak klucz partyjny przy proponowanym podziale tek ministerialnych w nowo powołanym rządzie.

Potrzebna jest odwrotna kolejność. Najpierw należy się zgodzić w sprawach programowych. Musimy szybko zreformować nie tylko centrum gospodarcze, ale i system zabezpieczenia społecznego. Wielu politykom zależy jednak bardzo na łatwym pozyskaniu elektoratu 9 milionów rencistów i emerytów. Składając różne obietnice nie mówią oni jednak potencjalnym wyborcom, jaki wzrost inflacji pociągnęłoby za sobą zrealizowanie ich obietnic. W konsekwencji straciliby na tym również emeryci. Nie zgodzę się na firmowanie jakiegokolwiek inflacyjnie zorientowanej polityki.

Są różne klasy polityków.

Zaliczam się do grupy polityków profesjonalnie zaangażowanych w rozwiązywanie problemów kraju. Niektórzy przez politykę rozu-

mieją jednak tylko pozyskiwanie elektoratu, jeszcze inni chcą po prostu skorzystać ze sprawowania władzy. Ona odurza.

Stąd skłonność do stawiania na pierwszym planie podziału wpływów. Dzieli się wpływy zanim jeszcze zaczęło się myśleć o programie. Taka polityka mnie nie interesuje. Natomiast chciałbym, aby polityka gospodarcza, jeśli mara ją koordynować, sprzyjała większej niż dotychczas skuteczności poczynań rządu. Dlatego też do każdego z dziesięciu programów węzłowych w „Strategii” przypisane jest określone kryterium wykonawcze. Proszę zapytać, jak politycy interesują się wypełnianiem tych kryteriów? Otóż bardzo mało ich to interesuje, żyją bowiem czym innym. Widać to również w środkach przekazu (...)

Stawia się pytanie, jaka jest odpowiedzialność poprzednich i obecnego rządu za nieprawidłowości w procesach prywatyzacyjnych oraz ich spowolnienie.

Do procesów prywatyzacyjnych potrzebne jest podejście nieideologiczne. Nie może być *a rebours* miejsca dla powtórki z historii, kiedy to ze względów ideologicznych wspierano własność państwową dlatego, że jest ona państwowa, ale też nie powinno być miejsca dla pseudoliberalnej doktryny twórczej destrukcji. Wbrew pomówieniom, sprywatyzowaliśmy w 1994 r. więcej niż przeciętnie w latach 1990-1993; wówczas to wpływy z prywatyzacji wynosiły mniej niż 0,4 proc. PKB średniorocznie. Zgodnie z założeniami „Strategii” sprzedając majątek państwowy musimy jednak zmniejszać dług publiczny. Dlatego też tak duże znaczenie przywiązujemy do dochodów budżetowych z prywatyzacji, które osiągając poziom 1,1 proc. PKB w 1995 r., będą blisko trzykrotnie wyższe niż średnio w poprzednich 5 latach. Nie można więc twierdzić, że osłabło tempo prywatyzacji, choć faktem jest, że inaczej rozkładają się korzyści płynące z tego procesu, co także -jak sądzę - ma wpływ na akcenty podnoszone w publicznych dyskusjach na te tematy.

Drugim zarzutem wysuwany niekiedy przeciw obecnemu rządowi jest twierdzenie, że wprowadzając powszechną komercjalizację chce on w ten sposób opóźniać prywatyzację. Jest akurat odwrotnie, koszty transformacji - a zwłaszcza skala recesji i bezrobocia - byłyby niższe. Gdyby skomercjalizowano przedsiębiorstwa państwowe wcześniej, to i tak wiele z tych przedsiębiorstw

można by już dziś prywatyzować -szybciej, a nie wolniej. Ostatnio pozytywnie o potrzebie przeprowadzenia komercjalizacji wypowiedziała się Rada ds. Strategii Społeczno-Gospodarczej.

Prywatyzacja jest przedsięwzięciem bardzo trudnym i nie można jej oceniać tylko po liczbie przedsiębiorstw, które zostały sprywatyzowane w kolejnych, następujących po sobie krótkich odcinkach czasu. Dlatego też zmiany w zarządzaniu majątkiem państwowym oraz procesy przekształceń własnościowych (program VI) oceniamy na podstawie poprawy wskaźnika rentowności przedsiębiorstw, który wzrósł z 2,9 proc. w 1993 r. do 5,1 proc. w okresie pierwszych 11 miesięcy 1994 r. (...)

Także Międzynarodowy Fundusz Walutowy, którego misja zakończyła się w ub. tygodniu, ocenił pierwszy rok realizacji „Strategii dla Polski” poprzez pryzmat swoich klasycznych kryteriów wykonawczych.

Według aktualnej oceny MFW, wypełniliśmy w 1994 r. (w niektórych przypadkach ze znacznymi nadwyżkami) wszystkie 5 kryteriów wykonawczych: przyrost deficytu sektora publicznego miał nie przekroczyć 97,3 bln zł, wyniósł 71,3 bln zł; poziom kredytu dla sektora publicznego miał nie przekroczyć 414,7 bln zł, wyniósł 386,1 bln zł; poziom aktywów krajowych netto miał nie przekroczyć 505,4 bln zł i tyle też dokładnie wyniósł; poziom rezerw dewizowych netto miał nie być mniejszy, niż 8,3 mld dol. i wyniósł (według sposobu liczenia przez MFW) 11,0 mld dol.; poziom nowych kredytów zagranicznych miał nie być niższy od 400 mln dol., wyniósł natomiast 376 mln dol. Tak rozumiem rolę wicepremiera koordynującego politykę gospodarczą państwa i ministra finansów, że musi on jak najlepiej kojarzyć ze sobą kryteria stawiane przed Polską przez MFW z oczekiwaniami ludzi - konsumentów i producentów, ludzi interesu i związków zawodowych, opiniami polityków socjalnych (...)

Kapitał ludzki

*W rozmowie z Anną Leszkowską
„Przegląd Techniczny” nr 10 z 5 marca 1995 r.*

Panie Premierze, w swoich wypowiedziach często podkreśla Pan, iż jest człowiekiem nauki i wykorzystuje Pan swoją wiedzę przy kierowaniu państwem. Czy rzeczywiście wiedza, wykształcenie potrzebne są w Polsce w okresie transformacji ustrojowej do efektywnej pracy? Wszak to, co obserwujemy w naszym życiu i społecznym, i gospodarczym, także politycznym, nie upoważnia do optymizmu w tej materii ...

Bezsprzecznie wiedza pomaga w każdej pracy, w tym również w prowadzeniu polityki gospodarczej i finansowej. Oczywiście, zawsze jest pytanie, w jakim stopniu można z niej korzystać, zważywszy na uwarunkowania, w jakich przychodzi działać. Nie ukrywam, że podejmując się pracy w rządzie byłem przekonany, że będę miał znacznie więcej sposobności wykorzystania swojej wiedzy, niż to się okazało w rzeczywistości. Wyobrażałem sobie, że to, co się nazywa polityką, będzie pochłaniało mniej czasu i energii, natomiast więcej czasu poświęcę ekonomii czy polityce gospodarczej. Tymczasem polityki jest za dużo i nie ma to nic wspólnego z wiedzą, jaką zdobyłem. W prowadzeniu polityki gospodarczej i finansowej w Polsce oczywiście wykorzystuję wiedzę zdobytą dotychczas w wielu ośrodkach naukowych. Niemniej najtrudniejsze są sytuacje, kiedy nie jestem w stanie przeprowadzić logicznych decyzji z powodów trudności politycznych, niemożliwości osiągnięcia porozumienia między wszystkimi zainteresowanymi stronami (...)

Środowiska intelektualne więcej jednak sobie obiecują po programie inwestowania w ludzki kapitał...

Mam takie wrażenie, że część środowiska naukowego, zwłaszcza ta, która tym środowiskiem administruje, w sposób oczywisty nadużyła tej koncepcji w niewłaściwym celu. Koncepcja inwesto-

wania w kapitał ludzki w żaden sposób nie sprowadza się do tego, że pierwszym krokiem w realizacji tego programu ma być przeznaczenie znacząco większych środków z budżetu na naukę czy szkolnictwo wyższe. Jest to nieporozumienie. Inwestowanie w kapitał ludzki polega na tym, że przyjmujemy, iż kapitał ten, jego jakość, jest nie tylko wartością samą w sobie. Bo im społeczeństwo lepiej jest wykształcone i poziom kulturowy wyższy - tym lepiej. Chcemy inwestowania w kapitał ludzki także dlatego, że jest on istotną siłą rozwoju, że bez wykształconych obywateli nie ma co marzyć o podnoszeniu konkurencyjności naszej gospodarki, o utrzymaniu tendencji rozwojowych w kraju. Zatem nie chodzi tutaj tylko o to, żeby poprawiać sytuację materialną pracowników tego sektora, dbać o dobre funkcjonowanie placówek badawczych, ale i o to, aby w dłuższym okresie uzyskać korzystne relacje między nakładami na naukę a efektami.

Koncepcja inwestowania w kapitał ludzki oznacza także, że nie traktujemy tego jako uciążliwego obciążenia budżetu państwa, a tym samym podatnika, ale jako coś, co w dalszej perspektywie da postęp w gospodarce. Inwestowanie w tę sferę musi w przyszłości zwiększyć efektywność relacji nakłady-efekty (...)

Z tego względu w *Strategii dla Polski* zaproponowaliśmy kilka nowatorskich rozwiązań, które, według mojej interpretacji, w zasadzie weszły w życie. W ustawie o budżecie (zwanej podatkową) są pewne zapisy służące inwestowaniu w kapitał ludzki. Są rozwiązania systemowe, które mają zwiększyć zdolność albo chęć podmiotów gospodarczych do dokonywania odpisów podatkowych - także na rzecz kształcenia - do wysokości 15 %. Są tam także zapisy umożliwiające - na razie na niedużą skalę, ale jest to zapoczątkowanie procesów w określonym kierunku - odliczanie od dochodów części wydatków na dokształcanie ludzi pracujących umysłowo (książki, programy komputerowe). Jest to na razie oferta skromna, ale wskazująca kierunek tym, którzy pracują w nauce.

Oprócz tego staramy się też zwiększyć nakłady na naukę i szkolnictwo bezpośrednio z budżetu państwa. W 1995 r. na szkolnictwo wyższe dajemy więcej o ok. 6 %. W standardzie międzynarodowym taka wielkość jest uznawana za skokową. Natomiast w Polsce - z uwagi na to, że poziom, z jakiego startujemy, jest niski - jest to

odbierane jako niewystarczające. Przeprowadziliśmy również podwyżki płac dla pracowników szkolnictwa wyższego (...)

Do skutku

*W rozmowie z Piotrem Andrzejewskim,
Krzysztofem Gołąką,
Dobrochną Kędzierską
i Markiem Królem;
„Wprost” nr 14 z 2 kwietnia 1995 r.*

„Strategia dla Polski” realizowana jest od ponad 300 dni - ze zmiennym szczęściem. Rodzi się pytanie o skuteczność Pańskiego działania. Czy dla polityków koalicji Pan i Pańska „Strategia” nie stają się powoli listkiem figowym reform?

Skuteczność mojego działania trzeba mierzyć tym, czym się zajmuję, a zajmuję się makroekonomią. Gdybym przeczytał komunikat, że produkcja spada, a inflacja rośnie, musiałbym przyznać, że poniosłem klęskę i podać się do dymisji. Na razie produkcja rośnie, a inflacja — po przejściowym wzroście — ponownie spada.

Premier Pawlak zablokował jednak Pańskie działania antyinflacyjne.

Mniej ważne jest, czy i kiedy premier poszczególne dokumenty podpisał. Ważniejsze, że podjęte zostały działania, które powodują zmniejszenie inflacji (...).

Generalnie zaś w gospodarce zmagają się dwie koncepcje: jedna zakłada sterowanie strumieniami i zasobami dzięki korzystaniu z rozwiązań systemowych i posługiwaniu się instrumentami finansowymi; druga wyraża się stwierdzeniem: „ja mam swoje fabryki, jestem organem założycielskim”.

Znalazło to wyraz podczas uruchamiania programu Narodowych Funduszy Inwestycyjnych. Pan mówił, że premier już, już podpisuje stosowne dokumenty, a premier nie podpisywał.

Od tego czasu jestem ostrożniejszy w wypowiedziach, choć wtedy naprawdę dysponowałem taką - jak się okazało, fałszywą — informacją. Trzeba pamiętać, że w tej sprawie zderzyły się tak skrajnie wykluczające się koncepcje i podejścia, iż wydawało się, że są nie do pogodzenia. Jedni twierdzili, że NFI to koncepcja zbawiająca polską gospodarkę, inni - że pojawienie się firm zagranicznych stanowi zagrożenie. To, że udało się ten program obronić, uważam za sukces. Proszę zwrócić uwagę, jakie wątki pojawiły się w pożegnalnym przemówieniu premiera Pawlaka ...

Czy w tym otoczeniu można było w ogóle działać skutecznie?

Jeśli państwo uważacie, że należało się podać do dymisji, to z różnych powodów mógłbym to robić trzy razy dziennie. Ale czy w ten sposób przyczyniłbym się do rozwiązania chociaż jednego problemu? A przecież parę istotnych spraw udało się pozytywnie rozstrzygnąć, innym nadać bieg w dobrym kierunku. Reforma ubezpieczeń społecznych jest zadaniem zakrojonym na 10-15 lat. Niestety, wielu ludzi, także w rządzie, kojarzy ją błędnie ze spadkiem wartości świadczeń, mówiąc: w tym roku to nie przejdzie, bo to jest rok wyborów prezydenckich, a elektorat emerytów liczy 9 mln osób. Trzeba jednak tej sprawie nadać właściwy bieg - powstanie dokument ustawowy, którego nie uda się schować do szuflady. Reforma wymagać będzie być *może* przejściowego zwiększenia deficytu budżetowego i wykorzystania zasobów majątkowych - Ciechu, miedzi, ropy, energetyki i telekomunikacji. To naprawdę wielkie wyzwanie. Musimy je podjąć z daleko idącą determinacją, bo przeszkód, trudności, napięć i reakcji typu: znów nam chcą coś zabrać! - nie będzie brakowało (...)

Jedna trzecia czasu przeznaczanego na realizację „Strategii dla Polski” jest już mniej więcej za nami. Czy to znaczy, że program został zrealizowany również w jednej trzeciej?

Nie wiem, czy istnieje w ogóle możliwość odpowiedzi na to pytanie. Sądzę, że stan zaawansowania tego programu jest dość duży, zwłaszcza jeśli chodzi o podtrzymywanie tendencji rozwojowych w gospodarce i inne rozkładanie społecznych kosztów reform. Natomiast nieco mniejszy, jeśli chodzi o zmiany strukturalne i instytucjonalne, ze względu na opór materii. Dziś w moim „sztabie” pracujemy nad redefinicją „Strategii dla Polski”. Zmieniły się

uwarunkowania, zwłaszcza wewnętrzne - polityczne, w mniejszym stopniu zewnętrzne i ekonomiczne. Zmieniła się też moja wiedza i doświadczenie. Nigdy wcześniej nie przypuszczałem, że w polityce tak olbrzymia jest odległość pomiędzy tym, co się nazywa: wiedzieć i mieć rację, a przeprowadzeniem tego. Pora z tego wyciągnąć wnioski. A w sprawach zasadniczych - stwierdziliśmy, że byłoby wielkim błędem, gdybyśmy politykę makroekonomiczną podporządkowali różnym kalendarzom politycznym. Opcji „na przetrwanie” nie akceptuję. Przeciwnie - uważam, że „Strategia dla Polski” powinna zostać uzupełniona o nowe strategiczne programy. Zaliczyłbym do nich przede wszystkim program ekorozwoju i tworzenia środowiska przyjaznego człowiekowi; program wspierania polityki regionalnej oraz program, który przybliżyłaby drogę, jaką Polska powinna przejść od członkostwa w OECD do Unii Europejskiej.

W tegorocznym budżecie udział państwa w gospodarce, mierzony partycypacją sektora publicznego w dochodach i wydatkach budżetu, przekroczył 50 proc. Spadło też tempo wzrostu inwestycji zagranicznych - przyrost był w tym roku mniejszy o ok. 300 mln USD. Czy nie jest to sprzeczne z założeniami „Strategii”?

Udział państwa w gospodarce nie wzrasta, zwiększył się natomiast udział sektora prywatnego w PKB i w zatrudnieniu. Zwiększenie „redystrybucyjności” budżetu wynika przede wszystkim ze wzrostu dopłat do systemu ubezpieczeń społecznych i nakładów na sferę budżetową. Tego nie można było uniknąć. Problem polega jednak na tym, czy przerodzi się to w tendencję. Czy w kolejnym roku wydatki z tego tytułu znów wzrosną, a co za tym idzie - czy wzrosnąć będą musiały dochody, a więc i podatki? Niestety, tylko w warunkach dyktatury problem ten można byłoby rozstrzygnąć „gabinetowo”. W demokracji ostateczne zdanie ma w tej kwestii parlament. Jeśli podejmie on np. decyzję o podniesieniu stawek podatkowych do 50 proc, to być może będzie to ostatni dzień mojej pracy.

Pańscy doradcy twierdzą, że jeśli dotychczasowa tendencja się utrzyma, to budżet rozleci się w ciągu kilku lat. Czy można tego uniknąć?

Można i dlatego walczyć, choć staram się być oszczędny w deklaracjach, choćby ze względu na układy. W obecnej fazie nacisk kłaść trzeba nie tyle na maksymalizację reform, ile na minimalizację strat. Toczą się tu zacięte walki. Na przykład kwestia przywilejów branżowych, grupowych - każda próba ich likwidacji, każda decyzja o utraceniu tego czy innego przywileju wywołuje burzę. W efekcie minister finansów uważany jest za tego, który „źle życzy ludziom”. (..)

W poprzek Polski resortowej

*W rozmowie z Piotrem Bachurskim i Pawłem Kwiatkowskim
„Home and Market”, nr 4 z kwietnia 1995 r.*

(...) Jak Pan ocenia swoją skuteczność w walce z inflacją?

Uważam, że jestem w tym zakresie dość skuteczny. Myślę, że każdy uczciwy polityk (to zresztą prawdziwa rzadkość), a na pewno każdy profesjonalista, przyzna mi rację, jeśli powiem, że niewiele więcej można było uczynić. Inflacja obniżyła się (licząc grudzień do grudnia) o ponad 8 punktów procentowych w stosunku do końca roku 1993. Przypomnę, że cztery lata temu, na początku rządów tzw. solidarnościowych, inflacja wynosiła 4 tys. proc; ceny poszły więc 40 razy w górę. Teraz poszły w górę aż o 29,5 proc. Mówię „aż”, bo jest to bardzo wysoka inflacja. Tym bardziej więc nie potrafię zrozumieć cynizmu, z jakim w rozgrywkach politycznych wykorzystuje się trudności, jakie nam towarzyszą w przeciwdziałaniu inflacji. Mechanizm polityczny polega na tym, że doprowadza się do skrajności napięcia społeczne wołając wielkim głosem, że na nio nie ma pieniędzy. A to nieprawda.

Rządzenie, jak widać, składa się nie tylko z przyjemności. Czy jednak nie można było osiągnąć lepszych rezultatów?

Patrząc ex post na rok 1994, myślę, że w ramach tych instrumentów i możliwości decyzyjnych, jakie mam, można było zmniejszyć inflację o kolejne 2-4 punkty procentowe. Trzeba pamiętać,

że w ekonomii i polityce gospodarczej zawsze jest coś za coś: można było zredukować inflację ale za cenę wzrostu bezrobocia (...)

Obserwatorzy życia gospodarczego i politycznego w lutym mogli odnieść wrażenie, że ulica Świętokrzyska to stół do ping-ponga a inflacja, to pileczka wędrująca od Ministerstwa Finansów do NBP i z powrotem. Skąd wziął się ówczesny spór o stopę procentową i jak można podobnych konfliktów unikać w przyszłości?

W przypadku niedawnego podniesienia stóp procentowych nie mieliśmy do czynienia z fachowym sporem: został popełniony zasadniczy błąd w polityce monetarnej. I za ten błąd zapłacą podatnicy, inwestorzy, oszczędzający - wszyscy.

Niemniej, uważam, że stopę procentową winien regulować bank centralny, który musi być niezależny od rządu. Niezależność ta jednak nie może polegać na nieodpowiedzialności, lecz - na suwerenności podejmowanych decyzji przy założeniu dobrej woli rządu i banku. Każdy bank centralny konsultuje tego typu posunięcia z resortem finansów, a w sensie długofalowym - wspiera strategiczne cele polityki gospodarczej państwa.

Skąd zatem w Polsce biorą się problemy z koordynacją polityki budżetowej z polityką monetarną?

Też zadaje to pytanie i - na czysto merytorycznej płaszczyźnie dyskusji - nie znajduję na nie odpowiedzi. Martwi mnie to tym bardziej, że nie ma możliwości strukturalnego rozwiązywania nieporozumień tego typu. W istocie jest to bowiem problem polityczny i jedynym lekarstwem jest dobra wola obu stron.

Tymczasem podmioty gospodarcze, inwestorzy i obywatele odbierają odbierają konflikty na tak wysokim szczeblu jako zły znak, jako brak jasnych reguł działalności (...)

Największym dramatem w realizacji „Strategii dla Polski” do tej pory jest właśnie to, że nie udało się ustabilizować oczekiwań. Jest to zaś niezbędne i bardzo ważne, ponieważ chcemy, aby ten rząd był przewidywalny: biznesmeni, inwestorzy, oszczędzający, konsumenci, firmy, przedsiębiorstwa, banki - mają wiedzieć, czego się można po tym rządzie spodziewać. I tego ani poprzedniego rządu nikt nie ma prawa oskarżać, że podejmuje działania destabilizują-

ce, ponieważ to nie rząd zakwestionował ustawę podatkową, to nie rząd zdestabilizował sytuację pracowników sfery budżetowej, to nie rząd wreszcie zaskarżył ustawę budżetową, która po raz pierwszy została tak wcześnie skierowana do parlamentu i przyjęta. (...)

Jest Pan autorem koncepcji przebudowy centrum gospodarczego. Czy takie centrum jest potrzebne?

Rząd, tradycyjnie już, zorganizowany jest w swoim pionie gospodarczym bardzo dysfunkcjonalnie. Tracimy sporo czasu i energii na różne procedury uzgodnieniowe, za którymi kryją się czasami źle zdefiniowane interesy wielkich grup społecznych. Reforma struktur rządowych i utworzenie centrum gospodarczego ma spowodować to, że rząd byłby zorganizowany pod kątem rozwiązywania problemów. Wielkim urokiem „Strategii dla Polski” jest to, że ona jest napisana właśnie w poprzek Polski resortowej, że daje ujęcie problemów węzłowych (...)

Otóż chciałbym, żeby to zreformowane centrum zatrudniało mniej urzędników. Po drugie, chciałbym żeby administracja państwowa podejmowała mniej decyzji. Chciałbym, żebyśmy stawiali inne pytania. Nowe centrum gospodarcze jest właśnie pomysłem na zderegulowanie gospodarki, na deetatyzację, na przyspieszenie decentralizacji i denacjonalizacji. Jestem zresztą przekonany, że korzyści płynące z utworzenia centrum znacznie przewyższają zagrożenia, którymi niektórzy już dziś straszą.

Jest nieźle, choć gorzej niż chciałbym

*W rozmowie z Dariuszem Teresińskim,
„Przegląd Organizacji”, nr 6, 1995*

Czy program gospodarczy przedstawiony w „Strategii dla Polski” jest ustępstwem ekonomii na rzecz polityki?

(...) Program zawarty w „Strategii dla Polski” z pewnością nie jest „ustępstwem ekonomii na rzecz polityki”, można natomiast zadać pytanie, w jakim zakresie realizacja tego programu jest uwikłana w rozmaite koncesje polityczne. W rzeczywistym życiu politycznym

trzeba nieustannie szukać kompromisu w konfliktach pomiędzy sprzecznymi interesami ekonomicznymi. Jeśli konflikty te nie są we właściwy sposób, na czas i właściwymi metodami rozwiązywane - kumulują się i powyżej pewnego poziomu zaczynają uniemożliwiać jakiegokolwiek skuteczne działania. Sama „Strategia” jest może aż nazbyt osadzona w czystej ekonomii, ale jej realizacja wiedzie swój własny żywot polityczny, tworząc problemy, których nawet nie podejrzewałem i stawiając często mnie, jako autora, w sytuacjach budzących moralny sprzeciw. (...)

Jak Pan ocenia obecny stopień realizacji „Strategii dla Polski”?

Jest niezłe, jakkolwiek gorzej niż chciałbym i na dodatek trudno znaleźć jakiś syntetyczny wskaźnik, bo nie da się jednoznacznie ocenić, czy np. większy postęp w dziedzinie wzrostu gospodarczego równoważy mniejsze osiągnięcia w odniesieniu do reform strukturalnych. Spróbujmy jednak prześledzić to, analizując trzy główne priorytety zawarte w „Strategii”.

Dynamiczny wzrost gospodarczy napędzany głównie przez eksport - w tej dziedzinie wyniki są rewelacyjne. W zeszłym roku produkcja przemysłowa wzrosła o ponad 13% i taka dynamika utrzymała się również w I kwartale tego roku. Eksport (liczony w dolarach) wzrósł o 24%, a w styczniu i lutym tego roku - o ponad 40%, wydajność pracy wzrosła o kilkanaście procent, a inwestycje rosną szybciej niż produkt krajowy brutto, który w ubiegłym roku wzrósł o ponad 5%, a w tym powinno być prawie 6% , co jest jednym z najwyższych wskaźników na świecie.

Stabilizacja makroekonomiczna jest polem mniej spektakularnych sukcesów, co zresztą wiąże się z opisanymi powyżej osiągnięciami, bo część inflacji wynika właśnie z tak wysokiego tempa wzrostu gospodarczego. (...)

Główne wyznaczniki układu makroekonomicznego to inflacja i poziom deficytu budżetowego. W pierwszym roku realizacji „Strategii dla Polski” osiągnęliśmy znakomity wynik, jeśli chodzi o deficyt budżetowy, ale to nie jest przedmiotem publicznej debaty, bo to, co się udało, zazwyczaj nikogo nie interesuje. Deficyt budżetowy był w 1994 r. znacznie niższy niż zakładano (-2.7% wobec planowanych -4.1% produktu krajowego brutto). Ma to określone dłu-

gofalowe skutki gospodarcze: niższy jest poziom długu publicznego, co, mimo nadmiernie wyśrubowanych realnych stóp procentowych banku centralnego, powoduje mniejsze koszty obsługi tego długu. W I kwartale tego roku mamy wprawdzie deficyt sięgający 3 mld zł, przy założeniach na cały rok na poziomie 8.8 mld, ale w tym koszty obsługi wyłącznie długu krajowego, a więc deficytów z przeszłości przewyższają bieżący poziom deficytu. Innymi słowy, gdyby nie deficyty poprzednich lat, budżet państwa zarówno w 1994 r. jak i w I kwartale 1995 r. miałyby już nadwyżkę. Jest to tzw. nadwyżka bilansu pierwotnego.

Postęp w redukowaniu inflacji jest mniejszy niż zakładano, ale uważam że należy raczej patrzeć na dynamikę zmian w tej dziedzinie niż na bezwzględne wartości. (...)

Zmniejszanie społecznych kosztów transformacji to trzeci zasadniczy priorytet zawarty w „Strategii”. I tutaj także mamy istotne osiągnięcia. Rok 1994 jest pierwszym od czasu załamania gospodarczego, w którym wzrosły realne dochody w Polsce. Przypomnijmy, że recesja związana z transformacją po 1989 r. pochłonęła ponad 40% produkcji przemysłowej i 18% PKB. (...)

W kwestii partnerskich stosunków pracy i negocjacyjnego mechanizmu kształtowania płac (pkt I „Strategii”) postęp wydaje się znaczny, choć mało spektakularny. Bardzo poważnie podchodzimy do negocjacji w komisji trójstronnej (rząd, pracodawcy, związki zawodowe), choć nigdy nie podejrzewałem istnienia tak totalnej nieufności w stosunku do rządu i jego poszczególnych ministrów. Biorąc pod uwagę tę wyjściową nieufność, wydaje się, że przepracowane przez komisję roboczogodziny nie poszły na marne. Negocjacje nie zastąpiły strajków, ale toczą się nadal i mimo wszystko więcej z nich - niż ze strajków - wynika. Ten rząd zrealizował też od dawna zgłaszane hasło zniesienia popiwku. Choć jest w tym pewne niebezpieczeństwo, bo brak hamulców płacowych na pewno generuje określoną składową wzrostu inflacji, to jednak zdecydowaliśmy się na ten krok, widząc, że mechanizm popiwku uległ całkowitej erozji. Pięć miesięcy bez popiwku nie spowodowało znaczącego wzrostu inflacji i wierzę w to, że uda nam się doprowadzić do utrwalenia sytuacji, w której o płacach będą decydowały negocjacje, a nie strajki. (...)

Czy model gospodarki negocjacyjnej jest „trzecią drogą” pomiędzy liberalizmem a socjaldemokracją?

Od strajków nie przybywa pieniędzy - najwyżej przybywa inflacji, ale bezustanne powtarzanie tego zaczyna już być nudne. Tym bardziej, że sprawa nie dotyczy tylko branżowych lobbies czy skrajnych działaczy związkowych, ale także np. rektora znamienitej skądinąd uczelni. Jeżeli rektor państwowego uniwersytetu wzywa studentów do strajku w akcie niezgody na politykę rządu wobec szkolnictwa wyższego, to dla mnie jest to równie żaloszny przejaw braku koncepcji, jak rzucanie jajami w ministerstwo. Jeżeli nie ma się pomysłu na prowadzenie uczelni w takich warunkach, jakie obiektywnie istnieją, to można się - co najwyżej, albo aż — podać do dymisji. Na te obiektywne warunki składa się, jako podstawowy parametr, stan gospodarki oraz, w drugiej kolejności, program rządzącej większości parlamentarnej, wyłonionej w wolnych, demokratycznych wyborach. Tym programem w odniesieniu do gospodarki jest - przypomnę - „Strategia dla Polski”. A w „Strategii” pod numerem V zapisany jest program o nazwie „Inwestowanie w kapitał ludzki”. Znaczna część środowisk związanych z nauką rozumie to jednak wyłącznie jako okazję do żądania większych nakładów na naukę. Jednocześnie protestują policjanci, bo jest za mało pieniędzy na policję, głoduje służba zdrowia, bo jest niedofinansowana, państwowe zakłady domagają się puszczenia w niepamięć nie zapłaconych podatków i preferencyjnego kredytowania z budżetu - wszyscy wołają: dajcie więcej pieniędzy!

Ja na to odpowiadam: najpierw wiarygodne projekty reform (wiarygodne nie dla mnie, tylko dla polskiego podatnika), a potem ja się będę martwił, jak to sfinansować. Reforma szkolnictwa wyższego, kultury czy służby zdrowia na obecnym etapie reformy nie może polegać na obłożeniu podatników jeszcze większym haraczem, po to, żeby za rok trzeba było płacić jeszcze więcej. Mechanizm jest dokładnie odwrotny. Dysponent publicznych pieniędzy może zgodzić się na przejściowe, zwiększone finansowanie pewnej sfery, np. szkolnictwa wyższego przez rok czy dwa, ale po to, żeby w dalszej perspektywie płacić mniej. Brutalna prawda o finansowaniu całej sfery budżetowej i generalnie wydatkach z budżetu państwa jest taka: nie będzie więcej pieniędzy! Jako minister finansów i wicepremier odpowiedzialny za gospodarkę

mówię to z całkowitą otwartością i jeśli to się komuś nie podoba, to może mnie odwołać ze stanowiska. Politycy, którzy mówią co innego, okłamują społeczeństwo i mam nadzieję, że w końcu dla wszystkich stanie się to jasne. (...)

Spis treści

Od autora	5
----------------------------	----------

ZAMIAST WSTĘPU

Ten najgorszy minister finansów...	
<i>Z autorem rozmawia Daniel Passent</i>	7

ODPOWIEDZI I PYTANIA

Esseje drukowane na lamach „Polityki”

1. Gorzej już było.	19
2. Potrzeba zgody.	22
3. Jaka opozycja?	26
4. Sojusz z diabłem.	30
5. My w szerokim świecie.	33
6. Dwa bieguny.	37
7. Skok na kasę.	40
8. Ciekawy przypadek.	44
9. Szaleństwo czy głupota.	47
10. Interesy i zasady.	51
11. Prywatyzacja, komercjalizacja.	54
12. Przed Bogiem i historią.	57
13. Trzy ścieżki.	60
14. Kapitał ludzki.	64
15. Lot ćmy do ognia.	67
16. Cztery plus jeden.	71
17. Gra w biliony.	75
18. Prawie wszystkie pieniądze świata.	78
19. Wszyscy ludzie prezydenta.	82
20. Polityka z arytmetyką.	85
21. Albo wojna, albo spokój.	89
22. Czyste sumienie.	92
23. Koalicja szerokiego porozumienia.	96
24. Policjanci i złodzieje.	99
25. Dobijanie inflacji.	103
26. Konfrontacje, negocjacje.	107
27. Odliczanie.	110
28. Między cesarzem a inwestycjami.	114
29. Upominek pod choinkę.	118
30. Nowy Rok - nowy pieniądz.	122
31. ...wjednym stali domu.	125
32. Vendetta na górze.	129
33. Pierwsi z czternastu.	133
34. Kwadratura pięciokąta.	136
35. Tego roku w Davos.	140

36. Stół z powyłamywanymi nogami	143
37. Teraz albo nie wiadomo kiedy.	147
38. Niebezpieczne flirty z inflacją	151
39. Warunki brzegowe.	155
40. Czy warto inwestować w Polskę?.	158
41. Długów odpuszczenie.	161
42. Werdykt	165
43. Rok 2019.	168
44. Wotum zaufania.	172
45. Woda czysta i trawa zielona	175
46. Śniadanie u Klssingera	178
47. Rok w polityce	181
48. Im dalej, tym lepiej.	184
49. Czas i polityka.	188
50. Nowym kursem	191

W ZWIERCIADLE PRASY

Strategia tysiąca dni	197
Głowa ponad lawiną	198
Strategia dla Polski.	201
...też bym strajkował	204
Nie chcemy niczego likwidować.	207
Bez przesuwania gór.	208
Para w tłoki	210
Tak - ale będę strzegł finansów publicznych.	213
Liczę publiczne pieniądze, nie głosy wyborców.	218
Robię za wroga publicznego.	220
Dać życie	223
Za gospodarkę odpowiadam ja!	226
Jakie wydatki na armię?.	228
Nie zmienił się mój charakter.	230
Przejsć restrukturyzacyjny czyściec.	233
Szyf miał gorzej.	235
Zanim będzie za późno.	236
....chciałbym mieć sojusznika w środowisku przedsiębiorców i biznesmenów polskich...".	241
Nowy okrągły stół?.	243
Kwadratura stabilizacji.	244
Racje i procenty.	247
Z literą i duchem Strategii.	249
Strategia na cenzurowanym.	252
Kapitał ludzki	256
Do skutku	258
W poprzek Polski resortowej.	261
Jest nieźle, choć gorzej niż chciałbym.	263

Wykaz innych książek autora

- Cele rozwoju a makroproporcje gospodarcze*, wyd. I. Szkoła Główna Planowania i Statystyki, Warszawa 1984; wyd. II. PWN, Warszawa 1986, s. 212
- Polska w świecie inflacji*, Książka i Wiedza, Warszawa 1987. s. 312
- Reform, Stabilization Policies and Economic Adjustment in Poland*, WIDER, Helsinki 1989, s. 132+ IV
- Kryzys, dostosowanie, rozwój*, PWE, Warszawa 1989, s. 148
- Inflacja, reforma, stabilizacja*, Alma-Press. Warszawa 1990, s. 136
- Hiperinflacja i stabilizacja w gospodarce postsocjalistycznej* (współautor), wyd. I. PWE Warszawa 1991, wyd. II Instytut Finansów. Warszawa 1991, s. 184
- Polityka finansowa - stabilizacja - transformacja* (współautor i redakcja naukowa), Instytut Finansów, Warszawa 1991, s. 448
- Hyperinflation and Stabilization in Postsocialist Economies* (współautor), Kluwer Academic Publishers, Boston-Dordrecht-London, 1992, s. 186+ XVIII
- Polityka finansowa - transformacja - wzrost* (współautor i redakcja naukowa), Instytut Finansów, Warszawa 1992, s. 368
- Transformacja polskiej gospodarki. Sukces czy porażka?*, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1992, s. 200
- Kwadratura pięćłokąta. Od załamania gospodarczego do trwałego wzrostu*, Poltext, Warszawa 1993, s. 144
- Economic Transition in Eastern Europe* (współautor), Blackwell, Oxford, UK and Cambridge, USA 1993, s. 102+X
- The Political Economy of Transformation* (współautor). Physica Verlag/ A. Springer-Verlag Company. Heidelberg - New York 1993, s. 242
- Eastern European Development and Public Policy* (współautor), St. Martin's Press, New York 1994, s. 244
- Macroeconomic Problems of Transformation. Stabilization Policies and Economic Restructuring* (współautor), Edward Elgar Publishing, Aldershot GB - Brookfield USA 1994. s. 309
- Strategia dla Polski*, Poltext, Warszawa 1994, s. 224



Alicja Kołodko:

Rok bez **POLITYKA**

ISBN 83-86688-06-8

Narzeką pani na brak męża w domu?

Nie, ponieważ wcześniej też nigdy nie wracał o czwartej i bardzo często wyjeżdżał. W tej chwili może inaczej go nie ma. Bo jednak się zjawia. Kiedyś wyjeżdżał i wiadomo było o co chodzi. Teraz niby go nie ma, a przecież jest.

Właśnie - jest, czy nie? Weekendy podobno spędza w domu.

Najczęściej, choć nie każdy. Robię wszystko, aby wówczas był z rodziną, nawet posuwając się do szantażu. Świetnie układają mi się też stosunki z jego współpracownikami, o czym on sam nawet nie wie. Dzwonią do mnie i mówią: Wiesz, on już dziś i jutro nie ma nic do roboty, a siedzi i jeszcze coś dłużej, więc możesz śmiało do niego zadzwonić i powiedzieć, żeby wracał do domu. Sama też się upewniam, czy w tę lub w inną sobotę rzeczywiście musi gdzieś wyjść.

Są mężowie, którzy w weekendy uwielbiają czytać gazety.

Nasze są bez gazet, bez telewizji i w zasadzie bez radia.

I nawet bez rządowych dokumentów?!

Czasem z nimi. Tyle, że głównie sobie leżą. Staram się je przykrywać ścierkami i czym się da, byle nie kłuły w oczy.

Mąż zajmuje się dziećmi?

Ostatnio w ten sposób, że przynajmniej raz dziennie rozmawiają telefonicznie. Mąż zawsze pamięta o imieninach czy urodzinach - zwykle w takie dni robił córkom niespodzianki, co polegało na tym, że zabierał je do księgarni, skąd wynosili ogromne ilości książek.

Liczy pani, ile już mąż jest politykiem, tak jak on?

Najchętniej, wzorem chłopców z wojska, powiesiłabym gdzieś centymetr krawiecki i codziennie odcinała kolejny dzień, który pozostał do końca tego wszystkiego. Tylko, niestety, nikt mi nie potrafi powiedzieć, jak to długo jeszcze potrwa.

Rozmawiał: Marek Rudnicki